

ROBERT J. SZMIDT

DO OSTATNIEJ KROPLI KRWI

Pola dawno zapomnianych bitew: Bukowski

tom 3



ROBERT J.
SZMIDT

*DO OSTATNIEJ
KROPLI KRWI*

**Pola dawno zapomnianych bitew: Bukowski
tom 3**



Dom Wydawniczy REBIS

O TOMIE PIERWSZYM NAPISANO:

„Fantastyka naukowa to ten rodzaj literatury, który albo się uwielbia, albo którego się nienawidzi. Albo coś czytelnika pociąga w powieści, albo doprowadza do takiego stanu, że nigdy więcej nie sięgnie on po tego typu lekturę. W tym drugim przypadku pozostaje mu tylko żałować, że nie przeczyta *Łatwo być Bogiem*. (...) To bardzo ciekawa książka, która wbrew pozorom niesie przesłanie dotyczące spraw bardzo przyziemnych, traktująca o nas – ludziach”.

Recenzje Subiektywne – Marek Bachorski-Rudnicki

„W *Łatwo być Bogiem* autor kreuje łatwo przyswajalną wizję przyszłości, zbudowaną z klasycznych i dobrze znanych elementów, doprawioną odrobiną humoru, wartką akcją i zakamuflowanym, nieco głębszym przesłaniem. (...) Szmidt serwuje bardzo popową, lekką lekturę z atrakcyjnym zakończeniem będącą jednocześnie obietnicą znacznie większego rozmachu i rozwinięcia zaprezentowanego świata w dalszych częściach. Warto czekać”.

www.dzikabanda.pl

„Zimny i brutalny jest wszechświat kosmicznych żołnierzy przyszłości z prozy Roberta J. Szmidta. Nie ma w nim miejsca na czułości, przyjaźnie, związki rodzinne. Jest misja, przymus, odpowiedzialność i smutek. I jeszcze wola przetrwania”.

Republika Kobiet – Sylwia Skorstad

„*Łatwo być Bogiem* to godny uwagi kawałek literatury. Niezły sam w sobie, ale przede wszystkim wiele obiecujący w kolejnych częściach. Jeśli Szmidt okaże się konsekwentny, to czeka nas naprawdę świetna seria science fiction. Tego właśnie możemy i powinniśmy oczekiwać”.

Gildia

„Dobrze, że w Polsce wydaje się takie książki. One – przynajmniej w moich oczach – ratują obraz klasycznej SF jako tworu rozrywkowego. Poza tym Szmidt udowadnia, że nie tylko Zachód potrafi napisać dobrą fantastykę, ale i nasi autorzy to dobry »towar«. Może nawet eksportowy?”

Co przeczytać? – Mariusz Wojteczek

„*Łatwo być Bogiem* to jedna z tych książek, które oferują czytelnikowi dokładnie to, co zapowiada okładkowy blurb. Najnowsza powieść Roberta J. Szmidta rzeczywiście jest przedstawicielem twardej fantastyki naukowej i z pewnością przypadnie do gustu wszystkim jej miłośnikom”.

Poltergeist – Bartosz Szczyżański

„Robert J. Szmidt – człowiek, od którego zaczęło się odrodzenie polskiej fantastyki w XXI wieku, który wymyślił i prowadził magazyn »Science Fiction«, kiedy wszyscy pukali się w głowę, że to totalny bezsens – wydał właśnie nową książkę. (...) To bardzo dobra, rozrywkowa space opera z ciekawymi bohaterami, wartką akcją i niepokojącymi pytaniami”.

„Sama koncepcja powieści to coś więcej niż wymiana ognia z działka laserowego w próżni kosmicznej i spotkania pierwszego stopnia z kosmitami – Robert J. Szmidt bardzo trafnie steruje sugestiami, które mają stworzyć swoistą piramidę zależności ludzkiej cywilizacji wobec całego wszechświata. Autor wciąż przypomina także o samej idei boskości i tego, jak człowiek może postrzegać siły nadprzyrodzone”.

wMeritum.pl – Patryk Wolski

„Czytam *W przededniu* Orsona Scotta Carda i Aarona Johnstona. Tak strasznie podobała mi się *Gra Endera*, której prequelem jest ta książka. Niestety, po przeczytaniu *Łatwo być Bogiem* sci-fi nie jest już takie samo... *W przededniu* wydaje się blade i naiwne”.

Bartek Rae Rutkowski

Opinie z portalu *Lubimy Czytać* (969 ocen, 162 opinie, średnia: 7,3/10)

„Z taką książką nawet najbardziej ponury dzień człowiekowi nie przeszkadza. Żeby nie rozwlekać: *Łatwo być Bogiem* to stara dobra fantastyka, ale napisana po filmowemu. Chwilami miałem wrażenie, że oglądam rasowe SF w kinie”.

Wojtek Grabowski

„Ta powieść zupełnie mnie nie zaskoczyła. Czemu? Gdyż po tym autorze spodziewałem się dokładnie takiej prozy: ciekawej, dynamicznej fantastyki ze znakiem wysokiej jakości, która pod wierzchnią, rozrywkową warstwą stara się pytać o rzeczy ważne i znaczące. I to właśnie w najnowszej książce Szmidta dostałem”.

Konrad

„A już myślałem, że polskie, klasyczne sci-fi się kończy. Otóż nie! Fabuła trzyma w napięciu i ciekawi, opisywane rasy są fascynujące, a koniec sprawia, że chcę więcej. Zdecydowanie na tak, godne polecenia”.

Arkadiusz

PROLOG

*Terytoria Wewnętrzne, orbita Alfy,
kwatery główna floty trzeciego metasektora,
System Kalidon 11, Sektor Whisky,
10.05.2234, godz. 06:30*

- Imponujący widok, admirale.

- Niezaprzeczalnie – przyznał Dan Leiber dowodzący trzecim metasektorem, jak w wojskowym żargonie nazywano obszar Terytoriów Wewnętrznych.

Stał dwa kroki od swojego gościa, niższego od niego o głowę otyłego mężczyzny w średnim wieku. Nie dziwił się jego reakcji. Cywile, nawet tak dobrze sytuowani jak zastępca dyrektora Instytutu i zarazem członek zarządu NeuroTeku, nie spoglądali zbyt często w pustkę kosmosu. Ich luksusowe statki przemierzały przestrzeń tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Mniej naglące sprawy załatwiali zdalnie, nie opuszczając zacisznych gabinetów czy urokliwych posiadłości znajdujących się bez wyjątku na planetach tlenowych.

- Tak wygląda przyszłość – dodał Graham Wyndham, gdy admirał zamarł w bezruchu przed grubą na trzydzieści dwa centymetry ścianą z plastali, która w trybie transparentnym była tylko nieco mętniejsza od tafli czystego krystalitu.

Leiber przytaknął mechanicznie. Dotarło do niego właśnie, że gość nie wyraża podziwu dla rozciągającej się przed ich oczami panoramy Kalidona 11, która niejednemu człowiekowi, nawet oswojonemu z przestrzenią, odebrałaby dech w piersi. Nie, zastępca dyrektora miał na myśli tylko małeńki wycinek tego widoku: wiszący w próżni prostopadłościan składający się z trzystu sześćdziesięciu identycznych jednostek, które dryfowały w ciasnym szyku po wysokiej orbicie Alf-y – majestatycznej planety kilkakrotnie większej od Ziemi, ale młodszej od niej o dwa, może nawet trzy miliardy lat. Jej wiecznie płonąca tarcza, zwłaszcza po ciemnej stronie,

nad którą wisiał kompleks stacji, robiła wrażenie na każdym, kto miał choć odrobinę wyobraźni. Czyż nie tak wyglądałoby piekło, gdyby naprawdę istniało? Rzeki lawy przecinały niby pajęczyna powierzchnię stygnącego dopiero globu, spływając do basenów płytkich gorejących mórz. Stożki plujących wiecznym ogniem wulkanów tworzyły na powierzchni rozżarzonego przestworu czarniejsze od głębi kosmosu wyspy, które rosły w oczach, by zapaść się później pod własnym ciężarem, popękać i zniknąć na powrót w magmowym tyglu stworzenia. Wystarczał miesiąc, czasem nawet tydzień, by obserwowana z orbity topografia planety uległa przeobrażeniu.

Niejeden oficer stacjonujący w bazie podziwiał ten hipnotyzujący spektakl – spektakl niezmiernie rzadko spotykany w przestrzeni opanowanej przez ludzkość, lecz jak się okazało, całkowicie obojętny dla człowieka, który przybył na Kalidona 11, by nadzorować ostatni etap operacji mającej dać mu przepustkę do grona najważniejszych graczy zarówno na scenie biznesowej, jak i politycznej.

Leiber pofatygował się aż do doków, w miejsce, które normalnie odwiedzał wyłącznie wtedy, gdy opuszczał bazę albo na nią wracał, chciał bowiem dać gościowi przedsmak czekających go zaszczytów. Nie dochrapałby się tak wysokiego stanowiska, gdyby nie wiedział lepiej od innych, kiedy i przed kim zgiąć kark. W tym przypadku jego wrodzona ciekawość miała drugorzędne znaczenie.

– Mogę zapytać, dlaczego pojawił się pan na Kalidonie dzisiaj, całą dobę przed umówionym terminem? – Odwrócił się twarzą do Wyndhama.

– Zarząd wydelegował mnie, abym... – Zastępca dyrektora umilkł na moment, jakby szukał słów, które nie urażą dowódcy trzeciego metasektora. – Abym dopilnował, że wszystko tutaj odbywa się, jak należy.

– Aż tak nam nie ufacie?

Gość zbył te słowa kpiącym uśmiechem i wzruszeniem ramion. Choć stali o krok od siebie, to światy, w których żyli i funkcjonowali, bardzo się różniły, być może nawet bardziej niż Alfa i Beta tego systemu.

Białe jak śnieg gazowy olbrzym, odległy o zaledwie trzy minuty świetlne od miejsca, w którym teraz się znajdowali, przyciągał wzrok w nie mniejszym stopniu. Jego widmowa tarcza, otoczona dyskiem pierścieni i mrowiem księżyców, stanowiła jaskrawy kontrast dla rozżarzonej Alfę. Leiber nie miał wątpliwości, że przepaść dzieląca go od wizytującego bazę mężczyzny jest równie wielka.

Świat metakorporacji oznaczał spiski, knowania, nieustanną rywalizację, wbijanie sobie noży w plecy. Flota natomiast, choć stworzono ją do toczenia wojen, była jego totalnym przeciwieństwem. Zhierarchizowana, karna do bólu, współpracująca na każdym szczeblu. We flocie nikt nikogo nie zdradzał ani nie rzucił na pożarcie. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” – głosiła stara maksyma wykuta na frontowej ścianie gmachu admiralicji. Najostrzejsze tarcia w dowództwie były niczym w porównaniu z czystym darwinizmem współczesnego biznesu.

NeuroTek wiedział, co robi, kontrolując i po trzykroć zabezpieczając każdy etap operacji. Konkurencja nie spała, a Leiber okazałby się zwykłym głupcem, gdyby odmówił przyjęcia hojnych darowizn na rzecz fundacji prowadzonych przez jego żonę i córki – darowizn, którymi rywale Instytutu próbowali go skłonić do tego, aby podzielił się z nimi poufnymi informacjami na temat nowinki technologicznej czy raczej broni mającej szansę nie tylko utrwalić ład korporacyjny, ale przede wszystkim wywindować właścicieli NeuroTeku na szczyty władzy i zapewnić im nieograniczone wpływy.

– Powiedzmy, że nie chcemy żadnych przykrych niespodzianek – rzucił po dłuższej chwili Wyndham, odrywając w końcu wzrok od ciasnego szyku, w jakim ustawiono centra reedukacyjne czekające na wgranie formuły. – Zwłaszcza na ostatnim etapie operacji.

– Rozumiem. – Leiber usunął się z drogi, wskazując dłonią kierunek, w którym powinni się udać.

Żołnierze eskorty ruszyli za nimi, zachowując stosowny odstęp.

– Od czego zamierza pan zacząć inspek... – Admirał umilkł w pół słowa i zatrzymał się raptownie.

Zaskoczony gość także przystanął, ale dopiero po dwóch kolejnych krokach. Obrócił się na pięcie i posłał lodowate spojrzenie dowódcy trzeciego metasektora, lecz cały chłód, który miał zmrozić admirała, wyparował w momencie, gdy Wyndham zauważył jego minę.

– Co się... – zaczął, ale szybko umilkł, ponieważ jego wszczep neuralny ożył. – Nie... – Zachwiał się, jakby ktoś go zdzielił w twarz. – To niemożliwe!

Żołnierze zareagowali instynktownie, jak ich tego uczono. Otoczyli ciasnym kordonem przełożonego i jego gościa, aktywując natychmiast kopułę pola ochronnego. Sami zamarli w pozycjach bojowych z bronią wymierzoną we wszystkich kierunkach.

Żaden ruch ani dźwięk nie zmałował jednak półmroku wypełniającego hangar, w którym znajdował się obecnie tylko lśniący złotem jacht Wyndhama. Komandosi nie rozumieli więc, skąd u eskortowanych taka nerwowa reakcja, ale też informacja ta nie była im do niczego potrzebna. Ich zadanie polegało na neutralizacji wszelakich zagrożeń, uczynili zatem to, za co im płacono, i w napięciu czekali na dalsze rozkazy.

Pod opalizującą kopułą pola ochronnego także panował bezruch. Leiber i Wyndham ani drgnęli, w milczeniu chłonąc napływające informacje.

Wiadomość o zniszczeniu *Neurona* i *Protektora* została nadana przez stację monitorującą Hyperiona 32 z półtorasekundowym opóźnieniem, ponieważ do katastrofy doszło właśnie w takiej odległości od strefy skoku. Sterująca siecią floty sztuczna inteligencja przesyłała otrzymywane na bieżąco dane łączami kwantowymi dalej, między innymi do sztabu trzeciego metasektora – aktualizacje napływały z coraz większym opóźnieniem, gdyż System bazy się dławiał, analizując równocześnie wszystkie strumienie danych, aby wyłuskać z nich najistotniejsze elementy, z których mógłby stworzyć zwięzłe, a przy tym rzeczowe raporty. Wiceszef Instytutu, korzystający z sieci korporacyjnej, otrzymywał te same informacje ze znacznie mniejszym opóźnieniem, lecz w formie nieprzefiltrowanej, co nastęrczało trudności w zrozumieniu sytuacji.

Leiber wziął się w garść pierwszy. Zniszczenie dwu jednostek zaskoczyło go, lecz nie aż w takim stopniu jak Wyndhama. Dla tego ostatniego strata współpracowników, nierzadko znanych z imienia i nazwiska, a czasem nawet z twarzy, była prawdziwym ciosem.

– Poruczniku Bisson! – rzucił, łącząc się z dowódcą eskorty. – Zmieńcie kod na żółty.

Otoczające ich pole siłowe zrobiło się natychmiast bardziej przejrzyste, po czym zgasło. Komandosi zmienili szyk na luźniejszy, nadal jednak trzymali broń w pogotowiu. Napływające z Hyperiona informacje wskazywały, że doszło tam do nieszczęśliwego wypadku, ale dowódca metasektora nie mógł sobie pozwolić na popełnienie najmniejszego nawet błędu.

– Panie dyrektorze! – Pochylił się, by spojrzeć przerażonemu Grahmowi w oczy.

– Jak... – szepnął Wyndham. – Czy oni...

– Obawiam się, że tak. Tylko *Protektor* zdążył odpalić kapsuły ratunkowe, i to nie wszystkie. Z tego, co wiem, *Neuron* nie dysponował odpo-

wiednim systemem zabezpieczeń.

– Ale... jak... – dukał Wyndham, rozkładając bezradnie ręce. – Przecież...

– Obie jednostki po wyjściu ze studni grawitacyjnej trafiły w chmurę szczątków po innej katastrofie – zaczął wyjaśniać Leiber, ale szybko umilkł. W oczach rozmówcy nie dostrzegł śladu zrozumienia.

Zresztą w tym samym momencie nadszedł kolejny komunikat. Komandor Dreade-Ravenore przesłał z kapsuły ratunkowej pierwszy raport. Zginęli wszyscy żołnierze oddziałów szturmowych, z załogi ocalała tylko obsada mostka. Cztery osoby z ponad stu dwudziestu obecnych na pokładach tych jednostek.

Admirał przywołał jednego z eskortantów.

– Zaaplikujcie naszemu gościowi coś na uspokojenie – rozkazał.

Komandos wykonał polecenie, po czym wrócił na swoje miejsce w szyku.

Wyndham chwiał się jeszcze przez chwilę na nogach, jakby był pijany, lecz gdy podniósł głowę, jego spojrzenie było o wiele przytomniejsze.

– Proszę się skupić, dyrektorze. – Leiber stanął tuż przed nim. Znow się garbił, by patrzeć niższemu mężczyźnie prosto w oczy. – Rozumie pan, co mówię?

– Tak.

– Co ten wypadek oznacza dla programu? – zadał pytanie podyktowane chwilę wcześniej przez komandora.

– Słucham? – Wyndham nie doszedł jeszcze całkiem do siebie.

– Czy NeuroTek wywiąże się z umowy pomimo śmierci Diakowa? – uściślił admirał.

Zastępca dyrektora skrzywił się, jakby myślenie sprawiało mu ból.

– Znaczna część danych dotyczących formuły trafiła na serwery Instytutu na Centurionie – odparł w końcu.

W tym stanie mógł powiedzieć więcej, niżby chciał, ale Leiber nie zamierzał naciskać zbyt mocno, ponieważ wiedział, że Wyndham będzie pamiętał przebieg tej rozmowy. Z drugiej strony admirał chętnie sam by uprzedził Radę, że operacja zakończyła się fiaskiem.

Zapunktuję, jeśli pokażę politykom, że panuję w pełni nad sytuacją.

– Znaczna część? – powtórzył. – A reszta?

– Na pokładzie *Neurona* przechowywano kluczowe elementy formuły. Diakow nie udostępniał ich nikomu ze względów bezpieczeństwa.

– Czyli nie zdołacie dotrzymać warunków umowy?

Wyndham się otrząsnął. Wyglądał jak ktoś, kogo właśnie obudzono z bardzo głębokiego snu.

– Na jutro raczej nie... – powiedział. – Ale nie wszystko jeszcze stracone! – podniósł głos, widząc minę Leibera. – Nie wiem, jaki procent formuły trafił do banków danych Instytutu, ale zapewniam, że dysponujemy ludźmi i środkami, które pozwolą na dokończenie badań.

– Radzę to dobrze sprawdzić, zanim ktoś z Rady uzna, że ten wypadek był wam na rękę.

– Nie sugeruje pan chyba, że stoimy za tym potwornym czynem?! – obruszył się Wyndham, do którego dotarło, że już za moment jego przełożeni zaczną szukać kozła ofiarnego.

– Ja niczego nie sugeruję, tylko grzecznie zwracam uwagę – odparł ze spokojem Leiber. – Wypadek wypadkiem, ale...

– To nie był żaden wypadek! – wrzasnął zastępca dyrektora. – Nie rozumie pan?! Komuś bardzo zależało, żeby formuła nie ujrzała światła dziennego!

– Nic nie wskazuje na... – zaczął admirał, lecz rozeźlony gość nie pozwolił mu dokończyć.

– Wierzy pan w podobne zbiegi okoliczności? Bo ja nie!

– Musi pan przekonać nie mnie, tylko członków Rady.

– To ten skurwyklon Harada... – Wyndham poczerwieniał na twarzy i zacisnął pięści. – Od samego początku nie potrafił znieść myśli, że możemy przejąć inicjatywę.

Hipoteza mówiąca, że Arashi za wszelką cenę chciało uniknąć blamażu, na tym etapie wydawała się najbardziej prawdopodobna – gdy już odrzuciło się wersję o wypadku. Oczywiście przeciwnik, który zaplanował i przeprowadził tak śmiałą i skomplikowaną operację, jaką był atak na NeuroTek, musiał należeć do pierwszej ligi, a właściciel i zarazem prezes Arashi pasował do tego opisu idealnie. Ktoś taki jak on dysponował środkami, które pozwalały nie tylko na dokonanie aktu sabotażu, ale też na zinfiltrowanie dowództwa metasektora.

– Komandorze Pournelle! – Leiber połączył się z centrum dowodzenia.

– Zarządzam pełną blokadę systemu. – Nie czekając na potwierdzenie przyjęcia rozkazu, odwrócił się do stojącego w pobliżu dowódcy eskorty. –

Poruczniku, odprowadźcie dyrektora Wyndhama do najbliższego

schronu. Nikt nie ma do niego dostępu. Nikt prócz mnie. Odpowiadacie za niego własną głową, rozumiano?

– Tak jest!

Leiber zasalutował sztywno i zaczął się oddalać, lecz nagle tknęła go pewna myśl.

Lepiej dmuchać na zimne...

– Ty i ty! – Wskazał pierwszych z brzegu żołnierzy. – Idźcie ze mną.

* * *

Sytuacja komplikowała się z chwili na chwilę. Im szerszy był strumień informacji napływających z Hyperiona, tym więcej wątpliwości rodziło się w głowie Leibera.

To nie mógł być wypadek. Instalacje tego typu nie eksplodują same z siebie, a jeśli już dochodzi do katastrofy, z pewnością nie wygląda to tak jak na ostatnich przekazach. Całe to zajście zakrawa na czyjąś celową robotę. Tylko czyją?

Prace Instytutu zostały już na wstępie objęte klauzulą tajności. Tutaj, na Kalidonie, o ich prawdziwym charakterze wiedziały zaledwie trzy osoby. Dla reszty oficerów i żołnierzy służących w tym systemie gromadzone na wewnętrznym kotwicowisku jednostki były zwykłymi okrętami szpitalnymi najnowszej generacji. Zakładając, że doszło do przecieku, czy to po stronie floty, czy skorumpowanych polityków – a obie wersje wydawały się admirałowi równie mało realne – kto inny, prócz Harady, mógł na tym skorzystać? Kto inny miał szanse dokonać sabotażu?

Decydenci? Nie, pomyślał admirał i uśmiechnął się krzywo. Politycy to tylko marionetki poruszane zręcznymi palcami najbogatszych obywateli Federacji. Umieją dużo gadać, lecz nawet ci, których kopnięto w sam środek tłustej dupy i odstawiono na boczny tor, nie dysponowali odpowiednimi możliwościami. Poza tym: co by niby mieli zyskać?

Zwykli obywatele burzyli się coraz częściej, tworząc przeróżne stowarzyszenia, ale szczytem ich marzeń była organizacja strajków obejmujących poszczególne instalacje i – zdecydowanie rzadziej – całej planety, te leżące daleko na Rubieżach i ledwie zamieszkane. Wprowadzie sabotaż programu reedukacji przyniósłby największą korzyść właśnie im, lecz najpierw musieliby wiedzieć o jego istnieniu. Inna sprawa – czy byliby w stanie zastawić pułapkę, w którą wpadły *Neuron* i *Protector*? Być może, ale już infiltracja NeuroTeku czy floty w stopniu umożliwiającym skuteczny atak była absolutnie wykluczona. O miejscu pobytu Diakowa wiedzieli tylko

wybrani. Nawet on, wysoki rangą oficer dowodzący całym metasektorem, do niedawna pozostawał w niewiedzy.

Zatem musi chodzić o kogoś innego, pomyślał Leiber.

Stojąc w kabinie turbowindy, przejrzał najnowszy raport z Hyperiona. System Wydziału Bezpieczeństwa dokonał szczegółowych analiz, zwracając uwagę zwłaszcza na moment, w którym eksplodowała wadliwa rafineria. To nagranie przesądzało sprawę. SI potwierdziła wcześniejsze podejrzenia admirała. Ktoś celowo doprowadził do maksymalnej defragmentacji wraku, aby zablokować wylot tej, a nie innej studni grawitacyjnej. I był to ktoś, kto wiedział dokładnie, jak, gdzie i kiedy uderzyć.

Czyżby Wyndham miał rację? Czyżby któryś oligarcha uznał, że lepiej nie dopuścić do powstania centrów reedukacyjnych, niż stracić z takim trudem wywalczoną pozycję w wyścigu nie tylko po bogactwa, ale też po władzę?

Brzytwa Ockhama pomogła admirałowi wyłonić najsensowniejszą teorię, która jednak rodziła więcej pytań niż odpowiedzi. Sukces Instytutu posłużyłby przecież wszystkim korporacjom. Dałby im narzędzia pozwalające na zdławienie każdego przejawu oporu i na zachowanie przy tym czystych rąk.

Dlaczego odrzucać taką ofertę?...

Leiber się wzdrygnął. Czerwone błyski zapłonęły przed jego oczami na moment przed aktywacją niewirtualnej części systemu alarmowego. Winda znajdowała się dwanaście kondygnacji od centrum dowodzenia. Kilka sekund jazdy, nie więcej. Meldunek niewiele wyjaśniał. Bo co, u licha, znaczy: „W przestrzeni wewnętrznej bazy wykryto obecność anomalii grawitacyjnej”?

– Komandorze Pournelle? – wywołał oficera dyżurnego. – Może mi pan powiedzieć, co się dzieje?

– Nie bardzo...

Admirał wychwycił w głosie podwładnego niepewność, która natychmiast mu się udzieliła.

– Co znaczy: „nie bardzo”? Co to w ogóle za odpowiedź?! – warknął, czując, że kabina zwalnia.

– Ja... ja nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem – tłumaczył się chaotycznie Pournelle. – To jakby... jakby na naszych oczach rodziła się czarna dziura.

Z jego głosu bił strach.

Leiber szybkim krokiem ruszył w kierunku stanowiska dowodzenia, ostatnie metry pokonał truchtem, nie zwracając uwagi na witającego go przy grodzi podoficera. Chyba po raz pierwszy w swojej długiej karierze nie odpowiedział na salut podwładnego.

Opadł na fotel, nie odrywając wzroku od panoramiconu. Pośrodku głównego ekranu widział prostopadłościenną formację jednostek NeuroTeku, która nie wyglądała już tak idealnie jak jeszcze przed chwilą, gdy obserwował ją z doków w towarzystwie zastępcy dyrektora Instytutu... W prawym górnym narożniku, bliższym sztabu, kilkanaście jednostek zła-mało szyk. Wyglądało to tak, jakby niewidzialna siła przyciągała te statki do siebie. Albo jakby sama przestrzeń ulegała w tym punkcie zakrzywie-niu.

Czyżby był świadkiem narodzin czarnej dziury? Albo nowego tunelu czasoprzestrzennego? Wskazania sensorów zdawały się potwierdzać obie te możliwości.

Gdyby nie katastrofa, wróc, gdyby nie zamach na *Neurona* i *Protektora*, Leiber mógłby uwierzyć, że sam wszechświat postanowił nie dopuścić do powstania centrów reedukacji, czyniąc go naocznym świadkiem zjawiska, jakiego nie widział nikt inny w całej historii ludzkości.

Mając jednak w pamięci wydarzenia z *Hyperiona*, szczerze wątpił w to wytłumaczenie. Co zatem działo się w przestrzeni zaledwie sto kilome-trów od centrum dowodzenia? I co ważniejsze: kto za to odpowiadał?

Nagle admirała tknęła jeszcze jedna myśl, która sprawiła, że poczuł zimne ciarki w okolicach krzyża. Choć od otrzymania pierwszego raportu upłynęło pięć, nie, już niemal sześć minut, jak dotąd nie dobijał się do niego żaden polityk. Nie odezwał się nikt z Rady, nie słyszał wściekłego ryku Heinleina ani ujadania Ericksona, mimo że każdy z nich powinien wisieć na komunikatorze od pierwszych sekund tego ataku.

Albo maczali w tym palce, albo... Nie, nie, nie... Leiber pobladł na twarzy. Chwilę mu zajęło, nim wziął się znowu w garść. Na szczęście ludzie wypełniający centrum dowodzenia nie patrzyli na niego. Uwagę wszyst-kich, którzy zachowali jasny umysł, przykuwała flota rzekomych statków szpitalnych dziesiątkowana na ich oczach.

Nie myśl, tylko działaj, Leiber zganił się bezgłośnie. *Nie ukręcaj bata na samego siebie.*

- Komandorze!

– Tak jest! – Pournelle zgłosił się przepisowo. Reprimenda przełożonego sprzed chwili przywołała go do porządku.

– Odwołajcie wszystkie holowniki z doków orbitalnych! Zbierzcie cały dostępny sprzęt! Musimy ocalić tyle ce... – zająknął się. – Tyle statków szpitalnych, ile zdołamy!

– Tak jest!

– Taktyczny! – Admirał się rozkręcał. – Namierzcie mi źródło tej... anomalii, czymkolwiek ona jest. Chcę mieć komplet danych, natychmiast!

Kolejni wachtowi potwierdzali przyjęcie rozkazów, lecz wyniki, które spływały na wyświetlacze stanowiska dowodzenia, nie rozjaśniły sytuacji w najmniejszym nawet stopniu. System z uporem godnym lepszej sprawy twierdził, że w samym środku bazy powstało przed momentem coś w rodzaju czarnej dziury, która rosła w tempie wykładniczym, pochłaniając kolejne statki. Na panoramiconie widział ogromną kulę szczątków, w której co kilka sekund znikwały kolejne smukłe kadłuby. Wir grawitacji rozrywał na strzępy bądź miażdżył każdą jednostkę, która znalazła się w jego zasięgu – a ten powiększał się w oczach.

– Admirale! – Pournelle zrobił dziwną minę.

– Co znowu?

– Nasz gość... domaga się rozmowy z panem.

Zatem już wie, pomyślał skwaszony Leiber.

Tylko tego mu brakowało. Nie miał jednak wyjścia, musiał wysłuchać Wyndhama, żeby nikt mu nigdy nie zarzucił, że zlekceważył przedstawiciela korporacji.

– Dlaczego nic nie robicie! – wrzasnął zastępca dyrektora, ledwie pojawił się na wizji. – Nie widzicie, co się dzieje?

– Zapewniam, że podjęliśmy już stosowne działania – odpowiedział stanowczym tonem admirał.

Nie obawiał się konsekwencji, ewentualne śledztwo wykaże, że działał zgodnie z regulaminem. Rozkaz wydał przed tą rozmową, co ostatecznie przesądzało kwestię odpowiedzialności za ewentualne szkody.

– Tak? – Twarz jego rozmówcy wykrzywiła się w złośliwym grymasie. – W takim razie proszę mi wytłumaczyć, dlaczego nie widzę tam żadnego holownika!

– Nasze holowniki nie mają tak efektywnych napędów jak pański jacht – odparł bez wahania. – To jednostki wewnętrzssystemowe, bliskiego zasięgu, które służą do umieszczania remontowanych okrętów w dokach

i do przerzucania ich na pobliskie kotwicowiska. Flotylla waszych jednostek znajduje się siedem minut lotu od najbliższej stoczni. Praw fizyki nie da się obejść, jak pan doskonale wie – zakończył stwierdzeniem, którego wcale nie był pewny.

– Dlaczego umieściliście je tak daleko od kompleksu bazy?! – nie odpuszczał Wyndham.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, zrobiliśmy to pod waszym wpływem – zgasił go natychmiast Leiber.

– Tak?

– Tak. Może pan to sobie sprawdzić. Koordynaty miejsc postoju flotylli otrzymaliśmy od przedstawiciela NeuroTeku. Powinien pan być mi wdzięczny, że wybrałem najbliższą lokalizację z sugerowanych.

– Jeśli dochodzenie wykaże, że przez waszą opieszałość straciliśmy choć jedno centrum, puścimy was wszystkich z torbami. Czy wyrażam się jasno, admirale?

– Jasno i wyraźnie – potwierdził Leiber. – Przy sporządzaniu swojego raportu proszę tylko nie zapomnieć o dodaniu faktu, że zawierając mi dupę czczymi pogroźkami, uniemożliwiał pan nadzorowanie akcji ratunkowej.

Zastępca dyrektora otworzył wprawdzie usta, ale nic już nie powiedział. Rozłączył się za to zamaszystym gestem. Parę sekund później natarczywe brzęczenie komunikatora oderwało Leibera od lektury kolejnego raportu. Mechanicznie sięgnął do klawisza aktywacji, ale w ostatniej chwili zauważył, że dobija się do niego jakiś porucznik z kwatermistrzostwa.

To nie najlepszy moment na składanie meldunków o brakach w sprzęcie, pomyślał, posyłając natręta do diabła. Ku jego zdziwieniu ten nie zrezygnował. Ikonka przedstawiająca uśmiechniętą twarz o kwadratowej szczęce pojawiła się ponownie, ledwie zdążył cofnąć palec. Kolejny ruch ręką i połączenia z magazynem zostały zablokowane na dobre.

– Admirale... – Tym razem na wyświetlaczu pojawił się Pournelle.

– Tak, komandorze?

– Zgłosił się do mnie porucznik Weber z kwater...

– Czy wam wszystkim kompletnie odbiło?! – wrzasnął Leiber, wskazując palcem na panoramiczny ekran. – To jest nasz problem! To, a nie jakieś... – Zatchnął się ze złości.

Komandor wpadł mu natychmiast w słowo.

– Ale on właśnie w tej sprawie.

– Co?!

– Proszę spojrzeć.

Centralną część wyświetlacza wypełniło nagranie z jakiegoś portu orbitalnego, w którym podobna anomalia grawitacyjna pochłaniała sześć magazynów centrum logistycznego. Z gigantycznej konstrukcji niewiele już zostało.

– Dajcie mi go – rzucił pośpiesznie Leiber.

– Admirale, mel... – zaczął porucznik, ale został bezpardonowo uciszony.

– Co to jest?

– To nagranie z Itmosa 21 – odparł Weber. – Krąży po Holonecie od wczoraj. Doszło tam do niekontrolowanej aktywacji eksperymentalnego sprzętu górniczego, czegoś, co nazywa się kolapsar. Tak przynajmniej ogłoszono...

– Komandorze! – Leiber nie słuchał dalej. – Każcie namierzyć producenta tego bożońskiego skurwykłoństwa i bezzwłocznie mnie z nim połączcie! – Przechodząc na kanał ogólny, dodał: – Do wszystkich załóg, mówi admirał Leiber. Zlokalizować centrum tej anomalii grawitacyjnej i walić w nie wszystkim, co tam macie, prócz atomówek! Bez odbioru.

Opadł ciężko na oparcie fotela, skupiając wzrok na przesłanym mu nagraniu. To musi być to! Port orbitalny na Itmosie demolowała ta sama siła, która dziesiątkowała statki NeuroTeku. To nie przypadek, że...

Kolejne połączenie przychodzące, tym razem ze stanowiska łączności.

Za moment poznamy prawdę, uznał dowódca trzeciego metasektora, ale choć słusznie przewidział rozwój wypadków, nie takiego wyjaśnienia się spodziewał.

– Admirale, powinien pan to zobaczyć – zameldował wachtowy, przesyłając na jego wyświetlacz następny przekaz.

Leiber znał tę twarz. Potrzebował tylko kilku sekund, by dopasować do niej nazwisko. Kapitan Bukowski, nieżyjący już niestety legendarny bohater, jedyny dowódca ark Lockharta, który dotarł żywy do celu gwiazdnej podróży.

– Co on ma wspólnego z obecną sytuacją? – prychnął, irytując się, że ktoś śmie odciągać jego uwagę.

– Obawiam się, że dużo, admirale – wtrącił spoglądający gdzieś poza własny wyświetlacz Pournelle.

Admirał aktywował neurolink. Głos Bukowskiego docierał do niego teraz tak czysto, jakby stali twarzą w twarz.

– ...ykle groźną formę zniewolenia, jaką mają być tak zwane centra reedukacyjne. W tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak czynnie przeciwstawić się zbrodniczym działaniom oligarchów i wysługujących się im polityków...

Twarz Bukowskiego zniknęła, ustępując miejsca innemu przekazowi. Patrzył obecnie na widzianą z wysokiej orbity planetę. Gęsto zaludnioną, sądząc po ilości światła widocznych na jej nocnej stronie. Wszczep zidentyfikował ją niemal natychmiast. Delta Centuriona.

Czy nie tam mieści się siedziba główna Instytu...

Leiber się wzdrygnął, musiał też zmrużyć oczy, ponieważ oslepił go błysk eksplozji, do której doszło po dziennej stronie, na skraju strefy zmierzchu. Wokół zapadła nagle kompletna cisza. Wszyscy patrzyli w niemym przerażeniu na falę uderzeniową pochłaniającą coraz dalsze partie głównego kontynentu, unicestwiająca wszystko, co stało na jej drodze.

– A niech mnie... – wymamrotał, dostrzegłszy nad cieniutką, połyskującą fioletem warstwą atmosfery ciemniejsze wybrzuszenie, które rozrastało się powoli, formując kopułę dymu i ognia. Tryskały z niej w przestrzeń całe chmary płonących szczątków.

– System melduje, że obserwujemy skutki uderzenia asteroidy – zameldował zduszonym głosem komandor Pournelle.

– Asteroidy? – powtórzył oszołomiony Leiber.

Zamieszkałe globy były chronione przez rozbudowane systemy wczesnego ostrzegania, dysponowały także doskonałą obroną orbitalną, która nie przepuściłaby kamyka wielkości człowieka, a co dopiero olbrzymia mogącego zmieść wszelkie przejawy życia.

– To atak, za który kapitan Bukowski wziął przed momentem odpowiedzialność – kontynuował tymczasem komandor, który wysłuchał nieco dłuższego fragmentu wypowiedzi słynnego kapitana.

– Atak?

Jakim cudem martwy od pewnego czasu kapitan może odpowiadać za zniszczenie Delt, do którego doszło przed dwiema minutami? To musi być jakaś mistyfikacja. Bezgranicznie durna i bezsensowna jak większość politycznych intryg z ostatnich lat.

Admirał postanowił przyjrzeć się uważniej rzekomemu wystąpieniu Bukowskiego. Wystarczyła chwila, by zrozumiał w czym rzecz, lecz nadal

był w kropce.

Wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu, mimo to Leiber nadal nie umiał się dopatrzeć sensu tego wszystkiego. Skala podjętych działań wskazywała dobitnie, że za atakami stoi któraś z największych korporacji, ponieważ tylko ludzie dysponujący absurdalnie wielkim kapitałem i doświadczeniami do najwyższych szczebli władzy mogli zaplanować i przeprowadzić operację o takim stopniu skomplikowania. Teorii tej przeczyła jednak treść wystąpienia Bukowskiego, który stwierdził wprost, że likwidacja Diakowa i jego programu jest dziełem rzekomego ruchu oporu czy innej tajnej organizacji, o której istnieniu nikt wcześniej nie słyszał. Z kolei atak na Deltę Centuriona zadawał kłam słowom kapitana. Ludzie dążący do wywołania rewolucji muszą pociągnąć za sobą masy, a nikt przy zdrowych zmysłach nie poparłby zwyrodnialców winnych zniszczenia jednej z najludniejszych kolonii w Systemach Centralnych.

To nie trzyma się kupy! A zagadkowe milczenie polityków, bez wątpienia zaangażowanych w tę operację?

Admirał sapnął głośno, gdy zerknął na timer. Szósta czterdzieści siedem czasu standardowego. Miał wrażenie, że ten koszmar trwa całą wieczność, lecz od chwili, gdy przekroczył próg centrum dowodzenia, minęło dopiero siedem minut, a od ogłoszenia alarmu nie więcej niż dziesięć.

Kolejny brzęczący sygnał: na linii pojawił się znów Wyndham. Palec Leibera zawisł nad wirtualnym klawiszem. Admirał nie miał najmniejszej ochoty na wysłuchiwanie tyrad, zresztą po zniszczeniu Instytutu akcje NeuroTeku spadły u niego do zera. Ta korporacja była skończona. Nawet jeśli podniesie się po kryzysie, nie będzie znaczącym graczem, a już na pewno nie zdoła wpłynąć na jego dalszą karierę.

– Poruczniku Bisson – zamiast odebrać, skontaktował się z dowódcą eskorty. – Zapakujcie naszego gościa na pokład jego jachtu i każcie mu spieprzać z Kalidona.

– Obawiam się, że nie pójdzie po dobroci.

Leiber spodziewał się podobnej odpowiedzi.

– To go zmuscie. Daję wam wolną rękę, ale ma zniknąć z tego systemu. Bez odbioru. – *Chociaż jeden problem z głowy*, pomyślał, koncentrując się ponownie na spływających nieustannie komunikatach i raportach. – Połączcie mnie z gubernatorem albo sekretarzem Rady – rozkazał moment później wachtowym ze stanowiska łączności.

Wszystko inne musiało poczekać. Przyjdzie jeszcze czas na rozpamiętywanie ofiar z Deltę Centuriona i załóg *Neurona* i *Protektora*. Nie mógł dla nich nic zrobić, prócz biernego przyglądania się, jak giną, a zagrożenie dla bazy pozostawało realne. Broń, której użyto do likwidacji centrów reedukacji, okazała się trudniejsza do zniszczenia, niż pierwotnie przypuszczał. W chwili obecnej ostrzał prowadziło już siedem jednostek, w tym flagowy krążownik trzeciej floty, ale kolapsar działał w najlepsze. Wir grawitacyjny powiększał się z sekundy na sekundę, pochłaniając kolejne salwy na równi z helonem i plastalą wraków.

- Gubernator Heinlein jest nieosiągalny - zameldował niemal natychmiast wachtowy.

- To znaczy?

- Przebywa aktualnie w nadprzestrzeni.

- A co z Ericksonem?

- On... także wykonał skok. Około dwu godzin temu. - Podoficer odczytał treść komunikatu przesłanego z Edenu.

Chociaż jedna tajemnica znalazła wyjaśnienie, pomyślał Leiber z ulgą. Zaczynał się już obawiać, że spiskowcy, kimkolwiek byli, napadli na wszystkie istotne cele naraz. *Chociaż...* Kolejna myśl go zmroziła. Przebywający w nadprzestrzeni dygnitarze mogli przecież zostać wyeliminowani po wykonaniu skoku. O tym, że nie żyją, reszta świata dowie się dopiero wtedy, gdy ich statki dotrą do celu, czyli za dwie, trzy godziny.

- Hm - mruknął i przeszedł do rozważenia innych dostępnych opcji. - Przekażcie do centrali wubecji, że sztab trzeciego metasektora rekomenduje zamknięcie i zabezpieczenie stref skoku w systemach, do których zmierzają Heinlein i Erickson - rozkazał.

Krok ten - w świetle ostatnich wydarzeń - nie wydawał się bynajmniej przesadą. Spiskowcy udowodnili, że dysponują pełną wiedzą na temat programu Diakowa, co oznaczało, że musieli także być świadomi roli, jaką odgrywali dwaj politycy. Leiber uznał, że lepiej będzie zadbać, aby ci ostatni nie podzielili losu *Protektora* i *Neurona*. Jeśli zdoła ocalić im skórę, na pewno mu się odwdzięczą.

- Gdzie są te skurwyklony od tych... jak im tam... kolapsarów! - wrzasnął, aktywując raz jeszcze połączenie z pionem łączności. - Tylko mi nie mówcie, że też są nieosiągalni!

- Wszyscy członkowie zarządu korporacji MineReal przebywają obecnie na terenie portu orbitalnego Bety Itmosa 21. Przekazałem pilne

wezwanie do tamtejszej centrali wydziału, ale to naprawdę gigantyczna instalacja, a sprawę utrudnia fakt, że już wczoraj została kompletnie odcięta od Sieci – zameldował wachtowy.

No tak, czarni, jak to oni, po prostu zablokowali wszystkie kanały łączności, żeby zapobiec dalszym przeciekom. To komplikowało sprawę. W obecnej sytuacji nie zaprzestaną zagłuszania, a wyciągnięcie któregoś z decydentów poza granice strefy zamkniętej może potrwać godzinę albo dłużej. Leiber nie miał tyle czasu, wiedział to bez ciągłego zerkania na timer. Musiał jednak coś zrobić, by nie zarzucono mu bierności.

– Znajdźcie mi w takim razie kogoś niżej postawionego, głównego inżyniera, projektanta albo choćby zwykłego robota, który pracował przy tym całym kolapsarze i wie, jak się z nim obchodzić!

– Tak jest.

Admirał przesunął palcem pod kołnierzykiem munduru, jakby ten zaczął go nagle uciskać. Brakowało mu tchu, pocił się nadmiernie. *Pora się wspomóc*, doszedł do wniosku i aktywował wszczep neuralny. Choć załoga centrum dowodzenia kończyła wszystkie manewry i ćwiczenia z wyróżnieniem, zauważył, że w obliczu prawdziwego kryzysu jej postawa pozostawia wiele do życzenia. On sam też zaczynał się gubić. Zbyt dużo działał się naraz, w dodatku żaden z problemów, przed którymi dzisiaj stanęli, nie miał odpowiednika w programie szkoleń. Bez ostrzeżenia trafili w sam środek piekła, a na domiar złego nie mogli liczyć na wsparcie.

Po trzech głębszych wdechach poczuł się lepiej, spokój rozlewał się po jego ciele chłodną falą. Jeszcze dwa oddechy i zupełnie zdławił strach. Teraz miał znacznie jaśniejszy ogląd sytuacji. Bez formuły, bez backupu z Instytutu, jednostki NeuroTeku były niczym więcej niż kupą złomu. Nikt nie będzie miał mu za złe, że dopuścił do ich zniszczenia, nawet jeśli audyt wykaże, że nie zrobił wszystkiego co w jego mocy, by je ocalić.

– Komandorze, ile statków szpitalnych zdołamy odholować? – zapytał, prostując plecy.

– Minimum dwadzieścia, jeśli nie natrafimy na żadne nieprzewidziane przeszkody – odparł oficer dyżurny.

Dwadzieścia? To tylko kilka procent całej formacji! Admirał pokręcił głową z niedowierzaniem. *Ten, kto zaplanował i przeprowadził tę operację, jest pieprzonym geniuszem albo... Albo miał i być może nadal ma pełen wgląd w to, co dzieje się na Kalidonie!*

Ta druga myśl bardzo mu się nie spodobała.

– Wykonać pełne skanowanie przestrzeni wokół bazy, ze szczególnym uwzględnieniem sektorów otaczających zaatakowaną formację! – rzucił. – Szukać każdego odstępstwa od normy. Zneutralizować i przejąć każdy cel, który da choćby śladowy odczyt!

– Tak jest.

– Admirale. – Wachtowy ze stanowiska łączności odezwał się znacznie pewniejszym głosem.

– Meldujcie.

– Na kanale trzecim mamy zastępcę kierownika działu prototypów MineReala. To niejaki Reginald...

– Łączyć! – Leibera nie interesowało, jak technik się nazywa.

– Tak jest.

Młody mężczyzna na hologramie wyglądał na bardziej zdziwionego niż przejętego widokiem rozmówcy. Admirał nie był zapewne pierwszym człowiekiem, który zamierzał go przemaglować, choć z pewnością przewyższał rangą każdego poprzednika. Mając to na uwadze, Leiber postanowił przejść od razu do rzeczy.

– Jak wyłączyć to wasze skurwykłośćstwo?

Technik westchnął ciężko.

– Czy wy tam, w służbach, nie umiecie komunikować się ze sobą nawet w tak ważnych kwestiach? – zapytał, krzywiąc się pogardliwie. – Trzy razy już wam to mówiłem.

Admirał zacisnął mocno szczęki. Niewykluczone, że poczerwieniał także na twarzy. Jako dowódca wysokiego szczebla nie spotykał się często z tak jawnym lekceważeniem. Podobnym protekcjonalnym tonem zwracali się do niego wyłącznie bezpośredni przełożeni, jeśli coś spieprzył, i politycy ze szczytów władzy, dla których wszyscy prócz oligarchów byli zerami. Nie zamierzał puścić płazem tej impertynencji.

– Odpowiadaj albo... – warknął, zawieszając głos.

Technik spokorniał w momencie.

– Wystarczy wprowadzić kody dezaktywacyjne, ale...

– Prześlij je do mnie natychmiast, razem ze szczegółową instrukcją! – Leiber nie dał mu skończyć.

– ...ale nie radzę ich używać, jeśli nie chcecie, żeby większość instalacji portu orbitalnego podzieliła los naszego centrum logistycznego.

– Możesz wyrażać się jaśniej? – Admirał cofnął dłoń znad klawiatury.

- Pozbawiony zasilania kolapsar uwolni w jednej chwili całą zgromadzoną materię, a ta...

- Chcesz powiedzieć, że zadziała jak bomba?

- Coś w tym stylu - przyznał niechętnie młody mężczyzna. - Ściągnięte przez kolapsar szczątki polecą we wszystkich kierunkach. Przy kilku milionach ton masy i takim rozdrobnieniu skala zniszczeń będzie trudna do wyobrażenia. Symulacje pokazują, że stracimy ponad dziewięćdziesiąt procent instalacji orbitalnych. Poza tym Beta nie ma gęstej atmosfery, więc i na jej powie...

Leiber uciszył go uniesieniem dłoni.

- Co zatem sugerujesz?

- Sytuacja uległa zmianie? - Reginald pochylił się mocniej, jakby poczuł nagle większe zainteresowanie tematem. - Udało się nawiązać kontakt z jednostką sterującą?

Admirał nie był w ciemię bity. Zdawał sobie sprawę, że nie może w oficjalnej rozmowie z osobą spoza kręgu wtajemniczonych potwierdzić faktu aktywacji innego kolapsara w jego bazie. Musiał improwizować, choć w tym akurat nie był zbyt dobry.

- Opracowujemy procedury na wypadek wystąpienia kolejnych zagrożeń tego typu - podał pierwsze wytłumaczenie, jakie przyszło mu do głowy.

Gdy rozmówca spojrział na niego znacząco, Leiber zrozumiał, że kłamstwo było szyte zbyt grubymi nićmi. Ktoś jego rangi nie zniżyłby się przecież do opracowywania procedur. Od tego miał podwładnych. Nie mógł już jednak cofnąć wypowiedzianych słów.

- Mów! - ponaglił technika.

- Nie będzie kolejnych zagrożeń tego typu. - Reginald wzruszył ramionami. - Wyprodukowaliśmy tylko dwa egzemplarze kolapsara o tak dużej mocy. Oba znajdowały się w zniszczonym centrum logistycznym...

Co za ulga, pomyślał admirał, z radością przyjmując wiadomość, że przeciwnik, kimkolwiek był, nie dysponował większą liczbą takich urządzeń.

- Konkrety, proszę! - rzucił.

- W pierwszej fazie rozruchu, zanim kolapsar zdąży przechwycić znaczną masę materii, należy stosować procedury wygaszające - wyjaśnił Reginald. - Na późniejszych etapach, gdy masa przechwyconej materii jest już zbyt duża, pozostaje tylko ewakuacja wszystkiego, co ma jakąkol-

wiek wartość, poza strefę rażenia. Pod żadnym pozorem nie należy aktywować awaryjnego wyłączenia tokamaka.

Kolapsar dziesiątkujący statki NeuroTeku zdążył stworzyć z wraków wir o masie kilku milionów ton, składający się głównie z brył plastali. Gdyby w najbliższym czasie doszło do ich niekontrolowanego uwolnienia, cała baza zostałaby zmieciona z przestrzeni. Do czegoś podobnego doszło na Itmosie.

Jaki jest sens używania sprzętu, przed którym trzeba ewakuować wszystko co cenne w zasięgu wzroku? – zdumiał się Leiber po krótkiej chwili zastanowienia.

– Po jaką cholereę skonstruowaliście to skurwykłośćwo? Z opisu wynika, że jest kompletnie bezużyteczne.

– Z całym szacunkiem, panie admirale – odparł pośpiesznie technik – ale mówimy o nieukończonych prototypach. Finalna wersja kolapsara jest wyposażona w napęd. Zadaniem urządzenia będzie przechwytywanie i gromadzenie materii, na przykład z gęstych pól asteroid, i przenoszenie jej w bezpieczne miejsce, takie jak niskie orbity planet czy poblizze gwiazd, gdzie powoli uwalniana może być segregowana bez ryzyka zaśmiecenia przestrzeni całego systemu.

– Rozumiem. Ile mamy czasu na przeprowadzenie ewakuacji? – Zadając to pytanie, Leiber z trudem panował nad drżeniem głosu.

– Od aktywacji minęła dopiero doba...

– Ile?

– Z dokumentów spedycyjnych wynika – zastrzegł Reginald – że kolapsar przed wysyłką został wyposażony w komplet nowiutkich ogniów paliwowych. W zeszłym miesiącu zrobiono mu także wszystkie przeglądy.

– Ile? – powtórzył zniecierpliwiony Leiber.

– Spokojnie, panie admirale. Macie naprawdę dużo czasu. Ten reaktor może i powinien pracować na pełnej mocy przez dwa miesiące. Później, gdy poziom zasilania spadnie poniżej wartości krytycznej, rozpocznie się proces automatycznego wygaszania, który potrwa około stu godzin. W tym czasie przejęta masa będzie stopniowo uwalniana.

– To mi wystarczy. – Admirał sięgnął do klawiatury, by zakończyć rozmowę.

– Tylko nie próbujcie do niego strze...! – zawołał Reginald, aby zdążyć przed rozłączeniem.

- Szlag! - zaklął Leiber, po czym przeszedł na kanał ogólny. - Do wszystkich jednostek! Wstrzymać ogień! Powtarzam: natychmiast wstrzymać ostrzał anomalii grawitacyjnej i czekać na dalsze rozkazy!

Odchylił się na oparcie fotela, przymknął powieki i zaczerpnął głębiej tchu. *Niewiele, naprawdę niewiele brakowało, bym spotęgował straty do niewyobrażalnych rozmiarów...*

Wprowadził kilka zwięzłych poleceń do Systemu. Zadanie było proste, zatem odpowiedź nadeszła prawie bezzwłocznie. Przeniesienie bazy na przeciwległą stronę Alfę potrwa sto szesnaście godzin, wliczając w to wejście na znacznie wyższą orbitę, co pozwoli uniknąć zagrożeń ze strony tych szczątków, które zostaną uwięzione w polu grawitacyjnym planety i okrążą ją nawet kilkakrotnie, zanim wyparują w atmosferze albo utoną w morzach lawy.

Czasu miał więc naprawdę sporo, ale i tak nie zamierzał zwlekać z ewakuacją. Im prędzej jego ludzie i sprzęt znajdą się po drugiej stronie planety, tym lepiej.

* * *

Najbliższy kwadrans przyniósł znaczne uspokojenie sytuacji. Admiralicja otrzymywała raporty w czasie rzeczywistym, dzięki czemu Leiber nie musiał użerać się co rusz z przełożonymi. Oczywiście fakt, że zostawiono go samemu sobie, był wiele mówiący – centrala wolała się przyglądać jego zmaganiom z bezpiecznego dystansu, by w razie ewentualnego niepowodzenia móc umyć ręce. Na szczęście dla dowódcy trzeciego metasektora z każdą chwilą sprawy wyglądały lepiej. Po początkowym chaosie, zwiastującym armagedon, wysechł strumień meldunków o kolejnych atakach, co prawdopodobnie oznaczało, że – jeśli nie liczyć bezkrwawej eliminacji jednostek NeuroTeku na Kalidonie – Delta Centuriona była jedynym celem zamachowców.

To, co wydarzyło się nieco wcześniej na Itmosie, miało zdaniem Leibera odwrócić uwagę służb i przy okazji zatrzeć ślady kradzieży – do takiego samego wniosku doszli chwilę później podlegający mu oficerowie kontrwywiadu, którzy pracowali trzy poziomy niżej. Zdołali oni także ustalić, w jaki sposób kolapsar trafił na miejsce zamachu. Otóż przemycono go na pokładzie wahadłowca dostarczonego w ostatnim rzucie sprzętu. Zidentyfikowali nawet numer taktyczny feralnej maszyny.

Leiber musiał przyznać, że podwładni majora Tiptree wykonali kawał dobrej roboty. Kilkanaście minut po ogłoszeniu alarmu dysponował raportem, który szczegółowo wyjaśniał, jak dokonano sabotażu – począwszy od kradzieży sprzętu górniczego na Itmosie, a skończywszy na jego – zdalnym albo czasowym – uruchomieniu w obrębie kotwicowiska.

Czytając ten dokument po raz trzeci, admirał był pełen niechętnego szacunku dla sabotażystów, którzy faktycznie okazali się zawodowcami, i to jednymi z najlepszych w swoim fachu. Ta konkluzja prowadziła do następnej: takich asów się nie marnuje. Byli cenniejsi od trunitu, co oznaczało, że po zakończeniu służby otrzymywali bez wyjątku lukratywne posady w największych korporacjach. Tam też należało szukać sprawców zamachu – wbrew bzdurom, które wygadywał Bukowski.

Leiber zdążył obejrzyć całe wystąpienie legendarnego kapitana, dzięki czemu przestał się w końcu dziwić jego cudownemu zmartwychwstaniu. Uwierzyłby w opowiadaną przez niego historię, ponieważ była niezwykle składna, gdyby nie to, że od początku coś mu nie pasowało. Kataklizm na Delcie Centuriona będzie kosztował życie kilkuset milionów ludzi – to po pierwsze. Po drugie – atak nie był dziełem amatorów.

Admirał skłaniał się ku opinii wyrażonej przez Wyndhama. Za ostatnimi wydarzeniami musiał stać ktoś z Trójcy Przenajwiększej, jak nazywano właścicieli korporacji Arashi, OCP i Industrial.

Nobukaku Harada, Daryl Ende albo Avram Suri. Każdy z nich miał środki pozwalające na zaatakowanie NeuroTeku oraz motywację, by to zrobić. Centra reedukacyjne wywindowałyby akcje nowej korporacji na szczyty notowań. Już w pierwszym roku działania formuły Instytut zagroziłby pozycji trzeciego na liście najbogatszych oligarchów, a każdy kolejny sukces przybliżałby go do pierwszego miejsca. Taki nagły zwrot akcji z pewnością nie podobał się żadnemu z podejrzanych. Ale czy któryś był aż tak bezwzględny – albo szalony – by posunąć się do ludobójstwa na masową skalę?

Co do tego akurat Leiber nie miał wątpliwości. Tak wielkich majątków nie zdobywa się, grając fair. Każdy oligarcha należący do Trójcy udowodnił już dawno, i to nie raz, że jeśli nawet posiadał kiedyś sumienie, to zostało mu ono usunięte chirurgicznie razem ze skrupułami.

Admirał zerknął na timer. Za moment minie pół godziny od ogłoszenia alarmu.

Już czas, uznał, aplikując sobie kolejny medyczny koktajl, aby w pełni panować nad emocjami.

Ziemia długo milczała, ale zgłosiła się przed chwilą, zapowiadając połączenie z samym kanclerzem na godzinę 07:05 i przy okazji żądając przedstawienia szczegółowego raportu operacyjnego. Leiber uśmiechnął się pod nosem. Stross powinien docenić szybkość, z jaką działały służby podlegające dowódcy trzeciego metasektora, zarówno te odpowiadające za akcję ratunkową, jak i rozpracowujące zamachowców. Pytanie tylko, czy spodoba mu się wyjaśnienie sugerowane przez ludzi majora. Nauczony doświadczeniem admirał postanowił bowiem nie wspominać, że w pełni podziela opinię podwładnych.

Wyprostował się dumniej, gdy stanowisko dowodzenia zostało otoczone kopułą pola siłowego.

– Kanclerz na kanale piątym – zameldował w tym samym momencie Pournelle.

Leiber zsalutował sprężysto.

Przywódca Rady trzymał się nieźle jak na stulatka. Sprzyjały temu lekka nadwaga i zdrowa opalenizna, prawdziwa, nie ta zdobywana podczas obowiązkowych sesji w solariach.

– Admirale.

– Pozwoli pan, panie kanclerzu, że wyrażę najszczerze kondolencje z powodu pańskiej straty. – Dowódca trzeciego metasektora pochylił głowę z należnym tej chwili szacunkiem.

Tiptree powiadomił go kilka minut temu, że na Delcie, która była jedną z najstarszych i najbliższych Ziemi kolonii, mieszkało kilkoro dalszych krewnych Strossa.

– Dziękuję, admirale. – Twarz kanclerza pozostała kamienną maską. Lata praktyki nauczyły go, że gdy piastuje się tak wysokie stanowisko, publiczne okazywanie uczuć może być odebrane jako słabość. – Wielu z nas straciło kogoś bliskiego w tym szaleńczym ataku terrorystycznym – dodał.

– Zapewniam, że nie ustaniemy w wysiłkach, dopóki wszyscy winni nie zostaną pojmani i nie odpowiedzą za ten haniebnny czyn.

– Na nic innego nie liczę, admirale.

Mogli sobie pozwolić na ten moment kurtuazji, ponieważ byli pewni, że najgorsze mają już za sobą. Sytuacja w bazie została opanowana. Od ponad kwadransa nie wydarzyło się też nic, co świadczyłoby o kontynu-

owaniu ataku. Nie wątpił, że miliardy ludzi z zapartym tchem śledzą obrazy ukazujące ostatnie chwile ginącej Deltę Centuriona, perły w koronie Federacji. Nie było kanału, na którym zapętlonego materiału nie odtwarzano by raz po raz, aby każdy obywatel – od sytych mieszkańców Systemów Centralnych po domagających się równych praw kolonistów z najdalszych pasów Rubieży – mógł na własne oczy zobaczyć ogrom zniszczeń poczynionych przez tak zwany ruch oporu, którego twarzą został cudem zmartwychwstały Bukowski.

Każdy system wchodzący w skład Federacji funkcjonował według podwójnego czasu: urzędowego, ziemskiego, wspólnego dla wszystkich oraz własnego, lokalnego, wytyczanego rytmem dobowym kolonizowanych planet. To oznaczało, że pewna, niemała zapewne część społeczeństwa dowie się o zamachach dopiero za kilka godzin, gdy nastanie mniej lub bardziej umowny świt. Do tego momentu wprawiana właśnie w ruch machina propagandy osiągnie maksymalną wydajność, choć już teraz dało się zauważyć pierwsze działania spin doktorów Rady.

– Jak wygląda aktualna sytuacja na Kalidonie? – zapytał kanclerz, przechodząc do właściwego tematu rozmowy.

– Od wysłania ostatniego raportu udało nam się namierzyć w przestrzeni otaczającej bazę dwie niezarejestrowane sondy, których zadaniem było koordynowanie albo monitorowanie przebiegu ataku – oświadczył z dumą Leiber. – Pierwszą zniszczono natychmiast, druga powinna zostać przejęta przez jeden z naszych ścigaczy w ciągu najbliższego kwadransa.

– Chcecie ją przechwycić? – Stross wydawał się wątpić w zdolności floty.

– Tak, panie kanclerzu.

– Nieuszkodzoną?

– Tego bym nie powiedział – przyznał admirał. – Ale na tyle sprawną, by dała nam odpowiedzi na kilka nurtujących nas pytań.

– To w ogóle możliwe?

– Oczywiście – zapewnił go Leiber. – Użyjemy kierunkowej wiązki elektromagnetycznej. Odpalimy ją z maksymalnego dystansu, zanim systemy sondy wykryją zagrożenie i rozpoczną procedurę samozniszczenia.

– Taki impuls usmaży System – zauważył kanclerz, ewidentnie po wysłuchaniu czyjejs podpowiedzi.

Ktoś przysłuchiwał się tej rozmowie, ktoś zdolny do wydania opinii w takiej sprawie, ktoś dbający, by przywódca Federacji nie popełnił błędu

w ocenie.

Lepiej zważać na słowa, pomyślał Leiber.

– Niezupełnie. Nie chcę tu wchodzić w szczegóły techniczne, ale nasi specjaliści są przekonani, że zdołają skalibrować moc wiązki tak, by zarządzająca Systemem sondy sztuczna inteligencja została uszkodzona tylko w pewnym stopniu, co uniemożliwi jej poprawne funkcjonowanie. To pozwoli nam przejąć zawartość części banków danych.

– Ciekawe... rozwiązanie – zgodził się kanclerz, zerknąwszy gdzieś poza zasięg kamer. – Proszę kontynuować, admirale.

– Ewakuacja bazy rozpocznie się w ciągu godziny. MineReal zapewnił nas wprawdzie, że reaktor kolapsara może pracować nieprzerwanie nawet przez dwa miesiące, ale postanowiłem nie ryzykować. Będziemy potrzebowali doby, by przenieść kluczowe instalacje bazy na znacznie wyższą orbitę. Stamtąd ruszymy na przeciwną stronę Alfę, co zajmie kolejne dziewięćdziesiąt dwie godziny. Tam też pozostaniemy aż do wygaśnięcia zagrożenia.

– To rozsądny plan – pochwalił go Stross. – A co z akcją ratunkową?

– Do chwili obecnej ocaliliśmy osiemnaście jednostek NeuroTeku, ale mamy spore szanse zabezpieczyć trzy kolejne.

Leiber przerzucił na główne okno wyświetlacza obraz rejestrowany w czasie rzeczywistym przez sensory niszcyciela znajdującego się najbliższej wiru.

Załogi holowników robiły, co mogły, by wyrwać kolejne statki z coraz to mocniej zaciskających się kleszczy pola grawitacyjnego. Osiągnęło ono już tak wielką moc, że trzeba było trzech jednostek idących na pełnym ciągu, by akcja ratunkowa miała szanse zakończyć się sukcesem w przypadku danego centrum reedukacyjnego. Niestety powodzenie operacji nie było gwarantowane, o czym admirał i jego rozmówca przekonali się moment później. Na ich oczach grubszy od ramienia mężczyzny hol z kevlitu zerwał się, jakby był zwykłym sznurkiem. Uwolniony holownik pomknął w przestrzeń, lecz nie to było najgorsze. Moc dwu pozostałych jednostek okazała się zbyt mała, by podołać zadaniu. Obie zaczęło ściągać w kierunku wiru razem z rzekomym statkiem szpitalnym.

Dlaczego wszystko musi się pieprzyć akurat wtedy, gdy jest to najmniej pożądane? – pomyślał z wyrzutem Leiber, próbując zachować kamienną twarz.

– Proszę wydać rozkaz przerwania akcji – polecił Stross. – Ryzykowanie życiem pańskich ludzi dla ocalenia tego złomu nie ma najmniejszego

sensu.

– Tak jest! – Admirał chwycił rzucone mu koło ratunkowe.

W tonie rozmówcy wyczuł jawną pogardę, co oznaczało, że formuła i NeuroTek zostały już spisane na straty.

Wystarczyło wprowadzenie krótkiej komendy, by Pournelle przekazał rozkaz dalej. Reszta łączy puściła sekundę później, uwalniając wszystkie holowniki. Pozbawione wsparcia centra reedukacyjne zaczęły się natychmiast cofać, z każdą chwilą nabierając prędkości, i w okamgnieniu dotarły na skraj wirującej kuli szczątków bliźniaczych jednostek. Ich zagłada była tak błyskawiczna, że obaj obserwatorzy odnieśli wrażenie, iż po prostu zniknęły.

– Wróćmy do istotniejszych kwestii – zaproponował kanclerz, kiedy holopłączenie z niszczycielem zostało zamknięte. – Jeśli chodzi o tezy zawarte w raporcie waszych analityków... Czy zgadza się pan z nimi?

– To wprawdzie tylko hipotezy robocze – zastrzegł Leiber – ale tak, uważam, że major Tiptree właściwie zinterpretował dostępne mu fakty.

Przygotowując się do rozmowy, długo myślał, jak sformułować to właśnie zdanie. Zamierzał poprzeć podwładnych, ale nie bezwarunkowo. Wzmianka o materiale dowodowym zostawiała mu furtkę, na wypadek gdyby rozmówca raczył mieć inne zdanie.

– Uważa pan zatem, że Bukowski blefuje? – zapytał Stross. – Dokonane przez naszych najlepszych specjalistów analizy, do których także mieliście dostęp, niezbicie dowodzą, że kapitan wierzył, iż mówi prawdę.

– Jedno drugiemu nie musi przeczyć – rzucił Leiber, po czym uśmiechnął się w duchu, gdyż dostrzegł na twarzy polityka z trudem maskowane zaskoczenie.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Bukowski może być święcie przekonany, że nie kłamie, lecz jego słowa wcale nie muszą odzwierciedlać prawdy – wyjaśnił dowódca trzeciego metasektora. – Kapitan nie przewodzi spiskowi, jest tylko jego twarzą, kimś z zewnątrz, kto został dokooptowany na ostatnim etapie i komu wyjawiono tyle, ile powinien wiedzieć.

– Skąd takie wnioski? – zainteresował się kanclerz.

– Tworzenie siatki agentów, którzy rozpracowali NeuroTek, musiało trwać latami. Infiltracja takiej dużej korporacji to nie przelewki, a z tego, co wiemy, spiskowcy uzyskali pełen dostęp do najściślej strzeżonych tajemnic Instytutu. Świadczy o tym choćby fakt, że przyznając się do

zamachów, podali informacje, o których nawet ja nie miałem wcześniej pojęcia. – Urwał na moment, by sprawdzić reakcję rozmówcy.

Stross nadal słuchał go ze szczerym zainteresowaniem.

– Kolejna sprawa – podjął admirał. – Bukowski nie mógł być inicjatorem tych działań, gdyż pojawił się na scenie stosunkowo niedawno. Jego przystąpienie do spisku zbiegło się z wyjściem na jaw tego, co uczynił mu Diakow, a to dodatkowo skraca ramy czasowe. Major Tiptree przeanalizował wszystkie dostępne dane na temat kapitana, dzięki czemu ustalił, że zmiany we wzorcu jego zachowań zaczęły występować dosłownie kilka tygodni przed rzekomym samobójstwem.

– Większość mogła być pochodną eksperymentów Diakowa – wtrącił Stross.

– Wzięliśmy to pod uwagę – zapewnił admirał.

– Proszę mówić dalej.

– Podsumowując: jest niemal pewne, że Bukowski został dokooptowany do spisku w jednym tylko celu. Aby zostać jego twarzą. Należy do najbardziej rozpoznawalnych ludzi w Federacji. Do zniknięcia cieszył się niekwestionowanym autorytetem. – Leiber odczekał, aż kanclerz skinie potakująco głową, po czym kontynuował: – Spiskowcy nie mogli marzyć o skaptowaniu kogoś lepszego. Z ich punktu widzenia był idealnym kandydatem. W dodatku łatwym do pozyskania. Wystarczyło ujawnić mu całą prawdę o programie reedukacji, w połączeniu z informacją, że Diakow rozwijał tę technologię, wykorzystując go jako królika doświadczalnego. Bukowski dobrowolnie upozorował swoją śmierć i dołączył do spisku w przekonaniu, że staje po stronie dobra. Faktyczni zamachowcy, których tożsamości zapewne nigdy nie poznał i nie pozna, posłużyli się nim, by zmylić tropy. – Umilkł na sekundę, by pewnym głosem dokończyć wywód: – Nagrywając wystąpienie, kapitan mógł święcie wierzyć, że atak na Deltę będzie polegał na chirurgicznym uderzeniu w Instytut...

– Czy to coś zmienia? – zapytał kanclerz.

– Teraz, gdy wszyscy już wiedzą, czym skończył się atak... odrażającą zbrodnią, której skala nie mieści się w głowie... przynajmniej część szeregowych spiskowców powinna się załamać, zdezerterować i zacząć sypać.

– Sądzi pan, że oddadzą się w nasze ręce?

– Tak.

– Ich mocodawcy nie zadbają o to, by zostali na zawsze uciszeni?

- A po co? Zeznania dezterterów skierują nas przecież na ślepe tory. Zajmiemy się wyłapywaniem ludzi, którzy w dobrej wierze przystąpili do ruchu oporu i w żaden sposób nie są powiązani z prawdziwymi spiskowcami.

- Wszystko pięknie i ładnie, ale może mi pan wyjaśni, admirale, dlaczego prawdziwi spiskowcy doprowadzili do eksterminacji całej populacji Deltę?

Leiber był przygotowany i na to pytanie.

- Ci z pierwszego szeregu byli ideowcami głęboko wierzącymi w sprawę. Popchnięto ich jednak do niesłychanej zbrodni, która zniweczyła wszystkie ich wcześniejsze dokonania. Z pozoru brak w tym logiki, lecz gdy zastanowić się głębiej, pojawia się sens. - Przerwał dla wzmocnienia efektu następnych słów. - Przyzna pan, panie kanclerzu, że rewolucja na Terytoriach uderzyłaby w interesy oligarchów znacznie mocniej niż w Federację. Dlatego zaplanowano ją tak, by dobiegła dramatycznego końca, zanim na dobre się zacznie.

Stross nie odpowiedział. Zastanawiał się - bądź wysłuchiwał opinii osób postronnych - przez kilka sekund. W końcu kiwnął głową, lecz zanim zdążył ponownie otworzyć usta, połączenie zostało przerwane. Zaskoczony Leiber drgnął, gdy hologram rozmówcy zniknął, a otaczająca go kopia zaczęła blednąć.

- Co jest...? - mruknął, rozglądając się nerwowo.

Większość wirtualnych okienek pulsowała krwistą czerwienią. Przez boczne monitory przepływały strumienie komunikatów, które nakładały się na siebie w tak oszałamiającym tempie, że wzrok admirała nie nadążał z rejestrowaniem ich treści. Nagle pole ochronne przestało go odcinać od centrum dowodzenia, ciszę zastąpił głośny harmider i ogłuszające wycie syren alarmowych.

Wystarczyło zerknąć na panoramicon, by zrozumieć przyczynę alarmu. Kula szczątków otaczających kolapsar się rozpadała. Klnąc pod nosem, Leiber skupił się na wykresie obrazującym moc anomalii grawitacyjnej. Nie zobaczył wybrzuszenia, które jeszcze przed chwilą wykraczało daleko poza skalę. Nie wypłaszczyło się ono z wolna, jak można by oczekiwać, lecz po prostu zniknęło. Na jego miejscu nie było nic, zupełnie nic!

Spełnił się najczarniejszy ze scenariuszy. Tokamak kolapsara został zdalnie wyłączony. W ułamku sekundy uwolniono i wyrzucono w próżnię kilkanaście milionów ton materii, która poruszała się teraz z ogromną

prędkością. Szykując się do obrony, sztuczna inteligencja wygasła w trybie awaryjnym wszystko, co pochłaniało moc, a łącze ansibla było niewiarygodnie energożerne. Admirał wiedział, że nie musi wysyłać kanclerzowi przeprosin ani wyjaśnień. Ziemia dowie się, w czym rzecz, za jakieś dwie i pół minuty, gdy stacja monitorująca Kalidona 11 zarejestruje i prześle dalej obrazy zmagañ na orbicie Alfya.

– Szesnaście sekund do wejścia najbliższej jednostki floty w strefę rażenia – oznajmił SIGil tonem tak obojętnym, jakby podawał czas dzielący ich od startu wahadłowca.

Leiber przeknął głośno ślinę. Nie musiał zważać na pozory, w tym momencie wszyscy wachtowi mieli zbyt wiele do zrobienia, by patrzeć w jego stronę. On też przystąpił natychmiast do działania, postawiony błyskawicznie do pionu przez zaordynowany koktajl środków pobudzających. Raz jeszcze obrzucił wzrokiem czerwone ekrany, krzywiąc się przy tym, jakby poczuł fizyczny ból.

Zaczynał żałować dwu decyzji. Pierwszą było zgrupowanie jednostek NeuroTeku wewnątrz kręgu, w jakim rozmieszczono wszystkie instalacje orbitalne bazy.

Gdybym pozostawił je na którymś z zewnętrznych kotwicowisk... – zaczął rozpamiętywać. – Czemu poszedłem za podszeptem durnych polityków, którzy ze wszystkiego muszą robić przedstawienie?

Drugą decyzją, z której powodu pluł sobie w brodę, było niewydanie rozkazu wycofania jednostek prowadzących ostrzał kolapsara. Gdyby to zrobił zaraz po rozmowie z Reginaldem, krążownik i pięć z sześciu niszczycieli wyszłyby właśnie ze strefy największego rażenia.

W tym chaosie zapomniałem o nich na śmierć...

Sklął się po tej ostatniej myśli. Okręty, którym wydał rozkaz neutralizacji kolapsara, znajdowały się zbyt blisko punktu zero, by mogły ocaleć. W dodatku żaden nie dysponował rezerwą mocy pozwalającą na wykonanie błyskawicznego skoku, choćby podprzestrzennego.

Gdybym przerwał ten bezsensowny ostrzał kilka minut wcześniej... – wyrzucił sobie admirał, kręcąc głową. Ale skąd miałem wiedzieć o bezcelowości podjętych działań? Wstrzymanie ognia poleciłem natychmiast po zakończeniu rozmowy z technikiem NeuroTeku.

Westchnął ciężko. Świadomość, że skazał tych wszystkich ludzi na śmierć, przytłaczała go niemiłosiernie. Nie poddał się tylko dzięki neuroszczepowi, który pompował mu w żyły kolejne dawki psychotropów.

- Do załóg wszystkich jednostek - odezwał się, przełknawszy gęstsza niż zazwyczaj ślinę. - Wykonać zwrot, ustawić okręty dziobami do wektora fali uderzeniowej i przekierować całą dostępną moc na przednie deflektory.

Przez moment obserwował trzy niszczyciele, które znajdowały się najbliżej kolapsara, potem skupił wzrok na flagowcu. Własnej krypte. Chlubie trzeciej floty. Dysze kierunkowe *Niezlomnego* wypływały krótkie strumienie gazu. Manewr został wykonany płynnie jak na paradzie, choć sytuacja była kryzysowa.

- Sześć sekund do wejścia w strefę rażenia - odliczał tymczasem Sigil. - Cztery... Trzy...

Leiber zacisnął dłonie na podłokietnikach fotela. Był tak napakowany adrenaliną, że jak mu się zdawało, siłą woli mógł wpływać i wpływał na prędkość upływu czasu. Nawet głos sztucznej inteligencji brzmiał teraz inaczej, głębiej, dziwniej. Admirał wpatrywał się z uwagą w smukły kształt *Miecza 110*, niszczyciela, którego załoga miała największego pecha, ponieważ została wyznaczona do rejestrowania przebiegu akcji ratunkowej. Ten rozkaz wydał wprawdzie Pournelle, ale zrobił to na wyraźne polecenie przełożonego. To, że wybór okrętu zależał wyłącznie od komandora, nie łagodziło poczucia winy Leibera. Koniec końców to on odpowiadał za wszystko, także za porażki.

Syknął gniewnie, gdy pierwsze szczątki rozerwanych jednostek NeuroTeku wyparowały po zetknięciu z polem siłowym niszczyciela. Smukły okręt ustawiony dziobem do wektora, z którego nadlatywały fragmenty wraków, był naprawdę niewielkim celem, lecz w tym przypadku decydujące znaczenie miała odległość od kolapsara. Chmura szczątków była zbyt gęsta, aby załoga *Miecza 110* mogła mieć szanse na ocalenie.

Za pierwszym kawałkiem rozerwanego na strzępy kadłuba pojawił się następny i jeszcze jeden. Uderzały tak często i szybko, że nawet Systemowi trudno było je zliczyć. Zdecydowanej większości Leiber nie mógł nawet zobaczyć, dopóki nie wyparowały w krótkim rozbłysku po trafieniu w pole siłowe. Choć każda drobinka redukowała moc tarcz o zaledwie ułamek ułamka promila, to nadlatywały w takich ilościach, że żaden system obrony nie poradziłby sobie z ich naporem. Deflektory *Stodziesiątki* padły więc po niespełna sekundzie bombardowania. W miejscu, gdzie przed momentem leciał nowusieńki okręt wojenny, teraz rozlewała się kula szybko stygnącej plazmy.

Miecz 112 i *Miecz 116* podzieliły los nieszczęsnego poprzednika, zanim Leiber zdołał mrugnąć. Czwarty w kolejce był *Niezlomny*. Krążownik znajdował się jednak dużo dalej niż trzy unicestwione już niszczyciele, co miało w tym przypadku niebagatelne znaczenie, ponieważ gęstość chmury szczątków malała z każdym przebytym kilometrem. Flagowiec dysponował też znacznie większą mocą deflektorów.

Czy wystarczającą, to się zaraz okaże...

Admirał wstrzymał oddech, gdy SIgil odliczył po raz kolejny do zera. Przestrzeń wokół obłego dziobu krążownika rozjarzyła się od kolejnych trafień, ale czas mijał – boleśnie spowolniony działaniem pompowanej przez serce adrenaliny – a okręt trwał, dzielnie broniąc się przed nadlatującymi pociskami.

Jeszcze dwie, trzy sekundy, a może zdoła...

Ekran taktyczny zapłonął złowieszczą czerwienią.

– Co...? – Tyle tylko zdążył szepnąć Leiber, zanim duma jego floty została unicestwiona.

Odtworzył ten moment jeszcze raz, porzucając na kilka sekund obserwację głównego ekranu. Tarcze wytrzymały, powodem zagłady krążownika był złom nadlatujący z innych wektorów. Wystarczyły dwa trafienia w odsłoniętą rufę, by przeciążony reaktor eksplodował.

Jak to możliwe? To nie miało prawa się zdarzyć!

System bez problemu namierzył źródło tej anomalii. Szczątki eksplodujących niszczycieli poleciały we wszystkie strony, doprowadzając do mrowia kolizji wtórnych. Chmura nie miała już jednego wektora, teraz był to wrzący tygiel, w którym każde kolejne zderzenie potęgowało chaos.

– To może zadziałać na naszą korzyść – stwierdził Pournelle, wyrываяjąc admirała z zamyślenia.

– Co?

– Mówię o tych zawirowaniach – wyjaśnił komandor. – Chmura wytraci dzięki nim część impetu, zanim dotrze do nas.

Stacja sztabowa była następną przeszkodą na drodze szczątków. Trzy kolejne niszczyciele przegrały walkę, w czasie gdy admirał skupiał uwagę na ostatnich chwilach krążownika. Tylko ostatni z nich, *Miecz 134*, jakimś cudem nie eksplodował, ale dla jego załogi stanowiło to marne pocieszenie. Naznaczony licznymi śladami kadłub został dosłownie przepołowiony wskutek zderzenia ze szczątkami *Niezlomnego*. Nie było szans, aby ktoś przeżył tę katastrofę.

– Siedem sekund do wejścia w pole rażenia. – Leiber nadal nie wyczuwał w głosie Sigila napięcia.

Sztuczna inteligencja bała się unicestwienia nie mniej niż ludzie, na których podobieństwo została stworzona. Admirał wziął więc jej spokój za dobry znak. Uznał, że System wyliczył już, jakie są szanse na przetrwanie.

– ...jeden, kontakt!

Odliczanie dobiegło końca. Walcowaty kadłub stacji sztabowej miał ponad sto metrów średnicy i trzy razy tyle długości, nie licząc siłowni, czyli modułu mieszczącego reaktory. Sigil, uprzedzając rozkaz admirała, rozpoczął wykonywanie manewru mającego na celu ustawienie tego kolosa „dziobem” do głównego wektora chmury, ale ta operacja nie mogła się powieść w stu procentach. Kiedy doszło do kontaktu, kąt odchylenia wynosił wciąż ponad czternaście stopni. Niby niewiele, lecz pozycja ta wymuszała maksymalne wzmocnienie dziewięciu dodatkowych sektorów tarcz. W sytuacji, gdy liczy się każdy terawat mocy, mógł to być przysłowiowy gwóźdź do trumny.

Choć wokół rozpełtało się piekło, w centrum dowodzenia panowała grobowa cisza i bezruch. Wszystko, co było do zrobienia, zostało już zrobione. Przerażeni wachtowi mogli tylko czekać skuleni, wpatrując się w ekrany i trzymając kciuki, by deflektory, przejmujące na razie cały impet ataku, wytrzymały jeszcze te kilka długich jak wieczność sekund.

Leiber śledził wskaźniki w takim samym napięciu, by nie powiedzieć strachu. Gdyby mógł, popychałby palcami kreseczki układające się w ciąg cyfr wyświetlanych w okienku timera.

Dlaczego czas tak potwornie się wlecze? Pieprzona adrenalina...

Przeniósł wzrok na wykres wydajności tarcz. Ponad połowa sektorów świeciła już na pomarańczowo, tu i ówdzie wykwitły czerwone plamy, a prawie połowa chmury szczątków była jeszcze przed nimi.

Niedobrze, stwierdził w myślach i w tej samej chwili zaczęło mu brakować powietrza. Spojrzał zdziwiony na stojącego tuż obok komandora, ale ten wpatrywał się skupiony jak zawsze we własne wyświetlacze. Wachtowi na sąsiednich stanowiskach także nie zdradzali oznak niepokoju. *Co jest...?* Lekko spanikowany otworzył usta i... bez trudu napełnił płuca tlenem. Pokręcił głową, gdy zrozumiał, że nieświadomie wstrzymywał oddech. Zerknął znów na timer. Minęły cztery sekundy. Cztery! Szmata czasu z perspektywy organizmu napędzanego adrenaliną, lecz do końca tego dramatu było jeszcze daleko.

Centrum dowodzenia zatrzęsło się w tym samym momencie, gdy zawyły alarmy.

- Przebicie poszycia, pokład trzydziesty pierwszy!
- Brak kontaktu z sektorem siedemnastym!
- Rozhermetyzowanie przedziału siódmego i ósmego!
- Uszkodzenie...

Alarmujące meldunki napływały ze wszystkich stron. System mówił swoje, spanikowani wachtowi przekrzykiwali go, próbując zapanować nad sytuacją. Nie mieli jednak szans. Tysiące trafień następujących w tak krótkim czasie po sobie doprowadziły w końcu do wyczerpania mocy trzech potężnych reaktorów. Teraz pracowały już tylko tokamaki znajdujące się w samym środku walca stacji sztabowej – te, które zapewniały zasilanie systemów taktycznych i podtrzymywania życia.

Pozbawione zasilania deflektory padały jeden po drugim, lecz masakra konstrukcja jeszcze się nie poddała. Była zbyt masywna, żeby nadlatujące z przestrzeni kawałki złomu mogły ją rozerwać, jak zrobiły to wcześniej z holownikami i siedmioma okrętami wojennymi. Trzydziestodwucentymetrowe poszycie z litej plastali mogło wytrzymać wiele i wytrzymało, ale nie było niezniszczalne, czego dowody Leiber miał właśnie przed oczami. Prawie trzysta przebić korpusu, rozhermetyzowana połowa pokładów i więcej niż jedna trzecia przedziałów. A to przecież nie był koniec.

Cztery poziomy centrum dowodzenia zostały lepiej opancerzone, ponieważ były odpowiednikiem serca tej stacji. Od chłodu pustki kosmicznej odgradzały je trzy kolejne równie grube ściany i pokłady, między którymi rozmieszczono komory wypełnione specjalnym gęstym tworzywem – jego zadaniem było zminimalizowanie skutków eksplozji każdego rodzaju pocisku, a nawet salw z dział laserowych. Osłony te były tak potężne, że żadna z sekcji centrum dowodzenia nie została jeszcze uszkodzona, ale co z tego, skoro zamknięty pomiędzy nimi dowódca trzeciego metasektora mógł co najwyżej się przyglądać w bezsilnej złości, jak kolejne fale szczątków demolują najpotężniejszą instalację obronną na Terytoriach Wewnętrznych.

Dziewięć sekund, tyle jeszcze musieli wytrzymać, lecz konstrukcja drżała teraz tak, jakby potrząsał nią rozwścieczony oporem niewidzialny olbrzym. Tysiące pocisków wbijały się w odsłonięte poszycie, zamieniając je w rzeszoto. Te mniejsze złościły w plastali głębsze lub płytsze kratery. Te

większe przebijały się do wnętrza, niszcząc wszystko na swojej drodze, rozpruwając grodzie i pokłady, zabijając na miejscu bądź wyrzucając w przestrzeń przebywających tam ludzi.

Jeszcze tylko sześć sekund i nawała osłabnie na tyle, by nie stanowić śmiertelnego zagrożenia.

– Dehermetyzacja pierwszego podpoziomu centrum! – zameldował spanikowany komandor po potężnym wstrząsie.

Leiber rzucił się do wyświetlacza. Dalsze przebicia mnożyły się z chwilą na chwilę. Po trzech kolejnych sekundach oberwał drugi podpoziom. Za szybko. Stanowczo za szybko. Stanowisko dowodzenia znajdowało się na trzecim.

Obaj z Pournelle'em zadarli głowy. Gdzieś tam, zaledwie kilka metrów nad nimi, rozpętało się właśnie piekło. Wyraźnie słyszeli głucho łomoty, z jakimi fragmenty wraków uderzały o ostatnią barierę dzielącą ich od pewnej śmierci.

Jeszcze tylko dwie sekundy.

Wytrzymaj, skurwyklonia mać, wytrzymaj!... Dlaczego ten pieprzony czas tak się wlecze?!

– Krytyczne przebicie w sekcji dwudziestej trzeciej! – wrzasnął któryś z wachtowych.

Obejrzelisi się za siebie. Dwie grodzie od nich ktoś właśnie zginął.

– Siedemnasta dostała! Osiemnasta też! – Meldunki napływały ze wszystkich stron. – Dwudziesta piąta, trzy silne eksplozje! – Te ostatnie poczuli, pokład dosłownie uciekł im spod stóp. – Trzydziesta druga trafiona!

Gródź za plecami admirała wygięła się nagle, jakby była wykonana nie z pięciocentymetrowej płyty metalu, lecz najzwyklejszej blachy.

Blisko było, pomyślał Leiber, zerkając na timer, po czym przeniósł wzrok na sąsiednie okienko. Najgęstsza chmura szczątków minęła właśnie stację, ale zagrożenie jeszcze nie minęło. Jakby na potwierdzenie coś łupnęło w pokład powyżej, tuż nad ich głowami. Uderzenie było tak mocne, że na kulących się ludzi poleciały rozbite w drobny mak panele świetlne. Admirał przysiągłby, że dostrzegł niewielkie wybrzuszenie w pancерnej płycie dokładnie nad swoim fotelem.

Wszyscy przycupnęli, nasłuchując, wyczekując w napięciu kolejnego, być może fatalnego impetu, ale łomot słabł z każdą chwilą, z góry dobiegały co najwyżej stukoty.

Drobnica.

SIgil potwierdził tę obserwację.

Nie chwal dnia przed zachodem słońca, pomyślał Leiber, słysząc wiwatujących wokół ludzi. Nie gasił ich radości, choć sam zachował spokój. Po tym wszystkim, co właśnie przeżył, wolał nie zapeszać. Zresztą kryzys bynajmniej nie dobiegł jeszcze końca. Panoramicon nie działał, ale wyswietlacz na głównym stanowisku dowodzenia był wciąż sprawny, mimo że część okienek migotała albo była kompletnie czarna.

Admirał wprowadził pierwszą komendę. Sztuczna inteligencja nie znalazła działających sensorów po tej stronie, która go interesowała, wszystkie anteny też szlag trafił. Byli ślepi i głusi.

Chyba że...

Sprawdził aktualne położenie. Przecucie go nie myliło. Wprawiony w ruch gigant nie zamarł w zakładanej pozycji. System stracił kontrolę nad dyszami kierunkowymi, a co za tym idzie, nie mógł spowolnić i zatrzymać rotacji. To oznaczało, że najbardziej wysunięta była obecnie część najmniej narażona na kolizje. Tak! Cztery klastry sensorów odpowiedziały. Wybrał pierwszy z brzegu.

– SIgil, możemy wrzucić ten przekaz na panoramicon? – zapytał.

– Tak, admirale – odparła sztuczna inteligencja.

Wielki ekran ożył. Kilka jego sekcji było poważnie uszkodzonych, zwłaszcza te na obrzeżach, lecz po przeskalowaniu sygnału dało się uzyskać mniejszy, ale za to czytelny i niemal pełen obraz.

– Kurwirtualna jego mać – jęknął komandor.

Rozprzestrzeniająca się chmura szczątków dotarła już do pozostałych instalacji bazy. Uderzyła w nie wprawdzie w rozproszeniu, lecz ani magazyny orbitalne, ani tym bardziej doki remontowe nie były chronione tarczami. Dostępu do nich broniły baterie turbolaserów, zarówno stacjonarnych, jak i rozmieszczonych na pobliskich satelitach. Każda dysponowała zatem wystarczającą siłą ognia, by związać walką kilka wrogich okrętów albo zneutralizować dziesiątki nadlatujących rakiet, ponieważ takie zagrożenia przewidziano. Nikomu w admiralicji nie przyszło do głowy, że przyjdzie im się mierzyć z milionami ton złomu uwolnionego z pułapki grawitacyjnej.

Leiber osobiście wykpiłby każdego, kto by zasugerował, że powinien zabezpieczyć się przed podobnym atakiem. Dzisiaj nie było mu jednak do śmiechu. Przygryzając nerwowo dolną wargę, patrzył na zbliżenia kompo-

mentów bazy, a raczej smętnych szkieletów, jakie z nich zostały. Z gigantycznych orbitalnych magazynów pozostały tylko fragmenty rusztowań nośnych; większość ścian, grodzi, a także wszystko, co znajdowało się pomiędzy nimi, zostało albo zmiażdżone, albo rozbite w drzazgi i wypchnięte daleko w przestrzeń.

Admirał odnosił momentami wrażenie, że ma przed oczami zamrożone w czasie skutki eksplozji nuklearnej. Obserwował kiedyś na żywo taki wybuch. Dawno temu, podczas manewrów przeprowadzanych na planetarnym poligonie w jednym z niezamieszkałych systemów Rubieży. Wtedy także bezradnie się przyglądał, jak fala uderzeniowa zmiata każdą przeszkodę na swojej drodze. Jego baza wyglądała teraz identycznie. Same zgliszcza i gruzy.

– Raport sytuacyjny! – wycedził przez ściśnięte gardło, opadając ciężko na oparcie fotela.

– Utraciłem kontakt z siedemdziesięcioma sześcioma procentami infrastruktury – wyliczał pozbawionym emocji głosem Sigil. – Tarcze wewnętrzne reaktorów zostały zredukowane do trzech procent mocy. Straty w sile żywej są chwilowo niemożliwe do oszacowania...

– Ilu żywych członków załogi wykrywasz? – przerwał mu Leiber.

– W dostępnych pomieszczeniach rejestruję sygnatury wskazujące na obecność stu siedemdziesięciu trzech i pół załogantów.

Admirał zaklął pod nosem, gdy to usłyszał. Niespełna jedna szóstka stanu osobowego. I jeszcze ta połówka, jakiś nieszczęśnik musiał stracić obie nogi.

A jeśli podana liczba jest tylko sumą rozczłonkowanych ciał? Wzdrygnął się na tę myśl.

– Doprecyzuj, ile pełnych sygnatur wykryłeś! – Pournelle wypowiedział na głos polecenie, które dopiero się rodziło w głowie dowódcy trzeciego metasektora.

– Sto dwadzieścia siedem sygnatur mogę uznać za kompletne – odpowiedziała sztuczna inteligencja, potwierdzając najgorsze podejrzenia. – Pozostałe dziewięćdziesiąt dwie wykazują braki wynoszące od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu procent masy ciała.

– Co z systemami podtrzymywania życia w sekcjach, w których przebywają ranni? – Tym razem Leiber nie dał się wyprzedzić.

– Czterdziestu dwóch może liczyć na natychmiastowe otrzymanie pomocy medycznej. W pozostałych przypadkach jest to obecnie niemoż-

liwe.

– Wyślij na komunikatory ocalałych członków załogi koordynaty wszystkich rannych ze szczególnym uwzględnieniem tych czterdziestu dwóch, o których wspomniałeś – polecił admirał. – Rozkazuję, aby każdy, kto ma taką możliwość, ruszył im jak najszybciej na pomoc.

– Wykonałem, admirale – zameldował SIGil.

– Jak wygląda sytuacja w pozostałych komponentach bazy?

– Na podstawie analizy rejestrowanych obrazów szacują szkody strukturalne na poziomie 98,458 procent. Straty w sile żywej są obecnie niemożliwe do oszacowania, ale można założyć, że ich skala nie będzie mniejsza.

– Kto mógłby wyjść cało z takiego armagedonu? – wymamrotał Pournelle, spoglądając na przełożonego.

Leiber nie zamierzał odpowiadać na to retoryczne pytanie. Całą uwagę skupiał na napływających nieprzerwanie raportach. Pojawiające się na wyświetlaczach liczby przerażały go coraz bardziej.

Zamachowcy, kimkolwiek są, słono zapłacą za ten akt terroru...

Pokład zakolysał się raz, potem drugi. Gdyby nie pasy bezpieczeństwa, admirał wyrznąłby twarzą w obudowę konsoli. Przestrzeń wokół znów pulsowała czerwienią. Względna cisza błyskawicznie ustąpiła zawodzeniu syren, którym nie udało się zagłuszyć przeraźliwych zgrzytów towarzyszących kolejnym frenetycznym wstrząsom.

– Co się dzieje? – Admirał poczuł, że znika ciężenie.

– Zarejestrowano liczne... – chciał zameldować SIGil, lecz przerwał mu paniczny wrzask komandora.

– Stacja się rozpada! Ewakuacja! Ewakuacja!

Kolejne mocne szarpnięcie, tym razem w tył. Fotel stanowiska dowodzenia został rozłożony do pozycji leżącej. Ułamek sekundy później zamknęły się osłony zmieniające go w kapsułę ewakuacyjną. Pasy bezpieczeństwa zostały dociągnięte aż do bólu. Admirałem znowu miotnęło w trakcie opuszczania do korytarza ewakuacyjnego zlokalizowanego między pokładami. Żołądek podszedł dowódcy trzeciego metasektora do gardła, gdy kapsuła ratunkowa przyśpieszała na szynie elektromagnetycznej.

Leiber zacisnął mocno powieki, modląc się w duchu, by drogi w przestrzeń nie blokował żaden element rozpadającej się konstrukcji...

Część pierwsza

BUNTOWNICY

Rozdział 1

*Systemy Centralne,
powierzchnia Bety,
System Fukushima 4, Sektor Whisky,
10.05.2234, godz. 06:54*

Mayasmine Sterling przeciągnęła się w fotelu. Lubiła brać nocne zmiany, ponieważ tutaj, na Becie Fukushima 4, doba była pojęciem względnym. Po pierwsze, planeta potrzebowała aż czterdziestu trzech godzin i trzydziestu siedmiu minut na wykonanie pełnego obrotu wokół własnej osi. Po drugie, na jej powierzchni panował wieczny mrok, gdyż biały karzeł będący jedyną gwiazdą tego systemu, nie dość, że oddalony od niej o ponad trzydzieści minut świetlnych, w dodatku był przesłonięty gęstym pierścieniem szczątków unicestwionej przed eonami Alfą i wyłaniał się zza niego tylko sporadycznie. Niezdolny rozjaśnić odwiecznej czerni kosmosu jawił się kolejną, odrobinę tylko jaśniejszą i nieznacznie większą gwiazdą na firmamencie.

Noc nie różniła się tu więc niczym od dnia – poza pewnym drobnym szczegółem: kto pracował po umownym zmierzchu, ten otrzymywał minimalnie wyższą stawkę godzinową. Taki tam błąd w systemie, przeoczony przez inspekcję, przyklepany przez centralę. W sumie trzy dziesiąte kredyty na całą zmianę. Niby nic, ale w ciągu roku standardowego tworzyła się z tych ułamków całkiem przyjemna sumka, zwłaszcza gdy ktoś brał nadgodziny.

Sterling wolała nocne zmiany także z innego powodu. Nocami ruch zamierał, czasem nawet na kilka godzin, choć praca na Fukushima 4 trwała nieprzerwanie. Gdy jedne szperacze wracały do bazy, częściej z pustymi ładowniami niż z cenną zdobyczą, ich miejsce zajmowały natychmiast kolejne. Tutaj nikt nie bumelował. Jeśli z własnej woli przylatujesz na takie zadupie zadupia, robisz to w określonym celu – żeby zarobić jak najwięcej kredytów w jak najkrótszym czasie.

Mayasmine nie należała do kręgu Poszukiwaczy Rozpieprzonego Jądra, jak żartobliwie nazywano załogi szperaczy. Trafiła tutaj sześć lat wcześniej, ściągnięta przez ojca, po tym jak jej matka zginęła w katastrofie wahadłowca, którym każdego ranka leciała do pracy na orbicie Gammy Hyperiona 32. Stary kazał jej spakować rzeczy zaraz po symbolicznym pogrzebie. Twierdził, że po tak strasznej tragedii nie może i nie powinna być sama. Nie protestowała, wykonywała posłusznie wszystkie polecenia, gdyż nie wyobrażała sobie dalszego mieszkania w miejscu kojarzącym się jej z jedyną osobą, która naprawdę ją rozumiała i kochała.

Ojciec dał jej czas na wypłakanie wszystkich żalów, a później postawił sprawę jasno: chcesz mieć gdzie mieszkać i co jeść, zapracuj sobie na to. Dziewczyna wychowana na Hyperionie, w cieplarnianych w porównaniu z Fukushima warunkach, nie nadawała się do roboty w pasie. Na jej szczęście matka zadbała – za pieniądze przesyłane przez ojca, rzecz jasna – by Mayasmine odebrała dobre (zwłaszcza jak na tak podrzędny system) wykształcenie, dzięki czemu dostała się na staż w administracji kolonii, skąd po trzech latach awansowała na samodzielne stanowisko kontrolerki lotów.

Skłamałaby, gdyby powiedziała, że aklimatyzacja na Becie nie przysporzyła jej żadnych problemów. Fukushima 4 była jednym z najbardziej przygnębiających systemów gwiazdnych w całej podbitej przez człowieka przestrzeni. Gdyby nie roztrzaskane na biliony kawałków jądro Alfya, nikt by nawet nie pomyślał o zakładaniu kolonii w tym miejscu. Życie na martwej planecie, niewiele tylko cieplejszej od otchłani kosmosu, na globie, gdzie od miliardów lat po nocy następuje wyłącznie kolejna noc, praktycznie nie różni się od najgorszego sennego koszmaru.

Nic dziwnego zatem, że po krótkim okresie wdzięczności Mayasmine zaczęła odczuwać narastającą wściekłość na starego za to, że już za życia została zesłana do piekła, które w dodatku zamarzło. Z czasem doszła też do wniosku, że przywiózł ją na Fukushimę 4 tylko dlatego, że nie chciał niepotrzebnie mnożyć kosztów. Im dłużej tu jednak była, tym mniej miała przeciwko życiu w wiecznym mroku. Polubiła je nawet, choć nie przyznawała się do tego na najcięższych torturach. Ludzie na Becie byli bardziej otwarci i przyjaźni niż ci, wśród których się wychowała. Co więcej, umieli cieszyć się życiem – jak każdy, kto nie zna dnia ani godziny. Kiloro pożegnała w równie symboliczny sposób jak matkę, lecz każdy taki pogrzeb

uczynił ją twardszą, odporniejszą, podobniejszą do eksploratorów pobliskiego pierścienia.

Złość na ojca minęła jej wreszcie – pogodzili się ostatecznie przed rokiem, gdy wydorowała na tyle, by zdać sobie sprawę, że tylko dzięki niemu wyszła na ludzi. Co ważniejsze, zapewnił jej przyszłość, czyli coś, o czym większość jej kolegów i koleżanek z Gammy mogła tylko pomarzyć. Sześć lat po opuszczeniu Hyperiona 32 miała świetnie płatną pracę, grono oddanych przyjaciół i wcale nie tak małe oszczędności na koncie zgromadzone dzięki bonusom i lewiznom, od których nie stroniła, jak chyba każdy w tym systemie.

Sterling przeciągnęła się raz jeszcze. Tę nockę mogła uznać za bardzo udaną. Raporty nadchodzące z pierścienia ograniczały się do rutynowych zestawień zdobytych surowców. W centrali regionalnej na Alfie Fortalezy 9 dochodziła właśnie druga nad ranem, co oznaczało, że do końca zmiany nikt nie powinien zwracać jej głowy.

System obsługujący centrum kontroli lotów świetnie sobie radził z nadzorowaniem normalnego ruchu, zwłaszcza że wgrano do niego kilka drobnych uaktualnień, które – co tu dużo mówić – nie miałyby szans na legalizację. Na szczęście dla Mayasmine kontrole w tak odległych i nieprzyjaznych człowiekowi systemach należały do rzadkości, zwłaszcza gdy poziom zysków zadowalał centralę, a w przypadku Bety Fukushima 4 z pewnością nikt nie mógł narzekać.

Kolejne głośne ziewnięcie zaspanej kontrolerki zbiegło się w czasie z charakterystycznym piknięciem, jakim aparatura oznajmiała odebranie przekazu spoza systemu. Sterling zerknęła na boczny ekran wyświetlacza.

Ciekawe, pomyślała, siadając prościej. Bardzo ciekawe...

Międzysystemowa łączność kwantowa była zbyt kosztowną zabawą, aby mogli z niej korzystać zwykli robotnicy, a tu proszę: adresatami komunikatu nadanego setki lat świetlnych od Fukushima 4 byli dwaj niczym niewyróżniający się obywatele tutejszej kolonii.

Przyglądała się okienku z komunikatem przez dłuższą chwilę. Dwukrotnie jej dłoń zawisała nad klawiaturą i tyle samo razy została cofnięta po krótkim wahaniu. System zarządzający wieżą kontroli lotów, należąca do kompleksu administracji kolonii, mógł rozkodować każdą standardową wiadomość, a po modyfikacji radził sobie nawet z tymi zaszyfrowanymi, które zawierały instrukcje dla zarządu. Wiedza o tym, co planuje korporacja, warta była sporo grosza, szczególnie gdy posiadało się ją z wyprzedze-

niem. Mayasmine tak właśnie dorabiała sobie do pensji. Wystarczyło podrzucić znajomym załogom informację, które pierwiastki zyskają lada moment na wartości, i kasowało się działkę od dodatkowych zysków. Na zgłoszonym dobie później ładunku można było zarobić i kilkaset kredytów więcej, z czego informator dostawał zwyczajowe pięć procent.

Tym razem jednak nie chodziło o wiadomość wysłaną z centrali, a o precedens. Sterling nigdy wcześniej nie widziała, by ktokolwiek za pomocą łącza kwantowego kontaktował się ze zwykłymi robotnikami. Nie lubiła wtykać nosa w prywatne sprawy innych kolonistów, lecz ten przekaz był tak nietypowy, że natychmiast wzbudził jej zainteresowanie. Mogła go odczytać, nie zostawiając żadnych śladów – wgrana do Systemu wtyczka klonowała każdą wiadomość kwantową, tworząc na podpiętym do konsoli kryształ jej kopię, nad którą dało się pracować i której pozbywano się później bez najmniejszego trudu. Ale ponieważ chodziło nie o korporacyjne, tylko o prywatne, zapewne delikatne sprawy...

Nie, potrząsnęła stanowczo głową, wpatrując się w nazwiska adresatów. Leslie Priest i Walter Clement nie harowałiby w przetwórni urobku na takim zadupiu, gdyby ich krewnych stać było na wyrzucenie kilkunastu tysięcy kredytów, bo tyle co najmniej musiało kosztować wysłanie wiadomości, którą miała przed sobą.

O co tu zatem mogło chodzić?

Czarni?

Najbardziej oczywiste wyjaśnienie nie spodobało się Mayasmine. Gdyby Leslie i Walter okazali się funkcjonariuszami wubecji pracującymi pod przykrywką, oznaczałoby to dla niej nie lada problemy.

Lepiej się nie mieszać, uznała, cofając dłoń po raz trzeci. Tylko że wydział bezpieczeństwa może rozpracowywać kogoś z moich znajomych, niewykluźnione, że nawet staruszka.

Ta myśl zmroziła ją jeszcze bardziej. Sterling wiedziała, że – skoro pozwolono sobie na dekonspirację agentów – materiał dowodowy został już zebrany i akcja dobiega właśnie końca.

Niedobrze...

Wyłuskała kryształ z gniazda w konsoli, nie chcąc zostawiać żadnych śladów na sprzęcie korporacji, i przerzuciła nagranie na prywatny czytnik, już dawno przerobiony tak, by zarządzająca kolonią sztuczna inteligencja nie miała do niego zdalnego dostępu.

Kiedy na wyświetlaczu pojawiły się strumienie nic niemówiących symboli, Sterling syknęła. SItara, jej prywatny System, nie umiał złamać tak skomplikowanego kodu, choć bez trudu sobie radził z odczytywaniem szyfrowanej poczty korporacyjnej.

Czarni to jednak wyższa liga, pomyślała, zastanawiając się równocześnie, czy nie powinna natychmiast skasować przekazu, zamiast pozwolić na kolejne próby jego złamania. „Przezorny zawsze ubezpieczony. Od wszystkiego, zawsze i wszędzie” – nie na darmo maksuma tej treści wisiała nad jej pulpitem w kubiku mieszkalnym.

Kryształ trafił na powrót do gniazda w konsoli i momentalnie zaczął się zapełniać sensozyką. Gdy ktoś zechce go sprawdzić, nie znajdzie niczego, co wskazywałoby na manipulowanie przy nim. Sterling była bezpieczna.

Grzej z tymi, których dotyczyła akcja... Współczuła nieszczęśnikom, których rozpracowywał wydział, ale nie mogła nic zrobić. Pozostało jej tylko oczekiwanie i obserwacja ogólnodostępnych kanałów.

Siedziała skwaszona, wpatrując się tępo w wirtualne ekrany, lecz choć czas upływał, nic się nie działo. Żadnej podejrzonej aktywności. Żadnych dziwnych zdarzeń. Nie wylamano ani jednego włazu, nie oddano ani jednego strzału. Przez kolejne siedem minut życie na Becie toczyło się dalej w sennym jak zwykle tempie.

Mayasmine podskoczyła w fotelu, gdy do jej uszu dobiegło natarczywe brzęczenie. Ktoś dobijał się do wieży. Nie poprzez komunikator, tylko fizycznie, stojąc pod główną bramą.

Wizytacja o tej porze?

Zdziwiona powiększyła okno, na którym widniały dwie ludzkie sylwetki w skafandrach próżniowych. System zidentyfikował transpondery gości. Sterling zamarła z na wpół rozdziawionymi ustami. Priest i Clement, ci sami, do których skierowana była zaszyfrowana wiadomość.

Dlaczego przyszli tutaj? Czyżby chodziło im o mnie? – zastanawiała się gorączkowo, nie mogąc oderwać wzroku od majaczących w mroku postaci. *Nie, niemożliwe, nie zrobiłam przecież niczego, co by...*

Przełknęła głośno ślinę. Miała na koncie tyle samo grzeszków, co niemal każdy na Becie.

Brzęczenie rozległo się ponownie, a ona zerknęła na kryształ, żałując, że dała się skusić na zakup tak dużych nośników danych.

„Idealny stosunek ceny do pojemności, pełnia zadowolenia!”

Akurat, pomyślała rozwścieczona, widząc, że ponad trzydzieści procent pojemności pozostaje wciąż wolne. Jakie były szanse, że System nadpisał znajdujące się już na kryształach dane? Raczej niewielkie.

Atomizer! Pomyśl ten wpadł jej do głowy w tym samym momencie, gdy sygnał dzwonka rozbrzęczał się na dobre. *Najpierw im odpowiedz*, zgaśniła się w duchu, wyszarpując kryształ z gniazda i wstając z fotela. Zanim wjadą na górę, będziesz miała wystarczająco dużo czasu, by dobiec do kąta i pozbyć się dowodów razem z wartym pięć kredytów nośnikiem.

– Co jest? – zapytała, mrużąc oczy i udając zaspanie. – Wiecie, która godzina?

– Musimy pogadać. – Clement przeszedł od razu do sedna.

Jego znała lepiej z tej dwójki. Jakiś czas temu zakumplował się z jej ojcem, może nie jakoś szczególnie, ale parę razy ululali się razem w Złomowisku. Skurwyklon umiał się maskować, nigdy by nie powiedziała, że pracuje dla wydziału.

Usiadła prościej, niby tłumiąc ziewnięcie i nie wychodząc z roli, burknęła:

– Przepustkę macie?

Nie chodziło o grę na czas. Tacy jak oni, szeregowi pracownicy, mogli wejść na teren kapitanatu, do którego należała także wieża kontroli lotów, wyłącznie za okazaniem specjalnego pozwolenia wystawianego przez jednego z głównych administratorów.

– Nie, ale mamy dla ciebie wiadomość od Bradama – odparł Clement.

Kompletnie ją zaskoczył, wspominając o Besterze.

Jeżeli wiedzieli o układzie, który łączył ją z... Wolą nie myśleć o konsekwencjach.

Skłęła się w duchu, ponieważ jej twarzy, w odróżnieniu od gości, nie zasłaniał odblaskowy wizjer kasku. Rozmówcy musieli dostrzec jej minę, zanim zdołała wziąć się ponownie w garść.

– Wpuść nas, zanim ktoś zauważy, że tu sterczymy – rzucił Priest. Sądząc po tonie jego głosu, musiał być mocno zdenerwowany.

– Jaką wiadomość? – zapytała ostrożnie.

– Zobaczysz, jak nas wpuścisz!

– Zrób to, Mayasmine. Proszę... – dodał Clement.

To ostatnie słowo zdumiało ją najbardziej. Czarni nikogo nigdy o nic nie prosili. I nie bali się, że ktoś ich zobaczy. Wubecja obawiała się

wyłącznie najwyższych władz – Federacji i korporacji, choć niekoniecznie w tej kolejności. Resztą obywateli pomiatała do woli.

Na wpół skołowana, na wpół zaintrygowana Sterling aktywowała panel zamka i po naprawdę krótkim wahaniu odblokowała bramę na dole. Potem stanęła pośrodku sterowni, zastanawiając się, co powinna w tej sytuacji zrobić.

Jeśli to mimo wszystko są czarni... Kurwirtual! O trzymanym w dłoni kryształce przypomniwała sobie dopiero wtedy, gdy drzwi rozsunęły się z cichym sykiem przed wchodzącymi mężczyznami. *No pięknie...*

Nogi ugięły się pod nią, gdy zrozumiała, jak wielki błąd popełniła. Wystarczyło zostawić ustrojstwo tam, gdzie było, a problem sam by się rozwiązał do tej pory. Wsunęła nośnik do kieszeni, udając, że wyciera dłonie o materiał, i czekając, aż obaj rozszczelnia kombinezony, zaczerpnęła głębiej tchu.

– Co to za wiadomość? – powtórzyła.

Clement, jakby jej nie słysząc, oznajmił:

– Musisz kogoś dla nas namierzyć.

– Poważnie? Niby jak? System rejestruje każde wyszukiwanie. Poza tym pytałam o coś – zakończyła nieco kąśliwie.

Priest stanął przed nią, po czym podniósł przedramię na wysokość twarzy, aby miała przed oczami jego komunikator. Widniejący na hologramie Bester wypowiedział dwa krótkie zdania:

– Cześć, Ma. Pomóż moim ludziom.

„Moim ludziom”? Obrzuciła przybyszy baczniejszym spojrzeniem.

Kumple Bradama Bestera, czy może raczej jego mocodawcy, dysponowali środkami pozwalającymi na wysłanie wiadomości kwantowej. A wubecja, która miała swoje kanały, nie musiałaby jej prosić o namierzenie kogokolwiek z poziomu Systemu kolonii.

Clement chyba zauważył zmianę w jej spojrzeniu, bo odsunął się na bok, jakby zapraszając ją do konsoli.

– Myślicie, że to coś zmienia? – prychnęła gniewnie, wskazując na opuszczony już komunikator.

– Myślimy, że możesz spełnić naszą prośbę i nikt tego nie zauważy.

– Jesteśmy tego nawet pewni – uściślił Priest.

– To nie takie proste, jak wam się wydaje.

– Ale możliwe.

– Owszem, choć... – Zamilkła na moment, potem pokręciła z rezygnacją głową. – Wgraliśmy do Systemu kolonii parę użytecznych wtyczek, ale wyszukiwanie zawsze zostawia ślady. Mogłabym je zamaskować, zgoda, tylko że jeśli ktoś się przyłoży do sprawdzenia danych, co w tym akurat przypadku jest bardzo prawdopodobne... – Zawiesiła głos. – Nie, to się nie uda. Gdybyście nie przyleźli tutaj w środku nocy bez przepustki, coś bym wykombinowała, ale śladów waszej wizyty nie da się wykasować. Zawiadomienie do czarnych pójdzie z automatu i zacznie się ostra jazda.

– Nami się nie zajmuj – rzucił Priest.

– Ja się sobą przejmuję, bozonie z kawałka własnego gówna sklonowany! – wypaliła. – Nie miałam prawa was tutaj wpuścić! Nie zgłosiłam tego od razu, choć powinnam! Dobiorą mi się do dupy, gdy tylko to zauważą.

– Pokaż jej. – Clement odwrócił się do kolegi.

– Co?

– Wiadomość.

– Oszalałeś?

– Pokaż!

Priest zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

– Dobra, zrobię to, ale na twoją odpowiedzialność – wycedził po trzech albo czterech sekundach mocowania się z kolegą wzrokiem, po czym raz jeszcze włączył komunikator, podtykając go pod nos Mayasmine.

Tym razem patrzyła z bardzo wysokiej orbity na gęsto zamieszkaną planetę, w którą coś właśnie uderzyło. Nie coś, tylko spora asteroida! Czarny jak smoła grzyb wypiętrzał się coraz wyżej, sięgał już poza atmosferę, a czoło fali uderzeniowej pochłaniało w zastraszającym tempie kolejne partie niemałego kontynentu. Sterling nie wierzyła własnym oczom. To nie miało prawa się dziać!

Zaludnione światy mają własne, bardzo wydajne i niezwykle szczelne systemy obrony orbitalnej, zdolne do wychwycenia kamieni wielkości głowy czło wieka, a co dopiero głazów tak monstrualnych rozmiarów... Zanim zdążyła dokończyć tę myśl, przekaz zniknął i znów zobaczyła Bestera.

– Znajdźcie mi skurwyklona, który podmienił ładunki bez naszej wiedzy i doprowadził do kataklizmu. Macie godzinę, żeby ustalić, kto jest za tę zbrodnię odpowiedzialny. Zapakować gnoja na pokład choćby w kawałkach, wisi mi to, byle wciąż żył! Musimy wiedzieć, kto mu to zlecił. Na

szali znajduje się życie każdego człowieka powiązanego z ruchem oporu. Nie spieprzcie tego, pano...

Priest wyłączył przekaz w połowie zdania.

– Teraz już rozumiesz, dlaczego mamy gdzieś, czy ktoś się dowie o naszej obecności tutaj i twoim wyszukiwaniu? – wycharczał jej prosto w ucho.

– Co... co to... co to było? – Mayasmine była zbyt przerażona tym, co ujrzała, by słuchać, co się do niej mówi.

– A ostrzegałem – mruknął Leslie.

– Uspokój się, kobieto! – Clement chwycił ją za łokcie i potrząsnął nią mocno.

– Co to było? – powtórzyła.

– Delta Centuriona – odwarknął gniewnie Priest. – Rozpieprzona przez nas doszczętnie, ponieważ człowiek, którego szukamy, odebrał z waszego portu nie ten ładunek co trzeba.

– Ja... – Nagle świat zawirował jej przed oczami.

Byłaby upadła, ale stali blisko i zdążyli ją podtrzymać, po czym wspólnymi siłami usadzili ją w fotelu przed konsolą.

– Dla nas to też był szok. Weź się w garść, proszę... – Clement pochylił się nad bladą jak kreda kontrolerką lotów.

– Chociaż raz mnie posłuchaj i daj jej coś na otrzeźwienie – podpowiedział Priest, przymykając oczy, gdy System operacyjny kombinezonu zaaplikował mu kolejną dawkę środków uspokajających. Ta akcja przerażała także jego.

Walter zaklął pod nosem. Podpiąwszy się do komunikatora półprzytomnej Mayasmine, potrzebował tylko kilku sekund, by zhakować niezabezpieczony neurowszczep. System momentalnie przeanalizował jej dane i przygotował odpowiednią mieszankę leków. Wbudowany w rękawicę iniektor spoczął chwilę później na ramieniu półprzytomnej dziewczyny.

– Gotowe.

Odczekali kilkanaście sekund potrzebnych na rozproszanie koktajlu. Twarz Sterling nabierała w tym czasie kolorów, ona sama zaczęła oddychać dużo wolniej i głębiej.

– Posłuchaj mnie uważnie. – Clement odwrócił ją do siebie razem z fotelem. – Nasi zatarli ślady, jak umieli, ale czarni i tak dokopią się do prawdy. Musimy znaleźć skurwyklona i zwinąć się z Bety, zanim odkryją, skąd naprawdę pochodził ładunek, i zablokują ten system na amen.

- A ja? - zapytała nadspodziewanie przytomnie.

- Co: ty?

- Co będzie ze mną?

- A co ma być?

- Jeśli wam pomogę, zostanę uznana za współwinną.

Doszła już do siebie i patrzyła na sprawę jasno, a nawet z dystansu, jakby nie chodziło wcale o udział w ludobójstwie, lecz o zwykłe, codzienne sprawy. Ani jej było w głowie beknąć za czyjeś błędy.

- Zawsze możesz prysnąć z nami. - Leslie uprzedził otwierającego usta kompana.

- Ale ja nie chcę - odparła obojętnie, jakby była nie człowiekiem, a maszyną. - Mam dobrą pracę i święty spokój.

- Miałaś.

Sterling skupiła wciąż nieco mętny wzrok na Walterze.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała tym samym niepokojąco beznamiętnym tonem.

- Na Delcie zginęły miliony ludzi - wyjaśnił. - Setki milionów. Ładunek, który zrzuciliśmy, pochodził stąd. Czarni dowiedzą się o tym za godzinę, może dwie. Naprawdę uważasz, że będą się zastanawiać, kto zawinił, a kto o niczym nie wiedział?

- Nie... raczej nie - przyznała po krótkim zastanowieniu.

- Chyba przesadziłeś z tymi prochami - mruknął Priest, przyglądając się jej uważniej.

- Odwal się! - ofuknął go coraz bardziej zdenerwowany Clement. - System oszacował dawkę, nie ja! - Pochylił się znów nad Mayasmine. - Słuchaj, przyszedliśmy do ciebie dlatego, że ktoś tutaj, na Becie, albo popełnił błąd, albo celowo podmienił ładunek, doprowadzając tym samym do niewyobrażalnego kataklizmu. Musimy go znaleźć, rozumiesz? Od tego zależy los wielu porządných ludzi. Twój także.

Powtarzał się, wychodząc z założenia, że dziewczyna tego potrzebuje, by w pełni zrozumieć sytuację.

- Rozjebią tu wszystko w drobny mak, żeby dowiedzieć się prawdy... bądź ją ukryć, jeśli sami stoją za wszystkim - dodał Priest.

- W tym drugim przypadku już tu lecą - powiedziała, bezwiednie poruszając aspekt sprawy, o którym jej goście najwyraźniej nie pomyśleli.

- Kurwirtual - wymamrotali niemal równocześnie i zbledli jak ona przed chwilą.

Mayasmine powiodła między nimi spojrzeniem.

– Czekaście! – Walter uniósł palec, jakby chciał komuś pogrozić. – Raczej nie wykonają żadnego ruchu przez jeszcze co najmniej godzinę.

– Dlaczego?

– Inaczej pokazałoby, że to ich sprawka. – Choć mówił z wielką pewnością siebie, nie przekonał kolegi.

– Muszę ostrzec ojca! – Sterling przysunęła się do konsoli, ale Clement chwycił ją za nadgarstek.

– Najpierw znajdziemy winnych. To potrwa tylko chwilę. Potem ostrzeżesz kogo będziesz chciała.

Spojrzała na niego z taką obojętnością, jakby był jednym z nacieków na ścianie, ale wyczuwając nachylającego się do niej z drugiej strony Lesliego, odezwała się szybko:

– Dobrze. Kogo szukamy?

– Facet nazywa się Robin Saberhagen. W każdym razie jego podpis widnieje na dokumentach spedycyjnych. Sprawdźmy, gdzie aktualnie przebywa.

Wprowadziła dane, ale okienko wyszukiwarki pozostało puste.

– System nie wykrywa jego obecności na Becie – poinformowała obu mężczyzn.

– Odleciał stąd? Kiedy?

– Nie ma go w rejestrze osób opuszczających planetę.

– Nie mógł przecież zniknąć bez śladu. – Leslie pokręcił głową.

– Ja też tego nie rozumiem – przyznała Mayasmine. – Gdyby coś było z nim nie tak, JeSień oznaczyłaby go w specja...

– Czekaj! – uciszył ją Clement. – Sprawdź, kiedy wasz System widział go po raz ostatni.

Wykonała to polecenie.

– Wczoraj o godzinie dwudziestej drugiej siedemnaście JeSień odnotowała pierwsze chwilowe zaniki sygnału jego komunikatora. – Sterling odczytywała kolejne informacje. – Po kwadransie zgłosił oficjalnie awarię sprzętu. Wygląda na to, że posypał się procesor. O dwudziestej drugiej trzydzieści pięć wystawiono mu dokument uprawniający do pobrania nowej jednostki sterującej. Siedem minut później sygnał zanikł na dobre.

– I nikogo to nie zdziwiło? – oburzył się Priest.

– Tutaj to normalka – odparła. – Od przyjęcia zlecenia do wydrukowania potrzebnego komponentu mija czasem kilka godzin, zwłaszcza jak

chodzi o tak skomplikowane elementy. System wykryłby nieprawidłowość dopiero wtedy, gdyby Saberhagen nie zgłosił się do roboty, czyli o... – zerknęła na wyświetlacz – ...szóstej rano.

– Jest już grubo po szóstej – zauważył Clement.

– Mówię o czasie lokalnym. Mamy dopiero wpół do trzeciej.

– To mi wygląda na dobrze zaplanowaną ucieczkę. – Leslie potarł skrońnię otwartymi dłońmi. – Skurwyklon pozbył się komunikatora i spieszył stąd co najmniej cztery godziny przed atakiem.

– To znaczy, że był świadom tego, co zrobił. – Walter kiwnął głową na potwierdzenie własnych słów.

– Nie inaczej, przyjacielu. Nie inaczej.

– Sprawdź, kiedy i czym mógł opuścić Betę – zwrócił się do kontrolerki Clement.

– Od zamilknięcia jego komunikatora z Fukushima nie odleciała żadna jednostka nadprzestrzenna – poinformowała po krótkim milczeniu Mayasmine. – Ostatni frachtowiec z urobkiem wyruszył z Bety wczoraj o osiemnastej, pięć godzin przed jego zniknięciem.

– Może poleciał któryś ze szperaczy? – podpowiedział Priest.

Sterling przejrzała uważnie wszystkie rejestry.

– Żadna z pracujących wtedy jednostek nie wyszła nawet na moment ze strefy wydobywania. Tych odczytów nie da się sfalszować, są rejestrowane w czasie rzeczywistym.

– Mogli go przerzucić wahadłowcem – nie odpuszczał Leslie.

Mayasmine sprawdziła i tę możliwość.

– Nie ma szans. Najbliższy szperacz znajdował się w tym czasie prawie czterdzieści sekund świetlnych od frachtowca, i to po przeciwnej stronie pierścienia.

– Kogo jeszcze mamy na orbicie? – zapytał Walter, gdy jego kompan zaczął chodzić po sterowni tam i z powrotem.

– Jeden jedyny statek, *Azymut 347-2*.

– Tam go nie znajdziemy.

– Skąd ta pewność? – Sterling oderwała wzrok od wyświetlacza.

– To jest nasz złom – wyjaśnił Clement.

– W takim razie wasz Robin nie miał czym odlecieć – podsumowała.

– Nie byłbym taki pewny – mruknął Priest, zatrzymując się raptownie.

– Bo co?

- Bo mogli go zwinąć na swój statek czarni. Dobrze wiesz, że systemy cywilne nie rejestrują przelotu jednostek wydziału bezpieczeństwa.

- Rejestrują - poprawiła go machinalnie Sterling - tylko nie wykazują.

- Słucham?

- System kolonii rejestruje każdy sygnał napływający ze stacji monitorującej. - Zaczęła wprowadzać nowe komendy. - Od tej zasady nie ma wyjątków. To my nie widzimy części danych, dopóki nie złamiemy kodowania albo nie znajdziemy sposobu na obejście restrykcji.

- Sprawdź to!

Pochylili się nad nią, obserwując uważnie główne okienko centralnego ekranu zapełnionego strumieniami danych.

- I co widzisz? - pierwszy zniecierpliwił się Leslie.

- Nic. Nie ma żadnych rozbieżności między informacjami o ruchu w strefie skoku i danymi gromadzonymi przez JeSień.

- To znaczy, że on gdzieś tu nadal jest! - ucieszył się Clement.

Leslie westchnął ciężko.

- Skoro nigdzie nie poleciał, to najprawdopodobniej siedzi teraz u czarnych.

- Albo nie żyje - wtrąciła totalnie obojętnym tonem Sterling.

Spojrzeni na nią ponuro, ponieważ mogła mieć rację. Jeśli Saberhagen podmienił ładunki na zlecenie wubecji albo Rady, czarni powinni go wyeliminować, żeby niczego nie wyśpiewał. To byłoby w ich stylu - czyż nie postąpili podobnie w przypadku Liu i Bukowskiego? Im dłużej nad tym myśleli, tym bardziej było to dla nich oczywiste.

- Da się namierzyć człowieka w inny sposób? - zapytał w pewnym momencie Priest.

- Raczej nie - odparł po namyśle Clement.

- Zastanów się! - Leslie zwrócił się do siedzącej w bezruchu Mayasmine. - Może jednak jest jeszcze jakiś sposób, coś w rodzaju porównania pingów ze stacji z odczytami waszego Systemu.

- Nie. - Pokręciła stanowczo głową, po czym nagle się wyprostowała, uniosła prawą dłoń i musnęła nią nasadę karku.

- Wpadłaś na coś?

- Mogłabym spróbować namierzyć jego implant, ale...

- Ale co?

- Ale musiałabym się włamać do zastrzeżonych baz danych, a to natychmiast uruchomi alarm, zarówno w zarządzie kolonii, jak i u czar-

nych.

Priest na nowo podjął dopiero przerwana wędrowkę, a jego partner skrzywił się mocno, jakby coś go zabolalo.

Mayasmine postanowiła wykorzystać tę chwilę ciszy.

– Mogę teraz już ostrzec ojca?

– Rób, co sobie chcesz – odwarknęła Leslie. – Czarni wparują tu w ile, dwie minuty?

Zatrzymał się tuż przed Walterem.

– Nawet szybciej, jeśli na nas czekają, a wiele wskazuje, że tak właśnie jest.

– Ilu ich teraz mamy na Becie?

– Podczas ostatniej rotacji zwiększono liczebność posterunku do sześciu agentów – rzuciła Sterling, nie przerywając pracy.

– Podczas ostatniej rotacji, czyli kiedy?

– Miesiąc temu.

– Powinniśmy stąd spadać! – Spanikowany Priest spojrział koledze prosto w oczy. – Skurwyklony przygotowały się zawczasu. Zwiększyli obsadę, mają kupę broni, a ten ich posterunek to istny bunkier. Nic nie wskóramy, nic.

Clement nie odpowiedział. Stał tam tylko ze zwieszoną głową.

– Gotowe.

Słyszając głos bardzo z siebie zadowolonej kontrolerki, obaj aż podskoczyli.

– Co zrobiłaś?! Włamałaś się do Systemu?!

– Nie, ostrzegłam ojca, co się święci.

Odetchnęli z ulgą. Nafaszerowana prochami dziewczyna napędziła im niezłego strachu. W takim stanie była zdolna do wszystkiego.

– Posterunek jest poza naszym zasięgiem, a czarni namierzą nas, gdy tylko zaczniemy grzebać w Systemie, szukając wszczepu Saberhagena – podsumował Leslie, po czym znów zaczął pocierać skronie nasadami dłoni, jakby próbował uśmierzyć rozsadzający je ból. – Lepiej spadajmy stąd, i to już.

– Nie wykonaliśmy zadania – zaprotestował Walter.

– I nie wykonamy!

– Nie możemy odlecieć.

– Dlaczego? – Priest opuścił w końcu ręce. – Udało nam się potwierdzić, że Saberhagen jest w to zamieszany. Jego zniknięcie przed zrzuconiem

ładunku mówi samo za siebie.

– Niczego bozonowi nie udowodnimy, jeśli nie wpadnie w nasze łapy – skontrował natychmiast Clement. – Wystarczy, że w sensowizji pokażą jego zeznania.

– I co niby powie?

– Na przykład to, że zgłosił się na posterunek dobrowolnie, gdyż dręczyło go sumienie. Może usłyszał coś z ust kogoś, kto odbierał od niego ładunek. Może jakieś sugestie padły ze strony tych, którzy kazali mu sfałszować listy przewozowe. Wiesz, co będzie, jeśli taka wersja zdarzeń pójdzie w eter? Wszystkich nas wyłapią i wymordują, a ludzie będą wiwatowali na ich cześć. Nikt nie kiwnie palcem, by ratować zwyrodnialców, którzy celowo rozpieprzyli jedną z najgęściej zaludnionych kolonii!

– Co chcesz więc zrobić?! – wrzasnął Leslie, któremu puszczały już nerwy. – Pójść na czarnych z gołymi rękami? Popęłnić widowiskowe samobójstwo?

– Nie... – Clement przygryzł dolną wargę. – Na pewno da się coś wymyślić.

– Łatwo powiedzieć.

– Bradam wyraził się jasno: mamy dostarczyć go żywego.

– Bradam nie wiedział, że skurwyklon spieprzy do czarnych, zanim otrzymamy rozkazy.

– To niczego nie zmienia...

– Owszem, zmienia – przerwał mu Priest. – Zmienia wszystko.

– Dziwne...

Nieoczekiwana odzywka Mayasmine sprawiła, że obaj zamilkli.

– Co jest dziwne? – zapytał Walter.

– Natężenie łączności wewnętrzssystemowej rośnie od kilku minut w tempie wykładniczym – odparła, po raz pierwszy od przyjęcia leków okazując jakieś emocje. – Zupełnie jakby wszyscy nagle próbowali się skontaktować ze wszystkimi.

– Czyżby ludzie dowiedzieli się o Delcie? – Leslie złapał się za głowę.

– Nie. Na to jeszcze za wcześnie – uspokoił go Walter. – Media nie pisną słowa, dopóki Rada nie ustali oficjalnej wersji zdarzeń, a to potrwa chwilę, bo trzeba obudzić paru ważniaków. Może to... – Urwał na moment. – Tak, to musi być orędzie Bukowskiego.

Kolejna sprawa, o której na śmierć zapomnieli. Bradam kazał im zwinać podejrzanego, zanim przekaz dotrze do mieszkańców Fukushimy 4.

Gdyby drań okazał się niewinny, mógłby spanikować i zniknąć z radaru, zrozumiawszy, jakie przeznaczenie miał pomyłony przez niego ładunek.

– Kurwirtual... – Clement walnął pięścią w obudowę konsoli, po czym wyprostował się i polecił kontrolerce: – Namierz jego wszczep!

– Nie! – Leslie doskoczył do niej. – To samobójstwo!

– Raczej nasza jedyna szansa – upierał się jego kompan. – Czarni mają teraz urwanie głowy z blokowaniem orędzia. Przy odrobinie szczęścia zyskamy dodatkową minutę albo dwie, zanim się za nas wezmą, a to powinno wystarczyć. Jeśli skurwyklon ukrył się gdzieś na terenie kolonii, zwiniemy go i spieprzymy na orbitę, zanim skończą przeszukiwać wieżę.

– A jeśli siedzi na posterunku?

– W takim razie... trzeba go będzie zlikwidować.

– Jak?

Clement nie odpowiedział. Był zbyt zdenerwowany, a System odmówił mu właśnie podania kolejnego chemicznego koktajlu. Odezwała się za to siedząca dotąd w milczeniu Mayasmine.

– Spuście im na łąby wahadłowiec.

– Co?

Odwrócili się do niej.

– Spuście im na łąby wahadłowiec – powtórzyła ze stoickim spokojem.

– Ten wasz *Azymut* ma cztery takie maszyny na pokładzie. Są wystarczająco masywne, by zrównać posterunek z ziemią.

– Tak... Właśnie tak! – Priest był zachwycony pomysłem. – Wyjdziemy z tego cało, jeśli wyeliminujemy czarnych!

Patrzący trzeźwiej na sytuację Clement miał wątpliwości.

– Zapominasz, że mogą wyleźć z posterunku, gdy tylko zaczniemy namierzać Saberhagena.

– Sam mówiłeś, że w zamieszaniu zyskamy minutę albo dwie – przypomniał mu partner.

– Wiem, co mówiłem... – odwarknął Walter, po czym zamilkł.

– Może najpierw rozwalicie posterunek, a dopiero potem zaczniemy grzebać w Systemie? – zaproponowała Sterling. – Tak będzie najprościej.

– Dobra! – Walter zawisł nad jej ramieniem. – Dajesz!

Kontrolerka nawet nie drgnęła.

– Coś nie tak? – Leslie też się nad nią pochylił.

– Powiem tak: robiąc to, uratuję wam tyłki, ale na własnym namaluję piękną tarczę strzelecką. – Nie podnosząc głowy, dodała jeszcze: –

W sumie to nie tylko na swoim.

- Możesz lecieć z nami – zaoferował Clement.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek zechcesz.

- I co dalej?

Zerknął w kierunku partnera, ale ten jakoś nie kwapił się z pomocą. Czas mijał. Walter improwizował więc dalej sam:

- Załatwimy ci nową tożsamość...

- Pracę też mi dacie? – przerwała mu. – Tak pewną i dobrze płatną jak ta, którą mam teraz?

- Nie wiem... a... ale... – dukał zdezorientowany.

- Dwadzieścia tysięcy – wypaliła.

- Co?!

- Nowe tożsamości i po dziesięć tysięcy kredytów dla mnie i dla starszka. Taka jest moja cena.

- Nie możemy obiecać ci takiej kasy! – obruszył się Priest.

- Dlaczego? – Spojrzała mu prosto w oczy. – Na biednego nie trafiło. Wysłanie wiadomości na Fukushima kosztowało niewiele mniej. Dysponujecie flotą frachtowców, rozpierdalacie całe planety, żeby obalić Radę, a ty mi mówisz, że nie stać was na zapewnienie przyszłości jedynej osobie, która może uratować cały ten wasz kurwirtualny burdel? Serio?

Clement spuścił wzrok.

- Daj spokój – poprosił.

- Ja mam dać spokój? – Prychnęła gniewnie. – Ze wszystkiego, co zrobiłam do tej pory, mogę się wyłgać. Zniszczę banki danych z zapisami monitoringu, dacie mi po gębie i zostanę łatwowierną ofiarą napaści. Czarni ostro mnie przewłóczą, ale na tym pewnie się skończy. Natomiast jeśli pójde o krok dalej, do czego mnie namawiacie, nie uniknę najgorszego. Wyrok śmierci będę miała gwarantowany. Dwadzieścia tysięcy to naprawdę niewysoka cena za zmarnowanie komuś kariery i życia.

Po tych słowach w sterowni zapanowała grobowa cisza.

- Dobrze – mruknął w końcu Clement. – Umowa stoi.

- Tak? – Mayasmine sięgnęła do kieszeni kombinezonu. – Obiecanki to za mało. Resztę możemy załatwić po wydostaniu się z Fukushimy, ale kasę biorę z góry.

- No weź! – Leslie popatrzył na nią z niedowierzaniem. – Skąd mamy wytrzasnąć tyle kredytów?

– Stamtąd! – Wskazała sufit, uśmiechając się krzywo. – Kapitan *Azymuta* przeleje taką kwotę bez najmniejszego problemu.

Walter posłał jej miazdzące spojrzenie, po czym aktywował komunikator.

* * *

Otrzymaawszy żadaną sumę, Mayasmine przejęła zdalną kontrolę nad dwoma autonomicznymi dronami ładunkowymi. Potrzebowała wprawdzie tylko jednej maszyny, ale wolała się ubezpieczyć na wypadek, gdyby posterunek czarnych dysponował zbyt silną obroną. Wybrała też najmaszynniejsze drony, które przносиły w tym momencie największe ładunki. Ustawiła ich kursy tak, by lecąc za sobą, kierowały się na pobliskie zewnętrzne lądowisko.

Kluczem do powodzenia tej operacji było całkowite zaskoczenie wroga. Zamieniona w pocisk maszyna musiała wejść na kurs kolizyjny dosłownie w ostatniej chwili, góra dwie sekundy przed trafieniem w cel. W każdym innym przypadku ryzyko strącenia byłoby zbyt duże.

Mayasmine stanęła na wysokości zadania. Już czwarta z przeprowadzonych przez nią symulacji wyglądała naprawdę obiecująco, piąta natomiast okazała się strzałem w dziesiątkę. Priest kręcił głową nad hologramem przedstawiającym kolejne fazy ataku.

– Niesamowite...

– Pół minuty do rozpoczęcia akcji – ostrzegła Sterling, nie odrywając oczu od wyświetlacza.

Leslie przeszedł w najdalszy kąt sterowni, w miejsce, z którego mógł zobaczyć narożnik posterunku wubecji. Ściętą piramidę z lądowiskiem na dachu wzniesiono za ogrodzeniem, niecałe pięćset metrów od kompleksu zarządu kolonii. W panującym na Becie mroku byłaby całkowicie niewidoczna, gdyby nie światła dziesiątek latarni i lamp pozycyjnych.

– Piętnaście sekund.

Drony podchodziły do lądowania po wyznaczonym kursie. Miało to ulec zmianie dopiero wtedy, gdy oba znajdą się w jednej linii z wieżą kontroli lotów i stojącym za nią posterunkiem.

– Pięć, cztery, trzy, dwie, jedna, już! – Mayasmine wskazała palcem otwartą odpowiednio wcześniej konsolę.

Clement przytknął końce trzymanyh w rękach kabli do odsłoniętych bebeczów. Posypały się iskry, światło zgasło na moment, po czym sterow-

nia utonęła w krwistym blasku. Wieża kontroli lotów oślepla, czarni, jeśli obserwowali podchodzące maszyny, także stracili je z oczu. Na chwilę tylko, ale to powinno wystarczyć.

– Jest! – wrzasnął Priest, wskazując gdzieś za okno.

Kanciaste bryły niewiele tylko ciemniejsze od firmamentu przemknęły jedna po drugiej za taflą krystalitu, na której rozpląszczył się Leslie. Drony pokonały pięćset metrów dzielące je od celu w niespełna półtorej sekundy, grubo przed tym, zanim JeSień zdołała się restartować. Mrok na zewnątrz rozjarzył się w tym czasie parokrotnie, gdy wieżyczki laserowe na posterunku czarnych otworzyły ogień zaporowy, lecz na tym etapie ataku nie były w stanie powstrzymać nadlatujących maszyn, a wyrzutnie znacznie potężniejszych rakiet dopiero ustawiały się w pozycji bojowej. Moment później wieczny mrok otulający Betę zamienił się po raz pierwszy od miliardów lat w biały dzień.

Dramat ten rozegrał się w kompletnej ciszy, ponieważ System zabezpieczył natychmiast wieżę kontroli lotów, aktywując ekrany pola siłowego, ale wstrząs towarzyszący zderzeniu poczuli wszyscy mieszkańcy kolonii. Był tak mocny, że nawet w odległych kwartałach na głowy ludzi posypał się opadający bardzo wolno kurz i pył.

Gdy drgania ustały, Priest pozbierał się z podłogi i podbiegł do konsoli. Klepiąc Mayasmine po ramieniu, piszcząc jak rozbawione dziecko.

– Dawaj ich na główny ekran! – zawołał w pewnym momencie.

Musiał się jednak uzbroić w cierpliwość, ponieważ JeSień nadal przeprowadzała reboot swoich podsystemów. Kiedy wyświetlacze nareszcie ożyły, cała trójka ujrzała skutki ataku.

Po dronie nie pozostał nawet ślad, a w czarnej skale na miejscu posterunku ział głęboki podłużny krater wypełniony blednącą szybko czerwona łuną.

– Zaczynamy! – Clement wołał nie zwlekać z wykonaniem drugiej części zadania.

Sterling zalogowała się do Systemu, korzystając z wykradzionych wcześniej danych członka zarządu kolonii. Mogła to zrobić, nie dbając o konsekwencje, ponieważ jedyni ludzie, którzy jej fizycznie zagrażali, zostali właśnie wyeliminowani. Zwierzchnikami nie musiała się przejmować – była pewna, że siedzą teraz we własnych schronach, przerażeni i zdezorientowani. Przygotowując się do włamu, zadbała, by nie mogli wezwać pomocy z zewnątrz. Usmażony chwilę wcześniej segment konsoli odpowiadał mię-

dzy innymi za komunikację międzysystemową. W efekcie Fukushima straciła łączność z resztą Federacji na co najmniej trzydzieści pięć minut, tyle bowiem zabraloby najszybszemu wezwaniu o pomoc dotarcie do stacji monitorującej w tutejszej strefie skoku. A pół godziny to przecież cała wieczność.

Nie mając czarnych na karku, Mayasmine łamała kolejne zabezpieczenia, wykorzystując pełną moc obliczeniową JeSIeni. To pozwoliło jej się dostać do zaszyfrowanych banków pamięci znacznie szybciej, niż pierwotnie zakładała. Po trzech minutach przerzuciła uzyskane wyniki na główne okno wyświetlacza. Obaj spiskowcy zawisli nad jej ramionami.

– Wszczępy to nie komunikatory, kontaktują się z Systemem znacznie rzadziej – uprzedziła, gdy JeSIeń wczytywała kolejne bloki danych. – Na szczęście w przypadku Saberhagena pingi powinny być częstsze niż normalnie.

– Dlaczego tak uważasz?

– System kombinezonu rejestruje zwiększone napięcie użytkownika i regularnie przesyła dane na serwery NeuroTeku. Proszę... – Odchyliła się w fotelu, wskazując plan kolonii nagle wypełniony barwnymi ikonkami.

Tylko jedna z nich miała czerwony kolor i pojawiała się na hologramie trzy razy częściej niż pozostałe, w większości zielone i żółtawe.

– To on?

– Tak.

– Z której godziny są te dane?

– Ostatni ping został zarejestrowany o dwudziestej drugiej czterdzieści.

– Dwie minuty przed zaniknięciem sygnału komunikatora – szepnął Priest.

– Tak. Z tego, co widzę, System rejestrował nasilony przepływ danych ze wszczępu przez ponad pół godziny. – Wprowadziła komendę, po której na wirtualnym ekranie pojawiły się wykresy najważniejszych funkcji życiowych. – Tętno bardzo wysokie mimo zaaplikowania dwu dawek środków uspokajających. Gościu miał niezłego stracha, ciekawe czemu... – mamrotała pod nosem, przeglądając kolejne zakładki.

– Możesz dotrzeć do danych z jego komunikatora? – zapytał Clement.

– Teraz już tak – odparła, wiedząc, że po wyeliminowaniu zagrożenia może iść na całość.

– Cofnijmy się zatem o godzinę i nałożmy jedno na drugie – zaproponował.

- To chwilę potrwa... - Zamilkła, gdy na centralnym ekranie pojawiło się nowe okno. - O, widzę, że sam pan prezes się wzbudził - rzuciła kpiącym tonem.

- Olej dziada - poradził jej Priest.

- Mam lepszy pomysł. - Wyszukała coś w poczcie, przerzuciła załącznik i przerwała połączenie, blokując całemu zarządowi dostęp do serwera wieży.

- Co mu wysłałaś? - zainteresował się Walter.

- Nagranie z Deltę i... coś jeszcze.

- Co? Ale jak?... Skąd?... - Patrzyli na nią z na wpół otwartymi ustami.

- Mieliście je na swoich komunikatorach - przypomniała, wracając do przeglądania danych.

- Po cholere to zrobiłaś?! - wrzasnął Leslie.

- Choćby po to, żeby nam nie mącili - odpowiedziała krótko, ale zaraz wyjaśniła dokładniej: - Każdy bozon z zarządu kolonii może mnie odciąć od wrażliwych danych, jeśli dojdzie do siebie i zacznie logicznie myśleć. Dlatego wysłałam im coś, co sprawi, że nie będą mieli ochoty na takie zabawy.

- A to „coś jeszcze”, o którym wspomniałaś? - Z głosu Clementa przebiegała podejrzliwość. - Co to było?

- Parę słów ostrzeżenia - rzuciła obojętnym tonem, po czym opadła na oparcie fotela. - Dobra, nałożyłam dane na siebie. Zobaczmy, co tu mamy. Zaczynamy o dwudziestej pierwszej czterdzieści siedem, to pierwszy ping neurowszczepu mieszczący się w interesującym nas przedziale czasowym. Dwanaście minut przed podniesieniem panu Saberhagenowi ciśnienia.

Ikonka Saberhagena była soczyście zielona. Wszystkie odczyty mieściły się w normie. Zero nowych wiadomości na komunikatorze. Facet siedział w Złomowisku, gdzie pewnie zaszedł zaraz po robocie. Większość miejscowych tam zaglądała po godzinach, żeby coś zjeść, wypić jednego głębszego i pogadać ze znajomymi. Saberhagen siedział przy stoliku z kilkoma ludźmi ze swojego działu. Popijał buza, jak wszyscy pozostali. Sączył miarki na spokojnie, bez pośpiechu. Zachowywał się normalnie - jak ktoś, kto nie ma nic na sumieniu.

Leslie i Walter wzdrygnęli się naraz, gdy ikonka zniknęła. System z pewnym opóźnieniem doczytał nowe dane.

- Dwudziesta druga - objaśniła ich Mayasmine. - Jest już u siebie. - Wskazała inny sektor mapy. - Funkcje życiowe nadal w normie. Zatem to też tylko rutynowy ping. Zobaczmy... - Umilkła, ponieważ JeSień znów aktualizowała dane. - No, no... ciekawe.

- Co?

Tym razem mignięcie ikonki było tak szybkie, że zauważyli je wyłącznie dzięki zmianie koloru. Teraz była żółta.

- Dwudziesta druga trzy. - Sterling pochyliła się nad klawiaturą. - Nadal jest u siebie, ale ma podniesione ciśnienie, a puls mu przyśpiesza.

- Co z komunikatorem?

- Nic. Zero nowych połączeń i wiadomości.

- Ktoś go odwiedził? - zaczął zastanawiać się na głos Priest.

Dziewczyna przewinęła dane wstecz do poprzedniego pinga, rozszerzając zakres poszukiwań, ale w pobliżu kwatery Saberhagena nie pojawił się nikt obcy. W sąsiednich kubikach mieszkańcy przygotowywali się do snu. Żaden z nich nie wykazywał najmniejszych oznak zdenerwowania.

- Kolejne pingi mamy już średnio co dwie, trzy minuty - poinformowała.

- Coś musiało się wydarzyć. - Clement pochylił się niżej nad jej ramieniem.

- Pytanie tylko co - mruknęła, zagłębiona w myślach.

- Sprawdźmy monitoring - zaproponował Leslie.

- Nie ma takiej opcji.

- Dlaczego? Na kwaterach roi się od kamer.

- Owszem, jest ich tam sporo, ale w dzielnicy mieszkalnej działają obecnie tylko przy głównych skrzyżowaniach - wyjaśniła Mayasmine. - Resztę dawno uszkodzono albo odłączono. Wiesz, ludzie chcieli mieć odrobinę prywatności na swoich śmieciach, że tak powiem.

- I zarząd nic z tym nie robi? - zdziwił się Walter.

- Zarząd dawno dał sobie spokój, bo kamery nie włosy i na dupie nie rosną, a co którąś naprawiono, to zaraz znów się paliła albo psuła.

- Dobra, zostawmy to i jedźmy dalej - poprosił Walter.

Saberhagen ruszył się z miejsca dopiero po zgłoszeniu sprzętu do naprawy. Pięć minut przez zaniknięciem sygnału komunikatora opuścił kwaterę i ruszył ku jednej z miejscowych przetwórni, która - co ciekawe - nie należała do zatrudniającej go korporacji. Na Becie swoje instalacje miał każdy liczący się gracz, ale tylko cztery firmy zainwestowały solidniej

w eksploatację pierścienia. Trójca Przenajwiększa, co zrozumiałe, oraz Kai Masterton, ósmy na liście najbogatszych ludzi Galaktyki, z podupadającego ostatnimi czasy EuroComu. To właśnie w kierunku jego zakładów szedł śledzony przez nich spedytor. Jeśli nie liczyć wspomnianego już kontaktu ze strony Systemu w sprawie wymiany jednostki sterującej, komunikator nie ożył ani razu więcej. Neurowszczep nadawał za to regularnie, dzięki czemu mieli wciąż oko na Saberhagena.

Obserwowali w napięciu czerwoną ikonkę, która znikwała i niemal natychmiast pojawiała się w nieco innym, każdorazowo bardziej odludnym miejscu.

– Czyżby szedł się z kimś spotkać? – Priest wypowiedział głośno pytanie, które nurtowało ich wszystkich.

– Na to wygląda. – Po chwili milczenia Sterling dodała: – Patrzenie, chyba dotarł na miejsce...

Faktycznie – ikonka przestała się przemieszczać. Była godzina dwudziesta druga czterdzieści sześć. Cztery minuty po ostatecznym umilknięciu komunikatora. Saberhagen otrzymał właśnie kolejny podskórny zastrzyk, ale i ten koktajl nie uspokoił jego zszarganych nerwów. Czerwień ikonki pozostała równie krwista.

Sygnał urwał się jeszcze dwukrotnie, a potem zniknął na dobre.

– Co jest? – Leslie wyprostował się zdumiony.

– Zdaje się, że to był ostatni odczyt – odparła nie mniej zdziwiona Mayasmine.

Najbliższy pracownik znajdował się około trzystu metrów w linii prostej od miejsca, w którym jeszcze przed momentem stał zaginiony spedytor, lecz w tej sytuacji to nie odległość była najważniejsza. Obu ludzi dzieliło kilka grubych ścian i pracująca maszyna. Duże powiększenie mapy pozwoliło kontrolerce stwierdzić jeszcze jedno: Saberhagen zatrzymał się w wąskim przejściu pomiędzy dwiema halami. Z tym że nie było tam żadnych drzwi, którymi mógłby się niepostrzeżenie ewakuować.

– Da się to gówno jakoś wyłączyć? – Priest dotknął zgrubienia u nasady karku.

– Pewnie tak – odparła dziewczyna ze wzruszeniem ramion – ale trzeba do tego specjalisty i odpowiedniego sprzętu, których tam, w samym środku nocy, na pewno nie było.

– A alternatywne metody?

– Znam parę, ale wszystkie są mało przyjemne.

– Mów.

– Można usmażyć procesor, na przykład traktując go prądem o odpowiednio wysokim natężeniu, tyle że taki zabieg na sprzęcie wpiętym w ludzki mózg to naprawdę ostra jazda.

– Jak ostra?

– Co to ja jestem, Galaktopedia? – prychnęła.

– A inaczej nie da się tego zrobić? – nie ustępował Leslie.

– Da się.

– Jak?

Przyłożyła do skroni dwa wyprostowane palce i opuściła wyimaginowany kurek z kciuka.

Walter westchnął ciężko, zamykając temat.

Dziewczyna analizowała dane przez dłuższą chwilę.

– Pewnie zwyczajnie włożył do dobrze izolowanego kontenera – zasugerowała w końcu.

– I co dalej?

– Wyekspediowali go w tej trumience... – wyrwał się Priest, ale szybko umilkł, widząc kpiącą minę Mayasmine. – No co?

– To, że od zaniknięcia sygnału System nie wykrył w tym miejscu niczyjej obecności, ani człowieka, ani robota. Nie każcie mi tego ponownie sprawdzać, bo zrobiłam to już trzy razy. To po prostu pas gołej skały otoczony z trzech stron grubymi na metr ścianami z porobetonu.

– Czyli co? Nadal tam jest? – zapytał niepewnie Leslie.

Kontrolerka pokręciła stanowczo głową.

– Wysłałam przed chwilą drona z nadzoru pobliskiej linii produkcyjnej.

– I co?

– I nic. Pusto jak u ciebie we łbie.

– Nie mógł przecież zniknąć bez śladu.

– To prawda – przyznała. – Ludzie nie znikają sami z siebie.

– Gdzie zatem jest?

– Gdybym miała strzelać, powiedziałabym, że ktoś ściągnął go na to ubocze i zlikwidował.

– Zaraz, dopiero co twierdziłaś, że nikogo tam nie było! – zreflektował się Leslie.

– Powiedziałam, że System nie wykrył niczyjej obecności, a to drobna różnica.

– Sugerujesz... – zaczął Walter.

– Tak. Ktoś zadał sobie naprawdę wiele trudu, by doprowadzić do zniknięcia Saberhagena – stwierdziła. – Ktoś, kto doskonale wiedział, jak oszukać System. Ktoś grający w znacznie wyższej lidze niż wy, panowie.

– Czarni?

– Może. Ale na pewno nie tacy podrzędni orbitowcy jak nasi, tylko elita wydziału. Do tego są jeszcze służby specjalne Federacji, pracujący dla korpo najemnicy... Wybieraj, kogo chcesz.

– To chyba jednoznacznie dowodzi, że Saberhagen był umoczony – wtrącił Priest.

– Owszem – potaknęła Mayasmine. – Problem jednak w tym, że jego zniknięcie można przypisać każdemu, także wam.

– Nie kazano by nam go szukać, gdyby... – zaczął Leslie, ale dziewczyna nie pozwoliła mu dokończyć.

– Ja tylko mówię, jak to wygląda z zewnątrz. – Rozłożyła ręce. – Nie udowodnicie swojej niewinności, jeśli nie znajdziecie tego bozona, a na to raczej nie macie większych szans. Zrobiłam już wszystko, co mogłam. Naprawdę wszystko.

– Kurwirtual! – jęknął Clement.

– Z ust mi to wyjąłeś – rzuciła, po czym dodała: – Czyli co? Ściągam tu staruszka i spadamy, tak?

– Tak – potwierdził zgaszony Walter. – Tylko niech twój ojciec się pośpieszy.

– Jasne. – Odwróciła się do konsoli i nagle zamarła. – O, nie...

– Co się stało? – Priest, który właśnie zaczynał kolejną rundkę po sterowni, zatrzymał się w pół kroku.

– On... – bąknęła i ponownie zamilkła.

Zawiśli nad nią, zupełnie jak przedtem, i wpatrzyli się w migający czerwienią główny ekran.

– Nie żyje? – Clement zrobił wielkie oczy.

– JeSień twierdzi, że zginął – powiedziała łamiącym się głosem.

– Ale kiedy? Jak?

Mayasmine wyszukała ostatni namiar ojcowskiego komunikatora.

– Niemożliwe...

Ikonka znajdowała się w samym środku posterunku czarnych.

– Zwinęli go? Ale dlaczego? – zapytał Leslie.

– Nie wiem – szepnęła.

– Mogli namierzyć waszą rozmowę – podsunął Walter. – Jeśli wiedzieli, co tu robimy...

Sterling trzęsa się na całym ciele, kilka razy nie trafiła palcem we właściwy klawisz, ale w końcu zdołała wyszukać interesujące ją dane. Cofnęła się aż do chwili, w której wysłała ojcu informację o skutkach ataku na Deltę. Mając nadal zsynchronizowany podgląd zarówno na komunikatory, jak i na wszczepy neuralne, zobaczyła, jak kolor jego ikonki żółknie, co było zrozumiałe, a kilka sekund później...

– Co on wyprawia? – rzuciła szczerze zdumiona.

Kopia wiadomości została przekazana dalej. Na konto... czarnych! Mayasmine zeszytniała jak sparaliżowana. Nie mogła nawet mrugnąć, choć przesuszone lewe oko coraz bardziej ją kłuło.

Nie, nie i jeszcze raz nie! Stary dureń nie sprzedał się przecież tym śmieciom. Nie on.

Przekonaniu temu jawnie przeczył zarejestrowany przez System przebieg zdarzeń. Otrzymałszy wiadomość, mężczyzna opuścił kubik i pomaszerował prosto na posterunek. Dotarł na miejsce równocześnie z kilkoma innymi robotnikami, których Mayasmine nie знаła ani z twarzy, ani tym bardziej z nazwiska. Wyglądało to tak, jakby wubecja wezwwała zaufanych ludzi. Nikt nie zaciągnął ich tam siłą, wszyscy zjawili się ewidentnie z własnej woli. Byli lekko podenerwowani, ale dalecy od paniki charakteryzującej osoby wzywane znienacka na przesłuchanie.

Trzy minuty później i wubecy, i robotnicy wyparowali w eksplozji, której główną architektką była ona sama.

Sterling drgnęła, gdy Walter położył jej dłoń na ramieniu. Znów poczuła lekkie pieczenie w miejscu iniekcji.

– To... – Nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć.

Spojrzała mu prosto w oczy. Tym razem prócz środków pobudzających dostała silne antydepresanty. Nie zapomniała o ojcu ani o tym, co właśnie zrobiła, lecz wszystko nagle wydawało się jej mniej istotne. Nawet poczucie winy stopniało. Tliło się tylko gdzieś z tyłu głowy, napawając ją łatwym do przezwyciężenia melancholijnym smutkiem.

– Chodźmy stąd! – Zerwała się z fotela, odczuwszy nagłą potrzebę działania.

– Czekaj! – Clement przytrzymał ją, posadził na powrót przed wyświetlaczami.

– Co robisz?! – Teraz patrzyła na niego z wyrzutem. – Mieliśmy umowę!

– I nadal ją mamy – zapewnił. – Ale najpierw zgrasz dla mnie wszystkie dostępne informacje na temat tej sprawy. To, co oglądaliśmy, i całą resztę. Kopiuj, co się da. Może nasi wyciągną coś więcej z tych nagrań.

Mayasmine wyjęła z kieszeni feralny kryształ, który byłby przypięczętował jej los, gdyby w wieży pojawił się ktoś inny.

– Mam lepszy pomysł – odparła i podnosząc głos, zwróciła się do Systemu. – JeSIEń, mam dla ciebie nowe zadanie. Zgrupuj dane, nad którymi ostatnio pracowaliśmy, oraz wiążące się z nimi materiały z ostatnich dwóch dni, przenieś je do osobnych banków pamięci i wysuń odpowiednie moduły.

Sztuczna inteligencja wykonała posłusznie wydane jej polecenie. Jeden z paneli w tylnej ścianie sterowni uchylił się, odsłaniając bloki serwera. Diody przy czterech kryształowych płytach wielkości ludzkiej dłoni zapłonęły intensywną czerwienią.

Rozdział 2

*Terytoria Wewnętrzne,
stacja w atmosferze Delty,
System Gravenhurst 4, Sektor Whisky,
10.05.2234, godz. 07:11*

- Długo to trwało. - W głosie Wergiliusza słychać było naganę.

Nie spuszczać wzroku z twarzy rozmówcy, Bukowski odpowiedział:

- Ale się opłaciło.

- Naprawdę? Każda minuta opóźnienia drugiego przekazu to kolejne spalone łącza. Czarni z pewnością nie próżnują po pańskim poprzednim występie.

- Na szczęście dysponujemy wystarczającą liczbą zapasowych kanałów komunikacji - skontrował natychmiast Robert.

- Nie tyłoma, ilu bym sobie życzył - zgasił go przywódca separatystów.

- W takim razie przepraszam. Powiedzmy, że zwlekałem, ponieważ chciałem postawić zamaszystą „kropkę nad i”, jak mawiano w moich czasach.

- Czy to znaczy, że o czymś nie wiem, choć powinienem? - zapytał Wergiliusz.

Choć jego awatar dysponował bardzo ograniczoną mimiką, emocje dało się wyczytać z głosu - w tym konkretnym momencie przebijają z niego zaniepokojenie.

- Obawiam się, że tak - przyznał kapitan. - Ale zaraz to nadrobimy.

Uśmiechając się znacząco, sięgnął do klawisza aktywującego holopad. Nad białym pojawiła się jego dumnie wyprostowana sylwetka. Minę miał poważną, można powiedzieć nawet, że ponurą. Stał tak, milcząc, całe trzy sekundy, po czym nabrał tchu i w końcu przemówił:

- Byliśmy naiwni, sądząc, że możemy bezkarnie zapobiec zbrodni, jaką byłoby wdrożenie formuły Diakowa. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że Rada zdołała zinfiltrować szeregi naszej organizacji. Tak, słuch was nie

myli. Zagłada Deltę to dzieło skorumpowanych polityków i oligarchów, nie nasze! Klnę się na honor, że zamierzaliśmy zniszczyć wyłącznie kompleks Instytutu. Ktoś postanowił jednak pokrzyżować nam plany i podmienił ładunek. Nie ulega wątpliwości, że za tym haniebnym czynem stoją ludzie, którzy chcą doprowadzić do zdławienia rodzących się właśnie ruchów wyzwolenicznych i w imię tego są gotowi rozpętać piekło. Znacnie mnie, wiecie, kim jestem i co przeżyłem. Znacnie też historię naszej cywilizacji. Zastanówcie się zatem dobrze i odpowiedzcie sobie na proste pytanie: komu była na rękę śmierć tych milionów nieszczęśliwych? Nam, idealistom próbującym ocalić was przed totalnym zniewoleniem, czy oprawcom chętnym płacić miliardy kredytów za broń, która zrobi z was bezwolne kukły będące własnością korporacji? – Bukowski zamilkł na chwilę, pochylił głowę, a gdy podniósł ją ponownie, na jego twarzy widniał złowieszczy grymas. – Nie znacie dnia ani godziny. Do was mówię, spalone kanale wysługujące się zdeprawowanym bogaczom. Wkrótce przedstawimy dowody naszej niewinności i doprowadzimy do surowego osądzenia, a także ukarania wszystkich, którzy przyłożyli rękę do zagłady mieszkańców Deltę Centuriona. Wszystkich co do jednego. Kalidon 11 to dopiero początek! – Na koniec podniósł głos. – Idziemy po was!

W tym momencie jego hologram został zastąpiony obrazem bazy floty przestrzennej Federacji, w której centrum dało się zauważyć gigantyczną kulę szczątków, w jakie kolapsar zamienił flotyllę rzekomych statków szpitalnych. Tylko że statyczny widok, zapamiętany przez Wergiliusza, stał się nagle dynamiczny: wirująca kula puchła w oczach, jakby coś rozsadzało ją od środka.

– To... – Przywódca separatystów zaniemówił, patrząc na ciąg dalszy orgii zniszczenia.

Po wyłączeniu holoprojektora w kajucie Bukowskiego zapanowała niczym niezmacona cisza, którą dopiero po dłuższej chwili przerwał właściciel tej stacji.

– Czy to prawda?

– Tak – odparł Robert. – Struktury dowodzenia trzeciego metasektora zostały wyeliminowane.

– Jak... – Przez chwilę Wergiliusz poruszał tylko bezdźwięcznie ustami. – Jak do tego doszło? Ten... kolapsar, czy jak mu tam, miał podobno działać nieprzerwanie przez setki godzin.

- I tak by było - przyznał kapitan - gdybym nie aktywował zdalnie mechanizmu pozwalającego na awaryjne wyłączenie reaktora.

- Zatem to nie wypadek... - Tym razem nawet niedoskonała projekcja oddawała zaskoczenie Wergiliusza i... coś jeszcze. Trudno było jednak powiedzieć, czy chodzi raczej o niepewność czy o strach. - To było pańskie celowe działanie.

- Tak.

Przywódca separatystów pokręcił ze smutkiem głową.

- Zdaje pan sobie sprawę, że tym posunięciem zaprzepaścił wszystko? - zapytał po chwili niezręcznej ciszy.

- Myli się pan! - zaprotestował gorąco Bukowski. - Proszę mi zaufać.

- Mam panu zaufać? - żachnął się Wergiliusz. - To kolejny atak na taką skalę. Kolejna zbrodnia, którą nam przypiszą. Kolejny powód do zemsty.

- Nie. To był atak na konkretny obiekt militarny. Atak, do którego natychmiast i w pełni się przyznaliśmy. Więcej nawet - Robert coraz bardziej zapalał się do tematu. - Krok odwetowy wymierzony w zbrodniarzy, którzy brali czynny udział we wdrażaniu procedury Diakowa. Proszę nie zapominać, że baza została zniszczona przez wraki jednostek, na których pokładzie miano nas wszystkich zniewolić.

- Nie tak to widzę...

- Wiem. I właśnie dlatego nie wspomniałem panu o tym szczególe planu. Zabroniłby pan...

- O tak! Zabroniłbym bez dwóch zdań. To... to przecież... - Wergiliusz umilkł. - Nie tak to miało wyglądać. Nie tak!

- Zdaję sobie sprawę, że chciał pan wzorować swój ruch na Gandhim, na jego biernym oporze, ale tragedia Deltę zmieniła wszystko bez względu na to, czy my czegoś nie dopatrzyliśmy, czy Rada podjęła działania na własną rękę. Z tego punktu nie ma już odwrotu. Musi pan o tym wiedzieć równie dobrze jak ja.

- Owszem - potaknął Wergiliusz. - Ale po tym, co pan teraz zrobił, oni... Pan nie tylko wypaczył po raz kolejny nasze ideały, pan dał wrogowi broń do ręki! - Spuścił głowę, potem pokręcił nią z rezygnacją. - Teraz dopiero się za nas wezmą - zakończył ledwie słyszalnym szeptem.

- Wręcz przeciwnie! - zaprzeczył Bukowski, nie spuszczać z tonu. - Teraz nasi przeciwnicy dwa razy się zastanowią, zanim wykonają następny ruch.

- Tak pan uważa? - Przywódca separatystów prychnął z irytacją. - Na tym chyba nasza rozmowa powinna się...

- Nie. - Robert powstrzymał go uniesieniem dłoni. - Proszę mnie wysłuchać, zanim podejmie pan ostateczną decyzję.

- Nie zamierzam dalej w to brnąć - odparł Wergiliusz.

- Proszę o pięć minut, nie więcej.

- Zgoda. Przez wzgląd na pańskie wcześniejsze dokonania pozwolę panu na całą wypowiedź, choć szczerze wątpię, by zdołał mnie pan przekonać.

- Dziękuję. Reasumując: załuda Deltę postawiła nas na straconej pozycji. Rada Federacji chciałaby to wykorzystać, ale zniszczenie Kalidona wytrąciło jej broń z ręki. Nie chodzi o to, że pozbawiliśmy Terytoria Wewnętrzne struktur dowodzenia, które da się przecież bez problemu zastąpić, choćby zdalnie... - Mówiąc, kapitan włączył ponownie holopad. Tym razem nad stołem pojawił się kadr przedstawiający kompletnie zniszczony pierścień bazy. Przy poszczególnych instalacjach zaczęły się pojawiać okienka wypełnione liczbami. - O wiele większe znaczenie mają straty materialne i nie, nie mam tu na myśli okrętów wojennych, które znalazły się w polu rażenia.

- Nie? - zdziwił się Wergiliusz.

- Nie. Federację zdecydowanie bardziej zaboli utrata kluczowych dla metasektora instalacji. - Zanim przeszedł do ich wymienienia, podświetlił na hologramie odpowiednie segmenty. - Proszę spojrzeć. Flota straciła doki orbitalne najnowszej generacji, zdolne do przeprowadzania równoczesnych napraw ponad trzydziestu jednostek. Bez nich każdy uszkodzony w starciu lub sabotowany okręt trzeba będzie przetransportować aż do Systemów Centralnych, ponieważ na całych Terytoriach Wewnętrznych nie ma stoczni remontowej. Politycy i oligarchowie tak bardzo chcieli nas ubezwłasnowolnić, że nie zezwolili na budowę żadnej większej prywatnej stoczni, by nikt się tutaj przypadkiem nie usamodzielił.

- To prawda - przyznał Wergiliusz wypranym z emocji tonem, który nie wróżył niczego dobrego.

- Idźmy dalej - kontynuował niezrażony Robert. - Przy dokach znajdowały się trzy gigantyczne magazyny orbitalne, w których flota przechowywała to, co potrzebne do prowadzenia ewentualnych walk. Za jednym zamachem odebraliśmy przeciwnikowi wszystko, co mogłoby mu posłużyć do pacyfikacji Terytoriów i Rubieży. Zniszczyliśmy zapasy broni, amu-

nicji i wyposażenia dla oddziałów, które w najbliższym czasie zostaną zmobilizowane w Systemach Centralnych. Admiralicja stanęła nie tylko przed trudnym zadaniem uzupełnienia tych strat, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie dopuści do ogołocenia z rezerw pozostałych metasektorów, ale też przed zakrojonym na ogromną skalę przedsięwzięciem logistycznym, co do sukcesu którego można mieć wątpliwości. – Wyrzucał z siebie słowa coraz szybciej, nie chcąc przekroczyć danego mu czasu. – Następna sprawa: ogniwa paliwowe... – Podświetlił kolejną instalację. – Pozbawiliśmy ich nie dość, że całych zapasów, to jeszcze linii produkcyjnej, a to oznacza przejściowe ograniczenie ruchu wszelakich jednostek. Podejrzewam, że w tej sytuacji admiralicja może zabronić wielu dowódcom opuszczania macierzystych systemów.

– Tak dobrze na pewno nie będzie. Zapomniał pan o sześciu bazach, w których trzymane są rezerwy strategiczne.

– Nie zapomniałem. Jeśli niczego nie pomyliłem, Kalidon zaopatrywał je cyklicznie dwa razy w roku.

– Tak, chyba tak.

– Zatem statystyczne zużycie ogniw w tych bazach wynosi piętnaście procent stanu na każdy miesiąc.

– Zgadza się.

– Slena?

– Tak, kapitanie?

– Czy wiesz, którego dnia miesiąca wychodzą takie transporty?

– Ogniwa paliwowe są wywożone zawsze piętnastego dnia danego miesiąca, kapitanie – odpowiedziała natychmiast sztuczna inteligencja.

– Dziękuję. – Bukowski zatarł ręce. – To znaczy, że tylko jedna z nich ma w tym momencie nieco ponad osiemdziesiąt pięć procent zapasów, a każda następna o piętnaście procent mniej. Do których baz poszły ostatnie transporty?

– W minionym miesiącu wysłano transport na Olhuveli 9 w Sektorze Foxtrot, a w marcu zaopatrzono bazę na Greymouth 17 w Sektorze Echo.

– Slena, podaj mi jeszcze, dokąd poleciały transporty ze stycznia i grudnia?

– Według rozdzielnika dowództwa trzeciego metasektora były przeznaczone do baz Osimo 4 i Galvestone 3 w Sektorze Papa.

– Wspaniale – ucieszył się Robert. – To bazy znajdujące się na bardziej oddalonych szlakach tranzytowych. Te w naszych sektorach mają prawie

puste magazyny!

- Zapomina pan o zapasach korporacyjnych – nie odpuszczał Wergiliusz.

- Nie zapominam – zapewnił go kapitan. – Ich przejęcie bądź eliminację uważam za nasz obecny priorytet. I bynajmniej nie mówię o niszczeniu tych instalacji – zastrzegł się, widząc reakcję rozmówcy. – Ma pan ludzi dosłownie wszędzie, wystarczy zatem kilka udanych akcji sabotażowych. Poza tym ogniwa stosowane w jednostkach handlowych to jednak nie ta pojemność i nie ta wydajność. Nie sposób na nich długo latać i strzelać, a nawet chwilowe ograniczenie ruchów floty da nam drugi oddech, którego możemy potrzebować zwłaszcza w początkowym okresie konfrontacji... – Umilkł na moment i uśmiechnął się pod nosem. – Zależało panu, by mieć czas na dokończenie budowy własnych okrętów. Ten atak równa się kilku dodatkowym tygodniom, może nawet dwóm miesiącom, jeśli umiejętnie wykorzystamy sytuację.

- Umiejętnie, czyli jak? – W głosie rozmówcy pojawiło się lekkie na razie zainteresowanie.

Bukowski przerzucił na holopad kolejny plik – tym razem na mapę metasektora została nałożona sieć tuneli czasoprzestrzennych. Od oznaczonych kolorem zielonym głównych arterii łączących Systemy Centralne z Rubieżami odchodziły setki niebieskich odnóg, z których znaczna część kończyła się ślepo po kilku, czasem nawet kilkunastu odcinkach.

- Jesteśmy w stanie przeciwnikowi utrudnić albo wręcz całkowicie uniemożliwić dostęp do sporej części naszego metasektora – wyjaśnił.

Jeden ruch dłoni wystarczył, by w kilku miejscach na wysokości pasa A pojawiły się pulsujące czerwone sfery.

- W jaki sposób?

- W taki jak na Hyperionie.

- Chce pan blokować strefy skoku szczątkami wraków?

- Tak.

- To przecież chwilowe rozwiązanie – zdziwił się przywódca separatystów. – Zagrożenie dla ruchu mija po maksymalnie kilku godzinach.

- W chwili obecnej na Terytoriach znajdują się tysiące frachtowców należących do największych korporacji oraz setki części instalacji przemysłowych transportowane na Rubieże. Wiele jest równie dużych jak ta, którą posłużyliśmy się na Hyperionie – przypomniał mu kapitan. – Gdy je odpowiednio spożytkować, wystarczy ich na długie miesiące blokady.

- Zapomina pan o... - wtrącił Wergiliusz.

- Nie. - Bukowski wszedł mu natychmiast w słowo. - O niczym nie zapominam. Przemyslałem wszystko niezwykle dokładnie. Zdaję sobie sprawę, że admiralicja może przerzucać okręty pomiędzy sąsiednimi systemami dzięki skokom podprzestrzennym. To jednak zajmuje dużo więcej czasu, o czym obaj doskonale wiemy. Jest też znacznie bardziej ryzykowne, zwłaszcza na ostatnim etapie podróży, gdy wykonuje się skok do lub w pobliże systemu docelowego. Dostępne opracowania pokazują, że ryzyko uszkodzenia bądź nawet zniszczenia jednostek przemieszczających się tą metodą jest na tyle wysokie, że stosuje się ją tylko w wyjątkowych sytuacjach.

- Czyli w takich jak ta - zauważył przywódca separatystów.

- Owszem, aczkolwiek pogrom na Kalidonie z pewnością dał admiralicji do myślenia. Flotę czeka reorganizacja. Trzeba utworzyć nowe związki taktyczne, wydzielić je z istniejących struktur, wyposażać odpowiednio, wyszkolić i tak dalej. To wszystko wymaga czasu. Uważam, że synchroniczna blokada stref skoku na kluczowych szlakach pasa A wymusi na dowództwie znaczną ostrożność. Mówiąc wprost, zdecydowane działania zostaną podjęte dopiero pod wpływem nalegań Rady...

- Która może się obudzić szybciej, niż myślimy.

- Nie sądzę. Wojskowi i politycy opierają się nie na doświadczeniu, lecz na algorytmach. A sztuczna inteligencja nie improwizuje, tylko podpowiada najbardziej logiczne rozwiązania. Przystudiowałem wszystkie dostępne materiały i jestem zdania, że SI doradzi, by przez kilka najbliższych tygodni akcję pacyfikacyjną prowadziły wyłącznie jednostki operujące w przestrzeni trzeciego metasektora. Dopiero po ich fiasku możemy się spodziewać bardziej radykalnych posunięć, takich jak próby przełamania blokad za pomocą większej liczby okrętów wojennych przerzucanych skokami podprzestrzennymi. Z tym że nawet wtedy admiralicja w ramach minimalizowania ryzyka rozkaże poszczególnym dowódcom, aby ostatni etap podróży międzysystemowej pokonali z prędkością podświetlną, co w niektórych przypadkach wydłuży dotarcie do celu o wiele dni.

- Ale gdy już przylecą... - Przywódca separatystów zawiesił znacząco głos.

- ...wycofamy się do kolejnego pasa i cała zabawa zacznie się od nowa - dokończył z uśmiechem na ustach Bukowski. - Czy to nie kwintesencja pańskiego biernego oporu? Działając mądrze, zdołamy kupić sobie

wystarczająco dużo czasu, by nasza flota uzyskała gotowość bojową, a gdy już ją pokażemy światu, Rada będzie zmuszona podjąć z nami negocjacje.

– A jeśli admiralicja skieruje do akcji przełamывania blokad te okręty, które znajdują się na Terytoriach? – zapytał Wergiliusz. – Jest ich tu nadal sporo. Bez problemu przejmą kontrolę nad strefami skoku, nawet jeśli dysponują uszczuplonymi zapasami paliwa.

– Mogłyby to zrobić, gdyby nie rozśrodkowanie sił. – Bukowski musnął palcem klawiaturę holopada, przywołując mrowie ikonki odwzorowujących aktualne rozmieszczenie okrętów wojennych Federacji. – W imię wspomnianego przez pana celu trzeba by je wycofać z wielu ważnych... i wcale nie tak bliskich systemów... na co Rada nie może sobie obecnie pozwolić. Kiedy dojdzie do masowych wystąpień...

– Jeśli dojdzie do masowych wystąpień – poprawił go Wergiliusz.

– Osobiście jestem przekonany, że mieszkańcy Terytoriów wypowiedzą posłuszeństwo Federacji.

– Myśli pan, że pójdą za nami po tym, co stało się na Delcie?

– Mogą się od nas odciąć – przyznał Robert. – Wielu z pewnością to zrobi, ale pierwszy kamik został już tracony i tak czy inaczej doprowadzi do lawiny.

– Optymista z pana, kapitanie.

– Realista raczej. Najbliższe godziny pokażą, czy mam rację – dodał Bukowski. – Pod warunkiem że ludzie Bradama przejmą tego bozona z Fukushima, który wpakował nas na minę.

Przywódca separatystów milczał dłuższą chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał albo słuchał kogoś innego.

– To może teraz ja powiem panu coś, o czym pan jeszcze nie wie – odezwał się nagle. – Ten bozon, jak raczył go pan nazwać, zdołał nam się wymknąć.

– Jak to możliwe? – zdziwił się Bukowski. – Mieli go dopaść jeszcze przed tym, zanim dotarło do nich moje przesłanie.

– I tak by się stało, kapitanie, ale spedytor, którego szukali, wyparował, dosłownie rozplynął się w powietrzu, i to cztery bite godziny przed atakiem.

– Dlaczego nie zostałem o tym wcześniej poinformowany?! – obruszył się Robert.

– Dlatego że wiadomość z Fukushima przysłała w tym właśnie momencie. – Wergiliusz wskazał migoczącą diodę na komunikatorze kapitana.

On sam był sprzęgnięty z Systemem stacji, który przekazywał mu najważniejsze informacje w czasie rzeczywistym. – Wygląda na to, że teoria Huxley nie była taka głupia. Rada zdołała jakimś cudem zinfiltrować naszą organizację.

Robert odchylił się na oparcie fotela.

Do tej pory uważałem, że bardziej prawdopodobny jest ludzki błąd, jak sugerował to del Rey, a tu proszę...

Po dłuższym namyśle powiedział:

– Może przeciek nastąpił nie tutaj, tylko tam, na Becie. Może spedytor od samego początku pracował dla czarnych i przekazał im, że przygotowujemy jakąś akcję, po czym na ich rozkaz dokonał podmiiany.

– Skąd takie przypuszczenie? – Tym razem Wergiliusz wydawał się autentycznie zaintrygowany.

– Proszę zwrócić uwagę, że druga strona działała na oślep – odparł Bukowski. – Gdyby przeciwnicy wiedzieli, co planujemy, już dawno staliby u naszych drzwi. Na Hyperiona albo do sąsiednich pasów skierowaliby po kilka okrętów albo nawet zespołów uderzeniowych. Siły, które można by błyskawicznie przerzucić na Gravenhursta i dalej... – Zawiesił głos. – Niczego takiego nie zaobserwowaliśmy w minionych dniach.

Budowana przez separatystów flota była zbyt dużym zagrożeniem, by pozostawiono ją w spokoju, w razie gdyby jej istnienie wyszło na jaw. Nawet największy dureń to rozumiał, a do Rady nie trafiali przecież skończeni kretyni.

– To ma sens – przyznał po zastanowieniu Wergiliusz. – Ale proszę, nie odbiegajmy od tematu, bo czas nagli.

– Oczywiście... – Robert musiał zaczerpnąć tchu i zebrać myśli. – Gdy dojdzie do masowych wystąpień, korporacje wymuszą na politykach działania zmierzające w pierwszej kolejności do ochrony ich najcenniejszych instalacji, z których wiele znajduje się w głębi Terytoriów i na Rubieżach, tam gdzie wcześniej wrzało najmocniej i gdzie prawie każda kolonia została wyposażona w ujawnione przez nas zabezpieczenia. Pańscy ludzie namierzali setki takich pułapek. Wystarczy wskazać je komu trzeba, a rozwścieczeni ludzie wezmą sprawy w swoje ręce.

– Tak, to wysoce prawdopodobne, tyle że w pasach, które zostały skolonizowane najwcześniej, takie zabezpieczenia należą do rzadkości – zauważył przywódca separatystów. – Tam zresztą nastroje są znacznie

mniej radykalne, ponieważ starym koloniom niewiele brakuje do osiągnięcia statusu porównywalnego z Systemami Centralnymi.

– Wiem – potaknął kapitan. – Dlatego musi pan podjąć decyzję, czy idziemy na całość i zaczynamy blokady od pasa A, czy koncentrujemy się tylko na odleglejszych, ale za to pewniejszych pasach od G w górę, gdzie poparcie dla naszych działań będzie dużo większe.

– Mówi pan tak, jakbym już wyraził zgodę na te działania.

– Ufam, że pójdzie pan za głosem rozsądku.

– Głos rozsądku podpowiada mi, abym zachował daleko idącą ostrożność.

– Kości zostały rzucone – przypomniał mu Robert. – Deltę nie cofniemy. Baza na Kalidonie 11 przestała istnieć. Spedytor okazał się wtyczką wroga. Jedyne, co możemy zrobić, to iść za ciosem. Póki przeciwnik jest oszołomiony i siania się na nogach. Im większa będzie skala buntów, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że Rada zdoła pokrzyżować nasze dalsze plany. Poza tym trzon floty to jedno- i dwuosobowe myśliwce, które nadają się może do ścigania przemytników i pilnowania porządku na orbitach albo w trakcie parad, lecz na pewno nie zdołają zapobiec blokadom stref skoku.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego...

– Wystarczy zaminować jednostki rozmieszczane w strefach skoku – wyjaśnił kapitan. – Co pilot myśliwca może w tej sytuacji zrobić? Nic. Odholowanie nie wchodzi w grę, bo moglibyśmy je zdalnie wysadzić. A rozwalenie ich torpedami tak czy siak doprowadzi do blokady.

– Niszcząc wszystkie cele w krótkim czasie, pozbawiliby nas... – zaczął Wergiliusz, ale sam umilkł.

– Te myśliwce są zbyt słabo uzbrojone, by mogły zniszczyć wiele celów w krótkim czasie. W Galaktopedii wyczytałem, że dysponują dwiema albo czterema raketami i sprzężonym zestawem działek laserowych. Mają przechwytywać statki wchodzące na orbitę, atakować w dużej przewadze liczebnej niszczyciele i krążowniki, angażować ich systemy obrony i nadweręzać osłony energetyczne, aby większe jednostki rozprawiły się z nimi do końca. W tym przypadku nie zdadzą się na nic, bo przy wylocie każdego tunelu czasoprzestrzennego stacjonuje ich tylko po kilka, a nikt przy zdrowych zmysłach nie zaryzykuje przecież skoku w podobnych okolicznościach. I tutaj – kapitan uśmiechnął się szerzej – znów wracamy do kwestii ogniw paliwowych.

– Pan to chyba rzeczywiście wszystko sobie dobrze przemyślał. – Przywódca separatystów pokręcił głową, przyglądając się mapie Terytoriów Wewnętrznych. – Będę z panem brutalnie szczery: naruszył pan moje zaufanie, podejmując samodzielnie decyzję o zniszczeniu Kalidona.

– Gdyby był na to czas, poprosiłbym o zgodę, ale sam pan wie, pod jaką presją działamy. Dostrzegłem okazję i wykorzystałem ją w ostatniej chwili, niewiele się zastanawiając – skłamał, nie chcąc zaognić sytuacji.

– Osobiście to rozumiem, ale dręczy mnie obawa o reakcję moich ludzi. Zagłada Delty zrobiła na nich wielkie wrażenie, niektórych doprowadziła na skraj załamania. Gdy usłyszą o Kalidonie, mogą zwyczajnie odejść z ruchu oporu.

– Dużo będzie zależało od tego, jak pan przedstawi tę sprawę – odparł zwięźle Bukowski.

– Zechce pan rozwinąć swoją myśl?

– Jeśli im pan powie, że to była moja samowolka, pewnie się zbuntują.

– A mam inne wyjście?

– Może pan wziąć to na siebie. I przedstawić im bilans zysków i strat.

– A jak wyjaśnię, że dowiadują się o tym po fakcie?

– Zlecił mi pan przeprowadzenie ataku bez ich wiedzy, gdyż nie było czasu na długie dyskusje jak w przypadku Delty.

– Pan ma gotową odpowiedź na wszystko.

– Gdyby było inaczej, nie wynająłby mnie pan... o ile mogę tak to ująć.

Przez krótką chwilę spoglądali na siebie w milczeniu, człowiek z dawnej epoki i holograficzny awatar.

– Nienawidzę kłamać, a zwłaszcza oszukiwać ludzi, którzy bezgranicznie mi ufają – stwierdził w końcu Wergiliusz. – To nigdy do niczego dobrego nie prowadzi.

– Nie zazdroszczę panu – wyznał Robert. – Ostateczna decyzja nie należy niestety do mnie.

Przywódca separatystów przymknął oczy. Wyglądał, jakby się modlił. Stał nieruchomo, jakby ktoś zatrzymał transmisję, dopóki hologram nie rozmył się i nie zniknął. W tej samej chwili komunikator Bukowskiego ożył. Jego druga wiadomość została wysłana.

Rozdział 3

*Systemy Centralne,
siedziba władz Federacji,
Ziemia, Sektor Alfa,
10.05.2234, godz. 07:11*

– Czy ktoś może mi powiedzieć, dlaczego połączenie zostało przerwane? – Stross rozejrzał się gniewnie.

– Połączenie zostało przerwane z powodu utracenia kontaktu z nadajnikiem Kalidona 11 – odpowiedziała usłużnym tonem Sigma.

– Cóż za wnikliwa i celna analiza problemu! – parsknął jeszcze bardziej rozeźlony polityk.

– Dziękuję, panie kanclerzu. – Zawiadująca centrum łączności sztuczna inteligencja albo wzięła jego sarkazm za dobrą monetę, albo była nauczona pokory.

– Jakie były powody utraty łączności? – sprecyzowała pytanie Connie Wollheim, niska szatynka drobnej budowy, piastująca od niedawna stanowisko głównej i zarazem najbardziej zaufanej doradczynie przywódcy Federacji.

Wspięła się na szczyty w tak młodym wieku – za niespełna trzy miesiące miała obchodzić trzydzieste szóste urodziny – dzięki niezwyklej wnikliwości i doskonałej intuicji, które pozwalały jej trafnie przewidywać przyszłość. Myliła się tak rzadko, że niektórzy z jej byłych pracodawców, a każdy należał do grona najbardziej wpływowych postaci w Federacji, uważali nawet, choć głośno o tym nie mówili, iż w przypadku tej kobiety może chodzić o coś więcej niż tylko inteligencję i zdrowy rozsądek. Connie nie prostowała tych plotek, ponieważ ułatwiały jej karierę.

– Nadajnik Kalidona 11 zamilkł z niewiadomych na razie przyczyn i od tamtej pory nie odpowiada – uściśliła Sigma.

Stross wyprostował się w fotelu.

– Co to może oznaczać? – zapytał.

- Albo doszło do poważnego uszkodzenia nadajnika, albo został on wyłączony – odparła sztuczna inteligencja.

Obie możliwości wydawały się równie niepokojące.

- Możemy jakoś sprawdzić, co się tam dzieje?

- Jedynym źródłem bieżących informacji o Kalidonie 11 jest obecnie tamtejsza stacja monitorująca – odpowiedziała Sigma.

- Łącz natychmiast!

Mimo kategorycznego rozkazu holopad ożył dopiero po kilku dłużących się niemiłosiernie sekundach. Najpierw zobaczyli Alfę i Betę, potem System dokonał całej serii zbliżeń i przeskalowań, po których udało się uzyskać w miarę ostry obraz bazy. Wtedy właśnie kanclerz spostrzegł, że ma do czynienia nie z nagraniem, lecz z pojedynczą „klatką” hologramu.

- Stacja monitorująca nie jest w stanie utrzymać ciągłej transmisji kwantowej – tym razem wyjaśnienie udzieliła Wollheim. – Jej reaktor ma na to zbyt małą moc. Kolejne ujęcia będziemy otrzymywali mniej więcej raz na osiem sekund. Nic więcej nie wydusimy, chociaż...

- Tak?

- System może wypełnić luki pomiędzy zarejestrowanymi obrazami, tworząc coś w rodzaju animacji.

- W czasie rzeczywistym?

- Owszem, ale na każde kolejne uaktualnienie nadal będziemy musieli czekać osiem sekund.

- Zostawmy więc tak, jak jest – zdecydował kanclerz, skupiając się ponownie na przekazie.

Tuzin orbitalnych instalacji tworzył krąg o promieniu trzystu kilometrów. Jednostki NeuroTeku znajdowały się między nimi, zlokalizowane mniej więcej sto kilometrów od najmasywniejszego elementu kompleksu, którym była stacja sztabowa mieszcząca centrum dowodzenia. Formacja, która do niedawna tworzyła niemal idealny prostopadłościan, obecnie była bardzo zniekształcona. Wyglądało to wręcz tak, jakby coś ją wsysało do wnętrza stosunkowo niewielkiej połyskującej kuli.

- Nie widzę niczego niepokojącego, jeśli nie liczyć tej anomalii. – Kanclerz zbadał wzrokiem następny hologram przesłany z Kalidona.

- Stacja monitorująca znajduje się w odległości dwu minut i trzydziestu siedmiu sekund świetlnych od bazy – wyjaśniła Wollheim. – Musimy zatem poczekać jeszcze sto czternaście sekund, zanim będziemy świadkami wydarzeń, w wyniku których doszło do zamilknięcia nadajnika.

- Hm... - Stross obrócił się lekko w fotelu, aby spojrzeć w jej kierunku.
- Skoro mamy wolną chwilę, powiedz, co sądzisz o teorii Leibera.

- Z pozoru wydaje się sensowna - zaczęła ostrożnie doradczyni. - Chociaż...

- Mów śmiało.

- Dostrzegam w niej kilka istotnych luk. Po pierwsze, admirał nie ma bladego pojęcia, że zleciliśmy likwidację Bukowskiego, i choćby z tego powodu wyciąga mylnie wnioski z jego cudownego zmartwychwstania.

- Jakie to ma znaczenie dla sprawy? - zapytał kanclerz, przyglądając się kolejnemu hologramowi, identycznemu jak poprzedni.

- Może niezbyt wielkie - przyznała Wollheim. - Ale fakt pozostaje faktem: teoria admirała powstała w oparciu o fałszywe przesłanki.

- Nie wiemy tego na pewno.

- Po drugie - niezrażona kontynuowała wyliczankę - analitycy Leibera nie wzięli pod uwagę, że oligarchowie, którzy potrafią być bezwzględni skurwyklonami, nie są szaleńcami. Załóżmy, że ktoś z Trójcy Przenajwiększej uknuł spisek, by uniemożliwić NeuroTekowi prześcignięcie konkurentów. Ile miałby czasu? Cztery miesiące, góra sześć. Zważywszy na środki, jakimi dysponują metakorporacje, byłoby to wykonalne, lecz wymagałoby niezwykle szybkich działań na naprawę szeroką skalę, a jak wiadomo, pośpiech często rodzi błędy. W tym przypadku byłyby nieuniknione. Ponieważ konkurencja nie śpi... według mojej wiedzy wywiad przemysłowy InduSTriała czy OCP jest nawet skuteczniejszy niż nasz... nie mogłoby być mowy o zachowaniu tajemnicy. Każdy z graczy chętnie ujawniłby sekret konkurenta przed całym światem. Zagłada Deltę Centuriona to zbrodnia tak niewyobrażalna, że winni jej popełnienia muszą ponieść najwyższą karę, nawet jeśli uważają się za nietykalnych.

- Co racja, to racja - zgodził się kanclerz, obejrzawszy czwarty hologram, niczym nieróżniący się od poprzednich.

- Gdyby za spiskiem stał Harada - dodała jeszcze po namyśle Wollheim - rozprawiliby się z NeuroTekiem w białych rękawiczkach. Zlikwidowałby Diakowa na ostatnią chwilę, tuż przed przekazaniem nam formuły, i na tym by poprzestał. Wyeliminowałby zagrożenie ze strony Instytutu, pozostawiając samą formułę w grze.

- Wyndham i jego wspólnicy nie poddałoby się bez walki.

- Wystarczyłoby ich oskarżyć o doprowadzenie do katastrofy *Neurona* i *Protektora*.

– Po co mieliby robić coś tak durnego?

– Żeby ukryć fiasko badań i uniknąć dotkliwych kar, jakie nałożylibyśmy na Instytut w związku ze złamaniem umowy. Przypnie pan, że udany zamach na twórcę formuły mógłby być przyczynkiem do renegeacji warunków. Dysponując zachowanymi najważniejszymi danymi dotyczącymi formuły, mogliby dokończyć prace w przewidywalnej, niezbyt odległej przyszłości już bez ponoszenia konsekwencji.

– Hm... A co z atakiem na centra reedukacji?

– Byłoby to wprawdzie absolutnie przesadne i niepotrzebne posunięcie, ponieważ ten sprzęt przydałby się tak czy inaczej, oczywiście za jakiś czas, gdy badania nad formułą zostaną dokończone przez kogoś innego, ale umiem sobie wyobrazić sytuację, w której ktoś z Trójcy wydaje taki rozkaz. Zyskałby dzięki temu całkowitą pewność, że NeuroTek już się nie podniesie.

– Jak dotąd tylko potwierdzasz tezy admirała.

– Zmierzam do tego, że ostatnie wydarzenia można by przypisać oligarchom, gdyby nie atak na Instytut. Jak wspomniałam, to kute na cztery nogi skurwyklony, ale nie szaleńcy. Na dłuższą metę formuła gwarantowała im wszystkim pomnożenie zysków. Nie dążyliby do jej całkowitego zniszczenia, tylko rywalizowaliby o przejęcie programu. Atak na Deltę, w tym kontekście, nie ma najmniejszego sensu.

– To prawda – potaknął Stross.

– Ruch oporu też nijak nie pasuje do układanki. To przecież igranie z ogniem przy otwartym zaworze spustowym gazowca. Ujawnienie informacji o tajnych zabezpieczeniach stosowanych przez korporacje w koloniach jest chyba najlepszym dowodem na niewinność Trójcy. Oligarchowie nigdy by nie dopuścili do upublicznienia tego faktu, ponieważ w obecnej sytuacji jest więcej niż pewne, że pewien odsetek kolonistów wypowie im posłuszeństwo. Bukowski z jego tajną organizacją zostali zdyskredytowani, to też fakt, ale zdążyli zrobić swoje.

– Jak w ogóle oceniasz to zagrożenie?

– Pyta pan o bunt?

– Tak.

– Przy normalnym rozwoju wypadków skończyłoby się na kilkutygodniowych strajkach i późniejszym uspokojeniu nastrojów za pomocą podwyżek. W najgorszym razie doszłoby do zamieszek w kilkudziesięciu systemach, zwłaszcza na skraju Rubieży, gdzie wrzało już wcześniej. W tej

sytuacji jednak możemy się spodziewać, że konflikt rozleje się na całe Terytoria. Korporacje poniosą olbrzymie straty.

Stross zamyślił się głębiej.

- Zatem uważasz, że to żaden z nich?
- Jestem tego pewna - stwierdziła stanowczo Wollheim.
- Czyja to więc wina?
- Gdybym знаła odpowiedź na to pytanie, nie musie...

Urwała w pół słowa, ponieważ najświeższy hologram z Kalidona wreszcie różnił się nieco od ostatniego. Może niewiele, ale System zaznaczył różnicę krwistą czerwienią.

- W czarną dziurę... - szepnął kanclerz.

Jego główna doradczyni głośno przełknęła ślinę. Przyczyna zamilknięcia nadajnika na Kalidonie stała się nagle boleśnie jasna. Kula szczątków otaczających kolapsar była teraz ogromna, zajmowała sporą część przestrzeni wewnątrz bazy. Ikonki oznaczające pozycje siedmiu nieistniejących już okrętów wojennych zniknęły w jej rozdętym wnętrzu. Podobnie było z holownikami i uratowanymi przez ich załogi statkami NeuroTeku.

W ciągu ośmiu sekund, które musiały upłynąć do wyświetlenia następnego hologramu, nie padło ani jedno słowo. Kanclerz i jego doradczyni w napięciu czekali na pojawienie się obrazu, a gdy holopad przed nimi znowu ożył, oniemieli do reszty. Patrzyli na widoczną pod ostrym kątem kwaterę główną trzeciego metasektora. Chmura szczątków dotarła już tak daleko, że jej czoło znajdowało się mniej więcej w połowie walcowatego korpusu, za nim nie było widać nic prócz morza eksplozji. Tarcze nadal działały, lecz sądząc po natężeniu blasku, musiały być już na wyczerpaniu.

Na kolejny hologram z Kalidona czekali w grobowej ciszy, bojąc się nawet poruszyć, ale im częściej zerkali na timer, tym silniejsze odnosili wrażenie, że czas zamarł razem z nimi, jakby wypełniający to urządzenie kwarc zakrzepł albo został zamieniony w zastygłą smołę.

W końcu nadszedł nowy przekaz. Czoło fali docierało właśnie do instalacji znajdujących się na przeciwległym, oddalonym o ponad czterysta kilometrów krańcu bazy. Stacja sztabowa zamieniła się we wrak, tracąc większą część poszycia. Z jej górnych pokładów nie zostało praktycznie nic, dalsze, aż do znajdującego się pośrodku wzmocnionego centrum dowodzenia, zostały dosłownie wybebeszone. Jedynie część rufowa,

z siłownią i reaktorami, wyglądała na prawie nietkniętą, ponieważ tylko tam tarcze wytrzymały do samego końca.

Reszta instalacji wyglądała jeszcze gorzej. Z niektórych nie zostało niemal nic. Ich szczątki utworzyły kolejne chmury, które pustoszyły wszystko to, co pozostało z doków i znajdujących się w nich remontowanych okrętów. Akademia metasektora i oba kompleksy koszarowe były na razie nie naruszone, ale nie mogło być wątpliwości co do ich dalszych losów – znajdą się w polu rażenia za sekundę albo dwie. Ich deflektory pracowały wciąż z pełną mocą, cóż z tego jednak, skoro skala wcześniejszych zniszczeń nie dawała nadziei na ocalenie. Nieszczęśnicy oczekujący na pewną śmierć musieli to rozumieć, bo w przestrzeni poza kręgiem roilo się od ikonek, którymi oznaczono transpondery wystrzelonych kapsuł ratunkowych.

– To... – mamrotał Stross, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. – To...

– To ostateczny dowód, że admirał i jego analitycy tkwili w błędzie. – Znana z zimnej krwi Wollheim szybko wzięła się w garść. – Flota Federacji jest ostoją władzy, a przy tym także zbrojnym ramieniem metakorporacji. Jeśli jej zabraknie, zwłaszcza tam, na obrzeżach podbitej przestrzeni, gdzie dzisiaj jest najgoręcej, nikt nie zdoła powstrzymać buntujących się kolonistów, kiedy ci poczują krew. A poczują, ledwie się dowiedzą, że utraciliśmy pełnię kontroli nad trzecim metasektorem. Musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, aby wiadomość o zniszczeniu bazy na Kalidonie nie dostała się do opinii publicznej! Musimy...

– Przepraszam, że przeszkadzam w rozmowie – odezwała się niespodziewanie Sigma.

– Nie teraz! – zareagowali unisono.

– Przepraszam – sztuczna inteligencja nie zamilkła, choć powinna, co dało im do myślenia – że przeszkadzam w rozmowie, ale odebrałam właśnie przekaz, który powinniście niezwłocznie zobaczyć.

Nad holopadem pojawił się znów Bukowski w otoczeniu tej samej surowej scenerii, którą widzieli podczas jego wcześniejszego wystąpienia.

– Byliśmy naiwni, sądząc, że możemy bezkarnie zapobiec zbrodni, jaką byłoby wdrożenie formuły Diakowa – mówił wyraźnie wzburzony kapitan.

– Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że Rada zdołała zinfiltrować szeregi naszej organizacji. Tak, słuch was nie myli. Zagłada Deltę to dzieło skorumpowanych polityków i oligarchów, nie nasze! Klnę się na honor, że zamierzaliśmy zniszczyć wyłącznie kompleks Instytutu. Ktoś postanowił

jednak pokrzyżować nam plany i podmienił ładunek. Nie ulega wątpliwości, że za tym haniebnym czynem stoją ludzie, którzy chcą doprowadzić do zdławienia rodzących się właśnie ruchów wyzwoleniczych i w imię tego są gotowi rozpętać piekło. Znacnie mnie, wiecie, kim jestem i co przeżyłem. Znacnie też historię naszej cywilizacji. Zastanówcie się zatem dobrze i odpowiedzcie sobie na proste pytanie: komu była na rękę śmierć tych milionów nieszczęśników? Nam, idealistom, próbującym ocalić was przed totalnym zniewoleniem, czy oprawcom chętnym płacić miliardy kredytów za broń, która zrobi z was bezwolne kukły będące własnością korporacji? – Urwał na moment, schylił głowę, a gdy ją znowu podniósł, na jego twarzy malował się złowieszczy grymas. – Nie znacnie dnia ani godziny. Do was mówię, spasione kanalie wysługujące się zdeprawowanym bogaczom. Wkrótce przedstawimy dowody naszej niewinności i doprowadzimy do surowego osądzenia, a także ukarania wszystkich, którzy przyłożyli rękę do zagłady mieszkańców Delty Centuriona. Wszystkich co do jednego. Kalidon 11 to dopiero początek! Idziemy po was!

Kapitan zniknął z ekranu, a na jego miejscu pojawiła się tarcza wiecznie płonącej Alfy i wisząca na jej tle baza orbitalna. Nagranie pokazywało te same wydarzenia, które Stross i Wollheim oglądali na hologramach, lecz z zupełnie innej perspektywy i w przyspieszonym tempie. Tym razem zobaczyli więc wyraźnie, jak kolapsar uwalnia chmurę szczątków, ta zaś sunie przez pustkę, zmiatając wszystko na swojej drodze.

– Podobno stacja monitorująca była jedynym źródłem bieżących informacji z tego systemu... – wycedził rozwścieczony tym pokazem kanclerz.

– To... To musi być nagranie z sondy, którą wykryto w pobliżu bazy. – Doradczyni była równie wstrząśnięta, ale neurowszczep pozwolił jej zapanować nad nerwami. – Tej, którą ludzie admirała zamierzali przejąć.

– Trzeba było kazać ją zniszczyć – syknął Stross, zrywając się z fotela, po czym krzyknął: – Sigma, zwołaj natychmiast kolejne nadzwyczajne posiedzenie Rady! I puść mi to nagranie jeszcze raz, od samego początku.

– Wykonuję oba polecenia – odpowiedziała obojętnym tonem sztuczna inteligencja.

– Kto za tobą stoi, skurwyklonie? – rzucił przez zaciśnięte zęby rozwścieczony polityk, stając nos w nos z przemawiającym Bukowskim.

Rozdział 4

*Terytoria Wewnętrzne,
Zeiram, powierzchnia Gammy,
System Hyperion 32, Sektor Whisky,
10.05.2234, godz. 07:16*

Tego dnia wczesnym rankiem czasu standardowego nad Zeiramem zachodziło właśnie największe ze słońc Hyperiona, dwaj jego pomniejsi towarzysze byli wciąż widoczni na atlasowym niebie, ale i oni znikną z firmamentu za niespełna pół godziny, po czym na dwadzieścia osiem godzin powróci niezmacony mrok.

Kaliope przyglądała się błękitnawym gwiazdom, sącząc drinka pod jedną z kryształowych kopuł wieńczących najwyższy poziom luksusowego hotelu. Dzięki nowej tożsamości i kredytom ojca – po powrocie z Gravenhursta Hickman wypłacił jej kolejne trzy i pół tysiąca, gdy poinformowała go o śmierci Franka – stać ją było na takie ekstrawagancje. Wprawdzie przemytnik zachował dla siebie trzydzieści procent depozytu, co było jawnym zdrzywstwem, ale poszła na taki układ i nie żałowała, gdyż po raz pierwszy w życiu nie musiała się zastanawiać, jak przetrwa kolejny dzień. Co więcej, czuła, że zasłużyła sobie na tę odrobinę luksusu, za którym tęskniła, odkąd jej rodzina się rozpadła, a potem przestała istnieć.

Po akcji na Itmosie postanowiła iść własną drogą, choć Angelara namawiała ją do współpracy. Nie opuściła separatystów dlatego, że nie spodobała się jej perspektywa dalszego dowalania korporacjom. Wręcz przeciwnie – po tym, co te pijawki zrobiły ojcu i jej także, z wielką satysfakcją obserwowała skalę zniszczeń spowodowanych odpaleniem kolapsara. Problem leżał w czym innym: mimo najszczerszych chęci nie wierzyła w powodzenie buntu czy też rewolucji, jak przedstawiali ten zryw młodzi napaleńcy z załogi *Tendara*. W odróżnieniu od bandy bujających w gwiazdach małolatów Kaliope twardo stąpała po ziemi i nie zamierzała ginąć za cudze mrzonki, szczególnie teraz, gdy nareszcie dysponowała kasą

pozwalającą na przeżycie nawet dziesięciu lat, o ile zachowa umiar i nie będzie szlajać się po takich przybytkach jak najbardziej luksusowy hotel w całym Hyperionie 32, a może i w kilku przyległych pasach, jeśli wierzyć reklamom, które ją tutaj zwabiły.

Czterdzieści pięć kredytów za noc to krocie, zwłaszcza dla kogoś, kto do niedawna ściubił każdy dodatkowy ułamek kredytu ponad dzienną normę, ale uznała, że po takiej ostrej jeździe może sobie pozwolić na małe szaleństwo. Ta jedna jedyna doba nie zuboży jej jakoś znacząco, a przynajmniej będzie miała co wspominać tam, gdzie się ukryje, by przeczekać najgorsze.

Wygrzewając się na cudownie delikatnym piasku, chłonęła kojący szmer odległego tylko o kilka metrów sztucznego wodospadu. Przed palącymi promieniami emiterów światła słonecznego chronił ją baldachim poruszanego bryzą, soczyście zielonego – i co chyba ważniejsze, prawdziwego – listowia. Musiała przyznać, że to najdoskonalsza imitacja planety tlenowej, z jaką kiedykolwiek miała do czynienia. Chociaż pod tym względem reklama nie kłamała.

Jeszcze kilka godzin zastuszonego lenistwa i trzeba będzie wrócić do szarej codzienności...

Przymknawszy oczy, zaczęła rozmyślać, jak powinna się zachować, gdy separatyści wykonają pierwszy ruch.

Najbezpieczniejsza byłaby w Systemach Centralnych, ponieważ tam nikt nie miał powodów do wszczynania niepokojów, ale opuszczenie trzeciego metasektora mogło być trudne, teraz nawet trudniejsze, niż gdyby wyruszyła natychmiast po zejściu z pokładu *Tendara*. Atak oznaczał, że granica zostanie zamknięta, a czarni wezmą pod lupę wszystkich nowo przybyłych. Kaliope wiedziała, że Hickman nie odważył fuszarki z fałszywą tożsamością, lecz nie ludziła się nadmiernie: każde oszustwo da się wykryć, jeśli tylko pogrzebie się wystarczająco głęboko, a w tej sytuacji służby specjalne z pewnością wezmą się ostro do roboty. Niewykluczone, że deportują każdego, kto nie ma obywatelstwa pierwszego metasektora, może z wyjątkiem największych bogaczy, ale Willhelm ze swoimi niespełna pięcioma tysiącami kredytów raczej nie zaliczała się do krezusów.

Na Terytoriach z kolei lada chwila zrobi się nieprzyjemnie. Nie miała pojęcia, kiedy nastąpi planowany przez separatystów atak, ze słów Angelary zdołała jednak wywnioskować, że dzień ten jest naprawdę bliski. A gdy ludzie Bukowskiego wykonają pierwszy ruch, rozpęta się piekło. Ta

cała formuła – Kaliopie nadal wzdrygała się na samą myśl o niej. Była przekonana, że ujawnienie jej istnienia doprowadzi do zamieszek na szeroką skalę wszędzie tam, gdzie zostaną odnalezione tak zwane „korporacyjne zabezpieczenia”. Bo że mieszkańcy kolonii poinstruowani przez Bukowskiego będą wiedzieli, gdzie ich szukać, było więcej niż pewne.

Niedługo później rozpoczną się masowe strajki. Koloniści wyjdą tłumnie na ulice. To wymusi błyskawiczną, stanowczą i bez wątpienia bezwzględną odpowiedź ze strony władz Federacji. Pchanie się do takiego kotła, pośród całkowicie obcych jej ludzi, na odległą nieznaną planetę, również nie było najlepszym rozwiązaniem.

Lepiej zostać tam, gdzie zna się dobrze zarówno mieszkańców, jak i teren. Byle trzymać się z dala od zapalnych miejsc i wywiązujących się walk, które niechybnie obejmą najniższe poziomy kolonii, gdzie bieda i desperacja wykraczały od dawien dawna poza wszelką skalę. Na samej górze, tu, gdzie przebywała obecnie, też bezsprzecznie zrobi się nieciekawie, kiedy separatyści zdobędą choćby chwilową przewagę. Frustracja to potężna siła napędowa, niewątpliwie popchnie ona kolonistów do okrutnych zbrodni wymierzonych w winnych ich ucisku. Historia zna przecież wiele takich przypadków, a jak powszechnie wiadomo, lubi się powtarzać.

Willhelm korzystała więc z każdej chwili spędzonej w tym wspaniałym miejscu. Prawdopodobnie jako jedyna spośród pławiących się w luksusach gości hotelowych wiedziała, że zabawa już wkrótce się skończy. Co więcej, była na to przygotowana. Czasu na ewakuację nie powinno jej zabraknąć. Bagażami nie musiała się przejmować, ponieważ ich nie miała, a w torbie, która leżała opodal, przyniosła nad lagunę wszystko, czego potrzebowała, by uniknąć problemów.

Na razie panował spokój. Przed niespełna kwadransem w głównych niusownikach pojawiły się nagrania z zamkniętej chwilowo strefy skoku, gdzie doszło do „straszliwej w skutkach katastrofy”. Skurwyklon, który odpowiadał za zabicie jej ojca i przez którego o mały włos sama nie zginęła, wyparował w zderzeniu ze szczątkami wysadzonej wcześniej rafinerii czy innej górniczej instalacji.

Ktokolwiek powiedział, że zemsta najlepiej smakuje na zimno, miał cholerną rację. Przełykając chłodny alkohol, odczuwała niewyobrażalną satysfakcję, ponieważ czynnie pomogła w pozbyciu się z tego świata śmieci odpowiadających za śmierć jej ojca i tak wielu znajomych z Invictusa. Tylko to się teraz liczyło.

Nie panikowała, gdyż umówiła się z Angelarą, że otrzyma sygnał do ewakuacji, „nim kości zostaną rzucone”. Szalona przemytniczka tak właśnie się wyraziła. Zanim ktokolwiek na Gammie pozna prawdę, Kaliope, a raczej Avanessa, będzie już w windzie zjeżdżającej na górne poziomy mieszkalne Zeiramu. Czterdzieści siedem minut i trzy przesiadki później zamkną się za nią drzwi kubika wynajętego wczoraj w jednej z najbardziej peryferyjnych dzielnic, zamieszkiwanej przez tysiące ludzi otrzymujących wynagrodzenie, dzięki któremu wyszli ze strefy największej biedy, lecz nadal zbyt niskie, by mogli stać się celem zbuntowanych mas.

Kaliope zamierzała się wtopić w tłum bezimiennych pracowników obsługujących infrastrukturę podziemnego miasta, bez których ta kolonia nie mogłaby funkcjonować, a więc potrzebnych każdemu, kto przejmie nad nią kontrolę. Była pewna, że tam gdzie zmierza, nikt nie będzie urządził polowań na czarownice. Wiedziała też, do kogo zwrócić się o pomoc, jeśli sytuacja w Zeirامية wymknie się spod kontroli, choć ten akurat krok wolała podjąć tylko w ostateczności.

Upiła drobny łyk zamówionego przed dłuższą chwilą i niestety zbyt już ciepłego Morza Gwiazd. Poczula się dziwnie, odstawiając do atomizera na wpół pełen kubek. Od bardzo dawna nie wyrzuciła czegoś, za co musiała wcześniej zapłacić, w dodatku słono. Na Invictusie wysączała kolejkę do ostatniej kropli – jak każdy, kto wiedział, ile trzeba się naharować na najkrótszą nawet chwilę zapomnienia.

Tu wprawdzie jedzenie i napoje były wliczone w cenę, i to w każdych ilościach. Wystarczyło powiedzieć, na co się ma ochotę, a dyspenser natychmiast to serwował. Menu na wyświetlaczu ciągnęło się w nieskończoność, Kaliope nie sądziła, by udało jej się dobrnąć choć do połowy, mimo że traciła czasem kilka minut na przeglądanie wyszukanych nazw drinków i dań.

Choć czuła się syta jak nigdy i lekko podchmielona, to jednak świadomość zbliżającego się kataklizmu psuła jej zabawę. Nagle pozazdrościła niezdającym sobie sprawy z zagrożenia, wypoczywającym tuż obok bogaczom, których dźwięczne śmiechy i okrzyki dobiegały z obu stron zza ścian bujnej zieleni. Jej maleńki prywatny raj zaczynał przypominać więzienie. Parę razy chciała złapać swoje rzeczy i nie czekając na sygnał Angelary, zjechać na dół, ale żal jej było blasku, ciepła, plusku wody – wszystkiego, co przywodziło wspomnienia o ojcu i ich wspólnym, choć

krótkim wypadzie na planetę tlenową. Chyba tylko dlatego nie zaszła się jeszcze w wynajętej kryjówce.

Zróbcie to w końcu, do wsobnej czarnej dziury, pomyślała zniecierpliwiona, z trudem panując nad dręczącym ją pragnieniem, gdy dyspenser napełniał wielobarwnym drinkiem kolejny świeżo wydrukowany kubek. Pieprzeni utracjusze, nawet naczynia robią tu jednorazowe, jakby nie można było ich użyć po raz drugi i trzeci po zwykłym przepłukaniu.

Zaśmiała się pod nosem. Woda potrzebna do mycia kosztowałaby pewnie więcej niż... W tym momencie jej wzrok powędrował na lazurową lagunę, wokół której rozmieszczono kilkadziesiąt boksów relaksacyjnych.

Nie, tutaj zużycie wody z pewnością nie jest najmniejszą przeszkodą, uznała, sięgając po doskonale chłodne i smaczne Morze Gwiazd. Orzeźwiająca mieszanina trzech alkoholi i pięciu innych składników spłynęła gładko w głąb przetyku. Za dostęp do czegoś tak dobrego warto umrzeć, pomyślała i zaniósła się perlстым śmiechem.

Korzystaj, głupia, z życia, póki możesz! Do dna!

Sięgnęła po przekąski, które dyspenser wydawał po każdym drinku. Nie miała pojęcia, z czego są robione, ale smakowały jeszcze bardziej bosko, zwłaszcza gdy pochłaniała je niezwłocznie, na ciepło.

– Szkoda, że nie mogę zabrać cię ze sobą – wymamrotała, zerkając na całkiem spore urządzenie imitujące pień drzewa z dużą dziuplą. Tutaj nic nie miało prawa mącić uspokajającego widoku natury.

Przezuwając ciągliwą, lekko słoną opiekaną biomasę, Kaliope położyła się wygodnie, przymknęła oczy i wsunęła wolną rękę pod głowę. Jeśli za jakiś czas znajdzie lepiej płatną robotę – a nie wątpiła, że tak będzie, kiedy już skończy się ta zawierucha – uczyni wszystko, by wracać w takie miejsce choćby raz do roku, a najlepiej co kwartał. Jedna doba pobytu warta będzie miesiąca harówki lub nieznacznego uszczuplenia spadku po Franku.

Sto dwadzieścia kredytów rocznie. Nie, to chyba byłaby przesada, ale sześćdziesiąt mogłaby spokojnie zmarnotrawić. Połowę na swoje urodziny, a resztę w rocznicę śmierci ojca. Tego pewnie by chciał...

Nagle poczuła delikatne mrowienie w prawym przedramieniu. Rozleniwienie opóźniło reakcję, ale tylko o sekundę, może dwie. Komunikator! Dobijająca się do niej osoba miała zastrzeżony numer, lecz mogła to być jedynie Angelara.

NIE ZAPOMNIJ ZAŻYĆ LEKARSTWA.

Zatem to już! Kaliope zerwała się z leżaka. Dopiła drinka dwoma szybkimi haustami. Nie wiadomo, kiedy będzie miała okazję pić coś równie dobrego. Ubierając się pośpiesznie, przysłuchiwała się radosnym okrzykom i śmiechom. Weaver dotrzymała słowa. Wysłała ostrzeżenie z wyprzedzeniem, tak jak się umówiły.

– Poproszę o jeszcze jedno Morze Gwiazd, albo nie, zrób mi od razu dwa! – rzuciła przez ramię, zanim wsunęła prawą stopę w nogawkę kombinizonu. – I cztery porcje paluszków serowych! – dodała po naprawdę krótkim wahaniu.

Drinki przelała do własnego kubka termicznego, a większość przekąsek wrzuciła najpierw do pojemniczka, a potem do opróżnionej torby. Rzeczy, w których przyszła, zostawiła na piasku obok leżaka. Użyła aplikacji hotelu w omnikarcie, by otworzyć drzwi i wydostać się z boksu. W owalnym korytarzu na zewnątrz nie było nikogo prócz niej. Wyłączyła jednak wszczep, gdy poczuła nienachalną relaksacyjną sensozykę. W tym momencie nie miała nastroju na ambient.

Wcześniej celowo wybrała pierwszy wolny boks znajdujący się najbliżej wind, ponieważ nie wiedziała, ile zostanie jej czasu na ewakuację. Ruch pod kopułą wypoczynkową był o tak późnej porze niewielki, co zrozumiałe, nie musiała więc czekać na kabinę i natychmiast ruszyła w dół. Po drodze włożyła kamizelkę z barwnymi nadrukami i logo znanej na tych poziomach firmy serwisowej. Jeśli ktoś się do niej dosiędzie, uzna, że ma do czynienia z pracownicą kończącą zmianę.

Dotarła bez przeszkód na poziom minus czwarty, z którego mogła się dostać na hotelowy przystanek górnej linii kolejki magnetycznej. Sześć przystanków dalej wysiadła z prawie pustego wagonika i po przejściu na koniec peronu zaczęła na pojawienie się turbowindy. Dwadzieścia sześć poziomów niżej znalazła się na stacji hyperloopa, która była znacznie bardziej zatłoczona. Ponadmilionowy Zeiram obsługiwały bez ustanku dziesiątki tysięcy techników, którzy na podobieństwo limfocytów nieustannie krążyli życiodajnymi arteriami. Nikt nie zwróci uwagi na jeszcze jedną młodą kobietę w uniformie z logo znanej firmy serwisowej. Tym razem Kaliope musiała przejechać aż dziesięć stacji, zanim za oknami zobaczyła znajomą nazwę.

Drzwi wagonika rozsunęły się z cichym sykiem, lecz na tym odludziu z kolejki wysiadła tylko garstka pasażerów. Żaden z nich nie spojrział nawet w kierunku Willhelm. W miejscach takich jak to każdy pilnował własnego nosa, zwłaszcza po pracy, gdy głowę wypełniały wyłącznie myśli o powrocie do domu i odpoczynku. Po opuszczeniu stacji Kaliope stanęła jako ostatnia w kolejce do najbliższego dystrybutora, aby odebrać zamówione wcześniej zakupy. Właściwie nie potrzebowała połowy wydrukowanych rzeczy, ale dzięki wypchanej torbie przed sobą mogła zasłonić twarz przed wzrokiem nielicznych przechodniów i kamerami. Jeszcze trzy przecznice i znajdzie schronienie w jednym z najbezpieczniejszych obecnie miejsc tej kolonii.

Zatrzymała się w pół kroku, by nie wpaść na faceta, który niespodziewanie zablokował jej drogę. Podnosząc głowę, zauważyła, że wokół panuje całkowity bezruch. Spojrzała więc jeszcze wyżej, na holokrany wyświetlające ciągi reklam. Nie zorientowała się wcześniej, że coś jest nie tak, ponieważ zapomniała włączyć ponownie senso. Z każdego ekranu w okolicy spoglądało na nią znajome oblicze.

Bukowski nabierał właśnie tchu, by rozpocząć przemówienie, które jak doskonale wiedziała, zapoczątkuje rewolucję.

Rozdział 5

*Systemy Centralne,
siedziba Rady Federacji, Ziemia,
Układ Słoneczny, Sektor Alfa,
10.05.2234, godz. 07:30*

Stross pojawił się ostatni. Pozostali członkowie wewnętrznego kręgu Rady Federacji oczekiwali jego przybycia w towarzystwie wezwanych przedstawicieli admiralicji, z którymi prowadzili ożywione rozmowy. Choć pora była wczesna, zwłaszcza jak na tak ważne postaci ze świata armii i polityki, to przy okrągłym stole nie dało się zauważyć ani jednego zaspanego spojrzenia. Wystąpienie Bukowskiego i zaserwowane w związku z nim przez wszczępy koktajle leków postawiły wszystkich do pionu, zanim nadeszła informacja o ataku na Deltę Centuriona. A potem było już tylko gorzej.

Kanclerz powitał zgromadzonych zdawkowym skinieniem głowy, po czym usiadł na swoim fotelu. Po jego prawicy znajdowali się wojskowi, po lewej miał czworo z pięciorga sekretarzy tworzących wewnętrzny krąg Rady Federacji. Do kompletu brakowało tylko odpowiadającego za resort sprawiedliwości Hermana Budrysa, który przez najbliższe trzy godziny miał być nieosiągalny ze względu na przebywanie w nadprzestrzeni.

Mimo że przy stole było kilka wolnych miejsc, Connie Wollheim stanęła pół kroku za zwięzającym się ku górze oparciem fotela Strossa, tam gdzie zazwyczaj podczas narad zastygali asystenci, gotowi na każde skinienie swoich przełożonych. Ponieważ przy tej okazji wspierała kanclerza jako jedyna, przyjęła z godnością to upokorzenie, bynajmniej nie największe spośród wszystkich, których doświadczyła, pnąc się po szczeblach kariery.

– Czy znamy już ostateczny bilans strat? – Kanclerz zwrócił się do najwyższego admirała Waltera Gernsbacka, naczelnego dowódcy sił zbrojnych Federacji.

- Tak jest - odparł służbistym tonem potężnie zbudowany pięćdziesięcioletni mężczyzna w czarnym kombinezonie galowym.

Jego szeroką pierś zdobiło wiele rzędów kolorowych baretek. Cztery wiry złotych galaktyk zalśniły na idealnie białym pagonie, gdy obrócił lekko głowę, by władczym gestem zlecić odpowiedź swojej zastępczyni, dużo niższej i szczuplejszej, a także o dwie dekady starszej admirał Sarze Dozois, która już od siedemnastu lat dowodziła siłami pierwszego meta-sektora.

- Zacznijmy od raportu sytuacyjnego z Kalidona 11. - Kobieta w nieco tylko mniej szykownym uniformie przesłała stosowne pliki na komunikatory wszystkich obecnych. Ich zbiorczy odczyt pojawił się także na leżącym pośrodku stołu centralnym holopadzie. - System admira...

- Chwileczkę! - przerwał jej Larry Weinbaum, siwowłosa brodaczy pełniący od sześciu miesięcy funkcję sekretarza skarbu. - Wybacz pani, ale znacznie bardziej interesuje nas sytuacja na Delcie Centuriona.

Reszta członków Rady poparła go natychmiast wiele mówiącymi pomrukami.

- Obawiam się, że pełny raport w tej sprawie będzie dostępny dopiero za kilka dni - odparła admirał.

- To chyba jakaś kpina! - wybuchnął Daryl Bova, przesadnie otyły osiemdziesięciodwuletni zastępca sekretarza obrony. - Dlaczego te dane zostały utajnione? Jako wtajemniczeni członkowie Rady mamy prawo wiedzieć... - Musiał na moment zamilknąć, by nabrać tchu.

Niezrażona jego wybuchem Dozois wykorzystała tę okazję, by zrećnie wrócić do głosu.

- Nie możemy przedstawić raportu końcowego, gdyż sytuacja na Delcie nadal jest rozwojowa. - Kiedy zmieniła podgląd na holopadzie, nad okrągłym stołem zawisła planeta z rozlewającą się po niej czarno-czerwona plama, jakby powierzchnia tego pięknego skądinąd globu została w jednym miejscu rozdarta i łuszczyła się teraz, odsłaniając ukryte dotąd przed oczami obserwatora niższe złowieszcze warstwy upodabniające ją do Alfry Kalidona. - Do impaktu doszło niespełna czterdzieści pięć minut temu - kontynuowała admirał. - To oznacza, że czoło fali uderzeniowej, która przemieszcza się z prędkością tysiąca sześciuset kilometrów na godzinę, dotrze do najdalej położonych kolonii dopiero późnym popołudniem czasu standardowego. W tym momencie nie potrafimy dokładnie przewidzieć losu co najmniej połowy miast, zwłaszcza tych leżących na drugiej

półkuli. Wstępne symulacje zmieniają się z chwili na chwilę, w miarę spływania danych, które są przetwarzane w czasie rzeczywistym, tak więc za pół godziny mogą być zupełnie inne niż teraz. Nigdy dotąd nie zetknęliśmy się z kataklizmem podobnych rozmiarów, co oznacza, że nie mamy ani odpowiednich narzędzi, ani tym bardziej punktów odniesienia, w ramach których dałoby się stworzyć wiarygodne modele. Proponuję zatem, abyśmy wrócili do tej kwestii na jednym z kolejnych spotkań, gdy wszystko będzie już jasne.

– Jak wyglądają te wasze obecne przewidywania? – zapytał spokojnym tonem Aldrin Keyes, najmłodszy ze zgromadzonych członków Rady, niepełna czterdziestopięcioletka zarządzający resortem infrastruktury.

– To wciąż tylko spekulacje – zastrzegła się Dozois.

– Wiemy, ale mimo to proszę zapoznać nas z prognozami, uwzględniając najkorzystniejsze i najgorsze warianty – naciskał polityk. – Musimy podjąć szereg ważnych decyzji. Wolalibyśmy nie robić tego w ciemno.

Admirał zerknęła na przełożonego, a ten natychmiast posłał znaczące spojrzenie kanclerzowi. Zdawkowe skinienie głowy było wystarczającym przyzwoleniem.

– Skutków zderzenia nie przetrwa prawdopodobnie żadna z miejscowości znajdujących się w promieniu trzech tysięcy kilometrów od punktu zero. – Dozois uruchomiła na holopadzie odpowiednią symulację. – Straty materialne i ludzkie na tych terenach sięgną w ciągu najbliższych dziewięćdziesięciu minut niemal stu procent, co daje sto osiemnaście milionów ofiar. Ocaleją tylko jednostki. Ludzie, którzy posiadają prywatne środki transportu orbitalnego, a takich jest tam garstka.

– Kurwir... – Sekretarz obrony zmełł przekleństwo w ustach.

– W pasie dalszego półtora tysiąca kilometrów znajduje się ponad trzysta osiemdziesiąt większych skupisk ludzkich, które według naszych szacunków zostaną zniszczone w co najmniej pięćdziesięciu procentach, co da kolejne sześćdziesiąt pięć i pół miliona ofiar – wyliczała admirał. – Tutaj jednak już prowadzimy akcję ewakuacyjną.

– Zaraz... – Bova poruszył się nerwowo. – Dlaczego nie ratujecie ludzi mieszkających w strefie największych zniszczeń?

– Ryzyko utraty jednostek biorących udział w takiej akcji jest zbyt duże – wyjaśniła Dozois. – Poza tym wolimy skupić wszystkie siły tam, gdzie mamy największe szanse powodzenia. Proszę zauważyć, że na Delcie, podobnie zresztą jak w całej Federacji, nie ma powierzchniowych ani

wewnątrzatmosferycznych środków masowego transportu, które poruszałyby się szybciej od fali uderzeniowej. Kolej magnetyczna jest wolniejsza o prawie sześćset kilometrów na godzinę, hyperloop o czterysta. Samoloty stratosferyczne mają wprawdzie dużo lepsze osiągi, ale za to dramatycznie znikomą pojemność. Z tych właśnie przyczyn skierowaliśmy je na te dworce i lotniska, z których mogą dotrzeć najdalej, zanim zostaną doścignięte przez czoło fali uderzeniowej. To jedyne, co mogliśmy w tej sytuacji zrobić.

– Tak, to rozsądne – przyznał machinalnie Keyes.

– Ze strefy średnich zniszczeń ewakuujemy ludność cywilną także z wykorzystaniem wszystkich dostępnych jednostek przestrzennych – kontynuowała admirał. – Mówiąc „wszystkich dostępnych”, mam na myśli każdy statek, jaki znajduje się obecnie w pobliżu tej planety i jej księżyców. Na mocy przepisów o stanie wyjątkowym przejęliśmy tymczasową kontrolę nad frachtowcami należącymi zarówno do korporacji, jak i niezależnych przewoźników. Szacujemy, że tylko tą drogą uda nam się ocalić około stu osiemdziesięciu tysięcy ludzi.

– Kropla w morzu... – Pokręcił ze smutkiem głową Patrick Norton, sekretarz bezpieczeństwa.

On był ze wszystkich najstarszy i najrzadziej się odzywał. Dziewięć i pół krzyżyka na karku nauczyło go, że podjęcie rzeczywistych działań warte jest tysiąca słów.

– To absolutne maksimum, jakie da się osiągnąć dzięki nieustannemu wykorzystaniu każdej windy orbitalnej i każdego wahadłowca – zapewniła Dozois. – Realna liczba ocalonych będzie zapewne mniejsza, ponieważ musimy liczyć się z przestojami i awariami. W przeważającej większości opieramy się na bardzo wyeksploatowanym wiekowym sprzęcie.

– Dobrze, a jak wygląda sytuacja na pozostałych obszarach Delty? – zapytał usatysfakcjonowany wcześniejszymi wyjaśnieniami sekretarz obrony.

– Co do nich żywimy umiarkowany optymizm. Szacujemy na przykład, że największe miasta na północnym skraju zbombardowanego kontynentu zostaną zniszczone w około pięćdziesięciu procentach. Tamtejsze metropolie dysponują niezwykle wydajnymi, segmentowymi osłonami z pół siłowych. Do tego dochodzą lokalne zabezpieczenia zarówno natury energetycznej, jak i mechanicznej, liczne ogólnodostępne schrony, także podziemne fabryki budowane z myślą o przetrwaniu największych trzę-

sień ziemi, z którymi nawiasem mówiąc, należy się liczyć w trakcie przechodzenia fali uderzeniowej oraz później. Reasumując: im dalej od punktu zero, tym większe szanse na ocalenie. Na antypodach zniszczenia strukturalne mogą spaść nawet do poziomu dwudziestu pięciu, trzydziestu procent, ale jak już wspomniałam, to tylko wstępne prognozy. Prawdę poznamy dopiero wtedy, gdy kurz opadnie, jeśli mogą się tak wyrazić.

– Jakich sumarycznych strat w ludziach możemy się spodziewać? – zapytał Weinbaum.

Widać było wyraźnie, że ta sprawa go przytłacza. Nie należał do słabych duchem, ale nie był też jastrzębiem jak pozostali obecni. Stross nie ufał mu całkowicie, lecz po długim wahaniu zdecydował się go dokooptować do wewnętrznego kręgu, chciał bowiem mieć pełną kontrolę nad aktywnymi Federacji.

– Najbardziej ostrożne szacunki mówią o siedmiuset osiemdziesięciu milionach ofiar, przy czarnych scenariuszach może być ich nawet ponad miliard – podsumowała dowodząca pierwszym metasektorem.

– Toż to ponad połowa populacji! – Sekretarz obrony pokręcił z niedowierzaniem głową.

Stross uniósł rękę, by w ten sposób uciszyć otwierającą usta Dozois, po czym zerknął przez ramię na stojącą za nim doradczynię.

– Jak ty to widzisz?

Wollheim nie musiała się zastanawiać. Aby móc w każdej chwili udzielić rzeczowej odpowiedzi, posiłkowała się plikami udostępnianymi przez admiralicję i analizowała dane na bieżąco, ignorując głędzenie członków Rady. W końcu kanclerz płacił jej za to, żeby była zawsze o krok przed wszystkimi.

– Podamy w sensowizji szacowane straty na poziomie miliarda dwustu milionów ofiar. Dzięki temu faktyczny wynik będzie wyglądał na sukces akcji ratunkowej, nawet jeśli przeważy czarny scenariusz. Zaraz sprawdzę, ile hubów medialnych możemy zaangażować do rejestracji przebiegu akcji ratunkowej... – Umilkła na moment, przeglądając Holonet. – Tak, myślę, że mamy ich na miejscu wystarczająco dużo, by zapewnić materiały do całodobowych transmisji na każdym głównym kanale. Huby w pięciu z ośmiu prowincji Deltę odpowiadają na pingi. Damy radę. Gwarantuję, że jutro o tej porze będziemy bohaterami wszystkich metasektorów. Przygotuję także harmonogram wizyt...

– Przepraszam, ale ja jeszcze nie skończyłam! – Dozois podniosła głos, wpadając jej w słowo.

Wszyscy popatrzyli na nią w zaskoczeniu.

– Przecież podała nam pani prognozowane szacunki strat – zauważył kanclerz.

– Podałam szacunki dotyczące zniszczeń, jakie spowoduje przejście fali uderzeniowej – uściśliła admirał. – Ale to nie koniec. Drugi akt tego dramatu będzie znacznie dłuższy i kto wie, czy nie bardziej krwawy.

– O czym pani mówi? – zjeżył się Bova.

– O tragicznych skutkach kataklizmu, których nie sposób uniknąć. – Admirał zmierzyła go obojętnym spojrzeniem. – Pierwsze przejście fali uderzeniowej to najbardziej widowiskowy i niszczycielski efekt uderzenia planetoidy, lecz po nim przyjdą następne, wprawdzie już dużo słabsze, ale mimo to dodatkowo potęgujące straty. Do tego dojdą zjawiska wtórne takie jak: erupcje wulkanów, trzęsienia ziemi, tsunami, gigantyczne pożary. Kolejne dni będą prawdziwym koszmarem dla większości tych, którzy przeżyją. Mówię tutaj o milionach rannych pozostawionych bez pomocy. Szacujemy na przykład, że straty materialne na drugiej półkuli, w miejscowościach najbardziej oddalonych od punktu zero, wyniosą od około dwudziestu pięciu do trzydziestu procent istniejącej infrastruktury, ale tak naprawdę nie wiemy, które jej elementy zostaną zniszczone bądź poważnie uszkodzone. Może się tak zdarzyć, że w niektórych miastach pola siłowe wytrzymają napór pierwszego przejścia fali uderzeniowej, lecz towarzyszące jej wstrząsy doprowadzą do awaryjnego wyłączenia lokalnych reaktorów. W rezultacie znikną ekrany i wszelkie bariery chroniące ludzi przed kontaktem z atmosferą. Każdy człowiek znajdujący się poza hermetycznie zamkniętymi schronami wystawi się na działanie trucizn i ognia. Nawet tam, gdzie uda się zachować pełną szczelność kolonii, ludzie będą ginąć z powodu stopniowej degradacji uszkodzonych systemów podtrzymywania życia. Nikt nie wie, na jak długo wystarczy tam tlenu i wody, a pomoc w takiej skali... mówimy tutaj przecież o ponad dwóch tysiącach miejscowości, do których będą musieli dotrzeć ratownicy... zajmie mnóstwo czasu. Nawet przy zaangażowaniu wszystkich środków, jakimi dysponujemy w kilkunastu okolicznych systemach, akcja może potrwać około miesiąca. Mało kto doczeka ratunku.

– Jak więc może wyglądać ostateczny bilans strat? – zapytał kanclerz.

Odpowiedź padła po krótkim, choć widocznym wahaniu:

– W ciągu trzech pierwszych tygodni stracimy od siedemdziesięciu sześciu do osiemdziesięciu pięciu procent populacji, zależnie od scenariusza. Bez względu na to, jak bardzo będziemy się starali.

Politycy milczeli. Nie byli przygotowani na tak hiobowe wieści. *Setki milionów ofiar, może nawet miliard. Jeszcze nigdy w historii Federacji tak wielu ludzi nie straciło życia w tak krótkim czasie*, takie i podobne myśli krążyły w głowach członków Rady.

– Hm... – Dopiero ciche mruknięcie Wollheim wyrwało ich ze stuporu. – To się nawet dobrze składa. Taka skala zniszczeń i strat może podzielać na naszą korzyść, zwłaszcza że dramat będzie trwał tygodniami. Najlepiej będzie się skupić na heroicznej walce ratowników – zaproponowała. – Wzmóźmy i skanalizujmy słuszny gniew społeczeństwa, pokazując, jak przerażające są dalekosiężne skutki ataku separatystów. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu wałkujmy na okrągło tylko ten temat.

– A co to da? – Zrezygnowany Keyes wzruszył ramionami.

– Stosując właściwą narrację i odpowiednio manipulując nagraniami, możemy doprowadzić do szybszego uspokojenia nastrojów na Terytoriach, a nawet częściowego wygaśnięcia protestów – zapewniła zebranych Wollheim. – Jeśli wydźwięk naszego przekazu będzie wystarczająco wstrząsający, nikt nie przejdzie obok niego obojętnie. Problemy mieszkańców Rubieży wydadzą się niczym w porównaniu z tragedią ofiar ataku na Deltę Centuriona. Mało tego, damy tym pierwszym wyraźnie do zrozumienia, że separatyści, których popierają, są zdolni obrócić się przeciwko nim i zgotować im taki sam los.

– A ostatnie wystąpienie Bukowskiego? – nie odpuszczał sekretarz infrastruktury. – Czy w ogóle jest sposób, aby je skontrolować?

– Oczywiście – odparła Connie. – Gdybyśmy zinfiltrowali jego organizację, jak twierdzi, wiedzielibyśmy o wszystkim zawczasu, dzięki czemu już by wisiał z resztą spiskowców. Skoro tak nie jest, jego słowa to jawne kłamstwo. Separatyści spanikowali, widząc, do czego doprowadzili, i dlatego stają teraz na głowie, żeby zrzucić odpowiedzialność na kogoś innego. Jeśli będziemy to powtarzać przy każdej okazji, przy równoczesnym skutecznym zablokowaniu kanałów komunikacji przeciwnika, bardzo szybko przekonamy większość społeczeństwa, że racja leży po naszej stronie. Fakty nie mają w tym przypadku najmniejszego znaczenia, ważne jest, czyja interpretacja będzie dominować.

- Zajmij się tym – polecił jej Stross. – Kompletna narracja ma być gotowa zaraz po zakończeniu spotkania. – Co wiemy o bezpośrednich sprawcach? – zapytał, zwracając się do wojskowych.

- Pocisk został zrzucony z pokładu autonomicznego transportera klasy Orka. – Dozois tylko czekała, by aktywować kolejne materiały poglądowe. – Jednostka ta należy od trzech lat do korporacji Inter-Galaxy, ale nie tam szukałabym ludzi odpowiedzialnych za atak.

- Dlaczego? – zainteresował się sekretarz skarbu.

- Nikt przy zdrowych zmysłach nie dokonuje zbrodni pod własnym szyldem – wyjaśnił Norton, uprzedzając wojskowych.

- Właśnie – poparła go admirał. – Trzeba przyjrzeć się poprzednim właścicielom oraz firmom dokonującym w ostatnich latach napraw serwisowych.

- Rozumiem, proszę kontynuować.

- Na orbitę Deltę trafił konwój składający się z czterech jednostek tego typu. Zgodnie z zarejestrowanymi przez kapitanat portu orbitalnego manifestami, przyleciały z Prodeusa 7. Nie mamy dostępu do Systemu żadnej z nich, ponieważ w chwili uderzenia wszystkie znajdowały się nad punktem zero i nie przetrwały eksplozji, co zapewne było od początku planowane. Ich listy przewozowe okazały się oczywiście fałszywe. W miejscu i czasie rzekomego nadania ładunku nie było żadnych Orek, nie ma też śladu po takim zleceniu. To duży port przeładunkowy, jeden z największych w Systemach Centralnych, przez tamtejsze pirsy przewijają się dziennie setki frachtowców. Namierzylśmy już i dokładnie sprawdziliśmy każdą jednostkę, która pojawiła się tam w ciągu minionego tygodnia, ale bez efektu. – Dozois umilkła na moment.

Zebrani nie odrywali od niej wzroku, podjęła więc po krótkiej przerwie:

- Analizy zapisów kolejnych stacji monitorujących od pasa C w górę wykazały, że obecność interesujących nas jednostek została po raz pierwszy zarejestrowana w strefie skoku na Hanumanie 5, dokąd przyleciały z Imandry 12, która jest niezamieszkanym systemem. Okresowe prace wydobywcze prowadzi tam kilka małych niezależnych firm. To płotki pozyskujące śladowe ilości liteonu i reteonu z trzech miejscowych gazowych olbrzymów. Rzecz jasna nie ma tam także stacji monitorującej, ale zdołaliśmy ustalić, że wspomniane Orki poleciały tam dwa dni wcześniej, po czym... zapewne nie wychodząc nawet poza strefę skoku... wróciły na

Hanumana, tyle że już pod zmienionymi nazwami. W tym momencie przerwaliśmy poszukiwania – wyznała szczerze na koniec.

– Dlaczego? – obruszył się Bova.

– Dlatego że trafiliśmy na znacznie bardziej obiecujący trop – odparła admirał. – Przed kwadransem utracono kontakt z Fukushima 4. Otrzymaaliśmy informację, że placówka wydziału bezpieczeństwa w tym systemie nie odpowiada na wezwania. A tak się składa, że Fukushima idealnie pasuje do poszukiwanego przez nas wzorca. Z pierścienia po tamtejszej Alfie pozyskuje się z fragmentów jądra zniszczonej planety takie ciężkie metale, jakie znajdowały się w pocisku użytym do ataku na Deltę. Do tego w ciągu minionych siedemdziesięciu dwu godzin z Fukushimy odleciały cztery pasujące do opisu Orki, tyle że zarejestrowane pod innymi numerami. Ich oficjalny ładunek różnił się wprawdzie od tego, który posłużył do ataku, lecz my uważamy, że to kolejna zmyłka...idealnie pasująca, nawiasem mówiąc, do wzorca zachowań zamachowców.

– Fukushima 4 nie leży gdzieś w głębi Terytoriów? – zdziwił się Bova.

– Nie, to nasz wewnętrzny system – zapewniła go Dozois. – Odległy tylko o trzy pasy od Centuriona. Dlatego nie braliśmy go pod uwagę.

– Ha! – Sekretarz obrony splótł palce, oparł łokcie o blat i pokręcił wolno głową.

– Jakie działania podjęto? – dopytał Keyes.

– Okręty stacjonujące w sąsiednich systemach są już w drodze – poinformował go najwyższy admirał, umiejętnie przejmując pałeczkę w bezpiecznym dla niego momencie. – Pierwszy dotrze na Fukushima za mniej więcej pięć godzin, powinniśmy więc mieć wkrótce pełną jasność sytuacji. Ponadto na Galadze 9 zatrzymaliśmy frachtowiec, który opuścił ten system kilka godzin wcześniej. Właśnie trwa jego przeszukanie.

– To niestety wszystko, co możemy na razie powiedzieć – dodała admirał, gdy jej przełożony zamilkł. – Czy chcą panowie przejść do omówienia sytuacji na Kalidonie?

Stross potaknął w imieniu wszystkich obecnych.

– Oto ostateczny bilans strat... – Dowodząca pierwszym metasektorem przywróciła na holopad pierwotnie wyświetlone pliki. – Zaczniemy od sprzętu. Zniszczeniu uległo łącznie sto siedemnaście okrętów wojennych, na szczęście głównie pomocniczych i myśliwców, ale w tej liczbie mieści się także jedenaście niszczycieli, pięć korwet i cztery krążowniki. Do tego

dochodzi szesnaście transportowców szturmowych najnowszej generacji...

- Licząc *Protektora*, siedemnaście - poprawił ją najwyższy admirał z grobową miną.

- *Protektor* został zniszczony poza Kalidonom - uściśliła Dozois.

- A dlaczego pominęła pani ten tuzin okrętów? - Przeglądający wyświetlone pliki sekretarz obrony wskazał poboczną tabelę.

- To były jednostki dopiero budowane, które nie weszły jeszcze do służby - wyjaśniła admirał, oblizując nerwowo wargi.

- Co za różnica? - zdziwił się Bova. - Straty to straty.

- System nie ujął ich w głównych szacunkach, ponieważ z formalnego punktu widzenia nie mieliśmy tych okrętów na stanie - tłumaczyła się nieudolnie Dozois.

Po tym, co stało się na Kalidonie, admiralicja uznała, że najlepiej będzie, jeśli pominie się milczeniem fakt, iż w dokach orbitalnych trwały zaawansowane prace nad czterema krążownikami i ośmioma transportowcami szturmowymi najnowszej generacji, które miały wejść do służby dopiero pod koniec roku. Oficjalnie te okręty jeszcze nie istniały i gdyby nie dociekliwość sekretarza obrony, ich utrata pozostałaby niezauważona.

- I nie będziecie mieli - wypalił Weinbaum, w którego głowie przemykały kolumny cyfr. - Jeżeli reszta tego raportu opiera się na równie wiarygodnych danych, możemy pominąć ten punkt spotkania i od razu przejść do następnego.

- Mogę zaręczyć, że to jedyne odstępstwo od stanu faktycznego i że wynika ono wyłącznie z przyczyn formalnych - broniła się admirał, zerkaając niepewnie w kierunku Gernsbacka, który w tym akurat momencie skrupulatnie się przyglądał strukturze blatu. - To znaczy są jeszcze okręty szkoleniowe, należące do tamtejszej akademii - wyrzuciła z siebie szybko, woląc nie nadużywać cierpliwości władz Federacji.

- Czyli? - Keyes wyprostował się w fotelu.

- Osiem myśliwców, korweta, niszczyciel i krążownik. Wszystko jednostki z demobilu - zastrzegła pośpiesznie - niemające żadnej wartości bojowej.

- Które tak czy inaczej trzeba będzie zastąpić - zauważył z przekąsem Norton.

- Tak, ale...

- Kontynuujmy - uciął kanclerz.

- Tak jest. - Dozois wyprężyła się słuźbiście. - Przejdźmy do strat w infrastrukturze. W wyniku ataku całkowitemu zniszczeniu uległy wszystkie komponenty kwatery głównej trzeciego metasektora. Straciliśmy stację sztabową, obie stocznie orbitalne, trzy kompleksy magazynowe, doki, wytwórnię ogniów paliwowych, akademię floty metasektora, dwa kompleksy koszarowe oraz stację szpitalną. Straty w sile żywej wyniosły dwadzieścia sześć tysięcy dwieście trzydzieści dwie osoby. Odczyty ze stacji monitorującej wskazują, że ocalały ledwie trzysta siedemdziesiąt trzy osoby, ale ta liczba może ulec drastycznemu zmniejszeniu.

- Dlaczego? - zapytał zwięźle kanclerz.

- Tylko dziewięćdziesiąt dwie kapsuły ratunkowe nadają prawidłowe sygnały, w dodatku spora część z nich wciąż się znajduje w polu rażenia szczątków. Pozostałe dwieście osiemdziesiąt jeden kapsuła zostało w różnym stopniu uszkodzonych. Co gorsza, jest wśród nich także kapsuła admirała Leibera... - Zawiesiła z szacunkiem głos.

Norton odchrząknął, zanim rzucił pytanie:

- Jakie ma szanse na ratunek?

- Nikłe - przyznała szczerze Dozois. - Pierwsze jednostki dotrą na miejsce zdarzenia dopiero za pięć do ośmiu godzin. Na Kalidonie przebywa obecnie tylko jeden w pełni sprawny statek. To jacht przestrzenny dyrektora Wyndhama, który w chwili dezaktywacji kolapsara znajdował się w drodze do strefy skoku.

- Kaźcie jego kapitanowi natychmiast zawrócić! - ożywił się nagle sekretarz infrastruktury.

- Nie mamy takiej władzy... - zaczęła ostrożnie Dozois.

- A stan wyjątkowy?

- W tamtym systemie nie został ogłoszony - poinformował Gernsback.

- To na co jeszcze czekacie?! - wrzasnął Keyes.

- Nic nam to nie da - studziła emocje admirał. - Mówimy o małej jednostce, która nie dysponuje sprzętem ratunkowym z prawdziwego zdarzenia.

- Każdy taki jacht jest wyposażony w zunifikowany właz techniczny, którego kołnierz pasuje do stosowanych przez flotę kapsuła ratunkowych - zgasił ją Keyes, który takie sprawy miał w małym palcu.

- I co z tego? - do rozmowy wtrącił się sekretarz obrony. - To przecież zwykły jacht mogący pomieścić trzy, maksymalnie cztery osoby, a ofiar jest ponad dwie setki.

- Ale dowódca trzeciego metasektora jest tylko jeden. - Norton uśmiechnął się pod nosem. - Dobra robota, kolego - pochwalił siedzącego obok sekretarza infrastruktury. - Wiemy, w jakim stanie jest Leiber?

- System wprowadził admirała w śpiączkę farmakologiczną, ponieważ odniósł poważne obrażenia, gdy jego kapsuła zaraz po wystrzeleniu zderzyła się z jakimś złodem. Do rozhermetyzowania nie doszło, ale odczyty wskazują, że dwa z trzech zbiorników tlenu zostały uszkodzone.

- Jak szybko ten jacht może być na miejscu? - zainteresował się Stross.

- Myślę, że mógłby podjąć admirała w mniej niż godzinę.

- Czy to wystarczy?

- Z trudem. Gorzej jednak, że musiałby wlecieć w pole rażenia.

- Jacht należy do zastępcy dyrektora Instytutu - wtrącił Keyes. - Z pewnością dysponuje wystarczającymi zabezpieczeniami.

- Zatem do dzieła - polecił kanclerz.

- Tak jest! - Gernsback aktywował komunikator, by zająć się wydawaniem rozkazów.

Tymczasem jego podwładna referowała dalej:

- Atak okazał się fatalny pod jeszcze jednym względem. Na Kalidonie straciliśmy większość rezerw przeznaczonych dla sił operujących w trzecim metasektorze. W tamtejszych magazynach orbitalnych przechowywano na przykład kompletne wyposażenie i ciężki sprzęt dla ośmiu nowo utworzonych dywizji orbitalno-desantowych, które miały być przerzucone na Rubieże celem zabezpieczenia akcji reedukacyjnej i stłumienia ewentualnych niepokojów społecznych. Personel dwóch z nich znajdował się już w koszarach na Kalidonie. Kolejne dwadzieścia dwa tysiące żołnierzy i oficerów przechodzi obecnie szkolenie w innych systemach. Rekrutacja dwu ostatnich dywizji rozpocznie się w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

- Jakimi siłami dysponujemy w chwili obecnej na Terytoriach Wewnętrznych? - zapytał Stross.

- Mówimy o sile żywej czy okrętach?

- Zaczniemy od okrętów.

- Trzecia flota dysponuje czterdziestoma dwoma krążownikami, stu osiemdziesięcioma trzema niszczycielami i korwetami, ośmiuset sześćdziesięcioma myśliwcami i stu czterdziestoma transportowcami, w tym dziewięcioma transporterami szturmowymi klasy Pacyfikator.

– To nawet nie jeden okręt na system, jeśli nie liczyć myśliwców – zauważył Keyes.

– Myli się pan – zaproponowała Dozois. – W każdym systemie mającym znaczenie gospodarcze albo strategiczne mamy po jednym okręcie na zamieszkaną planetę, plus eskadrę myśliwców. Pod tym względem Kalidon niewiele zmienił.

– Jak to wygląda w przypadku ludzi?

– Straty w sile żywej także są marginalne, wciąż mamy pod swoimi rozkazami ponad cztery miliony osób. Dokładnie cztery miliony sto szesnaście tysięcy stu pięćdziesięciu czterech, wliczając przerzucane właśnie oddziały. – Widząc rosnącą irytację kanclerza, dodała szybko: – Na Terytoriach Zewnętrznych sytuacja wygląda lepiej. Tam mamy obecnie pięć milionów dwieście czterdzieści pięć tysięcy czterystu trzydziestu dwóch żołnierzy i oficerów.

– I sto pięćdziesiąt systemów więcej do pilnowania – wytknął natychmiast sekretarz infrastruktury.

– Nie mówiąc o pół miliardzie kolonistów – wtrącił Weinbaum.

– Siły są rozłożone równomiernie nawet w świetle tych dysproporcji. – Bova wziął podwładnych w obronę. – Poza tym sytuacja na Terytoriach Zewnętrznych jest o tyle lepsza, że nie straciliśmy tam trzech czwartych ciężkiego sprzętu dla sił uderzeniowych, o większości najnowocześniejszych desantowców szturmowych nie wspominając.

– Trzech czwartych? – Kanclerz poruszył się niespokojnie i zaraz przeniósł wzrok na wojskowych.

– W chwili ataku na kotwicowiskach bazy znajdowało się czterdzieści osiem transportowców desantowo-szturmowych klasy Tajfun. Tych starszych – wyjaśniła Dozois. – To jedna czwarta jednostek tego typu, z tych, które wchodziły w skład trzeciej floty.

– Ja mówię o Pacyfikatorach – przypomniał jej sekretarz obrony.

– Próbowałam nakreślić szerszą perspektywę – broniła się Dozois.

– Z tego, co słyszałem, straciliśmy na Kalidonie dwadzieścia cztery nowiusieńkie Pacyfikatory – oznajmił Keyes.

Admirał nabrała tchu, jakby chciała sprostować jego wypowiedź, ale tylko potaknęła. Podane liczby nie podlegały dyskusji.

– Dlaczego te jednostki były w ogóle w bazie? – zapytał sekretarz infrastruktury.

- Zostały tam ściągnięte na specjalne życzenie gubernatora Heinleina – odparła, czując ulgę, że choć raz może wskazać winnego spoza admiralacji.

- W jakim celu? – chciał wiedzieć kanclerz.

- Miały wziąć udział w uroczystej paradzie kończącej ceremonię oddania do użytku centrów reedukacyjnych.

- No pięknie... – Sekretarz obrony pokręcił głową.

- Jeśli mogę – odezwała się znienacka doradczyni Strossa. – Ich udział we wspomnianej paradzie został zatwierdzony przez Radę na jednym z poprzednich spotkań. Była to część planowanej kampanii medialnej.

Politycy zwiesili głowy. Przyklepywali takie propozycje bez zastanowienia, po czym natychmiast o nich zapominali. Kanclerz jednak nie zamierzał przyznawać się do błędu.

- W jakim stopniu to wszystko ogranicza naszą zdolność bojową w trzecim metasektorze? – zapytał.

- W minimalnym – wyrwał się sekretarz obrony.

- O ile nie dojdzie do masowych buntów – odpowiedział Norton.

- Dzięki Delcie to nam na szczęście nie grozi – skontrował natychmiast jego przedmówca.

- Czysto hipotetycznie założmy, że zostaniemy zmuszeni do pacyfikacji wielu systemów naraz – nie odpuszczał Stross.

Dozois odszukała symulacje na wzmiankowany temat. Przesławszy je na komunikatory zebranych, poinformowała:

- W każdym kluczowym systemie mamy wystarczająco duży garnizon wojsk powierzchniowych. Kilka tysięcy żołnierzy na planetę.

- A po ilu wypadach na każdą kolonię? – dopytał sekretarz infrastruktury.

- Statystycznie?

- Może być statystycznie.

- Po około pięćdziesięciu.

- I to pani zdaniem wystarczy do utrzymania w ryzach dwustu tysięcy rozwścieczonych kolonistów? Dobrze liczę? Tylu ich chyba wypadają statystycznie na tych waszych pięćdziesięciu żołnierzy?

- Tak – potwierdziła po chwili wahania.

- Demonizuje pan sytuację! – Gernsback poczuł się wywołany do tablicy. – Nasi ludzie są doskonale uzbrojeni i wyszkoleni, mają też pełne wsparcie funkcjonariuszy wydziału bezpieczeństwa.

– Problem polega na tym – upierał się Keyes – że po ataku na Kalidona nie mogą liczyć na otrzymanie wsparcia ani zaopatrzenia z zewnątrz, jeśli dobrze rozumiem.

– To chwilowa sytuacja – zapewnił go najwyższy admirał. – Wkrótce wdrożymy operacje przerzutowe. Przeniesiemy na Terytoria Wewnętrzne połowę sprzętu i wyposażenia przeznaczonego do obrony Systemów Centralnych oraz jedną trzecią zapasów magazynowych z Terytoriów Zewnętrznych. Nie pokryje to poniesionych strat w pełni, ale zminimalizuje je w znacznym stopniu.

– Nie osłabimy w ten sposób potencjału obronnego najważniejszego obszaru Federacji? – zapytał z obawą w głosie sekretarz infrastruktury.

– Systemom Centralnym nic nie grozi, zapewniam panów. – Gernsback położył rękę na sercu.

– Proszę to powiedzieć tym setkom milionów mieszkańców Deltury Centralnej – wymamrotał Keyes.

– To był atak z zaskoczenia! – Najwyższy admirał nie dał się zapędzić w kozły róg. – Wyciągnęliśmy z niego nauczkę. Coś takiego nigdy się nie powtórzy.

– Wracając do tematu... – Kanclerz zdusił w zarodku rodzącą się kłótnię. – Iloma funkcjonariuszami dysponuje wydział?

– Na Terytoriach Wewnętrznych mamy osiem i pół miliona ludzi, na Zewnętrznych jest ich nieco ponad dziewięć milionów.

– Dwanaście i pół miliona żołnierzy i czarnych na trzynaście miliardów kolonistów zamieszkujących Terytoria Wewnętrzne – podsumował Stross.

– W obecnej sytuacji to może nie wystarczyć.

– Plany mobilizacyjne zakładają możliwość szybkiego wcielenia do służby prawie ośmiu milionów rezerwistów z pasów zewnętrznych – oświadczyła z niekłamaną dumą Dozois. – To daje po cztery kolejne miliony na każde Terytorium.

– Jak szybkiego? – zainteresował się Keyes.

– Po trzydziestu dniach będą gotowi do przerzucenia.

– A wydział? – Sekretarz infrastruktury utkwiał wzrok w Nortonie.

– Nasze rezerwy to milion dwieście tysięcy byłych funkcjonariuszy plus kolejne pół miliona ludzi oddelegowanych z placówek w Systemach Centralnych – wyliczył sekretarz bezpieczeństwa.

– Milion nas na miliard ich – mruknął zamyślony Stross. – Jeden człowiek na tyś.

– Tyle wystarczy – zapewnił go najwyższy admirał. – W przeciwieństwie do naszych żołnierzy koloniści nie mają broni i nie zdobędą jej, ponieważ jest zabezpieczona biometrycznie. Tych blokad nie da się obejść w żaden sposób, doskonaliliśmy je przez dekady. Do tego wszystkie oddziały dostaną wsparcie z orbity. Każdy system dysponuje co najmniej jednym okrętem wojennym na zamieszkaną planetę.

– „Każdy system mający znaczenie gospodarcze albo strategiczne”. – Sekretarz infrastruktury zacytował Dozois.

– I co z tego? – Gernsback zbył tę uwagę wzruszeniem ramion. – Koloniści nie są w stanie zagrozić naszym jednostkom. O to także zadaliśmy. A nawet samotny myśliwiec da radę zablokować ruch orbitalny.

– O ile będzie latał... – rzucił kąśliwie Keyes.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – obruszył się najwyższy admirał.

– To, że straciliśmy na Kalidonie wytwórnę ogniwo paliwowych. Jedyne na Terytoriach.

– Niedobory, o ile wystąpią, będą chwilowe – uspokoiła go Dozois. – Pierwsze transporty z rezerwami już lecą w kierunku Terytoriów. Dotrą do nowego centrum dowodzenia w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, po czym zostaną rozdystrybuowane dalej. Poza tym mamy pełną kontrolę nad wszystkimi lokalnymi składami ogniwo dla jednostek handlowych. W razie wystąpienia poważniejszych problemów możemy je przejąć i uczynimy to bez wahania.

– Uziemiacz przy okazji cały ruch tranzytowy? – zapytał sekretarz infrastruktury.

– Jakaś jego część, tak – potwierdził Gernsback.

– Myśli pan, że oligarchowie przyznają panu za to kolejny medal? – zakpił Weinbaum. – Doprowadzicie tylko do jeszcze większego wrzenia.

– Coś za coś – syknął najwyższy admirał.

– Dość – głos znów zabrał kanclerz. – Ile czasu trzeba na zbudowanie nowej wytwórni?

– Co najmniej trzech miesięcy – odparł Keyes – i mówię tutaj o zaangażowaniu wszystkich dostępnych sił i środków. Od dzisiaj, bez taryfy ulgowej. Powinniśmy przegłosować stosowny projekt jeszcze na tym posiedzeniu – dodał, zerkając znacząco w kierunku sekretarza skarbu.

– Doskonale wiesz, że nie mamy w tej chwili aż tylu wolnych środków – stwierdził Weinbaum. – To przecież grube biliony. Zakłócenie łańcucha dostaw i ewentualne odszkodowania to przy tym pestka.

– Chodzi o przetrwanie. – Sekretarz infrastruktury jak zwykle nie owijał w bawełnę. – Jeśli uziemimy flotę w trzecim...

– Znowu pan demonizuje! – zdenerwował się najwyższy admirał. – To co, że ogołocimy składy w Systemach Centralnych? Im nie grozi żaden atak. Grunt, że utrzymamy oczekiwany poziom dostaw aż do odzyskania pełnych zdolności produkcyjnych. Powtarzam: pierwsze transporty ogniwo-paliwowych już lecą na Terytoria. Naszym okrętom nie grozi uziemienie.

– Kończy nam się czas, panowie – przypomniał Stross. – Zajmijmy się tymi kwestiami, które są teraz najważniejsze. Jak szeroki był odbiór drugiego wystąpienia Bukowskiego? – zwrócił się do sekretarza bezpieczeństwa.

– Obawiam się, że równie szeroki jak pierwszy – odparł Norton.

– Nie zdołaliście zablokować im łączny? – zdziwił się Weinbaum.

Wyjaśnienie było boleśnie proste.

– Nie zdążyliśmy, a tam, gdzie się to udało, separatyści użyli innych kanałów.

– Reasumując... – Kanclerz potoczył wzrokiem po zebranych. – Praktycznie każdy obywatel Federacji wie, że baza na Kalidonie uległa całkowitemu zniszczeniu na skutek ataku separatystów, tych samych, którzy wcześniej ujawnili istnienie formuły Diakowa i przeprowadzili atak na siedzibę Instytutu, doprowadzając przy okazji do kataklizmu na skalę planetarną. Oznacza to, że koloniści zamieszkujący Terytoria i mający bardziej lub mniej na pieńku z korporacjami i rządem mogą zacząć wypowiadać posłuszeństwo zarówno oligarchom, jak i nam. Zgadzą się co do jednego: ponieważ Bukowski jest winien śmierci setek milionów niewinnych ludzi, nikt, kto ma sumienie, go nie poprze. Ale sytuacja na Rubieżach jest napięta od dawna, zwłaszcza na Terytoriach Wewnętrznych, gdzie w dodatku właśnie zadano nam mocny i co tu ukrywać, symboliczny cios. Utrata kwatery głównej trzeciego metasektora ośmieszyła admiralicję i Radę. Jeszcze nie skończyłem! – warknął, widząc, że Bova otwiera usta. –

Nie możemy oddać przeciwnikowi inicjatywy, dlatego proponuję, abyśmy jeszcze dzisiaj ogłosili pełną mobilizację. Wezwiemy pod broń nie osiem, tylko szesnaście albo nawet dwadzieścia cztery miliony ludzi, o ile nasz system jest w stanie przerobić w tak krótkim czasie tylu rezerwistów i poborowych. – W tym momencie posłał sekretarzowi obrony pytające spojrzenie.

- Symulacje dowodzą, że równoczesne powołanie pod broń dwudziestu milionów ludzi jest możliwe, jeśli przeprowadzimy te działania na całym terytorium Systemów Centralnych – odparł Bova.

Wzrok Strossa spoczął na sekretarzu skarbu.

- Dokonam stosownych korekt budżetu – obiecał Weinbaum.

- Na tyle głębokich, by wystarczyło też na odbudowę wytwórni ogniw?

- Trzeba będzie ciąć wydatki socjalne, i to ostro, bo na hojność korporacji raczej bym nie liczył.

Z tym ostatnim stwierdzeniem nikt nie dyskutował. Korporacje wesprą sprawę dopiero wtedy, gdy niepokoje rozleją się po całych Terytoriach i oligarchowie odczują to na własnej skórze.

- Następną kwestia: restrykcje. Jak daleko powinny iść waszym zdaniem?

- Ogłosimy stan wyjątkowy w każdym systemie, w którym dojdzie do rozruchów, strajków albo innych form buntu – zaproponowała Wollheim.

- Dłaczego nie od razu na całych Terytoriach? – Bova był zwolennikiem polityki twardej ręki.

- Lepiej nie dolewać oliwy do ognia. Niech koloniści widzą, że tam, gdzie panuje względny spokój, można nadal żyć normalnie.

- Coś jeszcze?

- Przyspieszmy akcesję pasów od A do D. – Doradczyni podrzuciła kolejny pomysł.

- Co nam to da?

- Separatyści walczą o równe prawa. Tam, gdzie je przyznamy, znikną wszelkie powody do buntu. Wspomniane pasy i tak są już jedną nogą w Systemach Centralnych. Dajmy im zatem to, czego chcą. Teraz.

- Zgadzam się z tą argumentacją – powiedział Norton. – Dzięki temu zredukujemy wrogie nam terytoria.

- Pasom od E do G mogliśmy przyznać status kandydacki. – Wollheim szła za ciosem. – Taki awans doprowadzi w nich do uspokojenia nastrojów, zwłaszcza przy zapowiedzi z naszej strony, że czynny udział w buncie poskutkuje natychmiastowym cofnięciem tej decyzji. Można liczyć, że gdzieś tam miejscowi sami wymierzą buntownikom sprawiedliwość.

- Popieram! – Sekretarz bezpieczeństwa zarechotał.

Nikt z członków Rady nie zgłosił sprzeciwu.

- Jeszcze jakieś pomysły?

- Przenieśmy sztab trzeciego metasektora do pasa A, na przykład na Anzio – wysunął propozycję Keyes.

- Czemu to miałyby służyć? – zapytał najwyższy admirał. – Sztab powinien się znajdować pośrodku danego terytorium.

- Zapomina pan, że mówimy o pasach, które do dzisiaj były podobno nasze, ale teraz są nam otwarcie wrogie – odparł hardo sekretarz infrastruktury. – Może się myłę, ale nie znam doktryny, która nakazywałaby umieszczanie struktur dowodzenia w samym środku pola minowego.

- Ma pan rację. – Gernsback błyskawicznie ustąpił. Obstawanie przy swoim nie było dla niego w tej sytuacji bezpieczne, jeśli chciał zachować stanowisko. – Anzio wydaje się świetnym wyborem.

- Czy taki ruch nie zostanie odebrany jako przejaw naszej słabości? – zaniepokoił się Stross.

- Jeśli nawet, to korzyści i tak przeważą nad wadami tego rozwiązania – zapewniła go Wollheim.

- Zatem postanowione – zdecydował kanclerz. – Coś jeszcze? Nie? W takim razie zamykam posiedzenie. Widzimy się za cztery godziny, chyba że zajdzie coś nieprzewidzianego.

Rozdział 6

*Terytoria Wewnętrzne,
stacja w atmosferze Delty,
System Gravenhurst 4, Sektor Whisky,
10.05.2234, godz. 08:04*

- To wszystko, co wiemy na tę chwilę. - Bester zamilkł, po czym holopad został wyłączony.

Zebrani w sali odpraw przywódcy ruchu oporu spoglądali po sobie niepewnie.

- Czy to znaczy, że miałam rację? - zaczęła niepewnym tonem Huxley, zarządzczyni ośmiu pasów wewnętrznych.

- Na to wygląda - przyznał Wergiliusz. - Ucieczka spedytora, sposób, w jaki zorganizowano jego zniknięcie, czas, w którym to nastąpiło; wszystko wskazuje na czyjeś celowe działanie.

- Nie czyjeś, tylko Rady - stwierdziła stanowczo, gdy zamilkł.

- Albo oligarchów - wtrącił natychmiast del Rey, człowiek sprawujący pieczę nad programem budowy floty separatystów.

- Ktokolwiek to jest, ma doskonałe rozeznanie w naszych planach - zauważył odpowiadający za zewnętrzne pasy Leinster.

Tylko Kuttner, ponury jak pustka międzygalaktyczna zarządca Rubieży, nie przejawiał ochoty do zabrania głosu. Bukowski uznał więc, że to dobry moment na włączenie się do rozmowy. Do tej pory przysłuchiwał się biernie dyskusji, jaka rozgorzała po wyznaniu Wergiliusza, że atak na Kalidona 11 nastąpił z jego rozkazu. Podjęcie tak ważnej decyzji w pojedynkę nie spodobało się czwórce zastępców, o czym świadczyły ich żywiołowe reakcje na słowa przywódcy ruchu, lecz gdy Bradam przedstawił raport z Fukushima, oburzenie szybko minęło, zastąpione przez powracające obawy.

- Nie byłbym tego taki pewien - stwierdził zdecydowanym tonem Robert. Głowy wszystkich obecnych zwróciły się w jego stronę. - Gdyby

nasza organizacja została zinfiltrowana w takim stopniu, o jakim mówicie, mielibyśmy dzisiaj znacznie poważniejsze problemy.

– Doprawdy? – prychnęła Huxley. – Co może być gorszego od oskarżenia o ludobójstwo?

– Osądzenie za ten czyn i wykonanie wyroku śmierci? – Kapitan wytrącił jej broń z ręki. – Nie mamy powodu do paniki. Jak dotąd nie podjęto żadnych działań, które by wskazywały, że ktoś postronny wie o naszym istnieniu.

– To może ulec zmianie w każdej chwili – rzucił grobowym tonem Kuttner.

– Wątpię. – Bukowski potrząsnął głową. – Opóźnianie odwetu jest z gruntu nielogiczne. Pomyślcie sami. Wrobili nas w niewyobrażalną zbrodnię. Wystarczyłby jeden zdecydowany ruch i po sprawie. Proces, wyrok, egzekucja. Szybka likwidacja ruchu oporu oznaczałaby definitywny koniec wszelkich przejawów nieposłuszeństwa. Kto przy zdrowych zmysłach próbowałby się jeszcze stawiać władzom, skoro sam wielki Bukowski i jego tajemniczy mocodawcy zostali wykryci i zgładzeni w okamgnieniu. Przekaz byłby jasny: Federacja jest niezwycięzona i jeśli tylko zechce, dopadnie każdego. – Potoczył wzrokiem wokół stołu. – Słena twierdzi, że nie ma żadnego zagrożenia dla naszych struktur. Panie del Rey – zwrócił się do zarządcy stoczni – czy flota Federacji wykonała jakiegokolwiek posunięcia mogące sugerować, że zamierza odciąć, a potem przejąć systemy, w których budujemy okręty?

– Nie – odparł Mitchris, a pozostali wyraźnie odetchnęli z ulgą.

– Chyba wszyscy się zgadzamy, że powstające krążowniki zagrożą poważnie Federacji. Gdyby politycy i pociągający za sznurki oligarchowie wiedzieli, że takie okręty są na etapie budowy, dołożyliby starań, aby je przejąć lub zniszczyć, zanim zdążymy ich użyć. Jak więc wytłumaczyć fakt, że tego nie robią? W przypadku tak cynicznych osób odpowiedź nasuwa się sama.

– A jak wytłumaczy pan zniknięcie spedytora? – zapytała wprost Huxley.

– W tej chwili nijak – przyznał szczerze Robert. – Co nie znaczy, że nie da się tego wyjaśnić.

– Musi pan mieć jakieś podejrzenia! – Kuttner poparł koleżankę. – Proszę nam powiedzieć, które z nich wydają się panu najbardziej prawdopodobne.

Bukowski westchnął ciężko. Wiedział, że to, co zaraz od niego usłyszą, bardzo im się nie spodoba. On sam wpadł na ten pomysł tuż przed naradą. Po pierwszym, rzuconym na gorąco wyjaśnieniu, które się nie sprawdziło, przeanalizował sprawę jeszcze raz, dogłębniej.

– No dobrze – zaczął. – Zreasumujmy fakty. Zostaliśmy wrobieni w zbrodnię, jakiej wszechświat jeszcze nie widział, ale Rada nie podjęła żadnych działań, dając nam czas nie tylko na znalezienie potencjalnych informatorów, ale też na ewentualną ucieczkę i reorganizację. Co to może oznaczać? Infiltrację wykluczam z podanych wcześniej powodów. – Przyjrzał się po kolei wszystkim zebranych, jakby zachęcał ich do przedstawienia swoich teorii, ale ponurzy zarządcy milczeli jak zakłęci. – Może zatem... kret w naszych szeregach? Nie mówię oczywiście o nikim spośród tu obecnych – zastrzegł się od razu.

– Kto konkretnie? – zapytała przez ściśnięte gardło Huxley.

– Jakiś człowiek, który pracuje dla was od dawna, ale uważa, że bierny opór nie jest najlepszym rozwiązaniem. Ruch oporu to przecież tysiące komórek działających w setkach systemów. Budowaliście go mozolnie całymi latami, werbując ludzi, którzy doświadczyli skrajnej biedy i przemocy ze strony władz i korporacji. Radziłbym poszukać radykałów. Kogoś, kto postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i zrewidować dotychczasową politykę Wergiliusza.

– Ale... dlaczego? – Huxley wyglądała na wstrząśniętą.

– Dlatego że uznał waszą postawę za zbyt zachowawczą. – Robert podał tylko jedno z wielu logicznych wyjaśnień. – Historia zna mnóstwo podobnych przypadków.

Przywódca separatystów wpatrywał się w Bukowskiego z na wpół otwartymi ustami. Reszta także była w szoku. Kuttner chyba żałował, że w ogóle zaczął drażnić ten temat.

– To ma sens – przyznała po chwili Susan.

– Sens? – obruszyła się zarządczyni pasów wewnętrznych. – Przemoc zrodzi przemoc...

– ...która zrodzi jeszcze większą przemoc – wpadł jej w słowo Bukowski. – Tak to widzą ludzie, którzy doprowadzili do zagłady Deltę. I taki jest cel ich działań. Uważają, że wymuszenie ustępstw na politykach i oligarchach niczego by nie zmieniło, a w każdym razie nie w dłuższej perspektywie. Wywalczone przez was podwyżki wynagrodzeń zostałyby stopniowo zniwelowane rosnącymi powoli cenami, uzyskane traktatami swo-

body byłyby na powrót odbierane, niezauważalnie, odrobinka po odrobince, i za dekadę albo dwie znaleźlibyśmy się w punkcie wyjścia, tyle że bez nadziei na jakąkolwiek poprawę sytuacji. – Kapitan wzruszył ramionami. – Dla tych ludzi to oczywiste, dlatego zdecydowali się postawić sprawę na ostrzu noża, tutaj i teraz. Delta wymusi falę nieuniknionych represji, na które uciskani będą musieli odpowiedzieć jeszcze silniejszym oporem albo ulec. Przy obecnie panujących nastrojach nietrudno odgadnąć, którą drogę wybiorą.

– Zatem zgadza się pan z ich filozofią? – zapytał napastliwie Kuttner.

– Nie do końca – odparł z lekkim wahaniem Robert, świadom, na jak grząski grunt zaprowadził go ostatni wywód. – Doskonale jednak rozumiem ich motywacje. W moich czasach był to dość powszechny tok myślenia.

Del Rey pokiwał ze smutkiem głową.

– Znam wiele osób, które nigdy nie kryły nienawiści do oligarchów i władz Federacji. Wykorzystywaliśmy ich gniew przez lata, tworząc zręby ruchu oporu, aż któryś z nich wykorzystał nas.

– Znajdźcie winnych jak najprędzej! – wykrzyknęła Huxley. – Muszą odpowiedzieć za swoją zbrodnię.

– Chcesz ich wydać Radzie? – obruszył się Leinster.

– Ależ skąd. Chcę, żeby zostali schwytani i osądzeni. Tylko tak oczyścimy nasze dobre imię.

– Inaczej mówiąc, mamy przyznać przed całą Federacją, że kłamliwie oskarżyliśmy Radę – zakpił Mitchris.

Tą jedną krótką kontrą zgasił dalszą dyskusję. Daphnelly spąsowiała na twarzy.

– Myślę, że powinniśmy dążyć do poznania prawdy, choćby dla uspokojenia własnych sumień – podsumował Wergiliusz. – Może szczegółowa analiza banków danych z Fukushimy pozwoli znaleźć nowe cenne wskazówki. Siena dysponuje nieporównywalnie większą mocą obliczeniową niż prywatny System tej kontrolerki lotów z Bety. Czas pokaże, kto miał rację, ale jeśli kapitan się nie myli, możemy stanąć przed naprawdę wielkim wyzwaniem.

– Już przed nim stoimy – poprawił go Bukowski. – Delta zmieniała wszystko. Stross nie będzie z nami negocjował, choćby bardzo tego chciał. Najlepszym tego dowodem jest jego wystąpienie.

– Niestety. – Wergiliusz mógł tylko przytaknąć.

Chciał dodać coś jeszcze, ale nagle zamknął usta.

Moment później holopad ożył i zobaczyli ponownie Bradama Bestera.

– Z Gorisa 2 nadszedł meldunek o dostrzeżonym konwoju. – Nad stołem pojawiła się mapa Federacji, która po kilku powiększeniach została ograniczona do trzech pasów znajdujących się tuż za Ziemią, w sektorach Romeo, Sierra i Tango, a potem do wybranego systemu, który sąsiadował z Hasseltem 4 będącym odpowiednikiem Kalidona. Kolejne powiększenie i pojawiła się tamtejsza mocno zatłoczona strefa skoku. Słona podświetliła kilkadziesiąt znajdujących się w niej jednostek. – W skład konwoju wchodzi szesnaście rdzeniowców floty, tych największych, klasy Atlas, oraz osiem Azymutów. Eskorta składa się z trzech zespołów zadaniowych. W skład każdego z nich wchodzi krążownik, trzy niszczyciele i pełna eskadra myśliwców. Przed momentem przyznano im absolutne pierwszeństwo w tamtejszej strefie skoku.

– Interesujące. – Bukowski ściągnął plik na własne stanowisko, po czym przeskalał go tak, by mieć w polu widzenia sam konwój.

Okręty leciały czwórkami, cała formacja tworzyła ciasny szyk, zwany fachowo heksagonalnym, ale coś mu w tym układzie nie pasowało. Dużo czytał o współczesnej taktyce i strategii, dlatego bardzo szybko zrozumiał, co jest nie tak. Obecnie stosowana doktryna wymagała, aby każdy transportowiec był chroniony w tranzyście przez trzy okręty wojenne, z którymi nie tylko pokonywał przestrzeń euklidesową, ale także skakał w nadprzestrzeń. W tym przypadku wyglądało to jednak zupełnie inaczej. Myśliwce leciały podzielone na klucze, krążownik i trzy niszczyciele tworzyły odrębne zespoły, a wielkie rdzeniowce, również pogrupowane w czwórki, zajmowały miejsce pośrodku szyku.

– Wiadomo już, dokąd lecą? – zapytał del Rey.

– Kapitanat zablokował ruch przy punkcie skoku na Faradayu 3 – odparł Bradam.

– Lecą do nas! – uznał Leinster, ponieważ Faraday 3 był właściwym systemem tranzytowym dla każdego, kto zamierzał dotrzeć na terytorium trzeciego metasektora.

– Przerzucają zaopatrzenie – mruknął Kuttner. – Wiozą wszystko to, co zniszczyliśmy na Kalidonie.

– Nie... – Bukowski przyglądał się zbliżeniu jednego z rdzeniowców. – Te Atlasy to autonomiczne transportowce. Zwróćcie też uwagę na odstępy między nimi i okrętami eskorty. Nie wydają się wam zbyt duże?

- Owszem - przyznał del Rey, po czym przeliczył coś szybko. - To mi wygląda na standardowy szyk stosowany podczas transportu ogniwi paliwowych.

Wergiliusz, gdy to usłyszał, zerknął w stronę Bukowskiego. Kapitan uśmiechnął się tylko.

- Oto nasz kolejny cel - stwierdził, opadając na oparcie fotela.

- Mamy zaatakować konwój osłaniany przez trzy krążowniki, dziewięć niszczycieli i... - Huxley musiała zliczyć mniejsze okręty - czterdzieści osiem myśliwców?

Robert potaknął.

- Jeśli nam się uda, ograniczymy ruchy floty na Terytoriach do absolutnego minimum.

- Przecież to niewykonalne - szepnęła. - Czyż mielibyśmy zaatakować?

- Raczej „jak i gdzie?” - rzucił również uśmiechnięty Wergiliusz, po czym poważniejąc, dodał: - Siena, ile oni tego tam przewożą?

- Nie umiem odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

- To może inaczej: ile ogniwi paliwowych można przewieźć na jednym Atlasie tej generacji?

- Rdzeniowce trzeciej generacji klasy Atlas mogą przewieźć jednorazowo do dwudziestu czterech tysięcy ogniwi typu delta - odparła sztuczna inteligencja.

- W konwoju leci ich szesnaście, co oznacza, że przerzucają prawie czterysta tysięcy ogniwi - przekalkulował del Rey.

- Czyli mniej więcej tyle, ile wytwórnia na Kalidonie mogła wyprodukować w pół roku - dodał Leinster.

- Mamy po dwa rdzeniowce na każdą bazę zaopatrzeniową w naszym metasektorze, do tego cztery przewożące zapasy strategiczne - podsumował Bukowski, po czym nagle wyprostował plecy, jakby coś go ukłuło. - To nie jeden konwój, tylko trzy! - Wpisał pośpiesznie kilka komend i zaczął, aż zmieni się hologram. Nad stołem znów zawisła mapa Systemów Centralnych i części Terytoriów Wewnętrznych. Przecinająca je sieć tuneli nadprzestrzennych pozostała bezbarwna, jeśli nie liczyć jednej trasy. Ta płonęła czerwienią, rozdwarzając się w pewnym miejscu i potem kilka pasów dalej jeszcze raz się dzieląc. - Ogniwa są przeznaczone dla wszystkich baz na Terytoriach Wewnętrznych. Gdy tam dotrą, flota Federacji będzie mogła operować bez przeszkód przez nawet osiem miesięcy.

Huxley miała strach w oczach.

– Co w takim razie zrobimy? – zapytała.

– Zafundujemy im powtórkę z Hyperiona – odparł ze spokojem Robert.

– Chcecie coś wysadzić i zablokować strefę skoku?

– Tak. – Bukowski uśmiechnął się triumfalnie.

– Oni nie nabiorą się na ten sam numer po raz drugi – wyraził swoje zdanie Kuttner.

– Wiem – zgodził się z nim kapitan.

– Właśnie kazali zablokować strefy skoku na całej trasie – poinformował Bradam. – Aż do Anzio.

– Anzio? – zdziwił się Leinster.

– Nie lecą na Kalidona? – Kuttner także nie krył zaskoczenia.

– Blokady kończą się na Anzio – powtórzył Bester z niezachwianą pewnością.

– Co tam takiego jest? – zainteresował się Wergiliusz.

– To niezamieszkały system – wyjaśniła Siena. – Wcześniej mieściła się tam jedna z baz regionalnych, ale zlikwidowano ją trzydzieści pięć lat temu po otwarciu stacji na Oberonie 22.

– Co oni kombinują? – wymamrotał przywódca ruchu oporu.

Bukowski mu odpowiedział:

– Wyciągnęli jedyne słuszne wnioski z zagłady Kalidona. Założą nowe centrum dowodzenia metasektorem na znacznie bliższym i bezpieczniejszym terenie.

– To jeszcze bardziej utrudni atak – zauważył przytomnie del Rey.

– Zdaję sobie z tego sprawę – zapewnił go kapitan. – Dlatego musimy uderzyć, zanim konwój zostanie podzielony. Tam, gdzie najmniej się tego spodziewają, czyli na ich własnym terenie.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o deeskalację – rzucił scenicznym szeptem Kuttner.

– Myli się pan – zareagował stanowczo Robert. – Tym atakiem pozbawimy ich możliwości prowadzenia działań zaczepnych na szerszą skalę. Jeśli oni nie uderzą, to i my nie będziemy musieli. To może być ostatnia szansa na powstrzymanie spirali przemocy.

– Kapitan dobrze mówi – poparł go del Rey.

Pozostali także przyznali Bukowskiemu rację, kiwając głowami.

– Jak pan to sobie wyobraża? – zapytał Wergiliusz po chwili pełnego napięcia milczenia.

- Bardzo prosto - odparł Robert. - Czy załoga *Atlasy* z Fukushima mogłaby przeprowadzić taki atak?

* * *

Narada zakończyła się kwadrans później głosowaniem. Wszystko musiało się odbyć zgodnie z protokołem, mimo że Bukowski nie miał pewności, czy przygnębieni zagładą Deltę zastępcy Wergiliusza będą w stanie decydować o życiu i śmierci kolejnych tysięcy ludzi, nawet jeśli chodziło głównie o wrogich żołnierzy. Na szczęście zarządcy zachowali wątpliwości dla siebie, choć podnosząc kolejno dłonie, musieli zwalczyć wewnętrzne opory.

Gdy ostatni uczestnik spotkania zniknął i pozostali tylko we troje: Wergiliusz, Susan i Robert, ten ostatni pochylił się ku temu pierwszemu.

- Mam prośbę - powiedział.

- Tak?

- Jeśli pan pozwoli, chciałbym polecieć na statek Susan.

- Teraz? - zdziwił się Wergiliusz.

- Przykro to mówić, ale sytuacja zaczyna mnie przytłaczać - wyjaśnił kapitan. - Poza tym nie chcę czekać bezczynnie na rozwój wypadków. Pomyślałem więc, że mógłbym zabić czas, jeśli mogę tak to ująć, pracując nad bankami danych *Mayflower*.

Wergiliusz mierzył go uważnym spojrzeniem.

- A konkretnie?

- Uznałem... - Bukowski oblizał nerwowo wargi - ...że fakt zamachu na mnie i wiążąca się z tym konfiskata majątku oznaczają automatyczne anulowanie każdej umowy, jaką kiedykolwiek zawarłem z przedstawicielami Federacji. Krótko mówiąc, zamierzam udostępnić w Holonocie wszystko, co sprzedałem wcześniej przedstawicielom strony rządzącej i korporacjom. Całą muzykę, każdą książkę, rzeźbę, obraz i film, cokolwiek zostało stworzone do chwili naszego odlotu z Ziemi. Chcę dać to wszystko ludziom czy może raczej chcę zwrócić im utraconą przeszłość i tożsamość.

- Myśli pan o ociepleniu swojego wizerunku? - zapytał przywódca ruchu oporu.

- Nie... Tak - przyznał Robert z pewnym wahaniem. - Myślę, że to byłoby właściwe posunięcie.

- Zwrócenie ludzkości jej dziedzictwa.

- Tak.

- Obawiam się, że mało kto doceni pańskie poświęcenie, zwłaszcza teraz - zauważył trzeźwo Wergiliusz - ale na dłuższą metę możemy tym coś ugrać, zwłaszcza propagandowo.

- Czy to znaczy, że wyraża pan zgodę?... - Robert zawiesił z nadzieją głos.

- Jest pan wolnym człowiekiem, kapitanie - odparł ze śmiechem przywódca ruchu oporu. - Gościem w moich skromnych progach. Nie musi pan pytać o pozwolenie na opuszczenie stacji, choć nie przeczę, że wolalbym mieć pana zawsze pod ręką.

- *Atlas* pozostaje na orbicie stacjonarnej... - zaczął Bukowski.

- Proszę robić, co pan uważa za stosowne, byle nie wyłączał pan komunikatora - usłyszał krótką, ale konkretną odpowiedź.

- Dziękuję.

Susan przysłuchiwała się tej wymianie zdań z rosnącym zaciekawieniem.

- To moja kopia SIndbada - przypomniała z przekąsem, gdy hologram Wergiliusza zgasł.

- Fakt. - Robert się skrzywił, jakby właśnie dotarło do niego, że po raz kolejny wyszedł przed szereg. - Przepraszam, ja...

- Żartowałam. - Roześmiała się, wstając. - Mnie w sumie też zabili, więc z największą przyjemnością rozdadam wszystko, za co już raz ci zapłacili.

* * *

Lot na niską orbitę trwał krócej niż dotarcie z centrum dowodzenia do doków i procedury opuszczenia samej stacji. W trakcie lotu Bukowski niewiele mówił, siedział głównie zatopiony w myślach i analizował kolejne symulacje ataku na konwój albo odpowiadał na pytania przesyłane z centrali. Nie skłamał zbyt wiele, informując Wergiliusza, że kiepsko sobie radzi z beczynnym czekaniem. Szczerze się obawiał, że najbliższe godziny będą się ciągnęły jak czas za horyzontem zdarzeń.

Od uderzenia na Centuriona i Kalidona upłynęły niespełna dwie godziny, w związku z czym informacje o zagładzie Deltę nie dotarły jeszcze do sporej części mieszkańców Terytoriów i Rubieży, a to przecież od ich reakcji zależały dalsze losy ruchu oporu i jego samego. Robert wierzył, że ludzie w przeważającej części posłuchają głosu rozsądku i przyjmą jego

wersję za prawdziwą, lecz na tak wczesnym etapie nie mógł mieć całkowitej pewności, że tak właśnie się stanie.

Jeszcze wiele mogło pójść nie tak. Historia nieraz przecież pokazała, że triumfy nie zawsze święcą ci, którzy mają rację. Poza tym Bukowski zaczął wątpić, czy jego współpracownicy zdołają doprowadzić dzieło Wergiliusza do końca. Ich ostatnie reakcje ukazywały głębię problemu, przed którym stanie obecny przywódca ruchu oporu albo ten, kto w przewidywalnym czasie będzie musiał go zastąpić.

Prawdziwym powodem wyprawy na orbitę nie była więc chęć udostępnienia dorobku kulturalnego ludzkości. To był tylko wygodny pretekst, dzięki któremu kapitan mógł się wydostać z przestrzeni kontrolowanej niepodzielnie przez szefa ruchu oporu.

Atlas należał do Susan, był to jej prywatny statek, bezpieczna przystań i zarazem jedyne miejsce w całym systemie, gdzie Robert będzie mógł porozmawiać z dawną podwładną bez ryzyka, że zostaną podsłuchani. Tak, wołał, by to, co miał jej do powiedzenia, nie dotarło dzisiaj do niepowołanych uszu, a był święcie przekonany, że na stacji każde jego słowo i każdy gest są skrzętnie rejestrowane. Być może nawet na użytek więcej niż jednej strony.

Liu przeczuwała, że coś jest nie tak. Bukowski dostrzegał to w jej zachowaniu. W tych ukradkowych zerknięciach, nerwowych gestach, jakby niezupełnie umiała się znaleźć w nowej dla nich sytuacji. Spędzili razem zbyt wiele czasu, aby nie wychwylił ulotnych drobiazgów, na które każdy inny człowiek zapewne nie zwróciłby najmniejszej uwagi. Na razie uśmiechał się tylko znacząco, gdy krzyżowali przypadkiem spojrzenia. To musiało wystarczyć.

* * *

Susan zawisła przed nim w ciasnej śluzie prowadzącej do serwerowni.

Komunikatory przełączyli na SIndbada. Odtąd cała komunikacja miała się odbywać za pośrednictwem jego łączy, aby odbiorcy słyszeli i widzieli wyłącznie przefiltrowane treści. Liu nie protestowała, gdy zaraz po wejściu na pokład wsunął jej w dłoń kartkę z zapisanymi ręcznie instrukcjami. Był to kolejny dowód na to, że czegoś się domyślała.

– Co ty kombinujesz? – Odwróciła się do niego, ledwie włąz za ich plecami zasunął się z cichym sykiem.

- Zabezpieczam nam wszystkim przyszłość - odparł nieco zbyt enigmatycznie, po czym na widok jej miny dodał: - Chyba wiesz, że ten wasz ruch oporu nie przetrwa jednego dnia, jeśli zabraknie jego najważniejszego spoiwa.

- O czym ty mówisz? - Otworzyła usta ze zdziwienia.

- Nie o czym, a o kim. O Wergiliuszu - odpowiedział, odbijając się od poręczy, by przelecieć w głąb pomieszczenia.

- A co z nim nie tak? - Dogoniła go przy konsoli.

- Wszystko. Zacznijmy od tego, że on umiera.

- To akurat żadna nowina. - Wzruszyła ramionami, sadowiąc się w fotelu po prawej. - Został podłączony do tej maszyny dwanaście lat temu, a mimo to kieruje całą organizacją, i to całkiem udanie.

- To prawda, ale zdajesz sobie sprawę, że starczy wyciągnąć wtyczkę, by przestał być spoiwem, które łączy tych wszystkich ludzi? - zapytał Robert, dopinając uprząż.

- Zabezpieczenia jego komory są wiele... - zaczęła, ale umilkła, widząc jego spojrzenie. - Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego właśnie stworzył procedury, które mają zapewnić ciągłość działań.

- Wierzę, że są bardzo rozsądne i przemyślane. Problem w tym, że żadna nie uwzględni sytuacji, z jaką mamy do czynienia.

- Czyli?

- Mówię o zmianie nastawienia, którą chyba dostrzegłeś u członków wewnętrznego kręgu. I o rozłamie, do którego niechybnie dojdzie, gdy zabraknie Wergiliusza.

W jej oczach pojawił się twardy błysk.

- Ta czwórka to jego najbardziej zaufani ludzie i przyjaciele zarazem. Są z nim od lat, tworzyli ten ruch wspólnie, od podstaw...

- Czy aby na pewno „ten ruch”? - zaakcentował jej własne słowa.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym pokręciła głową.

- Nie.

Robert nie chciał wyklądać wszystkiego łopatologicznie, pozwalał jej dochodzić do tych samych wniosków, które zasiały ziarno zwątpienia w jego umyśle. Wiele by dał, żeby Sue była w stanie obalić jego przypuszczenia. Niestety szybko podzieliła jego zdanie. Fiasko na Delcie Centuriona wyrzuciło do góry nogami idealistyczne postrzeganie świata przez większość założycieli ruchu oporu. Nie tak miała wyglądać rewolucja, której zgodzili się przewodzić. Stanowczo nie tak. A to przecież dopiero

początek walki, w którą zostali podstępem wmanewrowani. Walki, którą trzeba będzie kontynuować pomimo ogromu ponoszonych strat. I której z pewnością odmówią, gdy zabraknie charyzmatycznego lidera i twórcy wyznawanych przez nich idei.

– Rozumiesz już, dlaczego musimy poważnie porozmawiać? – zapytał, gdy minął czas na przemyślenia.

Potaknęła skinieniem.

– Mów, skoro musisz – zachęciła go.

– Uczestniczysz w tym wszystkim znacznie dłużej niż ja – zaczął powoli, ważąc każde słowo. – Znasz tych ludzi lepiej, a co więcej, dysponujesz własnymi... w pewnym sensie niezależnymi... strukturami, na których mogliśmy się oprzeć.

– O co ci...

– Daj mi dokończyć – poprosił. – Nie chciałbym firmować poczynań ludzi, którzy odpowiadają za zagładę Deltę, a to oni, kimkolwiek są, spróbują przejąć władzę nad ruchem, gdy zabraknie Wergiliusza.

– Myślisz, że mogą go...

– Nie wykluczam żadnej możliwości. Pamiętaj, ci ludzie doprowadzili do zagłady jednej z najludniejszych kolonii w Ramieniu. Nie wiem, czy przyszło im to z trudem czy zatwierdzili ten plan bez mrugnięcia okiem, ale fakt pozostaje faktem. Skoro okazali się zdolni do tak potwornej zbrodni, nie cofną się przed niczym. Czymże byłaby likwidacja praktycznie martwego człowieka w porównaniu z unicestwieniem życia na całej planecie? Nawet jeśli mówimy o ojcu założycielu ruchu ideowego, z którego te skurwyklony wyrosły.

– Chcesz być gotowy, kiedy się ujawnią.

– Chcę być gotowy, zanim się ujawnią, bo tylko tak unikniemy najgorszego.

Część druga

KONWÓJ

Rozdział 7

*Systemy Centralne,
powierzchnia Bety,
System Fukushima 4, Sektor Whisky,
10.05.2234, godz. 08:11*

- Co robimy?! - Clement patrzył na kapitana Stephena Lumleya jak na wariata.

- Wracamy na Erytreę - powtórzył dowódca *Azymuta 347-2*, po czym zniknął na moment z pola widzenia, by wprowadzić komendę na sąsiedniej konsoli.

W czasie dłuższego postoju na orbicie każdy frachtowiec korporacji przechodził na ciąg jałowy. Była to standardowa procedura, pozwalająca na oszczędzanie ogniwi paliwowych i znaczną redukcję kosztów. Wiązała się z tym niestety konieczność wyłączenia wszystkich energochłonnych, a nie do końca niezbędnych systemów, takich na przykład jak generatory sztucznego ciężenia. Choć ta akurat misja wykraczała daleko poza standardy, Lumley od samego początku dbał o zachowanie pozorów, jakby przeczuwając, że rola jego jednostki może ulec zmianie.

- Po tej kurwirtualnej rozpierdusze, jaką zrobiliśmy na Becie? - zdziwił się Priest. - Przecież to samobójstwo! Gdybyś nie zauważył, wszystko się posypało. Skurwyklon zwiął. Rozpieprzyliśmy posterunek czarnych. Idę o zakład, że strefa skoku lada moment zostanie zamknięta, tutaj i po drugiej stronie. A jeśli nawet zdążysz stąd odlecieć, czarni opadną nas jak muchy, gdy tylko wyjdziemy z nadprzestrzeni.

- Bez obaw - uspokoił go kapitan, zawisając ponownie na wprost obiektywów holokamery. - Centrala opracowała całkiem sensowny plan. Sami posłuchajcie, co Bradam ma do powiedzenia na ten temat... - Przesłał na ich komunikatory wiadomość, którą otrzymał chwilę wcześniej.

Walter odstawił podniesiony dopiero co hełm, potem uniósł przedramię tak, aby obaj dobrze widzieli holograficzny przekaz. Projektor nie

rozjarzył się jednak, była to wyłącznie głosowa wiadomość.

– Zmiana planów, panowie. – Bester nie bawił się w zbędne wstępy. – Z rozkazu Wergiliusza udacie się na Erytreę, skąd nieco okrężną drogą traficie na Demeter. Krótko mówiąc, jest konwój do zniszczenia. Bożońsko cenny konwój. Niestety skurwyklony strasznie się pilnują, co oznacza, że musimy uderzyć możliwie jak najszybciej, i to głęboko na ich zapleczu...

– Jak on to sobie wyobraża? – wysapał Priest, mocując się z dźwignią uszczelniającą główny zamek skafandra.

– Nie gadaj, tylko słuchaj, to może się dowiesz – ofuknął go poirytowany Clement.

– ...potrzebnego wam alibi dostarczą miejscowi – kontynuował Bradam. – Przekupcie pilota któregoś ze szperaczy. W razie konieczności możecie wydać na ten cel nawet trzy czwarte funduszy zdeponowanych na *Azymucie*, byle drań zrobił swoje i nie zadawał niepotrzebnych pytań. Każecie mu przejąć wahadłowiec, który po was wysłałem. Lumley zamówił już odpowiednią ilość biomasy i ogniwi paliwowych, więc niedługo powinny się znaleźć na jego pokładzie. Niech gościu leci z całym tym majdanem na kotwiczowisko orbitalne, zwinie swój szperacz i wydostanie się nim poza płaszczyznę ekliptyki systemu, skąd będzie mógł wykonać bezpieczny skok podprzestrzenny w kierunku pasa G. Tylko uczulcie go, że może to zrobić dopiero wtedy, gdy na Fukushima pojawi się pierwszy okręt floty. – Bester zamilkł na moment, by nabrać tchu. – Niech zabierze ze sobą każdego, na kim mu zależy, ale w żadnym razie nie wolno mu spieprzyć z systemu przed przylotem sił Federacji. Zagroźcie, że gównem dostanie, nie kasę, albo jeszcze lepiej, dajcie mu małą zaliczkę, a resztę kredytów przelećcie na umówione konto tuż przed skokiem. Opracujcie też kilka bezpiecznych tras wiodących w głąb Terytoriów przez najbardziej oddalone niezamieszkałe systemy. To nie powinno być trudne. Poinformujcie uciekinierów, że zostaną przejęci przez naszych, gdy dotrą do którejś z wymienionych lokacji. – W osobnym oknie pojawił się spis kilkunastu nieskolonizowanych systemów w pasie H Terytoriów Wewnętrznych. – W razie wątpliwości albo problemów proście o pomoc Ma, ona na pewno ogarnie temat.

– I jak? – zapytał Lumley. – Wszystko jasne?

– Zaraz, chwila. – Priest złapał się za głowę. – Czym mamy stąd odlecieć, jeśli oddamy tamtym wahadłowiec? Nie wyślesz po nas kolejnego, bo

nie chcesz spalić przykrywki, dobrze kombinuję? – rzucił do czekającego cierpliwie dowódcy rdzeniowca.

– Po wykonaniu tej części zadania wykorzystacie zamieszanie z podstawionymi uciekinierami, pozbędziecie się wszczepów... – zaczął kapitan.

– Co? – Leslie aż podskoczył.

– Najrozsądniej będzie, jeśli dezaktywujecie je w automedzie na pokładzie wahadłowca i zostawicie tam, by wszyscy myśleli, że przynęśliście na jego pokładzie – dokończył Lumley.

– Ja tam mam dziesięć lat życia zapisane – jęczał Priest.

– Nikt ci go przecież nie ukradnie. Wróci do ciebie, kiedy odzyskamy wahadłowiec.

– Daj już spokój! – Clement odepchnął przyjaciela od konsoli. – I co dalej?

– Potem ewakuujecie się na szóste stanowisko załadunkowe w kruszarni urobku. Tam czeka kilka naszych kontenerów przygotowywanych do odbioru. Przewieziemy was na pokład w skrytce. Wiecie, jak jest oznaczona, a kod dostępu znajdziecie tam gdzie zawsze. Klucz do jego odczytania znacie. Jakies pytania? – Gdy Clement pokręcił głową, kapitan dodał jeszcze: – W takim razie bierzcie się do roboty. Tak na marginesie, pierwszy niszczyciel z Erytrei wykonał skok niecałą godzinę temu.

Walter się rozłączył, ale nie odszedł od konsoli. Spoglądał z uwagą na połyskujące w przyćmionym świetle wirtualne ekrany. Główne okno pokazywało plan kolonii z naniesionymi ikonkami oznaczającymi położenie każdego mieszkańca. Chwilę temu wszystkie miały soczyście zielony kolor. Były nieruchome i znajdowały się w obrębie zabudowań. Teraz zieleni coraz częściej ustępowała żółci, a ruch nasilał się z każdą chwilą.

– To chyba dobrze, nie? – zapytał Priest.

– Co?

– No, ta zadyma w kolonii. – Leslie wskazał mapę. – Nikt nie zwróci na nas uwagi, gdy opuścimy wieżę.

– Pod warunkiem że się uwiniemy – potwierdził Clement. – Bo niedługo ludzie ochłoną, a wtedy...

– W takim razie nie ma na co czekać! – Jego towarzysz zajął miejsce w fotelu kontrolera lotów, rozciągając palce tak mocno, aż mu strzeliły kostki.

Walter zerknął na siedzącą w najdalszym kącie sterowni całkowicie nieruchomą Mayasmine. Musiał zaaplikować jej podwójną dawkę środ-

ków uspokajających, po tym jak pękła, gdy zobaczyła, że JeSień przelała na jej omnikartę odszkodowanie z ubezpieczenia starego i garść kredytów z jego konta tytułem spadku. W tym momencie boleśnie ukłuła ją świadomość, że pomagając spiskowcom, doprowadziła do śmierci Franka, za co otrzymała właśnie trzydzieści wirtualnych srebrników.

To, że niespecjalnie lubiła ojca, który w dodatku okazał się wredną mendą i kapusiem donoszącym i na nią, niczego nie zmieniało. Czym innym bowiem jest załatwienie bandy znienawidzonych anonimowych skurwyklonów ukrytych w oddalonym posterunku, zwłaszcza jeśli nie trzeba patrzeć z bliska na skutki ataku, a czym innym spowodowanie śmierci kogoś bliskiego... Miała prawo mieć zrytą banię.

Clementowi zależało, by nie zrobiła nic, czym mogłaby zaszkodzić im wszystkim. Może odrobinę przesadził, znieczulając ją w aż takim stopniu, ale wołał dmuchać na zimne. Poza tym, gdy wstrzykiwał jej leki, nie wiedział jeszcze, że centrala zmieni plany.

- Zdołasz ją przywrócić do stanu używalności? - zapytał kompana Leslie po trzeciej nieudanej próbie dotarcia do właściwych banków danych. - Tak mi tu wszystko poblokowała, że nie wiem nawet, od czego zacząć.

- Nie bardzo - odparł szczerze Walter.

- Daj jej może coś na pobudzenie - nie ustępował Priest, rzucając niecierpliwe spojrzenia przez ramię.

- To tak nie działa - odwarknął poirytowany własną bezsilnością Clement. - Mówimy o pieprzonej chemii, nie matematyce, gdzie dwa minusy zawsze dadzą plus. Jest tak nafaszerowana lekami, że może nam tu wykitować, jeśli zaaplikuję jej kolejne stymulanty.

- Wszyscy umrzemy, jeśli zaraz czegoś nie zrobisz - przypomniał mu Priest, wracając do przerwane zadania. - Nie zamierzasz chyba kontaktować się z każdym pilotem szperacza po kolei i pytać, czy znajdzie chwilę na rozmowę o ruchu oporu, a w razie odmowy posyłać mu na kubik kolejnego drona z urobkiem.

- Nie zamierzam - zapewnił Clement, zerkając na timer. - Lumley powiedział, że pierwszy niszczyciel wykonał skok niecałą godzinę temu, tak?

- Tak.

- Zatem mamy trzy i pół godziny do jego przylotu.

– Nie chcesz chyba czekać do ostatniej chwili! – obruszył się Leslie. – Ten motłoch lada moment ogarnie się na tyle, że zacznie szukać odpowiedzi, a ja nie mam nawet dostępu do ogólnego kanału kolonii. Nie zdołam ich powstrzymać, jeśli spróbują się tutaj dostać!

– Masz rację – przyznał Walter. – Trzeba działać.

Sterling zablokowała szefostwu dostęp do JeSleni zaraz po tym, jak odcięła kompleks zarządu od reszty kolonii, aktywując każdy możliwy system zabezpieczeń mechanicznych i elektronicznych. Wcześniej opuściła zdalnie wszystkie grodzie, zarówno przeciwpożarowe, jak i pancerne. Zaczopowała też tunele ewakuacyjne. Uwięziła wewnątrz porobetonowej twierdzy każdego, kto mógłby im w tym momencie pokrzyżować szyki. Ale czy zrobiła to w stu procentach skutecznie? Niewykluczone, że w pośpiechu coś przeoczyła. Nie zaglądali jej przez ramię tylko dlatego, że mieli niezachwianą pewność rychłej ewakuacji. Teraz, gdy sytuacja uległa diametralnej zmianie, Clement musiał wybudzić Mayasmine ze stuporu wywołanego po części szokiem, a po części środkami uspokajającymi.

Tyle dobrego, że zdążył ją wcześniej namówić do włożenia skafandra. Dzięki wbudowanym skanerom była na bieżąco diagnozowana przez System, co pozwalało na ocenę jej stanu i dobranie precyzyjnych dawek leków. Mimo to czuł suchość w ustach, gdy wysyłał nową komendę na jej komunikator. Cofnął się, czekając, aż stymulatory zadziałają, lecz sekundy mijały, a Sterling nawet nie drgnęła powieka. Ponowił próbę, nie zwiększając dawki. Znowu nic...

– I jak tam? – zapytał Priest.

– Dupa błada.

– Weź ją może zapakuj do jakiegoś automechu czy coś. – Leslie pokręcił głową z rezygnacją.

– A skąd ja ci tu wezmę...

Nie dokończył, zerwał się na równe nogi, podbiegł do konsoli i chwycił własny hełm.

– Co jest? – zdziwił się Priest.

Ale Clement już gnał do otwartej szafki przy włązie, spasowując w biegu kryzy i klnąc ile wlezie.

Chwilę później, sprawdzivszy szczelność obu skafandrów, przerzucił półprzytomną kobietę przez ramię i popędził do wyjścia. Lumley podpowiedział mu przed chwilą rozwiązanie. Wahadłowiec z *Azymuta* stał na najbliższym lądowisku, zaledwie pięćdziesiąt metrów od głównej bramy.

Przy tak niskiej grawitacji dotarcie do niego będzie kwestią paru minut. Clement przeskakiwał całe ciągi schodów, przemierzył korytarze dolnego piętra kilkoma susami i po krótkim postoju przy panelu bramy wypadł w końcu na otwartą przestrzeń. Zewnętrzny właz śluzowy czekającego promu zapraszał, trap spoczywał pewnie na czarnej połyskującej szkliscie skale.

* * *

Jedenaście minut. Tyle pokładowy automech potrzebował, by nie tylko pozbawić oboje wszczepów, ale też postawić kontrolerkę na nogi. Mayasmine nadal wydawała się oszołomiona i ledwie mogła ustać o własnych siłach, ale przynajmniej reagowała. Walter sprawdził to, prosząc, by odpowiedziała na dwa proste pytania.

Dał jej jeszcze chwilę, potem stanął tuż obok stanowiska diagnostycznego, o które się opierała, i zaczął systematycznie wyjaśniać, do czego będzie mu potrzebna. Robił przy tym wszystko, żeby skupiła się na celu misji, zdawał sobie bowiem sprawę, że każde wspomnienie ojca może mieć w tej sytuacji katastrofalne skutki.

Wsparta na jego ramieniu Mayasmine opuściła wahadłowiec i dotruchtała z powrotem do wieży, gdzie w sterowni krążył poiertywany do granic możliwości Priest.

– No wreszcie! – rzucił na ich widok.

– A co? Stało się coś? – zapytał Walter.

– Ze sto osób próbowało połączyć się z wieżą – odparł jego partner, rozszczelniając hełm dziewczyny. – Natręci dali sobie spokój dopiero wtedy, gdy jakimś cudem wyłączyłem barierę oddzielającą kolonię od bu...

Clement zdążył uciszyć go gestem, zanim słowo klucz zostało wypowiedziane do końca. Na szczęście Leslie w porę zrozumiał, w czym rzecz. Moment później wspólnymi siłami posadzili Sterling na najbliższym fotelu.

– Skup się – poprosił Walter, zawisając nad jej ramieniem. – Potrzebujemy namiarów na pilota szperacza najnowszej generacji, któremu ostatnio powinęła się noga, wpadł w długi czy coś. Znasz kogoś takiego?

Mayasmine przez dłuższą chwilę gapiła się w sufit. Clement czekał cierpliwie, dając kompanowi znaki, by nic nie mówił.

– Asaro ma chyba spory debet na koncie, po tym jak w zeszłym miesiącu doprowadziła do kolizji ze szperaczem Kappa – odparła całkiem

składnie kontrolerka, gdy zaczęli już tracić nadzieję, że skrócona kura-
cja w automedzie cokolwiek dała.

- Możesz to sprawdzić? - zapytał Clement.

- Co?

- Ile wynosi ten debet.

Spochmurniała, jakby kazał jej to wyliczyć, a nie wyczytać z banku
danych, lecz już po chwili zatańczyła palcami na wirtualnej klawiaturze.

- Pięć tysięcy - obwieściła grobowym tonem. - Masakra.

- Znasz ją dobrze?

- Średnio.

- Dasz radę mnie z nią połączyć?

Mayasmine wykonała polecenie, o nic nie pytając. Tymczasem Walter
wyprostował dumnie plecy, by wyglądać poważniej.

- Jak ma na imię? - zapytał.

- Kto?

- Ta twoja Asaro.

- Ginatally.

- Dzięki.

Zadłużona pilotka odebrała dopiero po dwunastym sygnale. Oczy miała
zapuchnięte, długie włosy za uszami sterczały w nieładzie. Wyglądała jak
ktoś, kto desperacko potrzebuje odpoczynku albo dopiero co wrócił z suto
zakrapianej imprezy. Przy tak marnym oświetleniu trudno było stwier-
dzić, która wersja jest bardziej prawdopodobna. Walter przypuszczał, że
ma do czynienia z kombinacją obu przyczyn.

- Wiesz, która godzina? - wychrypiła Asaro niezbyt przytomnie, mru-
żąc przy tym powieki, jakby nawet przyćmione światło sprawiało jej ból.

- Wiem - odpowiedziała mechanicznie Mayasmine.

- Chcesz wyjść z długów? - Clement przerzucił sygnał na własny komu-
nikator, po czym oddalił się kilka kroków od fotela kontrolerki.

- A ty to kto? - Asaro przyglądała mu się podejrzliwie.

- Życzliwy - zbył ją, aby nie wdawać się w zbyteczne dygresje. -
Chcesz?

- Grubo się mylisz, porąbany bozonie, jeśli uważasz, że to zabawne... -
Sięgnęła do wyłącznika.

- Czekaj, Ginatally! - zawołał pośpiesznie. - Jest robota. Szybka
i naprawdę solidna kasa. Spłacisz Kappa, jeśli zechcesz, i jeszcze ci sporo
zostanie.

Zawahała się, potem wolno cofnęła rękę.

- Ja cię skądś znam? - Spojrzała na niego szparkami oczu.

- Kilka razy obiliśmy się o siebie w Złomowisku - potaknął. - Ale ja nie latam. Pracowałem w rafinerii C. Mayasmine cię poleciła - dodał, przędzając kolejne pytanie.

- Co to za robota? - Przetarła oczy, usiadła prościej.

- Łatwizna. Pakujesz swoje graty, zapieprzasz do kosmoportu, bierzesz wahadłowiec, który stoi na stanowisku numer jeden, tym wiesz, przy samej wieży...

- Mapę mi jeszcze narysuj, bo po ciemku mogę nie trafić - warknęła rozeźlona zbyt protekcjonalnym traktowaniem.

- Wybacz. - Clement wykorzystał ten moment, by nabrać głębiej tchu.

- Bierzesz ten wahadłowiec. Lecisz nim na orbitalne kotwiczowisko, cumujesz do swojego szperacza. Wychodzisz nim jak najszybciej poza płaszczyzną ekliptyki systemu i tam czekasz. W chwili, gdy otrzymasz umówiony sygnał, wykonasz skok podprzestrzenny w kierunku Gatlara 17 albo innego niezamieszkanego systemu pasa G, byle takiego, w którym nie ma stacji monitorującej.

- Czekaj, czy ty powiedziałaś właśnie, że mam podpieprzyć korporacyjnego szperacza? - Jej powieki powędrowały błyskawicznie w górę, podobnie jak brwi.

- Tak.

- Może i potrzebuję kasy, ale nie aż tak bardzo, żeby popełniać samobójstwo! - podniosła nagle głos, co zakończyło się atakiem charczącego kaszlu. - Mine-Craft każe mnie zlinczować za zagarnięcie sprzętu, a dopadnie mnie wszędzie, nawet jeśli dolecę na sam kraniec Rubieży.

- Pozwól mi dokończyć - poprosił Walter, zdając sobie sprawę, że jego żądania mogą brzmieć idiotycznie, zwłaszcza w uszach kogoś, kto nie ma bladego pojęcia o ostatnich wydarzeniach. A ikonka Ginatally na początku tej rozmowy była nadal soczyście zielona... - Czy ty w ogóle wiesz, co się dzieje? - zapytał nagle.

- Gdzie?

- Wszędzie. Włącz sobie senso, kobieto. Kolejne systemy się buntują, na Terytoriach wrze, wybuchła pieprzona rewolucja! - Przesadzał oczywiście, ale miał to gdzieś, pewien, że główne niusowniki tak właśnie przedstawiają sytuację. - Zresztą jeśli zrobisz, co mówię, zagwarantujemy nietykalność tobie i twojej załodze. Płacę dwadzieścia pięć tysięcy! - dodał

szybko, widząc, że Asaro znów otwiera usta. – Piątka z góry i kolejne dwadzieścia, zanim wykonasz skok.

– Co?! – Szczeka jej opadła, trudno było tylko powiedzieć, czy z powodu wymienionej sumy czy na widok zagłady Dety, której obraz pojawił się właśnie na włączonym przez nią padzie senso.

– Teraz już rozumiesz?

– Nie. Tak. Chyba... – zupełnie się pogubiła.

– Wchodzisz w to? – Widząc, że Asaro się waha, rzucił: – Nie mam czasu na przekonywanie cię do tej roboty. Zgadzasz się albo dzwonię do następnego bozona z listy.

– Czekaj! – Im dłużej patrzyła na przekazy i odczytywała wiadomości przesyłane przez członków jej załogi bądź znajomych, tym trzeźwiej wyglądała. – Daj pomyśleć.

– Masz minutę.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Jak... – zaczęła i zaraz się zająknęła. – Powiedziałeś, że możecie zapewnić mi nietykalność.

– Tak.

– „Wy”, czyli kto? No i jak... gdzie?

Walter się skrzywił i zaklął pod nosem. Z tego wszystkiego zapomniał, że miało nie być żadnych pytań. Cóż, jego błąd. Zaczął od pieniędzy, by ją zachęcić. Przyznanie się teraz do udziału w ruchu oporu, który stoi za zniszczeniem zamieszkanego planety, mogło zostać bardzo źle odebrane, pominął więc w odpowiedzi niewygodną dla siebie kwestię.

– Po dotarciu na lądowisko przyjdziecie do wieży, tu dostaniecie listę systemów w pasie H na Terytoriach. Musisz dolecieć do jednego z nich przez największe niezamieszkałe zadupia, takie, w których nikt nie monitoruje ruchu. Po dotarciu do celu nadasz umówiony sygnał i poczekasz, aż zostaniesz przejęta przez naszych współpracowników. Załatwią ci nową tożsamość, a potem pójdziesz swoją drogą, jeśli zechcesz, albo zaczniesz pracować dla nich.

– A co ze szperaczem? – zapytała ostrożnie.

– Wali nas, co z nim zrobisz. Możesz go sprzedać, choćby na części, żeby nikt nie powiązał cię z kradzieżą. Albo zachowaj go sobie i zarabiaj, robiąc dalej to samo co tutaj, tyle że już na własny rachunek. Na Rubieżach jest sporo dobrze płatnych fuch, na przykład przy pozyskiwaniu lodu dla tamtejszych kolonii.

Oczy jej załśniły, gdy to usłyszała. Szperacz wart był grube miliony. Nie znała osoby, którą byłoby stać na dzierżawę albo zakup takiej jednostki.

– Dobra – zdecydowała. – Wchodzę w to.

– Świetnie. – Uśmiechnął się przyjaźnie, po czym dał znak Priestowi. – Zaliczka za moment trafi na twoją omnikartę.

Ginatally sprawdziła stan konta i natychmiast sama też się rozpromieniła.

– To rozumiem.

– W takim razie widzimy się niedługo w wieży – powiedział. – Aha, i jeszcze jedno: jeśli masz tu jakichś krewnych, przyjaciół, kogokolwiek, kogo chciałabyś ze sobą zabrać, zrób to bez wahania. Lepiej nie zostawiać ich na łasce korpo. Wątpię, aby tutejszy zarząd wybaczył ci wypożyczenie tego grata, zwłaszcza po tym jak potraktowaliśmy pana prezesa i jego pacholków.

– Za taką kasę dam sobie radę sama – zapewniła go, machając ręką.

Priest zaczął żywiołowo gestykulować poza jej polem widzenia, a Walter znów zmełł przekleństwo.

Za dużo tego zapominania, za dużo!

– Nie możesz odlecieć stąd sama. Musi być was co najmniej troje albo czworo.

Jeżeli mieli zniknąć niezauważenie, musieli przekonać władze kolonii, że zapakowali się na pokład skradzionego wahadłowca. Gdyby Ginatally odleciała nim w pojedynkę, ktoś mógłby przejrzeć podstęp.

– Nie lubię się dzielić – prychnęła gniewnie.

Clement uśmiechnął się pod nosem. Dysponował wciąż marginesem i mógł zaoferować jej więcej, gdyby zaszła taka konieczność, ponieważ wystartował z najniższego poziomu, spodziewając się naprawdę ostrego targowania.

– Każdemu, kto z tobą poleci, zapłacę dodatkowe pięć tysięcy – obiecał.

– Kiedy?

– Tuż przed skokiem, tak jak tobie.

– Dobra, ale widzę jeden problem, i to duży... – Asaro spochmurniała nagle.

– Tak?

– Do pasa H na Terytoriach jest cholernie daleko – wyjaśniła lekko spalinowana. – Nie mam na pokładzie *Brzytwy* tyłu ogniwi paliwowych ani zapasów, żeby tam dolecieć, zwłaszcza z kilkoma osobami na pokładzie.

– Bez obaw, w ładowni wahadłowca znajdziesz wszystko, czego możecie potrzebować, a nawet więcej. Powiedzmy, że to prezent pożegnalny od lokalnego zarządu Mine-Crafta.

– Dobra, to powiedz mi jeszcze, życzliwy przyjacielu, gdzie mam odebrać ten wasz wahadłowiec? – zapytała, widząc, że Clement unosi dłoń, by zakończyć rozmowę.

– Nigdzie. Oddasz go naszym chłopakom po dotarciu do celu.

Rozłączył się, zanim zdążyła coś jeszcze dodać.

– Chociaż jedno poszło zgodnie z planem – ucieszył się Leslie.

– Nie mów hop, póki nie przeskoczysz – mruknął zamyślony Walter, któremu przed oczami stanął właśnie kolejny problem do rozwiązania.

– Musimy zapakować Mayasmine do wahadłowca – zdecydował. – Lepiej będzie, jeśli polecą z nimi.

– Nie sądzę. – Priest pokręcił stanowczo głową. – Centrala będzie jej potrzebować do rozszyfrowania tych danych, i to teraz, zaraz, a nie za kilka tygodni.

Walter westchnął ciężko. Asaro czekała naprawdę długą podróż. Od najbliższego niezamieszkanego systemu, który prawdopodobnie wybierze, dzieliło ją osiemnaście lat świetlnych. To pięć, sześć skoków, z przerwami koniecznymi na doładowanie napędu. Do tego należało dodać nie wiadomo jak długi dołot do strefy skoku. Tak, to mogło potrwać minimum tydzień, po czym dopiero zacznie się właściwy etap podróży, czyli pokonanie kolejnych dwudziestu czterech pasów, na szczęście już z wykorzystaniem studni grawitacyjnych. To zajmie kolejne dziesięć do dwunastu dni, ponieważ Ginatally będzie musiała kluczyć i nierzadko cofać się o pas albo dwa. Tak właśnie wyglądała nawigacja po największych zadupiach Galaktyki.

Wergiliusz nie może czekać tak długo, uznał Clement. Poza tym nie musimy jej przecież niańczyć w nieskończoność. Zaraz po przylocie na Erytreę przemyci się ją na pokład innego rdzeniowca i po kłopotcie.

– Dobrze – powiedział. – Mayasmine leci z nami. A teraz zapieprzaj do wahadłowca i wypruj sobie ze łba ten złom, zanim zwali się tam nasza przykrywka – dodał, rzucając hełm partnerowi.

Rozdział 8

*Systemy Centralne,
powierzchnia Bety
System Fukushima 4, Sektor Whisky,
10.05.2234, godz. 11:11*

Lumley odetchnął, gdy jego komunikator ożył na moment, wypluwając krótką, za to wrzaskliwą wiadomość. Widoczny na wyświetlaczach oficer wyrzucił z siebie, co miał do powiedzenia, i zniknął, pozostawiając dzwiczącą w uszach ciszę oraz wirujące powoli logo floty pierwszego metasektora. Dowódca *Azymuta* był zapewne ostatnim człowiekiem w tym systemie, który mógł się poczuć pewniej na widok munduru wojskowego, ale trzy godziny oczekiwania w nieustającym napięciu zrobiły swoje. Mimo więc że nie powinien, to jednak odetchnął z wyraźną ulgą, ponieważ komunikat zwiastujący przybycie niszczyciela Federacji oznaczał koniec zżerającej go od środka bezczynności. Wreszcie mógł wkroczyć do akcji i przejść do realizacji następnego etapu planu Bukowskiego.

Asaro dotarła na *Brzytwę* ponad półtorej godziny temu, obecny wektor kursu jej szperacza wrzynał się głęboko w pustkę poniżej płaszczyzny ekliptyki systemu. Clement i Priest ewakuowali się z wieży mniej więcej w tym samym czasie, lecz mieli znacznie krótszą trasę do pokonania. Platforma transportowa, którą dostarczono na pokład wahadłowca zapasowe ogniwa paliwowe i żywność, przewiozła ich niepostrzeżenie na odleglejsze lądowisko, skąd drony zabierały na orbitę kontenery z zakontraktowanym urobkiem. Ryzyko wpadki było spore, ale wszyscy ludzie Wergiliusza znali się na swojej robocie i niczego nie pozostawiali przypadkowi. Walter i Leslie usmażyli JeSień na odchodnym, a wcześniejsze zniszczenie posterunku czarnych rozwiązało problem backupu danych. Wszystkie serwery, cała pamięć kolonii i jej najważniejsze podsystemy mieściły się fizycznie w podziemiach siedziby wydziału bezpieczeństwa. Tam ponoć nic im nie groziło...

Jedynie bloki pamięci, dzięki którym dałoby się odtworzyć przebieg wydarzeń na Becie, spoczywały teraz bezpiecznie ukryte w specjalnym kontenerze wniesionym niecały kwadrans temu na pokład rdzeniowca. Tam przekodowano transponder, a następnie kontener wraz ze skrytką przerzucono do zupełnie innej ładowni, co powinno skutecznie zatrzeć ślady, na wypadek gdyby prowadzący dochodzenie żołnierze okazali się zbyt rozzagnięci i dociekliwi. Ostatnią rzeczą do zrobienia było przesłanie drugiej raty honorarium na pokład uprowadzonego szperacza. To dało się zrobić jednym naciśnięciem klawisza. Niewykrywalny dla postronnych sygnał kierunkowy trafił do czekającej w przestrzeni sondy i aktywował odpowiednią sekwencję kodu. Późniejsze o kilkanaście sekund zniknięcie ikonki oznaczającej *Brzytwę* stanowiło wystarczające potwierdzenie, że i ta część planu została zrealizowana bez przeszkód.

Lumley zaczerpnął głębiej tchu. Wiedział, że teraz, gdy wszystkie pozostałe figury i piony zniknęły z planszy, cała uwaga przeciwnika skupi się na nim. Zerknął po raz setny na timer. Konwój dotrze na Erytreę za równo czterdzieści cztery godziny i osiemnaście minut. Tyle okręty pierwszej floty będą potrzebowały na pokonanie ośmiu pasów. On w tym samym czasie musiał się udać do sąsiedniego systemu, skoczyć z niego na Erynię 7, skąd po krótkim transferze przedostanie się do następnego, tym razem niezamieszkanego systemu E1-18312, na tyle nieistotnego z punktu widzenia cywilizacji, że nie doczekał się nawet własnej nazwy w astroatlase. Dopiero z tego zapomnianego przez bogów i ludzi miejsca będzie mógł polecieć na porzuconego przed niemal dwiema dekadami Daimoniona 4, z którego wróci na... Erytreę 9. Tak pokrótce wyglądała marszruta zaplanowana przez centralę.

Azymut będzie potrzebował szesnastu godzin, by pokonać tę trasę, co oznaczało, że Stephen musiał opuścić Fukushima za mniej więcej dobę. Sprawa była cholernie prosta. Jeśli nie wykona skoku w niedzielę przed czternastą, cały misterny plan Bukowskiego spali na panewce, a z tego, co mówił Bradam, wynikało niezbicie, że atak na Erytrei jest jedyną szansą na zniszczenie tego niezwykle cennego konwoju. Nigdzie indziej nie uda się przygotować skutecznej zasadzki w tak krótkim czasie, tylko tam.

Centrala uznała, że doba to wystarczający margines czasu, ale Lumley zbyt wiele przeżył i widział w przestrzeni, by podzielać optymizm przełożonych. W normalnej sytuacji wyrobiliby się bez najmniejszego problemu, ale dzisiaj, po tym wszystkim? Gdyby zaraz po otrzymaniu rozkazów

kazano mu określić szanse powodzenia operacji, postawiłby na maksymalnie czterdzieści pięć procent, lecz obecnie – po głębszym zastanowieniu – celowałby raczej w trzydzieści pięć procent, a to nie był jeszcze koniec redukcji.

Flota Federacji, ledwie pokaże się na Fukushima 4, zamknie strefę skoku na amen, to było więcej niż pewne. Dowodzący operacją oficer, czując na karku oddech admiralicji, polityków i oligarchów, stanie na głowie, by jak najszybciej ustalić przebieg wypadków. Nikt nie opuści tego systemu, dopóki flota nie uzyska całkowitej jasności: kto, co i dlaczego. Czy da się to załatwić w ciągu zaledwie doby? Lumley szczerze w to wątpił, mimo że jego zdaniem plan Bukowskiego wcale nie był głupi. Zresztą Stephen nie miał wyjścia. Musiał wziąć udział w tym przedstawieniu i tańczyć, jak mu mundurowi zagrają. Tyle dobrego, że poznał z wyprzedzeniem cały repertuar, dzięki czemu wiedział, jak się do tego występu przygotować.

Odczekał jeszcze chwilę i jednym ruchem palca wyłączył pole osobiste. Cisza implodowała w ułamku sekundy. Poczul niemalże fizyczny ból, gdy natarczywe dźwięki zaatakowały go ze wszystkich stron. Wycie alarmu, nawoływania załogantów, zapętlone wrzaski dobiegające z głośników. Uśmiechnął się pod nosem, tak powinna wyglądać sytuacja na mostku frachtowca, który trafił przypadkiem w sam środek strefy wojny.

– Mamy odpowiedź z zarządu kolonii? – zapytał Nancy Pohl, postawna szatynkę po pięćdziesiątce pełniącą w trakcie tego rejsu obowiązki pierwszego oficera.

– Nadal nic, kapitanie – odparła, nie odrywając wzroku od wyświetlaczy.

– Raport wysłany?

– Tak jest. Zgodnie z planem, ponad siedem minut temu.

Siedem minut. To powinno wystarczyć, uznał.

– Wywołajcie mostek *Miecza*... – sprawdził raz jeszcze numer taktyczny jednostki, z której nadawano komunikaty – *Miecza 245*.

– Przekierowuję – zameldował siedzący dwa metry dalej Peternest Koontz, drugi i zarazem ostatni oficer *Azymuta*, jeśli nie liczyć głównego mechanika, który kilkaset metrów od modułu sterówki walczył o jak najszybsze przywrócenie pełnego zasilania.

Stephen usiadł prosto, jakby połknął kij. W ułamku sekundy przeistoczył się z jowialnego cywila w średnim wieku w poważnego i pragmatycz-

nego do bólu trepa.

Tak właśnie zaplanował to Bukowski. Lumley miał zostać jednym z „nich”, towarzyszem broni, który odszedł ze służby siedemnaście lat temu po dochrapaniu się stopnia porucznika i funkcji zastępcy dowódcy jednostki żandarmerii stacjonującej w podrzędnej bazie gdzieś na krańcach znanej przestrzeni, na tyle daleko od centralnych struktur floty, by jego szczegółowe akta nie były dostępne od ręki, gdyby ktoś upierdliwy chciał do nich zajrzeć. Stephen liczył, że oficer, z którym będzie za chwilę rozmawiał, poprzestanie na pobieżnym sprawdzeniu zapisów, nie przyglądając się archiwalnym zdjęciom o wiele grubszego i starszego mężczyzny, którego życiorys kapitan „pożyczył” na tę okazję.

Holopad przed nim ożył ponownie. Lumley zobaczył tego samego szczupłego mężczyznę o pociągłej twarzy i wydatnym nosie, młodszego od niego o co najmniej dwadzieścia lat.

Dobrze, pomyślał. Taka duża różnica wieku powinna zadziałać na moją korzyść.

– Komandorze Cadigan – odezwał się, zanim dowodzący operacją mężczyzna zdążył otworzyć usta. – Mam nadzieję, że przekazano panu mój raport sytuacyjny?

Zaskoczony takim obrotem sprawy oficer najpierw zerknął gdzieś poza pole widzenia kamer, a potem skinął ledwie zauważalnie głową.

– Porucznik Lumley, jak sądzę – odezwał się znacznie mniej krzykliwym tonem niż przedtem.

– Obecnie kapitan! – Stephen wyszczerzył się dumnie. – Floty handlowej, rzecz jasna.

– Tak, otrzymaliśmy pański raport. Jest obecnie analizowany. Gdy tylko uda się potwierdzić...

– Obawiam się, panie komandorze, że jestem jedynym źródłem informacji, na jakim może pan obecnie polegać. – Lumley natychmiast wszedł mu w słowo. – Rozumiem, że nie zapoznał się pan z moim raportem osobiście...

Cadigan zmierzył go ostrym spojrzeniem, po czym wychylił się lekko na prawo, jakby czegoś albo kogoś słuchał.

– Hm...

Ta reakcja wystarczyła, by kapitan *Azymuta* poczuł się pewniej.

– Sytuacja jest, niestety, rozwojowa – dodał pośpiesznie. – Bukowski wygłosił niedawno drugie przemówienie, o czym zapewne pan już wie,

komandorze, a terroryści, niestety, wykonali przed momentem skok w podprzestrzeń. Przesyłam ostatnią znaną pozycję i wektor wyjścia ich jednostki, może zdołacie ustalić, dokąd polecieeli. – Machnął ręką w stronę Pohl, nakazując przesłanie kolejnej części przygotowanego uprzednio meldunku.

Choć sam nie miał zbyt wiele do czynienia z wojskiem, to centrala sta-nęła na wysokości zadania i dostarczyła mu wystarczająco dużo materia-łów, by raport wyglądał na spisany ręką człowieka, który może i odszedł dawno ze służby, ale kiedyś znał się na tej robocie.

– Za chwilę się do pana odezwę, kapitanie – obiecał komandor, po czym przerwał połączenie.

– I jak to widzisz? – zapytała Nancy, spoglądając na niego wyczekująco.

– Chyba łyknął przynętę – odparł po krótkim zastanowieniu.

* * *

Cadigan odezwał się po pięciu minutach. Tyle mniej więcej czasu było potrzebne na przeczytanie zwięzłego raportu i sprawdzenie jego autora. To, że nie zwlekał, dobrze rokowało, jeśli chodzi o dalszy rozwój wyda-rzeń.

– Dziękuję za wnikliwe i szczegółowe przedstawienie sytuacji na Becie, kapitanie – zaczął komandor, po czym gładząc się palcem wskazującym po brodzie, dodał: – Mam tylko jedno pytanie. Dlaczego w swoim raporcie pominął pan to, co wydarzyło się wcześniej?

– *Azymut* jest, niestety, jednostką cywilną – odpowiedział bez zwłoki Lumley. – Podczas postojów na orbicie zwyczajowo wprowadzamy go w stan uspienia. Zwłaszcza gdy na zewnątrz mamy noc czasu standardo-wego i lokalnego, jak w tym przypadku.

– Nikt nie trzyma wachty? – zdziwił się Cadigan.

– Wiem, że to może wydać się panu dziwne, ale w normalnych okolicz-nościach nie ma takiej potrzeby. System zawiaduje wszystkim i budzi nas, jeśli to konieczne.

– Dlaczego wasz System nie odnotował wybuchów na Becie? – naciskał komandor.

– Nie było na to szans. Kotwiczowiska znajdują się po przeciwnej stronie planety niż kolonia. Wie pan, jak jest, nikt nie chce, żeby mu nad głową wisało tyle złomu. Opuściliśmy kotwiczowisko dopiero po odkryciu, że ani kapitanat, ani zarząd kolonii nie odpowiadają na nasze wezwania.

– Wasze skanery dalekiego zasięgu także niczego nie wychwyciły? – Zdumienie komandora rosnęło z każdym kolejnym pytaniem.

– W czasie postoju polegamy wyłącznie na systemie wykrywania kolizji, a on nie... – Lumley zawiesił głos. – To nie flota, komandorze, nasze wyposażenie to zupełnie inna liga. Nie mówiąc już o tym, że korzystamy z niego tylko wtedy, gdy zachodzi absolutna konieczność.

– Hm... – Cadigan pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Gdyby nie próba przejęcia naszego wahadłowca, obudziłby mnie dopiero pański komunikat – kontynuował niezrażony tym Stephen. – Na szczęście System powiadomił mnie natychmiast o nieprawidłowej liczbie ogniw paliwowych, które dostarczono na pokład wysłanej przez nas maszyny. Chalker, nasz główny mechanik, złożył zamówienie wczoraj w godzinach wieczornych. Cały proces jest w pełni zautomatyzowany, jak pan zapewne wie. Na dole rejestrują zamówienie, wyznaczają godzinę odbioru, my wysyłamy w odpowiednim momencie autonomiczną maszynę, drony pakują kontenery do ładowni i jeśli wszystko się zgadza, przelewamy żadaną należność, po czym towar trafia na orbitę. Tym razem coś jednak poszło nie tak, zamówiliśmy dwa ogniwa, a dostaliśmy osiem i do tego z pół tony biomasy. Zaraz po przebudzeniu złożyłem reklamację, bo to nie flota i takie pomyłki zdarzają się częściej, niżbyśmy chcieli, zwłaszcza gdy ruch jest duży, ale bardzo szybko dotarło do mnie, że jesteśmy na orbicie Bety jedynej. Poza tym wieża nie odpowiadała pomimo licznych wezwań, co jeszcze bardziej mnie zaniepokoiło. Dlatego wydałem rozkaz opuszczenia kotwicowiska. A potem zobaczyłem to... to wystąpienie, czy jak je nazwać, Bukowskiego... – zająknął się, zwiesił głowę. – Nadal nie mogę w to uwierzyć... – Zamilkł na dobre.

– Niestety to czysta prawda, kapitanie – zapewnił go grobowym tonem komandor. – Tam nadal giną niewinni ludzie, także teraz, i będą umierać jeszcze przez wiele godzin, a nawet dni, z tego, co mi wiadomo.

– Czy te ataki są jakoś powiązane? – zapytał Lumley, ożywiając się nagle.

Cadigan milczał przez dłuższą chwilę, choć doskonale znał odpowiedź. Stephen spodziewał się tego, więcej nawet, wmanewrował go w tę wymianę zdań celowo. Zależało mu na nawiązaniu dialogu z tym człowiekiem, dialogu, który zaowocuje większym zaufaniem, ot, weteran floty po koleżeńsku pomaga, jak może, w rozwiązaniu problemu, za co niejako w nagrodę otrzymuje przepustkę z systemu objętego blokadą. Zdaniem

Bukowskiego nie było innego sposobu na opuszczenie Fukushimy przed upływem feralnej doby.

– A jakie to ma znaczenie? – Koniec końców komandor odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Dla mnie kolosalne – wyznał Lumley. – Jeśli ci ludzie choćby pośrednio odpowiadają za zagładę Deltę, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by pomóc w ich schwytaniu. Paru chłopaków z mojej jednostki pochodziło z Centuriona... – Znów zamilkł, jakby wspomnienia były zbyt bolesne. – A Nancy ma tam dalszą rodzinę...

Zapadło niezręczne milczenie, które bez większych ceregieli Cadigan przerwał już po chwili.

– Jak pan to sobie wyobraża, kapitanie?

– Mam tu wielu znajomych – odparł z przychylnym uśmiechem Stephen. – Wie pan, obsługujemy tę trasę od dobrych paru lat. Bywaliśmy na Becie dziesiątki razy. Wkupilismy się w łaski, że tak powiem. Czasem podrzucaliśmy temu czy owemu zamówienie specjalne, jeśli wie pan, o czym mówię. To zamknięta społeczność, dość specyficzna i żyjąca w izolacji. Tutaj nikt nie otwiera się przed obcymi, ale mnie mają już prawie za swojaka. Mówię poważnie. Myślę, że wyciągnę z nich wszystko, co wiedzą, zanim... – Sprawdził czas i pozycję niszczyciela. – Zanim dotrze pan na orbitę Bety – dokończył.

Wiedział znacznie więcej, niż mogli mu zdradzić zaznajomieni pracownicy przetwórcy czy członkowie załóg. W gruncie rzeczy miał już spisane dokładne zeznania rzekomych świadków, bardzo szczegółowo przedstawiające przebieg akcji Clementa i Priestę, których tożsamość musiał ujawnić, jeśli chciał, by komandor mu zaufał. Na szczęście mógł to śmiało zrobić, ponieważ wiedział, że nic im już nie grozi.

Cadigan powinien być wniebowzięty, gdy zobaczy nowy raport. Sam nie zdołałby ustalić nawet znikomej części tych faktów, które dostanie na talerzu, jeśli tylko łyknie przynętę.

Byłby głupi, gdyby przepuścił taką okazję...

Stephen przyglądał się dowódcy *Miecza*, próbując zachować kamienną twarz, jak przystało na byłego żołnierza, ale im dłużej tamten się zastanawiał, tym ciężiej mu to przychodziło.

– Dobrze, proszę działać, kapitanie – oświadczył w końcu komandor.

– Nie zawiodę pana, obiecuję!

Lumley opuścił pokład *Azymuta* dziesięć minut później, zabierając ze sobą Nancy i Koontza. Drugim wahadłowcem polecili na główne lądowisko kolonii, gdzie rozdzielili się zaraz po przekroczeniu wyłączonej od dawna bramy. Nancy skierowała się w stronę zablokowanego wciąż na głucho kompleksu zarządu kolonii, Peternest zajął się pobliskimi przetwórniami, a Stephen ruszył szybkim krokiem do Złomowiska, w którym pomimo wczesnej pory zebrały się tłumy. Nikt nie chciał trawić na trzeźwo informacji, które wylewały się szerokimi strumieniami z każdego niusownika.

Pieprzony Saberhagen zafundował mieszkańcom Deltę Centuriona prawdziwą, choć rozłożoną na długie raty apokalipsę. Czoło fali uderzeniowej pokonało już niemal połowę obwodu planety, ale jej impet, przynajmniej z tej perspektywy, nadal nie słabł.

Stephen musiał przyznać, że wygląda to naprawdę przerażająco, jakby ktoś obierał planetę ze skóry, odsłaniając jej rozżarzone wnętrze. Po jednej stronie sunącej bardzo powoli linii rozciągały się bajecznie pastelowe morza i kontynenty pokryte skupiskami światła. Po drugiej rozlewał się ocean czerni przetykanej czerwienią.

Najbardziej przerażała go świadomość, że przeważającej większości zamieszkujących tę planetę ludzi nie uda się uratować. Akcja ewakuacyjna trwała nieprzerwanie, ale nawet przy wykorzystaniu tysięcy jednostek, które znajdowały się obecnie w tamtym systemie, można było przewieźć na orbitę tylko ułamek procenta gigantycznej populacji, jednej z największych poza Ziemią. A z tego, co wiedział, orgia zniszczenia mogła potrwać jeszcze wiele dni – pod tym względem komandor naprawdę niewiele się mylił.

Fala uderzeniowa dotrze do przeciwległych krańców planety, po czym przetoczy się przez nią ponownie dwa, może nawet trzy razy, zanim jej impet zmaleje do tego stopnia, że stanie się prawie nieodczuwalny. Ale to jeszcze nie koniec; rozpalony glob długo będzie nękany potężnymi trzęsieniami ziemi, rozrywany wybuchami wulkanów, zalewany strugami ulewnych, trujących albo kwaśnych deszczy. A wszystko to na oczach miliardów zdesperowanych kolonistów, przez dwadzieścia cztery i więcej godzin na dobę, ponieważ propagandiści Federacji z pewnością nie

odpuszczą tak łakomego kąska i zrobią wszystko, by obrzydzić ludziom ideę wyrwania się na wolność.

Przez tego skurwyklona Saberhagena mają niestety ułatwione zadanie, pomyślał Lumley, popatrując znad na wpół opróżnionego kufla na transmisję emitowaną na każdym z licznych holoe ekranów.

Choć raport był już od dawna gotowy, kapitan musiał czymś go podeprzeć i dlatego spędził trzy bite godziny na stawianiu drinków każdemu, kogo znał.

Większość rozmówców nie miała pojęcia, co tak naprawdę się wydarzyło. Obudził ich wstrząs towarzyszący wysadzeniu posterunku czarnych, potem obejrzeni wystąpienie Bukowskiego i zgłupieli do reszty. W sercu Systemów Centralnych nastroje separatystyczne były czymś rzadkim i egzotycznym, zupełnie jak słodkie owoce importowane z planet tlenowych. Tym większe zdziwienie więc budziło zaatakowanie miejscowego posterunku i zablokowanie kompleksu zarządu. Skołowani ludzie snuli przeróżne domysły, a Lumley naprowadzał ich dyskretnie i umiętnie na jedyną prawdziwą wersję zdarzeń, aby ludzie komandora usłyszeli na własne uszy to samo, co znajdzie się w dostarczonym im raporcie.

O czternastej piętnaście Stephen uregulował niemały rachunek, który miał posłużyć za jeszcze jedną podkładkę do raportu, i ruszył w kierunku wahadłowca. Pohl, spędziwszy ten czas wśród osób próbujących się przebić do wnętrza kompleksu zarządu, dołączyła do niego przy wypalonej, wybebeszonej wieży kontroli lotów. Tam, czekając na Koontza, dokonali pobieżnej wizji lokalnej.

* * *

– Niesamowita robota, kapitanie.

Nastawienie Cadigana diametralnie się zmieniło. Rozluźnił się, a nawet pozwolił sobie na szczerzy uśmiech, wywołując sterówkę *Azymuta*.

No myślę.

Lumley zatarł w duchu ręce. Pochwałę skwitował krótkim skinieniem, które podpatrzył u bohaterów oglądanych niegdyś holo.

– Jak wspominałem, znam tych ludzi od lat. W obliczu tragedii chętnie dzielili się posiadanymi informacjami.

– Chodziło mi raczej o to, jak zręcznie poskładał pan ich zeznania w spójny logiczny ciąg – uściślił zadowolony komandor.

Stephen oszczędził mu mnóstwa ciężkiej pracy, a co więcej, zawarł w raporcie informacje, jakich nie dałoby się wydobyć z kolonistów nawet podczas wielodniowych przesłuchań (inna sprawa, że nie musiał niczego z nikogo wyciągać). W dodatku mógł mieć pewność, że w razie weryfikacji wszystko, co spisał, znajdzie potwierdzenie, ponieważ skutecznie rozsiały plotki – po tak szalonej nocy mało kto będzie w stanie powiedzieć, co usłyszał na własne uszy, a co mu tylko powtórzono.

– Choć zdałem mundur przed laty, w głębi ducha pozostałem żandarrem, jak widać – odparł skromnie Lumley.

– Nie chciałbym być w skórze ludzi, przeciw którym prowadził pan dochodzenia – zażartował Cadigan, ale zaraz spoważniał na widok poszarzałej nagle twarzy rozmówcy. – Czy... powiedziałem coś nie tak? – zapytał.

– Dawne dzieje. – Lumley odetchnął głęboko, a potem machnął ręką. – Powiedzmy tylko, że trafiłem na ślad nielegalnej działalności kogoś, kto miał znacznie szersze plecy niż ja.

– Rozumiem... – Cadigan przygryzł nerwowo wargę.

Takie sprawy nie należały do rzadkości nawet teraz. Sporo młodych ludzi z dobrych domów szło w kamasze, nie po to jednak, by służyć Federacji. Chyba każdy oficer trafił choć raz na takiego dętego bozona, który błyskawicznie awansował za łapówki i – na szczęście dla wszystkich – jeszcze szybciej zniknął z szeregów floty, by brylować w galowym mundurze na rautach i przyjęciach. Nadeptanie komuś takiemu na odcisk mogło być bardzo bolesnym przeżyciem.

– Było, minęło. – Stephen uśmiechnął się blado.

Zadawnioną urazę odegrał bez trudu, ponieważ miał za sobą podobne doświadczenie, wprawdzie z korpo, a nie z woja, lecz poza tym różnica była niewielka. Wszystkie dęte skurwyklony zachowują się jednakowo bez względu na to, czy wbijają się w mundur czy w najmodniejszy marynarker.

– Powiem tak... – Cadigan zastanawiał się krótką chwilę. – Szkoda, że ktoś taki jak pan musiał odejść ze służby, i to... jak się domyślam... w niezbyt przyjemnych okolicznościach. Naprawdę odwalił pan kawał znakomitej roboty, kapitanie. Gdybyśmy mieli w swoich szeregach więcej takich fachowców, być może nie doszłoby do tego wszystkiego.

– Bardzo bym chciał w to wierzyć, komandorze – Lumley pokręcił ze smutkiem głową – ale tych skurwyklonów nie zdołalibyśmy powstrzymać.

Nikt nie wiedział o ich istnieniu, dopóki nie uderzyli. Kurwirtualni psychopaci. Tacy są najgorsi...

– Owszem – przyznał komandor.

Stephen zrobił weselszą minę.

– Macie duże szanse ich dopaść. Dysponujecie nazwiskami i dokładnymi rysopisami. W archiwach Mine-Crafta, nie tutaj, tylko w centrali regionalnej, powinny być ich pełne akta. Trzeba je jak najszybciej zabezpieczyć – dodał pośpiesznie, jakby właśnie wpadł na ten pomysł. – Przy tak wysokim priorytecie sprawy ich profile genetyczne trafią w ciągu zaledwie paru dni do siedziby wydziału w każdym zamieszkanym systemie. Będziecie ich mieli jak na widelcu, gdy pojawią się w którejś kolonii.

Nie obawiał się, że komukolwiek zaszkodzi. Profile genetyczne Clementa i Priesta zostały podmienione kilka lat temu, gdy wysyłano ich na tę placówkę, i nie było to żadnym wyczynem. W korporacjach w łapę brali wszyscy, przy czym ryzyko wypadki praktycznie nie istniało. Wystarczyło przynieść do laboratorium kilka czyichś włosów i po krzyku. Wewnętrznych procedur nikt nie przestrzegał, a Federacja nie miała dostępu do danych korporacyjnych.

– Celna uwaga. – Komandor pokiwał głową z aprobatą. – Myślę, że należy się panu pochwała. Osobiście o nią wystąpię – obiecał.

– Panu chyba bardziej się przyda – zażartował Lumley, gładząc się odruchowo po wyimaginowanej linii łączenia bluzy mundurowej, jak robiło to wielu emerytowanych oficerów, których wspomnienia oglądał.

– Nie przypiszę sobie pańskich zasług! – Cadigan udawał urażonego tym pomysłem.

Stephen dostrzegł jednak w jego oku charakterystyczny błysk. Oto rysowała się szansa na zapunktowanie u przełożonych. Bez udziału załogi *Azymuta* misja tego człowieka okazałaby się całkowitą porażką, System kolonii został bowiem okaleczony w stopniu uniemożliwiającym choćby częściową reaktywację. Wraz z utraconymi danymi zniknęła możliwość odtworzenia przebiegu wydarzeń.

Komandor zdawał sobie sprawę, że mógłby od biedy ustalić, że na krótko przed atakiem dwaj mężczyźni – niejacy Clement i Priest – poszukiwali w kolonii spedytora nazwiskiem Saberhagen, choć bardziej prawdopodobne było, że zanim dokonalby tego odkrycia, zostałby odwołany, podobnie jak później jego następcy przysłani z tą samą, skazaną na porażkę misją. Miał też świadomość, że Lumley zaoferował mu właśnie

coś znacznie bardziej wartościowego niż największa nawet łapówka. Rozwikłanie zagadki w tak krótkim czasie zapowiadało nie tylko pochwały i odznaczenia, od których zależała wysokość przyszłej odprawy, nie tylko uznanie przełożonych, lecz przede wszystkim zasłużony awans.

Oczami wyobraźni Cadigan już widział malującą się przed nim wspaniałą karierę.

– Armator na pewno nie pochwali mnie za pomaganie panu w rozwiązaniu tej sprawy – dodał zrezygnowanym tonem Lumley. – Do tego straciłem prawie nowy wahadłowiec. Wątpię, czy go kiedykolwiek odzyskam, skoro mamy do czynienia z ludźmi zdolnymi do przeprowadzenia takiego ataku... – Wskazał głową ekrany, na których leciała nieprzerwana transmisja z Centuriona.

– Jak w takim razie mogę się panu odwdziaczyć, kapitanie? – Komandor przeszedł do konkretów.

– A musi pan? – zapytał Stephen, czując zimny pot ściekający wzdłuż kręgosłupa.

To był najbardziej ryzykowny moment. Nie mógł nalegać, ale jeśli przesadzi ze skromnością, zostanie z niczym.

– Czułbym się zrzęczniejszy, gdybym... – zaczął Cadigan.

– Pozwoli mi pan odrobić straty i będziemy kwita.

– Jak?

– Spróbuję wynegocjować dodatkowy kontrakt z miejscową przetwórczą. Jak się domyślam, zamkniecie ten system na pewien czas, przynajmniej do zakończenia dochodzenia.

– Takie otrzymałem rozkazy – przyznał komandor.

– Mają tutaj na składach prawie milion ton surowców strategicznych – kapitan kuł żelazo, póki gorące – które powinny trafić jak najszybciej do stoczni w Systemach Centralnych, skoro szykuje się wojna. Widmo dłuższej blokady mogłoby ich przekonać do podpisania kontraktu... – Zawiesił na moment głos. – Zróbmy tak: jeśli uda mi się zdobyć ten kontrakt, odeśle nas pan na Erytreę, oczywiście po poddaniu odpowiednio ostrej kontroli.

Cadigan mierzył go uważnym spojrzeniem. Widać było, że toczy wewnętrzną walkę. Zniknięcie Lumleya z pola widzenia znacznie by mu ułatwiło przypisanie sobie wszystkich zasług. W razie gdyby ktoś wyżej miał obiekcje, odesłanie *Azymuta* do sąsiedniego systemu z urobkiem w ładowniach dałoby się bez problemu obronić, bo kapitan był swojakiem

i nie budził najmniejszych podejrzeń. Stephen musiał przyznać, że Bukowski dobrze to sobie wykombinował.

- Zobaczą, co da się zrobić - obiecał komandor.

Rozdział 9

*Terytoria Wewnętrzne,
stacja w atmosferze Delty,
System Gravenhurst 4, Sektor Whisky,
10.05.2234, godz. 16:17*

Osiem godzin. Tyle czasu Bukowski spędził na pokładzie *Atlasy*, głównie zajmując się ekstrakcją i podziałem danych z przepastnych bloków pamięci SIndbada. W tym czasie centrala odezwała się do niego tylko trzykrotnie, przesyłając na jego komunikator najnowsze raporty sytuacyjne, których odsłuchanie sprawiło mu jakże pożądaną radość.

Po pierwsze, kapitan *Azymuta* okazał się bardzo kompetentnym człowiekiem. Nie tylko umiał wykonywać rozkazy, ale też kiedy trzeba, wykazywał się własną inwencją. Dla przykładu: rozwijając twórczo pomysł Roberta, zakontraktował prawie milion ton rozdrobnionego urobku, ogolając z metali ciężkich dwie największe przetwornice na Becie. Jeśli oficer dowodzący siłami floty na Fukushima nie pokrzyżuje mu planów – a na nic takiego się nie zapowiadało – to zapełniony po brzegi rdzeniem potroi szanse na skuteczne zablokowanie strefy skoku. Do czterystu sześćdziesięciu tysięcy ton złomu dojdą biliony grudek litego metalu pozyskanego z ułomków jądra rozbitej planety. Przy prędkości sięgającej jednej dziesiątej świetlnej nawet takie mikre drobinki mogą doprowadzić do niewyobrażalnych zniszczeń.

Bukowski nie zawiódł się także na mieszkańcach trzeciego i piątego metasektora. Na Rubieżach i Terytoriach dosłownie zawrzało po jego publicznych wystąpieniach. Przed piętnastą czasu standardowego zastrajkowała większość załóg tak planetarnych, jak i orbitalnych instalacji przemysłowych. W tysiącach kolonii doszło do masowych wieców, a nawet otwartych starć z siłami porządkowymi. Szczególnie gorąco było tam, gdzie ludzie znajdowali i unieszkodliwiali ujawnione przez ruch oporu „korporacyjne zabezpieczenia”.

Zapoznając się z kolejnymi doniesieniami, Robert zyskał niezachwianą pewność, że pomimo wysiłków federacyjnych spin doktorów tragedia Delt Centuriona nie zdoła stłumić ognia wznieconego przez Wergiliusza. Pożar trawił już osiemdziesiąt procent wyzyskiwanych do tej pory kolonii, a dalsze systemy dołączały do nich z każdą chwilą. Oszukiwani i ciemieni od kilku pokoleń ludzie nie dali się zwieść pięknym słowom. Pozostali nieufni wobec mediów, które robiły im papkę z mózgow i okłamywały ich dzień w dzień. W zdecydowanej większości uwierzyli legendarnemu Pielgrzymowi, który w odróżnieniu od członków rządu i oligarchów nie miał żadnego interesu w mówieniu nieprawdy.

Także ci, których reakcji Robert obawiał się najbardziej, czyli szeregowi działacze ruchu oporu, ludzie odwalający całą robotę w terenie, nie zawiedli. Ku zaskoczeniu, ale i zadowoleniu wszystkich z centrali nie odnotowano w regionach spodziewanej fali dezercji, choć tu i ówdzie zdarzały się absolutnie zrozumiałe, lecz na szczęście odosobnione przypadki rejterady.

Bukowskiego cieszyło masowe poparcie dla sprawy, ale nie byłby sobą, gdyby w beczce lejącego się na jego serce miodu nie znalazł łyżki przysłowiowego dziegciu. Reakcje kolonistów były zbyt żywiołowe jak na jego gust. Bał się, że ci sami ludzie, którzy dzisiaj szturmują tłumnie urzędy i przejmują siłą kontrolę nad instalacjami należącymi do największych korporacji, jutro mogą stać się żelaznym elektoratem radykałów, których dojście do władzy spędzało mu sen z powiek. Tym mocniej więc trzymał kciuki za powodzenie akcji na Erytrei, ponieważ jej fiasko, paradoksalnie, oznaczałoby wybuch wojny totalnej wszystkich ze wszystkimi.

Mając to w pamięci, wracał na stację targany mieszanymi uczuciami. Radość i satysfakcję tłumił niepokój – jeszcze silniejszy, odkąd Wergiliusz przesłał mu niezwykle oschłe w tonie wezwanie do sali odpraw. Wiadomość od przywódcy separatystów nadeszła, gdy razem z Sue opuszczali wagonik kolejki łączącej płytę lądowiska z korpusem stacji. Jako że wezwanie dotyczyło tylko jego, pożegnał Liu na najbliższym rozgałęzieniu głównego korytarza i dalej ruszył już w pojedynkę, nerwowo przeglądając najnowsze komunikaty. Nie było w nich niczego, co powinno wzbudzić większe zaniepokojenie Roberta. Nawet System nie potrafił wskazać powodów nagłego wezwania.

Okazało się, że oprócz niego i Wergiliusza w spotkaniu brał udział jeszcze del Rey. Obydwaj, przywódca separatystów i zarządca stoczni, przyglą-

dali się krążącemu bardzo wolno nad blatem wielkiemu hologramowi, który obrazował przekrój jakiegoś cholernie skomplikowanego urządzenia. Bukowski mógł się tylko domyślać, co to, dopóki nie ściągnął sobie opisu na komunikator.

Dopiero wtedy zrozumiał, że ma przed sobą plany baterii dział turbolaserowych jedenastej generacji. Rzut oka na trójwymiarowy model utwierdził go w żywionym wcześniej przekonaniu, że współczesny sprzęt w niczym nie przypomina znanych mu dwudziestopięciowiecznych systemów artyleryjskich. Stopień komplikacji wykraczał daleko poza jego wiedzę i wyobrażenia.

– Zakładam, że nie wezwał mnie pan w związku z tym imponującym cudem techniki – rzucił, zajmując przypisane mu miejsce.

– Ten jeden raz pomylił się pan – odparł Wergiliusz obojętnie.

– Naprawdę nie jestem w stanie pomóc – zastrzegł się natychmiast Robert. – Kompletnie się nie znam na nowoczesnych systemach uzbrojenia. Nie skłamię, jeśli powiem, że nie rozpoznaję żadnego rozwiązania, a w danych, które właśnie przejrzałem, znalazły się może trzy znane mi słowa.

– Moja odpowiedź dotyczyła użytego przez pana określenia – uściślił przywódca separatystów. – Zapewniam, że w broni, na którą patrzymy, nie ma nic imponującego ani cudownego.

– Nie bardzo rozumiem... – zaczął ostrożnie Bukowski, ale stojący dotąd ze zwieszoną głową del Rey wpadł mu w słowo:

– Mamy problem, kapitanie. Nasz program budowy okrętów stanął właśnie pod potężnym znakiem zapytania.

– Proszę jaśniej.

– Mówiąc w skrócie, systemy uzbrojenia, które chcieliśmy montować na budowanych krążownikach, nie działają – poinformował z rezygnacją w głosie zarządca stoczni, opadając na fotel.

– Chcecie powiedzieć, że ktoś sprzedał wam fałszywe plany? – Bukowski odwrócił się do Wergiliusza.

– Nie. – Zdecydowana odpowiedź przywódcy separatystów zaskoczyła Roberta.

– Skąd ta pewność?

– Człowiek, który dostarczył nam plany – del Rey uprzedził przełożonego – to jeden z najlepszych i najwyższej postawionych agentów, jakich

kiedykolwiek mieliśmy. Zdobył dla nas dziesiątki ściśle tajnych projektów, bez jego wkładu budowa floty pozostałaby marzeniem ściętej głowy.

– Ręczę za niego – dodał grobowym tonem Wergiliusz. – Pracujemy razem od samego początku. Jeśli jest w znanej przestrzeni ktoś, komu zależy na sprawie równie mocno jak mnie, to tylko on nasuwa mi się na myśl.

– Być może to jego oszukano – zasugerował Bukowski.

– Niemożliwe! – zaprotestowali obaj gorąco.

– Dlaczego? – zdziwił się kapitan. – Tworzenie fałszywych planów zaawansowanych systemów uzbrojenia było w moich czasach normą. Przeciwnik wykradał je i wykladał się na całej linii, gdy próbował je wdrożyć.

– Zapomina pan, że Federacja nie miała do dzisiaj żadnych zorganizowanych przeciwników ani wrogów, o których istnieniu by wiedziała – zauważył del Rey. – Zresztą dysponujemy pełną dokumentacją. Mamy wszystko jak leci, nie wyłączając towarzyszącej korespondencji, w której omawiane są poszczególne kwestie techniczne. Nasz agent twierdzi, że zgrał te dane bezpośrednio z banków danych DoSI, to znaczy głównego Systemu admiralicji. Robiąc to, sprawdzał autentyczność co któregoś wpisu i nie natrafił na żadną nieprawidłowość. Szczerze wątpię, by komuś chciało się fałszować każdy plik dotyczący tego projektu. W ciągu dwóch lat wygenerowano ich przecież tysiące. – Wskazał ręką na wyświetlacz.

– Dobrze... – Kapitan potrzebował chwili, by poukładać to sobie w głowie. – Kiedy dostaliście te plany?

– Ponad dwa miesiące temu.

– I dopiero teraz zauważyliście, że te działa to zwykły szmelc? – zdumiał się Robert.

– Nie mieliśmy podstaw, by wątpić w prawdziwość zdobytych planów – zapewnił go Wergiliusz. – Z tego samego źródła pochodzi ponad połowa innowacyjnych technologii zastosowanych na budowanych przez nas okrętach. Z żadną nie było najmniejszych problemów. Ani wcześniej, ani później.

– Pozwolicie panowie, że coś sprawdzę – powiedział Bukowski, otwierając główny katalog z danymi projektu.

Zagłębił się w dokumentacji, wyłączwszy wszystko, co dotyczyło technicznej strony, ponieważ i tak niewiele by z tego zrozumiał. Skupił się głównie na korespondencji pomiędzy admiralicją i laboratoriami, które

pracowały nad turbolaserami. Wyszukiwał tematy mogące go przybliżyć do prawdy, a pomijał całą resztę. Po kwadransie intensywnej lektury w głowie błysnęła mu myśl.

– Z tego, co tu widzę, te działa nigdy nie weszły do produkcji.

– Zgadza się – potwierdził Mitchris. – Projekt trafił do zamrażarki ze względu na zbyt wysokie koszty, ale to akurat nic dziwnego. Podobnie było w przypadku stanowisk bojowych zintegrowanych z kokonami ewakuacyjnymi. Ten rewelacyjny i w pełni działający wynalazek, umożliwiający ocalenie życia znacznej części załogi zniszczonego w trakcie walki okrętu, trafił na półkę, ponieważ komisja oceniła, że koszty jego wdrożenia będą niewspółmierne do zysków. Rozumie pan, mówimy o decyzjach wydawanych przez bezdusznych urzędników, dla których ludzkie życie nie ma żadnej wartości. Nie muszę wspominać, że zastosowaliśmy to rozwiązanie na naszych krążownikach.

– To może zapytam, zamiast dokopywać się godzinami do kolejnej informacji... Czy tę broń przetestowano na okrętach floty Federacji?

– Z tego, co wiemy, projekt zawieszono na dość wczesnym etapie – odparł zarządca stoczni.

– Zanim zbudowano pierwszy prototyp? – doprecyzował Bukowski.

– Tak. Jednogłośnie decyzja w tej sprawie zapadła na jawnym posiedzeniu komisji wykonawczej admiralicji. Projekt został zamrożony, ponieważ zewnętrzny wykonawca przekroczył ustalony budżet, i to aż dwukrotnie, w związku z czym zamawiający odmówił wypłacenia kolejnej transzy, mimo że dotychczasowe wyniki były obiecujące – wyjaśnił Wergiliusz.

Słuchając tego wywodu, Robert spoglądał z lekko kpiącym uśmiechem na drugiego z mężczyzn siedzących przy stole. Mitchris miał opinię świetnego fachowca i pragmatyka.

– Naprawdę pan nie rozumie?

Del Rey poczerwieniał na twarzy.

– A to skurwyklony – wymamrotał, po czym sam zaczął wertować dokumentację.

– O czym wy, u licha, mówicie? – zirytował się przywódca separatystów.

– To nie nas oszukano – odpowiedział mu zdawkowo zarządca stoczni, przerzucając kolejne dokumenty.

– Co?!

– Nie wiem, jak jest dzisiaj – wtrącił kapitan – ale gdy ja służyłem w wojsku, takie przekrety były na porządku dziennym. Może nie aż

w takiej wielkiej skali, ale nawet wtedy przytulano grube miliony.

– Przekręty? – Wergiliusz nie wierzył własnym uszom.

– Ktoś z admiralicji zawarł w sekrecie układ z zewnętrzną firmą, ujawnił jej szczegóły ogłaszanego przetargu albo wręcz ustawił pod nią ten przetarg. Dzięki temu kontrahent złożył najlepszą ofertę, którą pomysłodawca przekrętu mógł zaakceptować bez budzenia podejrzeń. Po czym obaj przez dwa lata z okładem doili federacyjną kasę. Nie musieli przy tym nic robić, ponieważ od samego początku było jasne, że projekt zostanie zamknięty na odpowiednio wczesnym etapie, to znaczy zanim dojdzie do wyprodukowania prototypu i testów, które wykazałyby w pięć sekund, że te wszystkie „rewolucjonizujące przyszłość walki w przestrzeni” obietnice i wyliczenia są o kant dupy potłuc.

– Nie... – jęknął Wergiliusz.

– Tak. – Robert przeniósł wzrok na przetykającego nerwowo ślinę del Reya. – Jak wielki mamy problem?

– Bez tych turbolaserów nasze krążowniki są bezużyteczne.

– Nie możecie na nich zamontować sprawdzonej broni starszej generacji? – zapytał Bukowski.

– Pan nie rozumie... – Zarządca stoczni się zawahał. – Projektowaliśmy i budowaliśmy te okręty z myślą o uzbrojeniu ich w systemy jedenastej generacji, które różnią się znacznie od stosowanych obecnie rozwiązań. Jak by to panu obrazowo opisać... – Umilkł na moment. – O, już wiem! Nie wystrzeli pan z siedemnastowiecznej armaty, mając do dyspozycji wyłącznie amunicję zespoloną. Niby ma pan co trzeba: jest lufa i jest pocisk odpowiedniego kalibru, ale jedno do drugiego po prostu nie pasuje. Tak to właśnie wygląda w naszym przypadku. Te technologie nie mogłyby być bardziej odmienne. W dodatku wszystkie bebechy, które pan tutaj widzi – wskazał na dolną, rozgałęziającą się część hologramu – są scalone z wieloma innymi podsystemami okrętu.

– Ile czasu wymaga wprowadzenie koniecznych zmian?

– Dwa, może trzy miesiące... – Del Rey nie wydawał się pewny tego, co mówi.

– Tylko się, panowie, nie irytujcie – poprosił Robert. – Następne pytanie wynika z mojej bezgranicznej ignorancji: czy nie da się naprawić tych planów?

– Zaczniemy od tego, że to totalna ściema, kapitanie. – Mitchris nie owijał w bawełnę. – Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda dobrze, ale gdy

zacząć sprawdzać dokładniej, bardzo szybko wychodzi na jaw, że wyliczenia robiono pod tezę. Może mi pan wierzyć, że nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Specyfikacja większości podzespołów to także czysta fikcja. Brak kompatybilności byłby najmniejszym z problemów, z jakim mielibyśmy do czynienia, gdybyśmy poskładali to bożonstwo w całość.

– Rozumiem. – Bukowski przygryzł wargę. – To może inaczej... A czy są jakieś szanse na... jak by to ująć... częściowe zespolenie nowego systemu ze starym? Mówię o modyfikacji niektórych zamontowanych już podsystemów peryferyjnych.

Del Rey popatrzył na niego z politowaniem.

– Nie – odpowiedział zwięźle.

– Czemu? Oba systemy służą do tego samego, z pewnością istnieje wiele elementów, które dałoby się wykorzystać po dokonaniu określonych przeróbek. Weźmy kwestię zasilania...

– To są absolutnie nieprzystające do siebie technologie – przerwał mu Wergiliusz. – Zacznijmy od tego, że emiterzy poprzedniej generacji eksplodowałyby, zamiast strzelać, gdyż przepustowość zainstalowanych przez nas magistrali zasilających jest ponad dwukrotnie większa...

– I co, nie znacie sposobu na redukcję albo przekierowanie nadwyżki energii? – Robert nie pozostał dłużny. – Jedna magistrala mogłaby na przykład obsługiwać dwie baterie.

– To nie takie proste, jak się panu wydaje. – Wergiliusz przeniósł wzrok na pogrążonego w myślach zarządcę stoczni.

– Wbrew pozorom pomysł nie jest wcale taki głupi – odezwał się po chwili milczenia del Rey. – Nie będzie to oczywiście tak proste, jak sądzi kapitan, ale widzę co najmniej pięć podsystemów, które moglibyśmy zmodyfikować bez konieczności ich całkowitego demontażu.

– Ile czasu dałoby się dzięki temu oszczędzić? – zapytał z nadzieją w głosie przywódca separatystów.

– Nie wiem – przyznał szczerze Mitchris. – Muszę to sobie dobrze prze-myśleć i dokładnie przeliczyć, ale mówimy raczej o obniżeniu kosztów niż o zaoszczędzeniu czasu. Przeprojektowanie systemu potrwa chwilę, zakres prac także będzie niemały, ponieważ równolegle do wprowadzania koniecznych modyfikacji trzeba będzie przestawić montownie na produkcję starszych turbolaserów. Do tego musimy się liczyć z przestojami. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że mamy szansę uniknąć najczarniejszego scenariusza, ale dwa miesiące obsuwy są pewne – podsumował.

- Zatem cała nadzieja w Lumleyu – stwierdził Bukowski.

Rozdział 10

*Systemy Centralne,
strefa skoku,
System Erytrea 9, Sektor Whisky,
11.05.2234, godz. 06:54*

– Dłużej się nie dało? – Priest wypchnął się bezceremonialnie przed podtrzymującego Mayasmine kolegę. – Dwadzieścia godzin siedzieliśmy w tej trumnie!

– Jeśli o mnie chodzi, mogli was tam trzymać i cały tydzień – odwarknęła Pohl, odsuwając się sprzed włazu, aby zrobić mu przejście, po czym zdecydowanym ruchem powstrzymała Clementa. – Śpiąca królewna zostaje. – Wskazała palcem półprzytomną Sterling. – Zapakuj ją na powrót do automedu. Tu masz wytyczne ustawień...

Przesłała na jego komunikator pakiet danych.

Walter się obrócił, nie komentując polecenia. Uznał, że Lumley wie, co robi. Poza tym miał już dość siedzenia w ciasnej kryjówce z nieustannie zrzedzającym kompanem i wymagającą nieustannego nadzoru katatoniczką. Niemal doba spędzona w wymuszonym bezruchu wyczerpała go zarówno psychicznie, jak i fizycznie – i w niczym nie pomogły aplikowane na bieżąco środki farmakologiczne.

Zabiłby za możliwość zdjęcia ciężkiego skafandra, nie mówiąc już o wzięciu choć minutowego suchego prysznicu. Nie zamierzał odwlekać tych przyjemności nawet o jedno uderzenie serca, dlatego pociągnął za sobą niestawiającą oporu Mayasmine i położył ją na stanowisku medycznym, które zajmowało ponad połowę wolnej przestrzeni. Wgrał otrzymane od Pohl ustawienia, odbił się obiema stopami od najbliższej ściany i poszybował w kierunku włazu, nie czekając, aż pokrywa kapsuły zostanie uszczelniona.

– Masz banki danych? – zapytała pierwsza oficer, gdy ją mijał.

Wskazał pojemniki przypasane do ud, po czym wyslizgnął się na zewnątrz i kilkoma szybkimi skokami dotarł do platformy transportowej. Podpiął się do niej, zawisając za plecami mamroczącego nadal Priestę. Nancy zamknęła w tym czasie właz kryjówki i moment później dołączyła do nich.

– Dlaczego to tak długo trwało? – zapytał ją, gdy zaczep, pod którym wisieli, ruszył w stronę modułu załogowego. – Tak ostro was trzepali?

– Nie – odwarknęła. – Tak ostro zapieprzaliśmy.

– Kazali wam po nas posprzątać?

Walter próbował rozluźnić atmosferę, ponieważ wszyscy troje byli mocno wkurzeni. Wyczerpana długim dniem harówki Pohl reagowała przesadnie na słuszne skądinąd narzekania, a ich obu roznosiło po dwudziestu godzinach spędzonych w ciężkich skafandrach, w których człowiek nie może się nawet podrapać po swędzącej jak cholera dupie.

– Nie. – Pierwsza oficer całkowicie zignorowała żartobliwy ton pytania.

– Lumley zakontraktował dodatkowy ładunek. Prawie milion ton maksymalnie rozdrobnionego urobku. Zgarnęliśmy wszystko, co mieli na Becie. Zasuwaliliśmy czternaście godzin bez przerwy, żeby wyrobić się na czas, wybacz więc, że nikt nie przejmował się waszą wygodą.

– Mogliście wypuścić nas przed skokiem – wtrącił z rozgoryczeniem Leslie.

– Nie mogliśmy – odparła nieco łagodniejszym tonem. – Podczas przelotu do strefy skoku towarzyszyło nam kilka jednostek czarnych. Skurwyklony zleciały się na Betę jak nie przymierzając, muchy do świeżego gówna, ale ktoś musiał ich odwołać, bo niektórzy zawrócili w połowie drogi, a ze dwa ścigacze nie opuściły nawet strefy skoku.

– Konwój – mruknął domyślnie Clement.

– Cokolwiek to było, czarnuchy z łatwością wypatrzyłyby każdy nietypowy ruch w ładowniach, nie mówiąc już o tym, że któryś skurwyklon mógł wpaść na pomysł zrobienia nam kipsiszu, a trudno byłoby wytłumaczyć, skąd wzięło się na pokładzie dwóch dodatkowych członków załogi, w dodatku idealnie pasujących do rysopisów głównych sprawców zamieszania. Chyba już rozumiesz, dlaczego Lumley zdecydował, że posiedzicie w kryjówce nieco dłużej.

Nie musiała dodawać, że na Erytrei sytuacja znacząco się poprawiła. Czarni poleciali ku zamieszkanym planetom, obierając kurs na najbardziej uczęszczane studnie grawitacyjne. *Azymut* z kolei musiał przysto-

wać planowy przeładunek kilku kontenerów, co usprawiedliwiało wyjście pary załogantów na zewnątrz.

Platforma transportowa zatrzymała się niespodziewanie na następnym węźle, tam zwrotnica została automatycznie przestawiona i już mknęli dalej, tym razem po obwodzie rdzenia, choć od modułu załogowego dzieliło ich wciąż ponad dwieście metrów.

– Co jest?! – oburzył się zaskoczony nagłą zmianą trasy Priest. – Dokąd nas wieziesz?

– Do nowej kryjówki... – odpowiedziała ostrożnie, doskonale wiedząc, jak zareagują na tę informację.

– Ty chyba kpisz! – Clement był nie mniej rozżalony od partnera.

Perspektywa wzięcia prysznic, o którym tak rozpaczliwie marzył, nagle stała się równie odległa jak Terytoria, na które zmierzali.

– Bez obaw – dodała pośpiesznie, zanim przystanęli między największymi kontenerami z masówką. – To nie będzie ciasna klitka, jak ta, którą ewakuujemy ludzi na orbitę. Dostaliście prawdziwy apartament, jeden z tych, którymi przerzucamy naszych na dalekich trasach. Z wygodami jak na wycieczkowcu i do tego żadnych obowiązków.

– Nie możemy lecieć z wami jak ludzie? – nie odpuszczał Leslie.

– Dokąd? – Spojrzała na niego kpiąco. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za kilka dni ten złom zostanie wysadzony parę milionów kilometrów stąd. Poza tym centrala chce was widzieć jak najszybciej. Macie do wyjaśnienia kwestię zniknięcia spedytora – przypomniała.

– A co z Mayasmine? – zapytał Clement.

– To samo – odparła zwięźle pierwsza oficer. – Ona leci jednym statkiem, wy i banki danych drugim.

– Dlaczego?

– Bo takie otrzymaliśmy rozkazy.

– Rozumiesz coś z tego? – Priest zwrócił się do kompana.

– Ni w ząb.

– Ja też wielu rzeczy nie rozumiem – zapewniła ich Pohl. – Nie rozwodzę się jednak nad tym, jak zaszary bytnik w przytułku nad pozbawioną smaku biomasą. Robimy, co nam każą, i nie zadajemy pytań. Na tym polega ta robota.

Mówiąc to, wypięła karabińczyk i podleciała zwinnie do centralnej części najbliższego kontenera. Aktywowała ukryty w listwie wzmacniającej

wirtualny panel sterowania, po czym otworzyła na oścież wąski właz, za którym znajdowała się nieoświetlona śluza powietrzna.

– Ruchy na sprzęcie, moi panowie. – Wskazała dłonią ciasne pomieszczenie, na którego końcu znajdował się kolejny właz. – Za niecały kwadrans pojawi się dron, który przeniesie was na pokład jednostki lecącej prosto na Terytoria.

* * *

– Bardzo narzekali? – zapytał Lumley, gdy pierwsza oficer pojawiła się w sterówce i zajęła miejsce za główną konsolą.

– Nie bardziej niż ja.

Kapitan się zaśmiał.

– Czyli grubo było.

– Nie podziękowali, tyle ci powiem.

W dalszej wymianie zdań przeszkodziła im aktywacja komunikatora. Ktoś dobijał się do *Azymuta* na otwartym kanale. Nancy sprawdziła numer identyfikacyjny nadawcy – wiadomość wysłano z *Zeusa 432*, rdzeniowca należącego do korporacji Stardust. Spojrzeli po sobie zaskoczeni. Nie kojarzyli tej jednostki, poza tym korporacyjni rzadko odzywali się do niezależnych transportowców, których uważali za niższy gatunek, a nawet zło konieczne.

– Daj ich na główny ekran! – rozkazał Lumley.

Wysoka szczupła czarnoskóra kobieta w szarym kombinezonie, którą ujrzeni na panoramiconie, patrzyła w obiektywy holokamer z nieskrywaną pogardą. Była to czytelna zapowiedź charakteru przemowy, którą zamierzała wygłosić.

– Mówi kapitan pierwszej klasy Vivian Sheckley. Otrzymałam informację, że wasza jednostka bezprawnie przejęła ładunek należący do korporacji Stardust. Wynegocjowana przez was umowa z przetwórcami na Becie Fukushima 4 nie została autoryzowana przez lokalny zarząd Mine-Crafta, z którym podpisaliśmy wyłączny długoterminowy kontrakt na odbieranie z tego systemu całego urobku, w związku z czym oświadczam, że w świetle przepisów Kodeksu prawa cywilnego i korporacyjnego Federacji, wszelkie ustalenia pomiędzy niejakim kapitanem Lumleyem i przedstawicielami przetwórci uważamy za nieważne. Udacie się natychmiast na najbliższe kotwicowisko i zaczekacie tam na nasze przybycie. Spodziewamy się, że dobrowolnie zwrócicie zagarnięty bezprawnie urobek. Macie dzie-

sięć minut na potwierdzenie. W razie niezastosowania się do przedstawionych żądań Stardust potraktuje wasze działania jako pospolite przestępstwo i złoży stosowne wnioski do organów ścigania, domagając się nałożenia na waszą jednostkę aresztu prewencyjnego do czasu zakończenia postępowania sądowego i zapadnięcia wyroku. Bez odbioru.

Lumley i Pohl gapili się na korporacyjne logo z rozdziawionymi ustami. Spodziewali się wszystkiego – niezapowiedzianej kontroli ze strony czarnych, prób wymuszenia łapówki – nie przyszło im jednak do głowy, że Stardust mógłby się upomnieć, i to tak kategorycznie, o zawłaszczony urobek. Może i nagięli parę przepisów, by go przejąć, ale u licha, Fukushima została zamknięta naглуcho, co oznaczało, że jakaś tam Sheckley nie odebrała by ładunku, nawet gdyby bardzo tego chciała.

– A to wredne skurwyklony – mruknął zniesmaczony Lumley.

– Jak to korpo. – Pohl splunęła z odrazą na kratownicę pokładu.

– Mówię o tych bozonach z przetwórnicy – uściślił. – Wiedziałem, że coś kombinują. Za szybko zgodzili się na moje warunki.

– Myślisz, że to oni donieśli?

– A kto? – Wzruszył ramionami. – Cadigan nie miał żadnego interesu w robieniu nam koło tyłka.

– Może dokopano się w końcu do siedziby zarządu...

– Myślisz, że uwolnieni prezesi mieliby czas i ochotę na przejmowanie się takimi pierdołami, jak naruszenie wyłączności kontraktu firmy przewozowej? Przy takim burdelu na kółkach, który zastali na zewnątrz? Ja na ich miejscu zajmowałbym się o wiele ważniejszymi sprawami.

– Fakt – przytaknęła. – Co robimy z tym fantem?

Stephen nie zastanawiał się długo.

– Daj mnie na ogólny – polecił.

Następnie przyjął postawę równie wyniosłą jak korpokrowa, lecz po krótkim zastanowieniu zgarbił się ponownie i ignorując naganę bijącą z oczu podwładnej, włączył nagrywanie.

– Mówi kapitan trzeciej klasy Stephen Lumley. Kierujemy się na najbliższe kotwicowisko. Bez odbioru.

– Co to było? – wykrzyknęła Nancy.

– Kupiłem nam trochę czasu – uspokoił ją. – Nikt normalny nie stawiałby się korporacji grożącej mu sądami. Poza tym w promieniu kilku sekund świetlnych mamy wciąż z dziesięć jednostek czarnych. Przejęliby nas w okamgnieniu, a tego byś chyba nie chciała.

– Potrzebowaliby na to co najmniej pięciu minut, a w takim czasie da się bez problemu wykonać skok podprzestrzenny.

– I co dalej? – zapytał stoicko. – Po pierwsze, wykonanie skoku podprzestrzennego tak blisko gwiazdy centralnej mogłoby się naprawdę źle skończyć. Po drugie, dzięki umowie z Cadiganem zyskaliśmy czternaście godzin zapasu, ale to nadal zbyt mało, by dolecieć skokami podprzestrzennymi na Demeter i wrócić na czas. Nie wspomnę już o tym, że czarni są tak nakręceni aferą z Fukushima, że czekaliby tam na nas, gdybyśmy zwiali *Zeusowi*. Nie, moja droga, musimy znaleźć inne rozwiązanie.

Siedzieli dłuższą chwilę ponurzy, zatopieni we własnych myślach. W końcu Pohl pokręciła głową z rezygnacją.

– Najlepiej będzie, jeśli oddamy im ten złom – stwierdziła. – Przeladunek zajmie maksymalnie osiem godzin. Wprawdzie znajdziemy się znów w punkcie wyjścia, ale przynajmniej będziemy mieli szanse na dotrzymanie harmonogramu. Wykonanie misji jest w tej chwili najważniejsze.

Przypomniała mu dyskretnie treść ostatniej wiadomości z centrali. Wergiliusz podkreślił w niej, jak wielką wagę dla ich ruchu ma zniszczenie konwoju.

– Ustaw kurs na najbliższe kotwiczowisko i wskaż mi aktualną pozycję Zeusa – rzucił Lumley.

Pohl wykonała jego polecenie bez szemrania. Widoczny na holomapie wektor *Azymuta* zakrzywił się coraz bardziej z każdą upływającą sekundą. Ikonka rdzeniowca Stardusta pojawiła się moment później – była daleko, obok Alfy tego systemu, czyli ponad dziewięć minut świetlnych od strefy skoku.

– Ile czasu będą potrzebowali na dotarcie do nas?

– Jeśli się pośpieszą, powinni dotrzeć na kotwiczowisko za trzy i pół godziny.

– Nie sądzę, by zamierzali wyciskać ostatnie neutrony z reaktora – uznał kapitan po chwili zastanowienia. – Ale na wszelki wypadek przyjmijmy tę opcję. Z jaką prędkością lecą obecnie?

Odległość dzieląca ich od Alfy była tak duża, że opierali się wyłącznie na szacunkach. Wiele mogło się zmienić w ciągu tych dziewięciu minut, których światło potrzebowało, by dotrzeć do czujników *Azymuta*.

– W tym momencie powinni osiągać prędkość nie mniejszą niż siedem tysięcy kilometrów na sekundę, ale nie dam sobie głowy uciąć, bo z tego, co widzę, przyspieszali zaledwie połową ciągu.

- Przesyłki nadane.

Lumley się wzdrygnął, słysząc tuż za plecami głos rozbawionego Koontza. Zajęty problemem nie zauważył powrotu drugiego oficera, któremu przypadło w udziale osobiste nadzorowanie przeładunku kontenerów z kryjówkami.

- Siadaj – burknęła Pohl, zirytowana nagłą zmianą ich sytuacji.

- Coś nie tak? – Peternest natychmiast wyczuł napięcie.

- Korpo upomniało się o zakontraktowany urobek – odparła zwięźle, nie mając ochoty na wdawanie się w pogawędkę.

- W czarne dziursko...

Koontz znał Nancy zbyt dobrze, by kontynuować tę rozmowę. Zajął więc swoje miejsce i natychmiast włączył komunikator, by nadrobić zaległości.

- Kogo z naszych mamy w tym systemie? – Dopiero kapitan przerwał napiętą ciszę.

Pohl przesłała do Systemu zapytanie i już po chwili SIto nałożyło na mapę uzyskane wyniki. Wergiliusz zapewnił im solidne wsparcie – widać było, że ta operacja ma ogromne znaczenie dla jego organizacji. Na Erytreę skierowano jednostki z dwóch sąsiednich systemów. Trzy frachtowce wewnątrzsystemowe i remontowiec niższej klasy orbitowały wokół Alfę; dwa kolejne, rdzeniowiec i holownik, opuszczały właśnie strefę skoku.

- Kto najszybciej przejmie Zeusa?

W odpowiedzi System wskazał *Kraba 8472*, średniej wielkości jednostkę pomocy technicznej przystosowaną do prowadzenia mniej skomplikowanych napraw w przestrzeni kosmicznej. Stephen powiększył wycinek mapy tak, by pozostały na niej tylko dwa interesujące go statki. Przyglądał się uważnie wektorom ich prognozowanych kursów, wprowadzając od czasu do czasu niewielkie korekty danych. Pohl i Koontz obserwowali jego poczynania w całkowitym milczeniu, bojąc się nawet odetchnąć.

- Nancy, połącz mnie z dowódcą *Kraba*.

- Daję go na główny – odparła natychmiast.

Na panoramiconie pojawił się młody, ale już kompletnie łysy skośnooki mężczyzna. Był tak masywnie zbudowany, że jego potężne barki nie mieściły się w polu widzenia holokamer. SIto podpowiedziało, że nazywa się Ottommy Komatsu.

- W czym mogę pomóc? – zapytał znudzonym tonem dowódca remontowca.

– Otrzymałem właśnie informację, że czeka nas nieplanowany przestój w tym systemie – wyjaśnił uprzejmie Stephen, zwracając się do niego jak zwykły petent. – Chciałbym wykorzystać ten czas i przeprowadzić kilka pomniejszych napraw. Czy to możliwe?

– Oczywiście. – Osilek wyszczerzył wszystkie zęby, jakby ucieszyła go perspektywa zarobienia paru dodatkowych kredytów. – Tak się składa, że mamy kilka wolnych godzin w harmonogramie. Prześlijcie listę podzespołów wymagających serwisowania, żebyśmy zdążyli wydrukować potrzebne części, jeśli nie mamy którejs na stanie.

– Dostanie ją pan w ciągu kilku minut – obiecał Lumley, po czym się rozłączył.

– Co planujesz? – zaciekawiała się pierwsza oficer.

– Spróbuję pozbyć się problemu... – burknął, formułując krótką wiadomość do dowódcy *Kraba*.

Nie mógł napisać wprost, czego potrzebuje, gdyż czarni w całym meta-sektorze byli postawieni w stan gotowości po tym, co stało się na Fukushimie. Oznaczało to, że i na Erytrei wubecja monitoruje każdy kanał łączności i że jakakolwiek próba komunikacji kierunkowej bądź szyfrowanej – zwłaszcza między jednostkami należącymi do niezależnych armatorów – zostałaby natychmiast wychwycona. Stephen był w pełni świadom, że ściągnięcie na siebie uwagi rozwścieczonych agentów Wydziału Bezpieczeństwa z pewnością nie przysłużyłoby się sprawie.

Wybrał więc trzecią drogę: ukrycie właściwego przekazu w niewinnym z pozorów komunikacie. Wiadomość dla dowódcy *Kraba* będzie zawierać spis prawdziwych numerów katalogowych części zamiennych, które jednak zostaną dobrane i ułożone w taki sposób, by postronny odbiorca dysponujący odpowiednim kluczem mógł odczytać zaszytą między wierszami informację. Dla wszystkich pozostałych, w tym nawet dla Systemu wubecji, będzie to najzwyczajniejsza lista elementów do wymiany. Tak wyglądał genialny w swojej prostocie podstęp, wynaleziony i stosowany w zamierzonych czasach, gdy elektronika wciąż raczkowała, a człowiek marzył dopiero o opuszczeniu nie tyle Układu Słonecznego, ile samej Ziemi.

Wydawać się mogło, że w dobie komputerów kwantowych o niewyobrażalnej mocy obliczeniowej nie ma już sposobu na oszukanie wszechobecnej Sztucznej Inteligencji, lecz kapitan Bukowski potrzebował tylko kilku godzin, by znaleźć lukę pozwalającą na bezpieczne komunikowanie się pod samym nosem wroga. W dodatku Lumley nie musiał się teraz

martwić wpadką, ponieważ zaproponowana przez Pielgrzyma metoda została sprawdzona już parokrotnie – zawsze z sukcesem – w trakcie niezwykle ryzykownych operacji.

Sito wyszukało w katalogu części odpowiednie pozycje. Ponieważ w dwóch przypadkach trzeba było zmienić niepasującą cyfrę, by całość kodu się zgadzała, przygotowano od razu drugą wiadomość, w której nadawca poprawi błędy, dzięki czemu trackery powinny to przełknąć bez problemu.

– I co dalej? – zapytała Pohl.

– Wyeliminuję ich z gry – odparł.

– Zniszczenie korporacyjnego statku w systemie, który znajduje się na drodze konwoju, może zaalarmować przeciwnika i utrudnić wykonanie zadania – wtrącił Koontz, ostrożnie dobierając słowa.

– Powiedziałem: „wyeliminuję”, nie: „zniszczyć”.

– Czyli? – Pierwsza nie zamierzała ustąpić.

– Dowiedcie się za kilka minut – powiedział enigmatycznie.

– Nadęty bozon! – mruknęła pod nosem.

Krab odpowiedział chwilę później – Komatsu potwierdził przyjęcie zlecenia, wskazał obie literówki i poprosił o wysłanie poprawnych danych. Lumley podał naszykowane wcześniej właściwe numery i odchylił się na oparcie wysłużonego fotela. Wykonał swoją część zadania.

– A teraz usiądźcie wygodnie i patrzcie – rzucił z satysfakcją.

* * *

Ottommy Komatsu siedział z jedną ręką opartą o podłokietnik i pocierał kciuk opuszką palca wskazującego. Taką pozycję przybierał za każdym razem, gdy przyszło mu się mierzyć z jakimś problemem.

Wiadomość od Lumleya może była krótka, ale miała silną wymowę:

Uszkodź napęd Zeusa 432, pozorując wypadek.

Lagrange. Śmieci.

Ottommy był pełen podziwu dla inwencji dowódcy *Azymuta*. Jedno zdanie i dwa równoważniki, a tyle treści. Choć mógł się tylko domyślać, dla-

czego ma obrać za cel właśnie ten statek, dostał czytelną odpowiedź, gdzie i czym powinien uderzyć, by wzbudzić jak najmniej podejrzeń. Wystarczyło, że połączył kilka pozornie oderwanych od siebie słów, a otrzymał niemal gotowy plan akcji.

Kazał Systemowi ustalić aktualną pozycję korporacyjnego rdzeniowca, po czym pozwolił Simonowi przeprowadzać kolejne symulacje. Sztuczna inteligencja w ułamkach sekund rozwijała rzucane jej pomysły, wytykała błędy człowieka i proponowała własne rozwiązania. Z taką pomocą idealny pod każdym względem plan powstał w ciągu zaledwie siedmiu minut.

Załoga w pełni zrobotyzowanej jednostki remontowej składała się z trzech osób. Kapitan zajmował się wszystkim, co było związane z łącznością i nawigacją. Główny mechanik, krępy milczek nazwiskiem Alec Diłow, dbał o to, by krypa sama nie wymagała naprawy, a w krytycznych momentach wspierał porucznik Marinę Oldie odpowiadającą za nadzór nad przebiegiem prac remontowych.

W tej branży koszty cięto jeszcze bardziej niż we flocie handlowej, ponieważ wbrew pozorom należała ona do najbardziej ryzykownych przedsięwzięć. Korporacje nie zlecały napraw niezależnym wykonawcom, chyba że nie miały innej opcji, a mali armatorzy stawali na głowie, by jak najmniej zapłacić i jak najpóźniej wystawić zlecenie. To był jeden z głównych powodów, dla których Komatsu tak chętnie przystał do separatystów próbujących zmienić ten świat na lepsze. Jego osobista sytuacja nie poprawiła się jakoś specjalnie, ale te kilka kredytów, które dostawał od ruchu oporu za pozostawanie do jego dyspozycji, pomagało mu spiąć budżet i wypłacać się w terminie firmie, od której dzierżawił statek i sprzęt. Zlecenie od Lumleya cieszyło go tym bardziej, że za aktywny udział w takiej akcji powinien zgarnąć wystarczająco dużo kasy, by nie martwić się niczym przez kolejne pół roku, a może nawet dłużej.

– Mamy na stanie drony MRT-7? – zapytał Marinę, równocześnie wprowadzając korektę kursu i prędkości *Kraba*.

– W magazynie są dwie sztuki – odparła.

– A dziewiątki?

– Jest jedna.

– Super! – Ucieszyło go, że nie muszą niczego dodrukowywać. – Mają być gotowe do startu za maksimum pięć minut.

Miał tak wiele do zrobienia i tak mało czasu. *Zeus* znajdował się o zaledwie dwadzieścia cztery minuty lotu od dołka Lagrange'a Alfy, a nic nie zwiastowało, by zamierzał w najbliższym czasie zredukować prędkość. Tyle dobrego, że szedł jedną trzecią ciągu, przyśpieszając tylko w minimalnym stopniu. To dawało prawie dwuminutowy zapas czasu, jeśli wierzyć SImonowi.

– Alec, zorganizuj mi siedem kawałków złomu o masie nieprzekraczającej dwóch kilogramów... – Odwrócił się do wywołanego przez interkom głównego mechanika. – Na już.

– Żaden problem – zapewnił go Diłow.

– Za cztery minuty mają być podczepione pod drony. Po dwa kawałki na siódemki i trzy na dziewiątkę.

– Przyjąłem.

Ottommy nie musiał się martwić o realizację tej części planu. Na statku zajmującym się remontowaniem innych jednostek pełno było nikomu niepotrzebnego żelastwa oraz sprzętu pozwalającego na jego dowolne obrabianie. Wysłanie kilku kawałków takiego złomu w kosmos także nie nastroczało trudności, nawet jeśli miały one trafić w bardzo konkretny cel – od czego w końcu były drony kierowane przez System. Niepokój budził jedynie element, nad którym nie miał pełnej kontroli.

W akcji uwiarygodniania „wypadku” musiały wziąć udział co najmniej dwa statki. Na szczęście w promieniu sekundy świetlnej znajdowały się obecnie trzy jednostki, z którymi Komatsu mógł współpracować. Sprawdził ich bieżące pozycje i kursy, po czym podjął szybką decyzję.

Skontaktował się z kapitanami dwóch frachtowców, przekazując w wiadomości spis części zamiennych, które udało mu się zdobyć zgodnie z wcześniej złożonymi zamówieniami. Ponieważ w jednym przypadku plan wymagał szczegółowszych instrukcji, odczekał kilkanaście sekund i wysłał „sprostowanie”, tłumacząc, że wcześniej doszło do pomyłki. Obaj rzekomi klienci byli zachwyceni, o czym świadczyły ich błyskawiczne odpowiedzi.

Od nadejścia rozkazu minęły cztery minuty.

– Jak wygląda sytuacja w ładowni?

– Już kończymy – zapewniła Oldie. – Właśnie pakujemy dziewiątkę.

– Start za trzydzieści pięć sekund – poinformował i natychmiast się rozłączył.

Simon kontrolował wszystko to, czego on jako człowiek nie był w stanie ogarnąć. Na ekranach pojawiały się kolejne komunikaty. Co kilka sekund System sprawdzał prędkość i pozycję celu, prowadził też nasłuch na większości kanałów, dzięki czemu od razu wychwycił komunikat nadany na częstotliwości alarmowej.

– *Hektor 994* do kontroli lotów – mówił ktoś podniesionym głosem. – Tutaj kapitan Sandemo. Właśnie minęła nas ławica kosmicznego śmiecia. Mało brakowało, by doszło do kolizji!

– Kontrola lotów do *Hektora 994*. Prześlijcie pakiet odczytów ze skanerów.

– Przykro mi, ale nie dysponujemy odczytami systemowymi... – Głos stał się nagle płaczliwy.

– Dlaczego?

– Od czterech dni czekamy na umówioną wymianę rejestratora. Możemy podesłać wyłącznie dane z sensorów pasywnych.

– Wysyłajcie. Bez odbioru.

Kontroler z kapitanatu portu orbitalnego znał się dobrze na swojej robocie, co w tej sytuacji ani trochę nie cieszyło Ottommy'ego. Facet bowiem nie kontynuował nic niewnoszącej rozmowy, tylko od razu zajął się tym co istotne. Dane spłyną do niego za kilka sekund, drugie tyle potrwa ich weryfikacja i wysłanie ostrzeżenia do jednostek znajdujących się na trasie kosmicznych śmieci. Gdyby trafiło na mniejszego służbistę, zgłoszenie zostałoby zarejestrowane, ale dalsze działania podjęto by dopiero po potwierdzeniu zagrożenia przez inne jednostki. Takie na przykład jak baza remontowa.

Niestety ten akurat kontroler okazał się nadgorliwy, co groziło zbyt wczesnym ostrzeżeniem *Zeusa*. Manewr, wykonany w odpowiednim momencie przez korporacyjny rdzeniowiec, mógł utrudnić, a nawet uniemożliwić przeprowadzenie zleconej akcji.

Czekając w napięciu na oficjalny komunikat, Komatsu kątem oka zauważył, że drony weszły na kurs kolizyjny.

Dobrze, niech lecą, może nie wszystko stracone, pomyślał.

Dziesięć sekund później zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

Facet chyba nie spanikował, a jeśli nawet szykuje się do wydania komunikatu, to już niczego nie zmieni...

Ładunki dronów zostały właśnie zwolnione.

Ottommy usiadł prościej, odetchnął głęboko i nacisnął klawisz aktywacji komunikatora.

– Kontrola lotu, tutaj *Krab 8472*. Mam na skanerach bliskiego zasięgu siedem niezidentyfikowanych odczytów. To chyba kosmiczne śmieci albo jakiś złom.

– *Krab 8472*, prześlij pakiet odczytów.

– Przesyłam – potwierdził, a następnie skupił wzrok na panoramiconie.

Widziany od strony rufy *Zeus* zajmował środkową część ekranu. Jego wielka centralna dysza jarzyła się bladą błękitną poświatą. Kolejna dobra wiadomość: napęd rdzeniowca wciąż pracował, na pewno nie z pełną mocą, ale to powinno wystarczyć do skutecznego wyłączenia go z akcji. Gdyby był już zimny, zniszczenia spowodowane trafieniem w jeden z pięciu stabilizatorów wiązki byłyby stosunkowo niewielkie – na szczęście los sprzyjał ruchowi oporu.

Komatsu zmrużył instynktownie powieki, gdy odliczany na timerze czas zbliżył się do zera.

Dwa pierwsze kawałki złomu wryły się zgodnie z planem w poszycie modułu łączącego komorę reaktora z pędnikiem. Impet uderzeń został natychmiast skompensowany uruchomieniem dysz kierunkowych. Resztki metalu, wprasowane w elementy poszycia rdzeniowca, posłużą śledczym za dowód wypadku.

Pół sekundy później nastąpił właściwy atak.

Komunikator ożył w chwili, gdy dwukilogramowy kawał osłony włazu ze zdezelowanego wahadłowca trafił w metrowe wyrzuczenie znajdujące się tuż za kryzą dyszy.

– Uwaga! Do wszystkich jednostek znajdujących się w kwadrancie siódmym i ósmym...

Ottommy nie słuchał reszty ostrzeżenia. Na jego oczach rozgrywał się właśnie przedostatni rozdział tego dramatu. Błękit fotonowego strumienia najpierw zbladł, praktycznie zanikając, po czym rozjarzył się ponownie – do tego stopnia, że filtry panoramiconu musiały przyciemnić mocno obraz, aż nie było już widać ani gwiazd, ani samego rdzeniowca. Sekundę później podgląd wrócił do normy, czego nie dało się powiedzieć o trafionym rdzeniowcu. Jego napęd został kompletnie zniszczony. Rozerwana na kilka kawałków czasu, większa dwukrotnie od *Kraba*, dryfowała w przestrzeni otoczona wianuszkami drobniejszych elementów, oddalając się powoli od zmasakrowanej rufy statku.

– Tak! – Komatsu uniósł zaciśnięte pięści w geście zwycięstwa. – Macie za swoje, skurwyklony!

Nie wiedział, dlaczego Lumley kazał mu się zająć tą akurat jednostką, ale powody ataku na nią były mu właściwie obojętne. Liczyło się tylko to, że mógł odplacić korporacyjnym bozonom. Był w siódmym niebie. Nie dość, że zemścił się za lata upokorzeń, to jeszcze na tym zarobił.

Cztery kolejne kawałki złomu i wszystkie drony wyparowały w nagłej eksplozji, lecz ostatni z pocisków, wystrzelony z kilkusekundowym opóźnieniem, mknął dalej ku *Hektorowi 754*, drugiemu frachtowcowi mającemu uwiarygodnić akcję. Jeśli jego kapitan nie popełni błędu, zaliczy trafienie w pustą ładownię, efektownie wyglądające, ale niegroźne. Jego zgłoszenie okaże się końcowym akordem tej akcji.

– Szerokiej drogi, przyjacielu... – Ottommy rzucił pod nosem do kapitana niewidocznego z tej odległości *Azymuta*.

* * *

Lumley się uśmiechnął, gdy przestrzeń za widocznym od strony dziobu rdzeniowcem rozjaśniła się słabo, ale za to dwukrotnie, po czym na mgnienie oka rozbłysło tam oslepiające bladoniebieskie słońce.

– No i po krzyku – stwierdził, zacierając ręce.

– Zmienić kurs na punkt skoku? – zapytała pierwsza oficer.

– Nie, jeszcze nie – powstrzymał ją. – Zobaczmy, jak rozwinie się sytuacja.

Na jego polecenie SIto powiększyło maksymalnie obraz, koncentrując się na kulistym module załogowym. Przez dłuższą chwilę panował bezruch, ale zanim Lumley i jego podwładni zdążyli stracić cierpliwość, wrota sterburtowego hangaru rozsunęły się powoli, odsłaniając wahadłowiec najnowszej generacji.

– Lecą obejrzeć uszkodzenia? – zdziwił się Koontz.

– Akurat! – Stephen się zaśmiał. – Spieprzają na Alfę.

Latał wystarczająco długo, by wiedzieć, że korporacyjne załogi nie należą do najodważniejszych. Podobna awaria, jeśli można tak nazwać utratę napędu, wkurzyłaby go do białości, ale zrobiłby wszystko, by uratować jednostkę. Sheckley tymczasem myślała wyłącznie o sobie, nie przejmując się własnością korporacji, dla której pracowała. Po co tkwić godzinami na pozbawionym zasilania dryfującym statku, skoro ubezpieczenie obejmuje odholowanie wraku, o gwarancji pokrycia wszelkich strat nie

mówiąc. Na takie zachowanie liczył i po raz kolejny nie zawiodła go intuicja.

Rozdział 11

*Systemy Centralne,
okolice strefy skoku,
System Daimonion 4, Sektor Whisky,
12.05.2234, godz. 03:30*

Komunikator Lumleya ożył dokładnie cztery i pół godziny przed planowanym skokiem.

Z twarzy pierwszej oficer zniknął szeroki uśmiech, kubek z miarką złocistobrazowego syntetycznego rumu, którym opijali sukces misji, nie dotarł do jej lekko rozchylonych ust. Koontz także nagle znieruchomiał i spowaźniał. Ta wiadomość mogła oznaczać tylko jedno: kłopoty.

Stephen nie zwlekał z odczytaniem bardzo krótkiego przekazu od Komatsu:

Ścigacz czarnych wykonał skok na Daimoniona.

– Kurwirtual – mruknął.

Ta lakoniczna informacja zmieniała wszystko.

– I co teraz? – Rowanthyony Chalker potoczył wzrokiem po pozostałych.

– Sprawdźmy... – Lumley odwrócił się twarzą do konsoli stanowiska, przy którym siedział, by aktywować prowizoryczny interfejs SIta.

Załoga rozgościła się w ciasnym przedziale osobowym wahadłowca, który od niemal sześciu godzin dryfował w kierunku orbity tutejszej Alfę. Przesiedli się na jego pokład niedługo po dotarciu na Daimoniona. Opuścili hangar *Azymuta* za pomocą dysz strumieniowych, nie uruchamiając napędu. Lecieli z reaktorem ustawionym na jałowy bieg, aby oddalić się od skazanej na zagładę jednostki w możliwie skryty sposób, bez pozostawiania czytelnego tropu.

Zacierali za sobą ślady, ponieważ spodziewali się przylotu czarnych, ale jeszcze nie teraz, u licha! Wubecy powinni zjawić się w tym systemie dobre kilka godzin po ataku, kiedy Lumley i jego podwładni zdążą już wylądować na jednym z licznych księżyców najbliższej planety. Napęd zostanie włączony dopiero w ostatniej fazie lotu, gdy wahadłowiec wejdzie w strefę cienia i rozpocznie podchodzenie do lądowania po niewidocznej ze strefy skoku stronie wielkiego skalistego satelity, na którym załoga będzie mogła przeczekać najgorsze.

Plan centrali zakładał, że z Daimoniona odbierze ich Komatsu – albo któryś z pozostałych kapitanów przebywających na Erytrei – oczywiście po tym, jak czarni znikną stąd na dobre, czyli najdalej za trzy doby.

Istniała szansa, że ścierwa zabrają się z tego systemu szybciej, jeśli ich skanery dalekiego zasięgu nie wykryją obecności człowieka, a konkretnie mówiąc, rozpraszających się bardzo powoli naładowanych cząstek emitowanych przez działające silniki fotonowe czy jonowe, które jak przysłowiowa nitka wiodąca do kłębka mogłyby doprowadzić oprawców do kryjówki Lumleya i jego ludzi.

Choć nie było to dla nich łatwe, troje załogantów wpatrywało się w plecy pracującego w skupieniu dowódcy, nie przerywając nawet na moment ciężącej wszystkim grobowej ciszy, jaka zapanowała w ciasnym pomieszczeniu, które miało być ich domem przez kilka najbliższych dni. W końcu Stephen sapnął głośno, po czym odchylił się na oparcie fotela.

– Mówże, człowieku! – Pohl nie była w stanie wytrzymać dłużej niepewności.

– Jest źle – powiedział kapitan.

– Jak źle? – zapytał Koontz.

– Tak, że nie mogłoby być gorzej. – Lumley przecesał obiema dłońmi rzadkie, ale i tak przepocone włosy na potylicy. – Wszystko na nic. Skurwyklony przylecą tutaj pół godziny przed planowanym skokiem *Azymuta* i nic nie możemy na to poradzić.

– Co?! – Pierwsza oficer wyprostowała się nagle, jakby przeszedł ją prąd.

– To, co słyszałaś – odparł Stephen, z trudem panując nad głosem.

Atak na Deltę Centuriona postawił w stan gotowości wszystkie resorty Federacji. Nic więc dziwnego, że jakiś aparatczyk uznał, iż lepiej dmuchać na zimne, i postanowił sprawdzić, czy po drugiej stronie studni grawitacyjnej, której nikt nie używał przez ostatnie dwie dekady, nie kryje się

przykra niespodzianka. W normalnej sytuacji człowiek ten nie kiwnąłby pewnie palcem, ale po zagładzie pobliskiej planety...

Centrala żywiła złudną nadzieję, że czarni nie okażą się przeczuleni, zwłaszcza tutaj, w głębi własnego terytorium. Niestety rzeczywistość ma tę paskudną cechę, że rzadko podporządkowuje się życzeniom człowieka.

– Coś chyba da się zrobić – zaczęła ostrożnie Nancy.

– Na pewno nie po tej stronie – zgasił ją natychmiast Lumley.

– Musi być jakaś alternatywa...

– Nie ma.

– Sprawdź jeszcze raz, uparty staruchu!

– To nie moje wyliczenia, tylko SIta! – Stephen także podniósł głos, co świadczyło o przepętniającej go irytacji. – Tu, na Daimonionie, nic nie możemy zrobić. Nic kompletnie. Skurwyklony pojawią się pół godziny przed odlotem *Azymuta* i siedemnaście minut przed wykonaniem skoku przez pierwsze okręty konwoju.

Nie musiał dodawać, że czarnym wystarczy dwie sekundy, by namierzyć cel, a po kolejnych pięciu wyślą na Erytreę meldunek o wykrytym zagrożeniu, niwecząc wszystkie wysiłki ruchu oporu. Plan Bukowskiego opierał się na efekcie zaskoczenia – transportowce musiały wejść w nadprzestrzeń przed ogłoszeniem alarmu, tylko wtedy bowiem trafiłyby w sam środek rozpętanego przez Lumleya piekła. Tak się jednak nie stanie. Wubecy ogłoszą alarm i co najmniej do wyjaśnienia sytuacji i całkowitego zabezpieczenia terenu zatrzymają konwój na *Demeter 12*, a to oznaczało totalne fiasko operacji. Gdyby nawet Wergiliusz zdołał jakimś cudem przygotować kolejną pułapkę, mający się na baczności wróg z pewnością w nią nie wpadnie.

– A gdyby tak rozmieścić w strefie skoku ogniwa paliwowe i zdetonować je zdalnie, gdy tylko czarni wyjdą z nadprzestrzeni? – zaproponował Chalker.

– Mamy ich tylko pięć – przypomniała mu Nancy – z czego dwa, może nawet trzy będą potrzebne do utrzymania nas przy życiu do nadejścia pomocy. Zresztą – dodała, przeliczywszy coś w pamięci – nie sądzę, abyśmy mieli na to czas przed ich przylotem.

– Nawet zdetonowanie wszystkich naraz nie zagwarantowałoby nam sukcesu – wyraził swoje zdanie kapitan. – Punkt skoku ma ponad pół miliona kilometrów średnicy... – Pokazał im symulację wykonaną przez

System. – Siła szacuje, że szanse powodzenia wyniosłyby niecałe dwadzieścia jeden procent.

– Lepsze to niż nic – mruknął główny mechanik, a Lumley błyskawicznie dobił go następnym argumentem.

– Zapominasz, że brak meldunku też doprowadzi do wszczęcia alarmu na Erytrei. Może ogłoszą go kilka minut później, ale na pewno przed tym, zanim pierwsza formacja konwoju wykona skok.

Znów zapadło milczenie. Nikt z członków załogi nie miał pomysłu, jak wyjść z tego impasu. Nikt oprócz...

– Czekaj! – Pohl się ożywiła. – Powiedziałeś: „nie po tej stronie”.

Stephen zastanowił się nad jej słowami.

– Można by przyśpieszyć moment skoku... – zaczął, ale mu przerwała.

– Jak?!

– Przecież wiesz. – Spojrzał jej prosto w oczy.

Oboje zdawali sobie sprawę, że odlot *Azymuta* ma szanse pozostać niezauważony tylko w jednym przypadku: jeśli jego skok zgra się idealnie z momentem przylotu czarnych. Fale grawitacyjne obydwu anomalii nałożą się na siebie, co skanery potraktują w najgorszym razie jako błąd pomiaru, w najlepszym zaś jako echo.

Nancy przełknęła głośno ślinę. Przyśpieszenie skoku... W teorii wydawało się to proste, ale diabeł tkwił w szczegółach. Nie mogli przesłać na *Azymuta* nowego pakietu danych. Usunęli z niego System i odłączyli wszystkie anteny, mając ku temu dwa ważne powody. Po pierwsze, żadna zaawansowana sztuczna inteligencja nie popełniłaby samobójstwa, nawet gdyby wydano jej taki rozkaz. Po drugie, Lumley nie mógł dopuścić, by Federacja zyskała choć cień szansy na przejęcie zdalnej kontroli nad jego statkiem, zanim dotrze on na wyznaczoną pozycję.

Po tym, jak wszystkie zasoby czynne Siła zostały przesłane do banków danych zainstalowanych przez Koontza na wahadłowcu, do komputera nawigacyjnego *Azymuta* wgrano prosty system operacyjny umożliwiający wykonanie serii rozłożonych w czasie niezbyt skomplikowanych manewrów, dzięki którym lecący na automatycznym pilocie rdzeniowiec powinien trafić we właściwe miejsce o właściwym czasie.

Rozwiązanie to miało oczywiście kilka minusów – takich, jak brak możliwości wprowadzenia niezbędnych korekt już po dotarciu na Erytreę, choć dokonanie ich przed skokiem było nadal realne. Przynajmniej według Siła.

Problem leżał w tym, że ktoś musiałby dostać się fizycznie na pokład *Azymuta*, gdyż nowe polecenia dało się wgrać tylko w jeden sposób: podłączając się bezpośrednio do terminala komputera nawigacyjnego.

W normalnej sytuacji byłoby to bajecznie proste, ale w ich przypadku należało brać pod uwagę bardzo poważny skutek uboczny. Człowiek, który podejmie się dostarczenia i wgrania kodu źródłowego, nie będzie miał jak wrócić na wahadłowiec i najprawdopodobniej zginie na Erytrei. Podwładni Lumleya mieli tego świadomość, ponieważ zdążyli wcześniej omówić każdy możliwy aspekt planu.

– Na pewno nie ma innego sposobu? – zapytała przygaszona Nancy.

– Nie ma – odparł ze stoickim spokojem Lumley, wrzucając na panoramiczną symulację.

Nad konsolą pojawiła się mapa z naniesionymi wektorami kursu *Azymuta* i wahadłowca. Prom z załogą sunął łagodnym łukiem ku orbicie Alfy, podczas gdy przebywający wciąż w pobliżu punktu skoku rdzeniowiec zataczał w ciągu godziny pełen krąg, dzięki czemu w odpowiednim momencie miał się znaleźć we właściwym miejscu i wykonać skok. Zanim to jednak nastąpi, krążący w przestrzeni ze znacznie większą prędkością rdzeniowiec zacznie się w ciągu najbliższego kwadransa ponownie zbliżać do obecnej pozycji wahadłowca. Wystarczyłoby więc zmienić kurs o niecałe sto sześć stopni i przyspieszyć do czterech setnych świetlnej, aby wektory lotu obu jednostek skrzyżowały się za niespełna czterdzieści minut w najbardziej oddalonym od strefy skoku punkcie kręgu.

Chalker skrzywił się mocno, Koontz spuścił wzrok, a Pohl zbladła. Wykonanie takiego manewru oznaczało pełną dekonspirację. Po włączeniu napędu wahadłowiec pozostawi w przestrzeni wyraźny ślad, który czarni namierzają bez problemu zaraz po przylocie.

Ucieczka wahadłowcem przed podrasowanym ścigaczem, nawet przy ponad trzygodzinnej przewadze początkowej, nie miała najmniejszych szans powodzenia. Okręt wubeków osiągał dziesięciokrotnie większą prędkość maksymalną, poza tym przyspieszał w takim tempie, o jakim cywilne jednostki mogły jedynie pomarzyć, i do tego wszystkiego był uzbrojony nie tylko w rakiety, ale też w emiter laserowy dziesiątej generacji.

Dziewięćdziesiąt minut. Tyle by przetrwali. Zrezygnowana Nancy pokręciła głową. W tak krótkim czasie trójka uciekinierów nie pokonałaby nawet połowy trasy dzielącej ich od najbliższego księżycy Alfy.

Członkowie załogi siedzieli ze spuszczoneymi głowami i wbijali spojrzenia w kratownicę pokładu. Zdawali sobie sprawę, jak wiele zależy od powodzenia ich misji. W końcu ważyły się losy całego zrywu wolnościowego. Odkąd zapoznali się z planem, musieli się liczyć z najgorszym, ale do ostatka mieli nadzieję, że plan Bukowskiego wypali. Naprawdę niewiele brakowało...

Zaledwie chwilę wcześniej tryskali radością, przełykając pałacy w przełyk rum i śmiejąc się w głos. Świątowali, ponieważ byli przekonani, że nic już nie może im zagrozić. Pokonali przecież wszystkie przeciwności, coraz wyraźniej widzieli pozbawiony atmosfery skalisty glob, na którym chcieli poszukać schronienia. Mieli go dosłownie na wyciągnięcie ręki.

– Zapeszyliśmy – mruknął Koontz, ze złością odtrącając wiszący obok jego dłoni kubek.

Główny mechanik i pierwsza oficer poparli go zgodnie. Tylko zgarbiony nad wyświetlaczem kapitan nie zareagował, całkiem jakby nie dosłyszał rzuconej cicho uwagi. Skupiał się znowu na obliczeniach.

– Może... – zaczął Chalker, ale zaraz ugryzł się w język.

– Może co? – podchwyciła Pohl.

– Nic.

– Dokończ zdanie, skoro już zacząłeś – nie odpuszczała.

– Zastanawiam się, jakie mielibyśmy szanse na przeżycie po znalezieniu się na Erytrei.

– Takie same jak tutaj.

– Zerowe – powiedział w tej samej chwili Koontz.

– Zerowe... – powtórzyła, oblizła nerwowo wargi i szybko przytknęła kubek do ust, by opróżnić go jednym haustem. Zatchnęła się, poczerwieniała na twarzy, ale szybko odzyskała oddech. – Lej jeszcze! – rzuciła do głównego mechanika, który wyczarował dla nich trunek, manipulując przy seryjnym dispenserze. – Nie zamierzam umierać na trzeźwo.

Peternest także dopił swoją miarkę i wyciągnął rękę z naczyniem w tym samym kierunku.

– Czekaście!

Na dźwięk głosu dowódcy obrócili się jak jeden mąż, zdziwieni.

– Na co tu czekać? – Nancy czknęła. – Mamy przesrane na całej linii.

– Niekoniecznie – odparł kapitan, sięgając po swój kubek. W odróżnieniu od nich upił tylko mały łyżeczek, po czym dodał: – Nie wszyscy musimy ginać.

Patrzyli na niego jak na wariata. Każde użycie napędu było wyrokiem śmierci, może i odłożonym w czasie, ale bezspornym. Z kolei bez napędu nie mieli szans dolecieć do *Azymuta* w porę.

- Jak ty to sobie wyobrażasz? - zapytał Chalker po chwili milczenia.

- Możemy wykonać pełen ciasny krąg, korzystając wyłącznie z dysz kierunkowych - wyjaśnił Lumley. - W trakcie tego manewru, jak tylko wejdziemy na właściwy kurs, wypuścimy drona, którym jedno z nas dostanie się na pokład i wgra kody przyspieszające start...

- Kompletnie ci odbiło! - obruszyła się Pohl. - Ile taki lot potrwa?

- Co najmniej dwie godziny i szesnaście minut - odpowiedział, po czym znów się napił.

- Ktoś miałby przebywać w otwartej przestrzeni tyle czasu? - Zrobiła wielkie oczy. - Tak blisko tej bożońskiej gwiazdy? Może to i zdychający czerwony karzeł, ale jego promieniowanie usmaży delikwenta na skwarek.

- Nie dramatyzuj - poprosił. - Dzięki zastosowaniu osłon będzie miał szansę.

- Na co?! - wrzasnęła.

- Na ograniczenie szkód w stopniu pozwalającym na wykonanie misji.

- Trzymajcie mnie, bo chyba się przesłyszałam!

- Nie przesłyszałaś się. Ochotnik pożyje wystarczająco długo, by zginąć w eksplozji.

- Ty chyba naprawdę oszalałaś.

Zbył tę uwagę wzruszeniem ramion.

- Zaraz, zaraz. - Koontz przeliczył sobie coś szybko w głowie. - Żaden dron nie pokona tak dużego dystansu w tak krótkim czasie.

- Nie ma szans - poparł go natychmiast Chalker.

- Macie rację - przyznał Stephen. - Ale wystarczy połączyć trzy takie urządzenia i używać ich napędów kolejno. Nie dość, że rozwiną wymaganą prędkość, to jeszcze będą zdolne do korekt kursu.

- Trzy, powiadasz... - Główny mechanik podrapał się po szczecinie na policzku.

- Tak. Słoto rozważyło wszystkie możliwe scenariusze.

- Wliczając w to ewentualną awarię? - zapytała Nancy.

- Mamy na wyposażeniu cztery drony - odparł Lumley. - Jeśli użyjemy wszystkich, zapewnimy sobie bezpieczny margines błędu. Nawet w razie

awarii. Sprawdźcie sami, jeśli mi nie wierzycie. – Przerzucił symulację na ich komunikatory.

Z wyliczeniami Systemu nie mieli co dyskutować – sztuczna inteligencja nie poddawała się brawurze ani huraoptymizmowi. Skoro twierdziła, że takie rozwiązanie jest wykonalne, było wykonalne. Nie mieli powodu nie wierzyć Situ.

– Dobra. – Chalker pochylił się ku dowódcy. – Założmy, że nic się nie spieprzy, któreś z nas dotrze do *Azymuta* na czas, wprowadzi zmiany i odleci, synchronizując skok z czarnymi. To nadal niczego nie załatwia. Pojawimy się na Erytrei pół godziny przed czasem. Rozproszenie ładunku będzie zbyt duże, gdy pojawi się konwój.

– Pomyślałem i o tym. – Kapitan przeszedł od razu do rzeczy. – Trzeba będzie dokonać korekty kursu zaraz po wyjściu ze studni grawitacyjnej – przełączył widok na kolejną symulację – i odpalić ładunki sześć minut później, niż zakładaliśmy, dzięki temu efekt końcowy będzie bardzo podobny do pierwotnie zakładanego, tyle że lekko zmieni się wektor rozproszenia. Zgodność wyniesie dziewięćdziesiąt osiem procent – dodał.

– Sześć minut?! – Główny mechanik złapał się za głowę. – Jesteś pewien, że *Azymut* wytrzyma tam tak długo?

– W pobliżu punktu skoku z Daimoniona nie powinno być żadnych okrętów floty. Komatsu doniósł w ostatnich meldunkach, że rozmieszczono je pomiędzy strefą skoku a kotwicowiskami, na których czekają wszystkie zatrzymane na Erytrei jednostki. Najbliższy niszczyciel znajduje się pięć sekund świetlnych od miejsca, w którym pojawi się *Azymut*. To znaczy, że będziemy mieli minimum cztery minuty, zanim federaści zdążą zareagować i porządnie nam dowalić. Najkorzystniejsze szacunki mówią nawet o siedmiu minutach. W najgorszym razie uzyskamy siedemdziesiąt pięć procent zgodności.

– Za dużo w tym gdybania. – Rowanthyony machnął ręką. – To zbyt poważna decyzja, aby podejmować ją na podstawie naszych przypuszczeń.

– A mamy inne wyjście? – zapytał Lumley. – Albo to, albo wszyscy idziemy na pewną śmierć.

To przekonało głównego mechanika.

– Im szybciej zabierzemy się do roboty, tym większe będziemy mieć szanse powodzenia – podsumował Koontz.

Nikt jednak się nie kwapił do poświęcenia własnego życia.

– Losujmy, tak będzie najuczciwiej. – Pierwsza oficer rozejrzała się po przedziale osobowym, szukając czegoś, co posłużyłoby im do wybrania nieszczęśnika, który wróci na rdzeniowiec.

– Nie. – Kapitan podniósł się z fotela. – To moje zadanie.

Choć w pomieszczeniu panował półmrok, wyraźnie widzieli, ile kosztowało go wypowiedzenie tych kilku słów. Poza tym dobrze go znali. Nie był typem bohatera, który z podniesioną przyłbicą stawia czoło każdemu niebezpieczeństwu. Unikał ryzyka, gdy tylko było to możliwe, ale postawiony przed trudnym wyborem nigdy nie wahał się długo. Zwykle jednak wybierał najbezpieczniejsze rozwiązanie. Właśnie dlatego zaskoczył ich wszystkich, a chyba też samego siebie, zgłaszając się na ochotnika.

Sądząc po minie, już zdążył tego pożałować.

– Jesteś pewien? – zapytał delikatnie Chalker.

W pierwszym odruchu Stephen zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, nie jestem, ale ktoś musi to zrobić, a ja... – Zamilkł, spuścił głowę. – Nie wiem, czy umiałbym spojrzeć wam w oczy, gdyby poleciał ktoś inny.

– Ja... – Głównemu mechanikowi zaschło w ustach z wrażenia.

– Nie przeciągajmy tej rozmowy – poprosił Lumley. – Nie chcecie chyba, żebyśmy się rozmyślił.

Wbrew swoim oczekiwaniom nie rozluźnił atmosfery tym wymuszonym żartem. Członkowie załogi poczuli wprawdzie ogromną ulgę, gdy nie doszło do losowania, ale za żadne skarby świata nie odważyliby się do tego przyznać. Nie w tej chwili, nie przy nim. Znali się jak łyse konie, cokolwiek to znaczyło. Najdłużej służył pod nim Chalker. Przelatali wspólnie ponad dekadę, z czego większość czasu na tym *Azymucie*. Nancy dołączyła do nich siedem lat temu i szybko się zadomowiła. Peternest pojawił się rok później, niby na chwilowe zastępstwo, lecz okazał się tak dobry w swoim fachu, że na prośbę kapitana został na stałe.

Przez cały ten czas stanowili doskonale zgrany zespół, rozumiejący się bez słów. Teraz wiedzieli, że ich drogi definitywnie się rozchodzą. Po czymś takim nie da się przecież pracować dalej razem jakby nigdy nic. Żadne z nich nie chciało mieć u swojego boku ludzi, którzy na każdym kroku przypominaliby o tym, co wydarzyło się na Daimonionie.

Lumley skłął się w myślach chyba po raz setny. Im dłużej trwał ten lot, tym więcej wątpliwości pojawiało się w jego umyśle. Nie zawrócił tylko dlatego, że nie miał takiej możliwości. Nie dość, że kazał zaprogramować drony tak, by nie przyjęły zmienionych rozkazów – zrobił to, przeczuwając, że może nie wytrzymać presji i stchórzyć – to jeszcze niedawno minął punkt bez powrotu.

Co ciekawe, na widok informującego go o tym fakcie komunikatu poczuł... ulgę. Jedno zmartwienie mniej. Odtąd nie musiał już toczyć wewnętrznej walki, nie musiał bez przerwy hamować pokusy, by pieprzyć tym wszystkim, podkulić pod siebie ogon i zawrócić, nie bacząc na konsekwencje.

Po jaką cholere to robisz? – zastanawiał się po raz enty, być może nawet ostatni. *Ludzkość przetrwałaby tak czy inaczej.*

Historia lubiła się powtarzać. Imperia upadały od zarania dziejów, a na ich gruzach powstawały nowe, nierzadko jeszcze gorsze molochy. Czy niepowodzenie tej misji naprawdę tak wiele by zmieniło? Federacja nie upadnie przecież z hukiem po utracie paru tysięcy ogniów paliwowych. Stross i trzymający go w kieszeni oligarchowie uczynią wszystko, by jak najprędzej uzupełnić te straty, i uda im się to – jeśli nie za dwa czy trzy miesiące, to za pół roku. Przy tak ogromnym potencjale produkcyjnym skurwyklony zbudują pięć albo dziesięć nowych wytwórni, zanim chmura szczątków *Azymuta* zniknie na dobre z przestrzeni, wyparowując w koronach bliźniaczych gwiazd centralnych Erytrei 9.

Nie, pokreślił zdecydowanie głową. To nie tak. Różnica może być kolosalna. Kto wie, czy ten okres niemocy rządzących nie zaowocuje ugodą ze zbuntowanymi pasami. Może za cenę mojego życia da się ocalić miliony ludzi, którzy inaczej zginęliby podczas bombardowań z orbity przeprowadzanych przez nieuziemioną tym atakiem flotę.

Poza tym, zgłaszając się na ochotnika, zyskał jedyną chyba okazję, by zapisać się w annałach nie jako przysłowiowy nieznaną żołnierz, lecz człowiek z krwi i kości, jak najbardziej znany i z imienia, i z nazwiska. Może przyszłe pokolenia będą się o nim uczyć, jak dzisiejsze dzieci o Bukowskim. Może będą składać kwiaty pod wzniesionymi na jego cześć pomnikami, mieszkać przy ulicach nazwanych na jego cwałę.

Gdyby stchórzył i zawrócił, ta szansa by przepadła i co by mu zostało?

Pokonani zawsze odchodzą w niestawie i idą w zapomnienie, pomyślał z nieskrywanym smutkiem.

Zaczerpnął głębiej tchu, po czym sprawdził na wyświetlaczu najświeższe odczyty. Zapas paliwa w pierwszym dronie wyczerpał się ponad dwadzieścia minut temu. Zbiornik drugiej maszyny był pełny tylko w sześćdziesięciu siedmiu procentach. Trzeci i czwarty dron czekały na swoją kolej. Pozostałe parametry lotu i przyśpieszenia mieściły się w zakładanych granicach, jedynie dozymetr lśnił zbyt intensywną żółcią. Kokon zamajstrowany z osłon antyradiacyjnych, które wypruto ze wszystkich pozostałych skafandrów próżniowych, i pseudokryza sklecona z zespalanych naprędce kontenerów nie zapewniały takiej ochrony, na jaką liczył. Zaniepokojony sprawdził prognozy. Do tragedii było wprawdzie daleko, ale jeśli na dalszym etapie podróży coś się wydarzy, jeśli z jakiejś przyczyny dojdzie do niewielkiego nawet opóźnienia...

Wymacał wargami zakończenie rurki, by napić się wody. Jej przyjemny chłód i wyczuwalny smak przywróciły mu odrobinę optymizmu.

Dasz radę, powiedział sobie. Jeszcze tylko czterdzieści pięć minut lotu.

Spróbował podnieść głowę, by spojrzeć w niekończącą się czerni kosmosu, lecz wisząca nad nim osłona nie pozwalała na większą swobodę ruchu. Zmełł w ustach kolejne przekleństwo, po czym najpierw przymknął powieki, a potem mocno je zacisnął. Trwał tak przez dłuższą chwilę, odnosząc wrażenie, że błękitne rozbłyski promieniowania Czerenkowa są o wiele częstsze niż wcześniej. Wzdrygnął się na myśl, co pobliska gwiazda robi z jego narządami i komórkami. Szczęście w nieszczęściu, że nie będzie się długo męczył. System zapewniał, że cięższe objawy choroby popromiennej dopadną ochotnika już po dotarciu na Erytreę.

W najlepszym wypadku zginę, zanim porzygam się po raz pierwszy. W najgorszym...

Westchnął ciężko. Będzie się tym przejmował, kiedy przyjdzie pora.

Timer odmierzył następne dwie minuty lotu.

Dlaczego ten czas tak się wlecze?!

* * *

Dryfujący w przestrzeni *Azymut* wyglądał naprawdę majestatycznie. Kuli sty przedział załogowy, przesłonięty parasolem dużo szerszej kryzy chroniącej statek przed kolizjami z kosmicznym śmieciem i promieniowaniem. Za nim długi na ponad kilometr rdzeń, do którego mocowano ładownie rewolwerowe. W tym momencie mieli ich nadkomplet, a większość wypełniona była po brzegi urobkiem z Fukushima 4. W części rufo-

wej widać było drugą kryzę, dużo węższą, ale za to niemal dziesięciokrotnie grubszą od tej, która chroniła dziób. Za nią znajdowały się niewidoczne z tej pozycji: reaktor, maszynownia i zespół dysz napędzających tego międzygwiazdowego giganta.

Patrzenie na jednostkę, z którą związał się na ponad dwanaście lat, sprawiło Stephenowi nieklamana przyjemność. Ten statek był jego drugim (a odkąd rozstał się na dobre z żoną – pierwszym) domem. Ba, Lumley pokochał tę kupę złomu bardziej nawet niż jakąkolwiek kobietę. Taki był z niego dziwak i to nie miało się już zmienić.

Sprawdził poziom paliwa w ostatnim dronie. Osiemdziesiąt cztery procent. O dwadzieścia jeden więcej, niż było mu potrzebne zdaniem Sita. To oznaczało, że na krótką chwilę mógł włączyć dopalacze, dzięki którym zyska odrobinę dodatkowego przyspieszenia, niezbędnego, jeśli chciał zmniejszyć ryzyko wypadku i wylądować bliżej przedziału osobowego.

Tak, to powinno oszczędzić mi co najmniej kilku, a może nawet kilkunastu minut przebywania w otwartej przestrzeni, co w tej chwili ma największe znaczenie.

Wzrok Stephena powędrował mimowolnie ku okienku wyświetlacza pokazującemu aktualny odczyt dozymetru. Zobaczył na nim barwę tak ciemnopomarańczową, że niemal przechodzącą w czerwień. W czasie dwugodzinnego lotu do *Azymuta* zebrał od zdychającej gwiazdy naprawdę ostre cięgi, choć nadal nie otrzymał śmiertelnej dawki. I nie otrzyma jej przez kolejne siedem minut, które spędzi w tej latającej trumnie.

Pilnie śledził kąt podejścia do rdzeniowca. Lecąc przez pustkę, nie odczuwał olbrzymiej prędkości, z jaką się poruszał, ale teraz, gdy znajdował się zaledwie kilka kilometrów od wielkiego statku, wrażenie bezruchu błyskawicznie zniknęło. Skupił całą uwagę na ostatnim manewrze. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Dryfujący rdzeniowiec poruszał się znacznie szybciej od niego, co było wiadome od samego początku, ponieważ drony, nawet wykorzystane w tak zmyślny sposób, nie były w stanie dorównać jego prędkości. Właśnie z tego powodu Lumley tak bardzo liczył na dodatkowe przyspieszenie, które miał szanse uzyskać dzięki dopalaczom.

Powolnym ruchem zwiększył ciąg do absolutnego maksimum, modląc się, by napęd nie zawiódł w najbardziej krytycznym momencie. *Azymut* rósł w oczach, przybliżając się do swojego kapitana. Lekko zakrzywione wektory kursu na wyświetlaczu schodziły się jednak bardzo wolno, zbyt

wolno jak na gust Stephena. Odetchnął głęboko kilka razy z rzędu, dotleniając mózg w celu zapanowania nad rodzącym się ponownie strachem. Jeszcze minuta pracy dopalaczy, a potem straci wsparcie pędnika.

Rdzeniowiec w mgnieniu oka pokonał kilometr, potem następny, a wektory kursów nadal były odległe od siebie jak – przynajmniej w oczach Lumleya – dwa przeciwległe krańce wszechświata.

Nie panikuj, wszystkie odczyty są w normie, dzięki dodatkowemu przyspieszeniu udało ci się zmniejszyć margines błędu o kilka procent. Wszystko będzie dobrze. Dasz radę.

Kryza dziobowa minęła pokraczną konstrukcją, w której tkwił od dwu godzin, nieomal muskając krawędź dospawanej osłony. Kulisty przedział załogowy mignął przed oczami dyszącego ciężko astronauty – wystarczyłoby mrugnięcie, a mógłby go nie zauważyć.

Teraz!

Mocnym ruchem wysunął się z kokonu, odpalając równocześnie wyrzutnię linki asekuracyjnej. Biały wąż rozwijał się szybko, mknąc w kierunku przesuwających się błyskawicznie ładowni. Lumley skulił się instynktownie, oczekując silnego szarpnięcia. To był jedyny element lotu, którego nie mógł przećwiczyć z podwładnymi.

Różnica prędkości nie jest na szczęście aż tak duża, jak zakładaliśmy, co oznacza, że nie...

Rdzeniowiec porwał go jak wicher płatek śniegu.

Lina była bardzo elastyczna, ale zmysły człowieka nie dawały szans na odpowiednio szybką reakcję. System kombinezonu jednak czuwał i uruchomił dysze zamontowane na wymienionym dopiero co zbiorniku tlenu. Krótkie powtarzalne szarpnięcia ustabilizowały pozycję Stephena, zanim roztrzaskał się o helonową pokrywę ładowni, ale na hamowanie zużył niemal dziewięćdziesiąt procent życiodajnego gazu.

Dużo, uznał Lumley, sprawdzając odczyty. Znacznie więcej, niż szacowało SItó.

Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby nie wykorzystał całego zapasu paliwa w ostatnim dronie.

Tak się szczęśliwie składało, że tlen z tego akurat zbiornika nie był mu do niczego innego potrzebny. Po bokach miał dwa znacznie mniejsze zbiorniki, dzięki którym mógł oddychać jeszcze przez dwadzieścia minut, czyli znacznie dłużej, niż wymagała sytuacja. Wciągarca pracowała cały

czas, skracając linię i zmniejszając dystans dzielący go od komory ładowni, do której przywarła kotwica magnetyczna.

Trzeci sektor, świetnie! – Lumley się ucieszył, widząc wymalowane na poszyciu oznaczenia. – *Dwieście pięćdziesiąt metrów mniej do pokonania.*

Kilka sekund później przywarł do ściany gigantycznej ładowni, odechnął parę razy głęboko, miarowo, powtarzając sobie w myślach, że jeszcze za wcześnie na okazanie radości, ale i tak nie wytrzymał. Wydarł się na całe gardło, tak mocno, że aż się rozkaszał. Teraz, gdy poruszał się z tą samą prędkością co *Azymut*, wszystko znów wydawało się takie proste. Zużywając resztki tlenu z przerobionego zbiornika, wleciał pomiędzy kontenery, kierując się ku ścianie rdzenia i znajdującej się tam kolejce linowej. Po zaczepieniu karabińczyka i uruchomieniu platformy wrzasnął po raz drugi, dając upust przepelniającym go emocjom. Za dwie minuty dotrze do śluzy w tylnej części przedziału osobowego. Dozymetr poczerwieniał wprawdzie na dobre, ale nie miało to już wielkiego znaczenia.

Nie czuł swędzenia skóry, nie miał żadnych obrzęków, nie zbierało mu się na mdłości. Za kwadrans, a może i szybciej, trafi do automedu, który zadba, by choroba popromienna nie przeszkodziła mu w obejrzeniu ostatniego aktu dramatu wyreżyserowanego przez niego i zrealizowanego tak ogromnym kosztem.

Wysupłał się z ciężkiego skafandra. Zostawił go tam, gdzie stał, obok odłożonego chwilę wcześniej hełmu. Szybując w stronę sterówki, żałował, że nie może powiadomić załogi o sukcesie misji. Sensory wahadłowca nie miały wystarczającego zasięgu, by Nancy i pozostali mogli zobaczyć, jak dociera do celu. Odłączone anteny nie pozwalały także na kontakt drogą radiową. Nie przejmował się tym jednak, zawisając przed terminalem komputera nawigacyjnego, ponieważ wiedział, że oddaleni o parę milionów kilometrów członkowie załogi dostrzegą zmianę kursu *Azymuta*.

To będzie dla nich widomy znak, że kapitan nie skrewił i wykonał powierzone mu zadanie.

Rozdział 12

*Terytoria Wewnętrzne,
stacja w atmosferze Delty,
System Gravenhurst 4, Sektor Whisky,
12.05.2234, godz. 11:30*

Zebrani w sali odpraw spiskowcy wstrzymali oddech, gdy timer zaczął odliczać ostatnie sekundy do godziny zero, czyli momentu, w którym *Azymut* powinien wyjść z nadprzestrzeni, o ile jego załoga wybrała kontynuowanie misji. Opuszczając pokład rdzeniowca jedenaście godzin wcześniej, Lumley wysłał wiadomość do centrali, w której następnie wszyscy prócz garstki dyżurnych udali się na zasłużony odpoczynek. Bukowski, del Rey i Huxley, którą wycofano na dobre z asymilowanych przez Federację pasów, wrócili do własnych kabin. Każde z nich liczyło na choć trochę wytchnienia, nieważne, że wspomaganego chemią. Po krótkim śnie czekała ich dalsza harówka.

Spokój nie trwał jednak długo. Mniej więcej dziesięć po siódmej obudziły ich modulowane piski komunikatorów. Zdezorientowany Robert przetarł klejące się wciąż powieki, ale wystarczyło, że zerknął na timer, i już zrywał się na równe nogi. Wezwanie o tej porze nie zwiastowało niczego dobrego. Coś się wydarzyło. Coś na tyle poważnego, że dyżurujący technicy nie mieli oporów i postawili na nogi całe przywództwo spisku. Wiadomość jak zwykle była lakoniczna:

Odprawa za pięć minut.

Bukowski wziął szybki suchy prysznic, po czym odruchowo wyciągnął rękę do podajnika, by włożyć świeżo wydrukowany kombinezon, lecz ku jego zaskoczeniu dłoń przesunęła się po przyjemnie chłodnej, ale kompletnie pustej tacy. Szlag by to!... Wstając, był tak skołowany, że zapomniał

włączyć drukarkę. Rozejrzał się po kajucie i odetchnął z ulgą. Poprzedniego wieczoru ze zmęczenia darował sobie utylizację ubrania. Grube tworzywo nie pachniało zbyt pięknie, nie miał jednak wyboru. Spóźnienie, zwłaszcza z tak błahego powodu, nie wchodziło w grę. Ubrał się więc szybko i wypadł na korytarz, rezygnując z jakże go kuszącej porannej kawy. Niespodziewany alarm wystarczająco podniósł mu ciśnienie.

W sali odpraw pojawił się pierwszy, zarządcy dotarli na miejsce zaraz po nim.

– Otrzymaliśmy kolejny raport z Erytrei – powiadomił ich obecny w formie awatara Wergiliusz, gdy mocno zaspany Kuttner wychynął z niebytu po przeciwległej stronie stołu. Centralny holopad został włączony sekundę później. Przekaz był krótki; po serii powiększeń obrazu zobaczyli strefę skoku i lecący w jej kierunku smukły okręt wydziału bezpieczeństwa. Wkrótce zastąpiła go mapa wewnętrznej części systemu, którą przecinał jarzący się krwście wektor kursu obserwowanej jednostki. – Jeśli ten ścigacz nie zmieni prędkości, za piętnaście minut dotrze do punktu skoku na Daimoniona – dodał przywódca ruchu oporu, gdy wszyscy skupili na nim ponownie wzrok.

– Dlaczego coś zawsze musi pójść nie tak! – Poirytowany del Rey walnął otwartą dłoń w blat i opadł ciężko na oparcie fotela. – I to dosłownie w ostatniej chwili!

Pozostali zarządcy przyglądali mu się z mieszaniną zaskoczenia i ciekawości.

Czyżby nie powiedziano im o ostatnich problemach z budowaną flotą? Ta myśl poruszyła Roberta. Do tej pory uważał, że w najściślejszym gronie przywódców spisku nie ma żadnych tajemnic.

– Pół godziny... – Dokończywszy lekturę raportu, Leinster pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nie możemy czegoś zrobić, żeby ich opóźnić albo zatrzymać?

– Na przykład? – Kuttner splótł palce, opierając przedramiona o blat stołu.

Synchronizacja przekazu z Rubieży była idealna. Choć wykonał ten gest wiele lat świetlnych od pomieszczenia, w którym się znajdowali, to z punktu widzenia pozostałych uczestników odprawy wyglądał jak ktoś obecny tutaj nie tylko duchem, ale też ciałem. Gdyby nie blada otoczka upodabniająca go nieco do ducha, można by uwierzyć, że siedzi tutaj, pomiędzy nimi.

– Lylevis, ile naszych jednostek przebywa obecnie na Erytrei? – Bukowski przejął pałeczkę, zwracając się do jednego z dwojga asystentów, którzy stali za fotelem przywódcy separatystów.

– Jest ich tam... siedem – zająknął się speszony młody mężczyzna odpowiadający za systemy łączności.

– Czy któraś nie mogłaby narobić zamieszania, by ściągnąć na siebie uwagę czarnych?

– Odpowiesz kapitanowi, SIeno? – Wergiliusz zwrócił się do Systemu stacji.

– Tymczasowych kotwicowisk, na których zgromadzono wszystkie jednostki handlowe przebywające obecnie w okolicach strefy skoku, pilnuje dwanaście ścigaczy i szesnaście patrolowców wydziału. Ponadto...

– To chyba przesądza sprawę – wtrącił del Rey, nie czekając na dokonanie meldunku. – Czarni mają po cztery jednostki na każdy z naszych statków. Nie poproszą o wsparcie tych z feralnego ścigacza, nawet gdybyśmy zaangażowali w tę akcję siły wszystkich naszych sojuszników, czego... jak pan się zapewne domyśla... nie możemy i nie powinniśmy robić.

– Tak... – Bukowski przygryzł wargę. – Wyślijmy zatem ostrzeżenie.

– Niestety Komatsu już to zrobił – odparł cierpkim tonem Wergiliusz.

– Dlaczego: Niestety? – zdziwiła się Susan.

– Dlatego, że jego komunikat zablokował nam możliwość kontaktu z *Azymutem* na kilka długich godzin – wyjaśnił przywódca separatystów, uniesieniem dłoni zachęcając asystenta, by przedstawił szczegóły.

– Rdzeniowiec Lumleya nie dysponował zaawansowanymi sondami z ansiblem, dzięki którym załoga po opuszczeniu pokładu mogłaby odbierać wiadomości w czasie rzeczywistym.

– Dlaczego nie wyposażono go w kluczowy sprzęt, skoro miał wziąć udział w tak ważnej misji? – zapytała Liu.

Dyżurny technik nerwowo oblizał wargi. Odpowiedź na to pytanie wykraczała daleko poza jego kompetencje.

– Jak wszyscy zapewne pamiętacie – Huxley wyręczyła chłopaka po sekundzie niezręcznego milczenia – zdecydowaliśmy się sięgnąć po Lumleya tylko dlatego, że znajdował się akurat na Fukushima. To zwykły kurier, którego od czasu do czasu wykorzystywaliśmy do przetrzutu naszych agentów pomiędzy systemami pierwszego metasektora. Nie wyposażyliśmy go w dodatkowy sprzęt do komunikacji, ponieważ jednostki tej klasy dysponują reaktorami odpowiedniej mocy i zespolonymi

z nimi nadajnikami kwantowymi. Nie wspomnę już o tym, że trudno byłoby wytłumaczyć podczas rutynowych kontroli, którym poddawane są rdzeniowce w trakcie niemal każdego lotu, do czego załoga mogłaby potrzebować tak wyspecjalizowanego urządzenia. Tego cholerstwa nie da się przecież ukryć w byle kontenerze. Każdy skan wykazałby obecność niezarejestrowanego reaktora.

– Rozumiem... – Susan odpuściła z westchnieniem.

– Kontynuujmy – poprosił Wergiliusz.

– Główny mechanik *Azymuta* – podjął natychmiast jego asystent – zmontował z dostępnych mu elementów coś w rodzaju boi komunikacyjnej, którą zasilono jednym z zapasowych ogniów paliwowych. To oczywiście bardzo prymitywne urządzenie, które po każdorazowym użyciu musi być ponownie ładowane. Oceniamy, że będzie gotowe do przesłania kolejnego sygnału za mniej więcej trzy godziny.

– To powinno wystarczyć. – Del Rey przeliczył coś szybko w głowie.

– Do czego? – zapytał znów kąśliwie Kuttner. – Jeśli wyślemy na Daimoniona wiadomość, znów zablokujemy łącze na jakiś czas, nie mówiąc już o tym, że instrukcje dotrą zaledwie godzinę przed przylotem czarnych. Załoga *Azymuta* nie zdąży ich wykonać, choćby bardzo chciała, bo do tego musiałyby się znajdować na pokładzie rdzeniowca, co jest mało prawdopodobne.

– Mogliby skorzystać z boi i przesłać nam komunikat o podjętej decyzji – bronił pomysłu Mitchris, jedyny z zarządców, który w pełni zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Byłoby to możliwe wyłącznie w przypadku, gdyby nie została do tej pory zniszczona – wtrącił nieśmiało Lylevis, skupiając na sobie uwagę wszystkich zebranych, co speszyło go jeszcze bardziej.

– Co?!

– To standardowa procedura – wyjaśnił chłopak, poruszywszy bezdźwięcznie wargami kilka razy, jakby układał w głowie treść odpowiedzi. – Jeśli Lumley ocenił, że boja po odebraniu ostrzeżenia nie przyda się już do niczego, wydał rozkaz jej samozniszczenia, aby czarni nie zdobyli sprzętu, który mógłby posłużyć do rozpracowania ruchu oporu.

– Bzdura! – oburzył się Leinster. – Zaczekałby z tym do samego końca.

– Niekoniecznie... To zwykły cywil – przypomniał zebranym del Rey. – Powszechnie wiadomo, że im więcej czasu upłynie od eksplozji, tym

mniej sę są szanse wykrycia jej śladów, a załodze rdzeniowca zależy na tym, by całkowicie zniknąć z radaru.

– Sądziś, że Lumley porzuci misję? – zapytała Huxley.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby tak się stało – przyznał zarządca stoczni. – W obecnej sytuacji jej kontynuowanie to niemal pewne samobójstwo. Na jego miejscu próbowałbym minimalizować straty. Wróciłbym jak najszybciej na pokład rdzeniowca, odleciał na bezpieczną odległość i wykonał skok w podprzestrzeń.

– Miałby na to czas?

– Tak. Symulacja Sieny potwierdza, że to wykonalne. – Wrzucił na holo-pad pliki, nad którymi przed momentem pracował. – Mniej więcej godzina lotu wahadłowcem na dopalaczach, do tego maksymalnie dwie i pół godziny na wyjściu poza czerwoną strefę. W najgorszym razie zniknęliby z Daimoniona na kwadrans przed pojawieniem się czarnych. Wprawdzie pozostaną wyraźne ślady po obu przelotach i skoku, ale wydział nie musi ich wcale powiązać z próbą ewentualnego zamachu. Przemysłowcy często wykorzystują niezamieszkałe systemy, a ten układ tropów będzie wyglądał na klasyczne przejęcie lewego towaru.

– Ja bym kontynuował za wszelką cenę – mruknął rozgoryczony Leinster.

– Ja też, ale nie zapominaj, że mówimy o zwykłym kurierze, który nie pisał się na taką misję. Wykonuje ją tylko dlatego, że przypadkiem był akurat na Fukushima – ciągnął wyjaśnienia del Rey. – Mówimy o cywilu, który podziela nasze poglądy, ale nie ma zamiaru oddawać życia za sprawę. A gdyby nawet wpadł na taki pomysł, załoga z pewnością wybije mu go z głowy. Nie oczekujemy od przeciętnego człowieka poświęceń godnych męczenników.

– Uznajemy zatem, że misja zakończyła się niepowodzeniem? – zapytał Kuttner.

– Obawiam się, że jesteśmy zmuszeni przyjąć takie założenie – odpowiedział po krótkim wahaniu del Rey.

– Niestety. W świetle tego, co przed chwilą usłyszałam, nie widzę innej opcji – poparła go Sue.

– Trudno nie zgodzić się z tą opinią – dodał Leinster.

Huxley potaknęła po dłuższym zastanowieniu. Spojrzenia wszystkich spoczęły wtedy na Bukowskim, ale kapitan milczał jak zakłęty, błądząc myślami w zupełnie innych rejonach.

- Jak przebiega akcja wykupu ogniwi paliwowych? - Rzucone przez niego nagle pytanie zaskoczyło zebranych.

- A co to ma do rzeczy? - zdziwił się Kuttner.

- Więcej, niż pan sądzi - zapewnił go Robert.

- Nasze okręty zasilane będą wysokowydajnymi ogniwami, które sami wyprodukujemy.

- Ale cała reszta jednostek cywilnych, które będziemy musieli wykorzystać do wcześniejszych działań, musi na czymś latać - skontrolował del Rey, domyślając się, do czego zmierza Bukowski.

- Zgarnęliśmy przez podstawione firmy wszystko, co było dostępne w Systemach Centralnych - zameldował Lylevis wywołany przez Wergiliusza. - Obecnie mamy ponad dwa i pół tysiąca transportów w drodze.

- Dwa i pół tysiąca?! - Huxley zrobiła wielkie oczy. - To ile tego jest?

- Około stu tysięcy zestawów, czyli czterysta tysięcy ogniwi - wyjaśnił asystent.

- Taką ilość dałoby się przewieźć maksymalnie dwudziestoma Atlasami - nadal nie kryła zdziwienia.

- Owszem, dałoby się - potwierdził del Rey, uśmiechając się pod nosem - ale wywożenie ogniwi na tak wielką skalę nie uszłoby uwagi admiralicji i czarnych. Każdy z tych pięćdziesięciu rdzeniowców zostałby zatrzymany przed dotarciem na Terytoria, a ich ładunki skonfiskowano by pod byle pretekstem.

- W Systemach Centralnych nie mieli nawet pół miliona wolnych ogniwi? - zdumiał się Leinster.

- Mieli ponad trzy miliony - poinformował go Lylevis. - Tyle że reszta została już przewieziona w głąb Terytoriów. Te dwa i pół tysiąca transportów to ostatnia transza przerzutu.

- Trzy miliony... - powtórzył zarządca pasów zewnętrznych.

- Do tego dochodzą dwa miliony ogniwi skupionych albo przejętych ze składów w systemach peryferyjnych, nad którymi mamy pełniejszą kontrolę - dodał z nieskrywaną dumą asystent.

- Na co nam tyle tego? - zapytała Huxley.

- Na Terytoriach i Rubieżach nie produkuje się ogniwi, a musimy się liczyć z embargiem, które ogłosi Rada - wyjaśnił Bukowski, pomijając najważniejszy aspekt sprawy.

- Ale to dziesięć razy więcej, niż będzie nam potrzebne przez te kilka tygodni!

– Lepiej dmuchać na zimne – do rozmowy włączył się ponownie del Rey, pragnący jak najszybciej zakończyć ten wątek dyskusji. – Zresztą ogniwa posłużą nie tylko nam. Jeśli Rada ogłosi blokadę eksportu produktów o znaczeniu strategicznym do zbuntowanych systemów, ktoś będzie musiał dostarczać tam wodę i żywność, a mówimy o potrzebie utrzymania w ruchu tysięcy jednostek, które będą krążyć całymi... tygodniami – poprawił się w ostatniej chwili.

– Mimo to... to nadal pięć razy więcej, niż nam trzeba – upierała się Daphnelly.

– Admiralicja będzie potrzebowała każdego ogniwa, jakie zdoła zdobyć – oświadczył Bukowski – jeśli akcja na Erytrei się powiedzie...

– Ustaliliśmy chyba, że nie ma na to szans.

– Nie skreślałbym Lumleya. Parokrotnie dowiódł, że ma głowę na karku i nie rezygnuje tak łatwo.

– Na Erytrei skręcił na kotwicowisko po pierwszym wezwaniu! – Huxley prychnęła pogardliwie.

– Nie daj się zwieść pozorom – przestrzegł ją del Rey. – To była część dobrze przemyślanego planu.

– Akurat.

– Zapytaj Komatsu, jeśli mi nie wierzysz. – Mitchris się zaśmiał. – Albo jeszcze lepiej przejrzyj logi ich rozmów... – Wyszukał i podesał jej odpowiednie pliki.

Bukowski podsumował:

– Dowiemy się, co Stephen postanowił, za cztery godziny i pięć minut. Albo nieco wcześniej, jeśli mimo wszystko nie zdecydował się na zniszczenie boi.

* * *

Te cztery godziny, które upłynęły od spotkania, dla nikogo nie były łatwe. Uczestnicy narady nie próbowali nawet odsypiać wczesnej pobudki. By zabić czas, przerzucali się żarliwie kolejnymi punktami planu, który tworzyli na gorąco, zakładając niepowodzenie akcji na Erytrei.

W trakcie tej debaty Bukowski utwierdził się w swoich podejrzeniach. Wypowiedzi części zarządców wskazywały jasno, że Wergiliusz zataił problemy z budową floty nawet przed najbliższymi współpracownikami. Ani przywódca separatystów, ani tym bardziej del Rey nie zająknęli się nawet

w tej sprawie, co było dziwne, ponieważ przez to większość ustaleń będzie można od razu wyrzucić do atomizera.

Robert także milczał, nie chcąc zaognić sytuacji. Jediną jego reakcją było ograniczenie udziału w bezproduktywnej dyskusji. Zabierał głos wyłącznie w tych sprawach, których realizacja była niezagrażona, licząc na to, że pozostali uznają, iż jego zaskakująca małomówność jest efektem przemęczenia.

Minutę przed dotarciem na miejsce jednostki czarnych wszyscy zamilkli, by wspólnie w napięciu obserwować rozwój sytuacji. Czas jednak mijał, a na Erytrei nie ogłaszano alarmu. To mógł być dobry znak, choć nie musiał. Pewne było tylko to, że zgłaszając się do dowództwa, załoga śmigacza nie zameldowała o żadnych obcych jednostkach na Daimonionie. W przeciwnym razie na Erytrei rozpętałoby się natychmiast piekło. Wykrycie próby zamachu na konwój oznaczałoby rozszerzenie blokady o co najmniej pięć minut świetlnych, aby nic nie miało szansy przedrzeć się do strefy skoku.

– Albo wykonali skok w podprzestrzeń, jak sugerował Mitchris – skwitował kilka minut później Leinster – albo zdecydowali się kontynuować misję.

– Na dziewięćdziesiąt procent chodzi o pierwsze rozwiązanie – zawyrokował Kuttner.

– Nie skreślajcie Lumleya – poprosił Robert, wciąż mając nadzieję, że łebski kapitan nie poddał się bez walki.

– Nikogo nie chcemy skreślać – uspokoił go Leinster – ale trzeba umieć spojrzeć prawdzie w oczy. Brak mi pewności Grahamory'ego, ale postawiłbym dwa, a nawet trzy do jednego, że załoga *Azymuta* wybrała przetrwanie.

– Ja jestem dobrej myśli – obstawał przy swoim zdaniu Bukowski.

Huxley podsumowała zwięźle tę dyskusję:

– Nie pozostaje nam zatem nic prócz dalszego czekania.

Kolejne cztery godziny okazały się jeszcze większym piekłem, ponieważ zdążyli już omówić każdy aspekt sytuacji co najmniej dwukrotnie i zaczęło im brakować tematów. Gdyby nie środki uspokajające, mogliby nie wytrzymać tej nerwówki. Zbyt dużo się wydarzyło w zbyt krótkim czasie, aby przejść nad tym do porządku dziennego. Sama zagłada Deltę Centuriona wystarczyłaby do złamania niejednego sumienia.

Wreszcie nadeszła wyczekiwana przez wszystkich godzina zero. Odliczanie na centralnym timerze dobiegło końca, ale jeszcze przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Zebrani zdawali sobie sprawę, że sprzymierzona jednostka, która pierwsza zauważy przyłot *Azymuta*, znajduje się w odległości niemal dwudziestu sekund świetlnych od punktu skoku z Daimoniona 4.

Minęła dwudziesta piąta sekunda, a raport wciąż nie napływał. Czas spowolnił jeszcze bardziej – jak zawsze, gdy krwiobiegiem człowieka zawładnie potężna dawka adrenaliny. Trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt sekund. Sądząc po minach, samo patrzenie na wolno zmieniające się cyfry sprawiało separatystom ból. Bukowski pierwszy spuścił głowę. Liczył na Lumleya, ale wszystko wskazywało, że tym razem intuicja go zawiodła.

Szkoda.

Po minucie i piętnastu sekundach przygaszony del Rey wymamrotał pod nosem:

– No to mamy odpowiedź...

Rozdział 13

*Systemy Centralne,
strefa skoku,
System Erytrea 9, Sektor Whisky,
12.05.2234, godz. 11:32*

– Pułkowniku! Mamy... – Zaskoczony wachtowy najpierw umilkł, a potem wyprostował się nagle przed wyświetlaczem. – System zarejestrował anomalie grawitacyjną. Coś nadlatuje z Daimoniona! – kończąc meldunek, porucznik odwrócił się twarzą do dowódcy pionu bojowego *Niepokonanego*, krążownika, na którym ulokowano punkt dowodzenia akcją przetrzutu konwoju przez Erytreę 9.

– Ile jednostek?

– Jedna.

– Pewnie czarni wracają z rekone... – Effinger zamilkł w pół słowa, gdy jego wzrok spoczął na timerze.

Ścigacz wydziału musiałby wykonać drugi skok natychmiast po dotarciu do sąsiedniego systemu, co było fizycznie niemożliwe. Pułkownik zadziałał instynktownie, niemal równocześnie wciskając klawisz alarmu i łącząc się z mostkiem nawigacyjnym.

– Jakie rozkazy, pułkowniku? – Komandor Farmer zamarła w postawie zasadniczej.

Zgodnie z doktryną floty, dowodzenie w trakcie działań bojowych przechodziło automatycznie w ręce jej partnera z pionu operacyjnego.

– Cała naprzód. Obieramy kurs na punkt skoku z Daimoniona. – Starszy od niej o prawie dwadzieścia lat oficer miał pociągłą twarz i wydatny nos upodabniający go do władcy dawno nieistniejącego imperium, od którego współcześni stratedzy zapożyczyli system współdowodzenia okrętami wojennymi.

– Jest cała naprzód. Jest kurs na punkt skoku z Daimoniona – potwierdziła regulaminowo przyjęcie obu rozkazów.

Effinger się rozłączył, nie mówiąc nic więcej. *Niepokonany* znajdował się w odległości ośmiu sekund świetlnych od wylotu studni grawitacyjnej, która łączyła Daimoniona z Erytreą. Musiał też wykonać zwrot o niemal sto czterdzieści stopni, by osiągnąć właściwy wektor kursu, co oznaczało, że nie zdoła przejąć nadlatującej jednostki, zanim dojdzie do najgorszego.

– Sprawdźcie, kto z naszych jest najbliżej celu – polecił wachtowym pułkownik.

– *Miecz 721* znajduje się pięć sekund świetlnych od punktu skoku na Daimoniona – zameldował podoficer ze stanowiska nawigacyjnego – ale *Miecz 724* dotrze tam najszybciej, ponieważ nie musi wykonywać zwrotu.

– W jakim czasie przejmie nadlatującą jednostkę?

– Cztery minuty i czternaście sekund od wyjścia z nadprzestrzeni.

– Niedobrze. – Tknięty kolejną myślą, zapytał: – A z wykorzystaniem ścigaczy czarnych?

– Wydział nie ma nikogo bliżej.

– Dajcie mi pełny podgląd sytuacji w strefie skoku.

– Tak jest.

Pułkownik przyglądał się przez chwilę mapie tej części systemu.

– Łączcie z mostkiem *Miecza 724*.

– Major Roddenberry na kanale czwartym – nadeszła błyskawiczna odpowiedź.

Effinger zanotował w pamięci, że postawa dyżurnego z pionu łączności zasługuje co najmniej na ustną pochwałę.

– Majorze – zasalutował sztywno na służbiste powitanie – proszę wystrzelić jeden, nie, oba kwazary w kierunku punktu skoku z Daimoniona. Odpalcie je... powiedzmy... w odstępie dziesięciu sekund. Dokładne koordynaty celu doślemy po wyjściu obiektu z nadprzestrzeni.

– Tak jest!

Rozłączył się, po czym przeanalizował raz jeszcze sytuację, szukając słabych punktów wymyślonego naprędce rozwiązania i ewentualnej alternatywy dla niego. Na nic nowego jednak nie wpadł, System także nie miał lepszych pomysłów, co oznaczało, że przyszła pora na złożenie meldunku dowództwu.

– Łączcie z admiralacją! – rzucił, siadając prościej.

– Kontradmiral Simmons na kanale szóstym. – Wachtowy chyba czytał mu w myślach.

- Admirale, melduje się pułkownik Effinger z *Niepokonanego*. - Tym razem zsalutował najsprężyciej, jak umiał. - W punkcie skoku z Daimoniona wykryliśmy anomalie grawitacyjną świadczącą o przylocie na Erytreę nieznanej jednostki. Zakładamy, że to separatyści.

Jego rozmówca, postawny mężczyzna w sile wieku, spoważniał, gdy padły te słowa.

- W jakim czasie zdołacie ją przejąć?

- *Miecz 724* dotrze na miejsce cztery minuty i czternaście sekund po pojawieniu się intruza w normalnej przestrzeni.

- Kurwirtual! - zaklął Simmons. - Za późno!

- Z tego powodu wydałem rozkaz, by kapitan Roddenberry odpalił dwa kwazary w kierunku punktu skoku. Pierwszy został wystrzelony siedem sekund temu. Drugi pójdzie dosłownie za moment. Koordynaty celu przesyłamy do głowic natychmiast po namierzeniu celu. To powinno skrócić czas reakcji do maksymalnie trzech minut i pięciu sekund.

- Doskonały pomysł - pochwalił go przełożony - ale w tej sytuacji nie wystarczy.

- To jedyne, co możemy zrobić.

- Szlag...

- Nie jest aż tak źle. Szacujemy, że dzięki odpaleniu głowic nuklearnych w pobliżu wrakowiska uda nam się zneutralizować albo przekierować sporą część chmury szczątków, zanim dojdzie do jej rozproszenia. - Effinger wysłał przełożonemu symulację wykonaną przez BaSilleusa. - Właśnie dlatego poleciłem, by drugą raketę odpalono z niewielkim opóźnieniem. Przez te dziesięć sekund rozeznamy się w sytuacji i dzięki temu skierujemy głowicę prosto w największe skupisko ewentualnych pozostałości.

- Skąd taka duża rozpiętość w szacunkach skuteczności tych działań? - zainteresował się kontradmirał, który rozmawiając, czytał równocześnie raport.

- Nie jesteśmy w stanie podać dokładnych liczb, ponieważ nie znamy tonażu, rodzaju, wektora kursu ani pozycji wyjściowej nadlatującej jednostki.

- Rozumiem. Bez odbioru.

Simmons się rozłączył, by przekazać otrzymane z Erytrei informacje naczelnemu dowództwu.

Pułkownik zerknął na timer. Do przylotu intruza pozostały jeszcze trzy minuty i szesnaście sekund.

Szmat czasu, a ja mogę tylko czekać...

– Miecz 721 pyta, czy ma reagować – zameldował wachtowy ze stanowiska łączności.

Zagłębiany w rozmyślaniach pułkownik pokręcił zdecydowanie głową.

– Nie. Przekażcie wszystkim jednostkom, że mają pozostać na wyznaczonych pozycjach i pilnować, by żaden cywilny skurwyklon nie wytknął nosa poza tymczasowe kotwiczowiska. Kto się ruszy, ma zostać rozwalony na atomy. To rozkaz.

* * *

Trzy minuty dziesięć sekund do wyjścia z nadprzestrzeni.

Lumley syknął, gdy poczuł ostre pieczenie na ramieniu. Zacisnąwszy powieki, cierpliwie czekał, aż podane przez automed środki przeciwbólowe zaczną działać. Przeliczył się nieco z siłami. Choroba popromienna postępowała szybciej, niż zakładał, wyniszczając do reszty niemłody już i zbyt wysłużony organizm. Długie lata spędzone w przestrzeni, co z tego, że za grubą warstwą helonu, która okazała się tylko pozorną ochroną, a także zbyt liczne spacerowanie w pustce kosmicznej oraz ustawiczne lekceważenie przepisów BHP – wszystko to złożyło się na niewesoły końcowy wynik.

Przystanął przed oknem z kryształitu i spojrzał na niezbyt wyraźne odbicie. Skóra złaziła mu z twarzy płatami. Wargi miał opuchnięte i popękane, oczy przekrwione, a włosy... Przesunął ostrożnie palcami po skroniach. Ścierwa wychodziły garściami, jakby liniał.

Automed zadbał chociaż o jedno – w ostatnich chwilach życia nie będzie czuł bólu ani strachu.

Przeleciał na pobliski mostek, krzywiąc się coraz mniej przy każdym kolejnym odbiciu. Zdażył odzyskać pełną kontrolę nad rękami i nogami, zanim przypasał się do wygniecionego mocno fotela, na którym w ciągu minionych piętnastu lat przesiedział niezliczone tysiące godzin.

Trzydzieści sekund do wyjścia z nadprzestrzeni.

Patrząc na timer, uświadomił sobie, jaki zawód muszą czuć w tym momencie wszyscy ci, którzy tak bardzo na niego liczyli. A wszystko z powodu trywialnego błędu czy też może raczej przeoczenia w danych astroatlasu. Uwzględniony w nim czas przelotu z Daimoniona na Erytreę opierał się na pomiarach zrobionych ponad trzy dekady temu. Niby niewiele, szczególnie w porównaniu z wiekiem wszechświata, ale jednak

wystarczająco dużo, by oba systemy oddaliły się od siebie na tyle, że skok pomiędzy nimi trwał obecnie nieco ponad trzy minuty dłużej niż kiedyś. Lumley wołał nie myśleć, co teraz mówią i sądzą o nim ludzie, za których umierał.

Zwłaszcza że lada moment i tak zmienią zdanie...

Odchrząknął ostrożnie, by oczyścić krtań, ponieważ zamierzał użyć głosu. Federaści już wiedzieli o jego przylocie, mieli cztery minuty na przygotowanie się do akcji. O tym, w jaki sposób zostanie powitany, przekona się za moment. Miał tylko nadzieję, że nie zdążyli zrobić niczego, co mogłoby mu pokrzyżować plany.

Dobrze się przygotował do tej chwili. Podłączył na powrót jedną z anten, by móc odbierać i nadawać komunikaty, ale zadbał przy tym, by nikt z zewnątrz nie miał dostępu do najważniejszych podsystemów *Azymuta*. Odciął wszystkie połączenia między konsolą stanowiska łączności a maszynownią. Nie wirtualnie, tylko fizycznie, zlecając dronom konserwacyjnym przecięcie kabli i rozbicie wszystkich paneli sterujących. Z pomocą tych pracowitych bozonów porozwalał także co się dało, zarówno tutaj na mostku, jak i w paru innych pomieszczeniach przedziału osobowego. Nie oszczędził nawet maszynowni. Uwiarygodniał swoje wystąpienie na wszelkie sposoby, ponieważ rozmówcy musieli bezwarunkowo uwierzyć w przedstawioną przez niego bajeczkę. Tylko wtedy będzie miał – nikłe, bo nikłe, ale jednak – szanse na dokończenie misji.

Potrzebował dwu albo nawet trzech dodatkowych minut, by dotrzeć wystarczająco daleko, co będzie od niego wymagało prawdziwego kunsztu aktorskiego. Patrząc z tej strony, zaawansowana choroba popromienna mogła się okazać błogosławieństwem – w razie czego postara się wszystko rzucić na swój stan.

Ciche piknięcie oznajmiło mu, że rdzeniowiec pojawił się właśnie w przestrzeni euklidesowej. Skanery ożyły, dostarczając uaktualniony w czasie rzeczywistym obraz sytuacji w okolicach strefy skoku. Niestety nie mógł liczyć na wsparcie ze strony SIIta. Wszelkich analiz musiał dokończyć sam, ufając własnym zmysłom, choć nie było z nimi najlepiej.

– Tylko nie to... – szepnął Stephen, gdy zobaczył, jaki los chcą mu zgotować.

W kierunku punktu skoku pędziły na dopalaczach dwie rakiety. Jęknął jeszcze głośniejszym głosem, zrozumiałszy, że są to nuklearne kwazary. Każdy dysponował głowicą o mocy czterystu kiloton. Nie musiał nic przeliczać, by

wiedzieć, że ich detonacja doprowadzi do bardzo poważnych zniszczeń. Pierwsza z rakiet znajdowała się trzy minuty i czterdzieści sekund lotu od jego obecnej pozycji. I tak dużo, biorąc pod uwagę, że miałby ledwie połowę tego czasu, gdyby – zamiast skierować rdzeniowiec na przeciwny skraj studni – poleciał wyznaczonym kursem, aby po dotarciu do celu znaleźć się jak najbliżej punktu skoku z Demeter 12.

Mysł!

Musiał znaleźć rozwiązanie. Teraz! Natychmiast!

Przymknął oczy, by nie widzieć przeskakujących w oszłamiającym tempie cyferek na timerze. Bydłę traciło jednak impet z każdym uderzeniem serca, jakby wstrzykiwana do krwiobiegu Lumleya adrenalina zagęszczała nie tylko atmosferę.

Co robić? Co robić?

Nie zamierzał ginąć nadaremnie we wraku rdzeniowca. Nie teraz, nie tak blisko celu, dla którego poświęcił wszystko, nawet własne zdrowie i życie.

Co robić?!

Nic nie przychodziło mu do głowy, ale musiał działać. W przypływie desperacji aktywował komunikator, trzymając się ustalonego wcześniej planu.

– SO... SOS! – wychrypiął z trudem mimo wcześniejszych przygotowań. – Mówi kapitan Stephen Lumley z pokładu *Azymuta 347-2*. Wiem, że transponder został podmieniony przez tych skurwyklonów, ale to jest prawdziwy numer kodowy mojego statku! Komandor Cadigan, oficer dowodzący siłami floty na Fukushimie, może potwierdzić moją tożsamość! Skontaktujcie się z nim, zanim mnie zabijecie, błagam! *Azymut 347-2* nie stanowi już zagrożenia! Przejęto nas siłą w systemie E1-18312. Zostaliśmy zaatakowani przez oddział separatystów podczas rzekomej lotnej kontroli służb celnych. Obezwładniono nas i zamknięto, ale zdołaliśmy się uwolnić tuż przed skokiem na Erytreę. Walczyliśmy ostro, straciłem troje członków załogi, zanim sytuacja została opanowana. Już po wejściu w nadprzestrzeń udało mi się wyeliminować ostatniego z napastników i odzyskać częściową kontrolę nad statkiem. Powtarzam: rozbroiłem ładunki i odzyskałem w dużym stopniu kontrolę nad statkiem! Dajcie mi szansę, a wyprowadzę go bezpiecznie poza strefę zagrożenia! Patrzcie na wektor mojego kursu!

Choć ledwie mówił, musiał podać aż tyle szczegółów, jeśli chciał wywołać odpowiednią reakcję drugiej strony. To, że gadał przez dwadzieścia sekund, było dobrym znakiem. Tamci święcie wierzyli, że atak nastąpi zaraz po wyjściu z nadprzestrzeni. Tak się jednak nie stało. W dodatku *Azymut* nie wyszedł ze studni grawitacyjnej jak najbliżej celu, co federaści również zakładali, sądząc po wektorach wystrzelonych rakiet.

Lumley zamilkł i odchylił się na oparcie fotela. Nie wyłączył jednak holokamer. Przedstawienie musiało trwać. Z trudem łapał oddech. Powieki mu opadały. Bynajmniej nie udawał. Ta przemowa odarła go z resztek sił.

Czekał na jakąkolwiek odpowiedź w pełni świadom, że sytuacja jest krytyczna. Nie zdziwiłby się, gdyby oficer dowodzący eskortą konwoju nie podjął ryzyka, jakim było odwołanie profilaktycznego kontrataku i ocalenie samotnego biadolącego i żebrzącego o życie cywila. Stawka była zbyt wysoka, a przeciwnik nieraz udowodnił, że coś takiego jak skrupuły nie występuje w jego słowniku.

Stephen uczynił wszystko, co mógł. Pozostało mu się tylko łudzić, że ktoś zareaguje po jego myśli.

Chyba że...

– Jeśli rozwalicie mnie tu i teraz, zaśmiecicie całą strefę skoku! – podjął ostatnią próbę. – Zastanówcie się dobrze! Zrobicie dokładnie to, o co chodziło tym skurwyklonom! Nie po to zginęli moi podwładni, żebyście wy odwalili za wroga brudną robotę! Mam w ładowniach ponad milion ton drobin metali ciężkich z Fukushima. Zapytajcie Cadigana, jeśli mi nie wierzycie!

Uderzał w najczulsze struny wroga, mając niestety coraz mniejszą nadzieję, że to coś da.

* * *

Effinger przyglądał się rozwojowi sytuacji z rosnącym spokojem. Nie wiedzieć czemu, separatysty nie wysadzili rdzeniowca tuż po wyjściu ze studni grawitacyjnej, więcej nawet: opuścili nadprzestrzeń w najmniej korzystnym dla siebie miejscu, niemal pół miliona kilometrów dalej, niż powinni byli to zrobić, chcąc zapewnić maksymalną skuteczność ataku.

– Pułkowniku, *Azymut* nadaje! – zameldował po paru sekundach zaskoczony wachtowy.

– Dajcie go na główny! – Dowódca *Niepokonanego* pochylił się mocniej, odrywając wzrok od wyświetlaczy.

– SO... SOS! – wychrypiął silnie poparzony starszy mężczyzna, rozpoczynając dłuższą przemowę.

– Sprawdzić mi go! – rzucił przez ramię Effinger, gdy padło imię i nazwisko, po czym zastopował na moment transmisję. – Weszliście już do ich Systemu? – Odwrócił się w stronę porucznika dyżurującego na stanowisku pionu taktycznego.

– Nie mamy dostępu – zameldował pośpiesznie zapytany. – Wygląda na to, że wszystkie łącza zostały zablokowane albo fizycznie zerwane.

– A to, na którym on nadaje? – Wskazał palcem Lumleya.

– Totalnie wyizolowane.

– Próbuje dalej. – Zniesmaczony pułkownik wznowił odbiór.

Zamówiony przez niego raport pojawił się na głównym okienku wyświetlacza, zanim dowódca *Azymuta* zdążył zamilknąć. Pułkownik przebiegł wzrokiem niezbyt długi dokument przy wtórce charczącego kaszlu, jakim zaniósł się widoczny wciąż na panoramiconie człowiek.

– Major Roddenberry prosi o podanie koordynat celu – przekazał wachtowny.

Rzut oka na timer uświadomił Effingerowi, że do detonacji pozostały dwie minuty i trzydzieści sekund.

– Niech czeka – odparł, ale po krótkim namyśle zmienił zdanie. –

Podaję namiary: pierwszy kwazar ma uderzyć w przedział maszynowy, drugi w największe skupisko szczątków lecących w kierunku punktu skoku z Demeter.

– Tak jest.

Wydając rozkazy, nie odrywał wzroku od ekranów własnego stanowiska, na których System przeprowadzał właśnie kolejną symulację. Teraz, po wyjściu *Azymuta* z nadprzestrzeni, BaSilleus dysponował kompletem danych, dzięki czemu jego szacunki były niezwykle precyzyjne. Pułkownik się skrzywił, gdy je zobaczył. Lumley miał sporo racji, ostrzegając go przed atakiem na rdzeniowiec.

Eksplozja pojedynczego kwazara nie spowoduje wyparowania półtora miliona ton materii, zwłaszcza że celem ma być sekcja rufowa i reaktor. Co gorsza, rakiety wystrzelone z Miecza 724 nadlatują pod bardzo niefortunnym kątem, co oznacza, że nawet milisekundowe opóźnienie eksplozji – o co nie-

trudno przy tak wielkiej prędkości obu obiektów – doprowadzi do zaśmiecenia ogromnej części strefy skoku.

Z pozoru opanowana sytuacja pogarszała się z chwili na chwilę. Gdyby separatyści wysadzili rdzeniowiec natychmiast po wyjściu ze studni grawitacyjnej, jak zakładały symulacje, rakiety poszłyby śladem chmury rozprzestrzeniających się szczątków, minęły ją dołem albo górą zależnie od rozłożenia materii w woleju, i eksplodowałyby na jej drodze, oczyszczając wystarczającą część przestrzeni, by punkt skoku z Demeter 12 pozostał w miarę bezpieczny. Za dwie minuty z kawałkiem byłoby po wszystkim, tymczasem w tej sytuacji...

Effinger dotarł właśnie do informacji potwierdzającej, że w ładowniach rdzeniowca faktycznie znajduje się ponad milion ton rozdrobnionego w maksymalnym stopniu jądra zniszczonej przed eonami planety. To komplikowało sprawę jeszcze bardziej. Symulacja nie pozostawiała wątpliwości. Przy astronomicznych prędkościach, wchodzących w grę przy kolizji, miriady drobin stanowiły znacznie większe zagrożenie niż setki tysięcy razy mniej liczne, choć o wiele masywniejsze szczątki zniszczonego rdzeniowca. Czysta statystyka.

Effinger nerwowo oblizwał spierzchnięte wargi.

Może lepiej pozostawić decyzję górze?

Otworzył usta, by wydać rozkaz, ale momentalnie je zamknął. Jeśli próbuje przerzucić odpowiedzialność na przełożonych, Simmons uzna go za niekompetentnego albo nawet za tchórza.

Nie tędy droga, napomniał się w myślach.

Hipotetyczne ryzyko zaśmiecenia strefy skoku nie mogło być przyczyną odwołania ataku. Lumley nie udawał – BaSileus potwierdził, że kapitan naprawdę cierpi na zaawansowaną chorobę popromienną. Każde słowo niezwykle dramatycznego wystąpienia także zostało zweryfikowane pozytywnie, lecz rozkazy były jasne i precyzyjne. Rdzeniowiec stanowił potencjalne zagrożenie i dlatego musiał zostać jak najszybciej zniszczony.

Chociaż... Pułkownik pogładził się po brodzie, opuszkami palców wyczuwając drobnitką szczecinę. A gdyby tak, zamiast użyć pierwszego kwazara do uderzenia w reaktor, zdetonować głowicę w odpowiedniej odległości, żeby impuls elektromagnetyczny zniszczył całą elektronikę na tej kupie złomu?

Wprowadził nowe dane do Systemu i przyjrzał się wynikom.

Nie, to też nie jest dobre rozwiązanie. Rdzeniowiec wejdzie w dryf, przestanie przyspieszać i aż do pojawienia się konwoju będzie się znajdował w strefie czerwonej, aczkolwiek na jej skraju. Co za szkoda...

– Połączcie mnie z *Azymutem* – rzucił, prostując dumnie plecy.

* * *

Stephen wzdrygnął się mimowolnie, gdy czerń przestrzeni na panoramiconie zniknęła nagle i zastąpił ją widok przestronnego, lecz ascetycznie wyposażonego mostka okrętu wojennego. Zdążył już stracić nadzieję na nawiązanie kontaktu, ponieważ czas mijał, a obie rakiety wciąż przyspieszały, lecąc prosto na niego podobnie jak niszczyciel, z którego zostały wystrzelone.

– Kapitanie Lumley – usłyszał wysoki, nosowy głos – mówi pułkownik Effinger, współdowódca *Niepokonanego*. Mam dla pana dwie wiadomości. Jedną dobrą i jedną złą. Nie będę okrutny i nie każę panu wybierać, którą usłyszysz pan pierwszą. – Uśmiechnął się raczej przyjaźnie, może nawet współczująco, a już na pewno bez złośliwości, jakiej można by się spodziewać po butnym oficerze floty. – Zła wiadomość jest taka, że nic nie mogę dla pana zrobić. *Azymut* mimo wszystko stanowi realne zagrożenie dla konwoju i dlatego...

– Przepraszam, ale... – Stephen uniósł dłoń, by go uciszyć, po czym zgiął się wpół w ataku spazmatycznego kaszlu. – Do przylotu konwoju pozostało jeszcze prawie pół godziny... – wysapał, gdy już odzyskał oddech. – W tym czasie zdążę się oddalić na bezpieczną odległość – dodał błagalnym tonem, ocierając splamione krwią wargi.

– Przykro mi, otrzymałem jasne rozkazy i muszę je wykonać.

– Ale...

– Nawet ta rozmowa nie powinna mieć miejsca, kapitanie. – Effinger przerwał mu zdecydowanym, choć dalekim od napastliwości tonem.

Widać było, że współczuje choremu. To dawało nadzieję, niestety Lumley nie miał pomysłu, jak mógłby wykorzystać tę rodzącą się dopiero nic porozumienia.

– Ja to wszystko rozumiem, ale... – Stephen zwiesił mocniej głowę, jakby to wszystko go przerastało.

Nie musiał udawać. Ciche pingi, jakimi sensory odnotowywały każde sto kilometrów przebyte przez obie rakiety, pulsowały coraz szybszym rytmem. Jeszcze chwila i zleją się w jeden natarczywie modulowany dźwięk.

– Będę z panem szczerzy. Nie pojmuję, dlaczego tak desperacko walczy pan o przetrwanie – kontynuował pułkownik. – Nasz system ocenił, oczywiście tylko na podstawie widocznych symptomów, że nie zostało panu wiele życia. Nawet w automedzie nie dotrwa pan jutra.

– Wiem – mruknął Stephen. – A jak brzmi ta dobra wiadomość?

– Nie będzie pan sam – odparł z dumą współdowódcą *Niepokonanego*. – Zostanę z panem do samego końca.

– Czyli te kilka minut.

– Tak. Tylko tyle mogę dla pana zrobić jako dawny towarzysz broni.

Lumley uśmiechnął się w duchu. Cadigan nie kazał go dokładnie sprawdzić, dzięki czemu nadal był traktowany jak jeden z nich. Niewykluczone, że Effinger odezwał się do niego wyłącznie z tego powodu.

– Tu nie chodzi tylko o mnie – powiedział po kilku sekundach zastanowienia. Opóźnienie można było złożyć na karb paroksyzmu bólu, choć tak naprawdę desperacko szukał szansy na uzyskanie tej odrobiny czasu wciąż potrzebnej, by wyprowadzić *Azymuta* na pozycję i wykonać zadanie. – Ten statek to chluba naszej firmy. Bez niego armator może splajtować. Ładunek ze zrozumiałych względów nie został ubezpieczony... – Zamilkł na dłuższą chwilę.

– Zdaje pan sobie sprawę, że kwestie finansowe mają w tej sytuacji najmniejsze znaczenie?

– Tak, ale myślałem... Miałem nadzieję, że cały ten separatystyczny złom i zwłoki sabotażystów posłużą do namierzenia skurwyklonów, którzy rozpętali piekło na Delcie Centuriona... – Chwycił się kolejnego i sądząc ze wskazań timera, ostatniego argumentu, jak przysłowiowy tonący chwyta się brzytwy.

Pamiętał złość i rozgoryczenie Cadigana, gdy napastnicy zniknęli bez śladu, pozostawiając śledczych z niczym. Ani admiralicja, ani nawet czarni w ciągu ostatnich dwóch dni nie mieli szans dowiedzieć się zbyt wiele na temat mitycznego ruchu oporu, Stephen łudził się więc, że okazja na przejęcie ciał i sprzętu zamachowców okaże się wystarczająco kusząca, aby zaferowano mu choć krótkie odroczenie wyroku.

– Jaki złom? – zapytał wyraźnie zaciekawiony Effinger.

Bingo!

– Wahadłowiec, którym przylecieli separatyści... ich komunikatory... – Stephen wyduszał z siebie kolejne fragmenty zdania nie dlatego, że mówienie sprawiało mu problem. Desperacko szukał słów i skojarzeń,

które najmocniej przemówią do wyobraźni pułkownika. – Przenośne terminale, dzięki którym rozpieprzyli Sita... I cała reszta... – Chciał zaczerpnąć głębiej tchu, ale tym razem coś poszło nie tak. Pozieleniał na twarzy, po czym przechylił się w bok i zwymiotował na pokład. – Przepraszam – wybełkotał.

– Nie ma za co, kapitanie.

– Ile mi zostało? – Rozejrzał się półprzytomnie po stanowisku.

– Proszę dać mi chwilę. – Pułkownik sięgnął do klawiatury i wpisał szybko kilka komend. – Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Wydałem rozkaz zredukowania ciągu obu rakiet. To da nam chwilę na dalszą rozmowę. Proszę się skupić, ponieważ od tego, co pan teraz powie, może zależeć ocalenie pańskiego ży... statku.

– Dam z siebie wszystko – obiecał Stephen najszczerzej, jak umiał.

– Czy separatyści zniszczyli System, na którym pracowali?

– Wątpię – odparł po krótkim wahaniu Lumley. – Uwolniliśmy się, kiedy większość poszła podkładać ładunki... Najpierw zdjęliśmy tego, który pilnował nas i wahadłowca...

– Ilu ich w sumie było? – przerwał mu Effinger.

– Pięciu – odparł Stephen. – Rowanthony, to znaczy nasz główny mechanik, rozwalił im napęd, żeby nie mieli czym uciec. Potem czekaliśmy, aż ci trzej od podkładania ładunków wrócą z maszynowni. Wywiązała się walka, ale od razu mówię, że była bardzo nierówna. Skurwyklony miały takie długie noże. Zabili nimi Koontza i poharatali Pohl, moją pierwszą. Cudem udało nam się wycofać, co ja mówię, uciec za pobliską gródź... – Przerwał na dłuższą chwilę, by uspokoić oddech. Faktycznie tego potrzebował, ale też każda sekunda zwłoki działała na jego korzyść. –

Nancy mocno krwawiła, wiedziała, że nie ma szans. – Pokręcił ze smutkiem głową. – Dzielna kobieta, zaproponowała, że wciągnie ich w pułapkę. Dowlekła się do śluzy powietrznej i udała, że się w niej barykaduje. Ja i Chalker, nasz mechanik, ukryliśmy się w szatni. Skurwyklony szły po śladach krwi. Zdjęty migiem blokadę. Gdy weszły do śluzy, zamknęliśmy gródź i wypompowaliśmy całe powietrze.

Pułkownik przełknął ślinę, słuchając bajeczki wymyślonej w trakcie lotu w nadprzestrzeni na taką właśnie albo podobną okazję.

– Chyba nie wystrzeliliście zwłok w przestrzeń? – zapytał z obawą w głosie.

– Nie zostaliśmy tam nawet, żeby patrzeć, jak zdychają – zapewnił go Lumley. – Musieliśmy zająć się ostatnim, ich szefem, który nadzorował wszystko stąd, z mostka. Czekał na nas. Był uzbrojony w przerobiony laser techniczny czy coś. Przeciął Chalkera na pół, ot tak, jakby był z papieru, ale mnie nie zdążył trafić. Rzuciłem w niego kluczem hydraulicznym. Dostał w twarz. Zatoczył się, upuścił to ustrojstwo, wtedy ja poprawiłem mu z byka. Zanim się otrząsnął, podniosłem klucz. Tam, na grodzi – wskazał gdzieś w bok – wciąż widać mazy po jego mózgu. – Skrzywił się, jakby miał znowu wymiotować.

– A choroba popromienna?

– Skurwyklony podłożyły ładunki wszędzie, także w reaktorze. Musiałem wejść do przedsionka. Bez kombinezonu. Pocięli wszystko, co mogło posłużyć do ochrony, nie chcąc, by ktokolwiek pokrzyżował im szyki. Nie docenili jednak mojej desperacji... – Uśmiechnął się krzywo, czego zaraz sam pożałował.

Effinger pokręcił głową, potem przeniósł wzrok na timer.

– Teraz się rozłączę i... – zaczął ostrożnie.

– Ale obiecał pan! – W tym przejawie paniki było więcej aktorstwa niż strachu.

Lumley wewnętrznie aż kipiał, tyle że z radości. Pułkownik floty chwycił w końcu przynętę.

– Bez obaw, kapitanie. Znikam tylko na moment, może mi pan wierzyć, że w tym czasie włos panu z głowy nie spa... – Effinger się zająknął, gdy dotarło do niego, co mówi. – Najmocniej przepraszam, kolego kapitanie... Przystopuję kwazary jeszcze bardziej. Mam pomysł, jak ocalić pański statek.

– Dzięki, kolego!

Stephen uniósł drżące dłonie zaciśnięte szczelnie wokół kciuków.

* * *

– Admirale! – Pułkownik nie krył podniecenia. – Na pokładzie *Azymuta* znajdują się ciała zlikwidowanych przez załogę separatystów oraz cały sprzęt używany podczas próby uprowadzenia... w większości nieuszkodzony... do tego jeszcze wahadłowiec z prawdopodobnie nietkniętym systemem...

Wyrzuciwszy z siebie wszystko na jednym wydechu, zastygł w pozie wyczekiwania.

- To sprawdzona wiadomość? - Simmons był znacznie ostrożniejszy w ocenie sytuacji.

- Pochodzi od samego Lumleya.

- A pan mu wierzy?

- Wszystko, co do tej pory powiedział i co mogliśmy zweryfikować, okazało się prawdą. Dwa dni temu pomagał komandorowi Cadiganowi na Fukushima. Nie wiem, co dla niego zrobił, ale musiał zasłużyć na specjalne względy, skoro został stamtąd wypuszczony na mocy specjalnego rozkazu.

- Podejmuje pan ryzykowną grę. Ten rdzeniowiec stanowi realne zagrożenie dla konwoju.

- Do przylotu pierwszych transportowców znajdzie się daleko poza strefą skoku - zapewnił pułkownik. - Oto wektor jego obecnego kursu i aktualna pozycja.

- To jeszcze nic nie znaczy.

- Gdyby Lumley chciał zablokować studnię grawitacyjną prowadzącą z Demeter, zrobiliby to tuż po przylocie, zanim zdążylibyśmy zareagować. Widział nadlatujące rakiety kilka sekund wcześniej, niż my zobaczyliśmy jego.

- Hm. Nie da się ukryć... - Wiceadmirał gładził się po krótko przystrzyżonych włosach. - Co pan zatem proponuje? Może unieszkodliwimy go impulsem EMP?

- Nie możemy użyć amunicji nuklearnej w pobliżu rdzeniowca - zaprotestował Effinger. - Impuls nieodwracalnie uszkodziłby dane na każdym urządzeniu elektronicznym.

- Racja.

- Proponuję czasowe wstrzymanie ataku i odeskortowanie *Azymuta* poza strefę skoku.

- Dobrze, ale dla pewności nie wycofujcie tych kwazarów - zasugerował Simmons. - Niech lecą w bezpiecznej odległości od rdzeniowca, na wypadek gdyby coś jednak poszło nie tak. Dzięki temu będziemy mogli zareagować w ciągu paru sekund.

- Znakomity pomysł, admirale - zgodził się pułkownik, zerkając nerwowo na timer.

Jego przełożony, nie zamierzając przedłużać tej rozmowy, rzucił tylko:

- Wykonać.

Rozłączając się, obaj byli równie zadowoleni. Effinger zyskał akceptację planu, co w razie komplikacji miało go uchronić przed rolą kozła ofiarnego. Wiceadmirał liczył na dużo więcej. Dowództwo od dwóch dni wyczekiwało przełomu, zatem każdy, kto się do niego przyczyni, mógł mieć nadzieję na sowną nagrodę. Nic dziwnego, że Simmons w duchu już zacierał ręce.

* * *

– Już się bałem, że pana więcej nie zobaczę! – rzucił Lumley, nie próbując kryć ulgi w głosie.

Oczekiwanie było dla niego większą torturą niż ból wywołany chorobą popromienną, a trzeba dodać, że podane przez automed leki powoli przedstawiały działanie.

– Jestem słownym człowiekiem. – Effinger uśmiechnął się z wyższością. – Nie dość, że szybko wróciłem, to jeszcze przynoszę dobre wieści. Admiralicja zaakceptowała nowy plan. Odeskortujemy pana poza strefę skoku.

– A te rakiety...? – Stephen się skrzywił, wskazując na wyświetlacz.

– Bez obaw. Nie użyjemy ich, jeśli nie dostarczy nam pan powodu, co z pewnością nie nastąpi, skoro tak dobrze nam się współpracuje.

– Dziękuję... Naprawdę. To wiele dla mnie znaczy...

– Jeśli mogę coś doradzić, kolego kapitanie. Niech pan wraca do automedu. Przyda się panu kolejna porcja leków, skoro ma pan przed sobą więcej niż kilka minut życia.

– Tak zrobię. – Lumley także się uśmiechnął, choć nieco kwaśno i słabiej niż jego rozmówca.

Od wyjścia z nadprzestrzeni minęło już prawie sześć minut. Jeszcze osiemdziesiąt sześć sekund i *Azymut* znajdzie się na wyznaczonej pozycji, a wtedy już nikt i nic nie zdoła powstrzymać ataku.

Aż dziw, że ci durnie nadal nie skojarzyli, że wysadzenie rdzeniowca zaraz po wyjściu z nadprzestrzeni byłoby zmarnowaniem szansy, pomyślał – oczywiście daleki od wyprowadzania ich z błędu.

Rozpiął niezdarnie uprząż i podciągnął się ostrożnie w górę. Szybując w stronę wyjścia, czuł, że ból narasta przy każdym ruchu, jakby jego źródło było poza ciałem i mieściło się gdzieś w pobliżu stanowiska medycznego. Parł jednak niezmordowanie naprzód, skupiając całą uwagę na odliczanych sekundach. Niespełna minutę później wsunął się do wnętrza

wyprofilowanej kapsuły i ułożywszy się wygodnie, obserwował opadającą miękko pokrywę.

Automed zaaplikował mu kolejną dawkę środków przeciwbólowych. Stephen odmówił przyjęcia syntetycznych opioidów, wolał bowiem zachować przytomność do samego końca. Zresztą wycieńczenie dawało o sobie znać mocniej z każdą chwilą. Ledwie zwalczył potrzebę zamknięcia oczu...

Ciche pikanie timera wybudziło go z krótkiego transu, w jaki zapadł, gdy ból został wyparty za chemiczny kordon analgetyków.

Już czas.

Uśmiechał się, aktywując sekwencję odpalania ładunków. Federaści będą się mieli z pyszna, gdy zrozumieją, że wyprowadził ich w pole. Rdzeniowiec wszedł w nadprzestrzeń, obracając się wolno wokół podłużnej osi. Dzięki wprowadzeniu go w taki ruch Lumley mógł opróżnić większość ładowni, zanim załoga niszczyciela pilnującego go z odległości dwu sekund świetlnych zauważy, że coś jest nie tak. Durnie ustawili się tak, a nie inaczej, by nie paść ofiarą impulsu EMP po eksplozji własnych rakiet.

Tysiące mikroładunków rozmieszczonych w otwartych teraz na oścież ładowniach wyrzucały w przestrzeń całe chmury centymetrowych w porywach grudek litego metalu. Co pół sekundy w kosmos leciało sto siedemdziesiąt pięć tysięcy ton rozdrobnionego urobku z Fukushimy. Jedna sekcja, druga, trzecia, czwarta, piąta i ostatnia, szósta. Koniec.

Za sekundę załoga *Miecza 724* zobaczy przepastne, całkowicie puste kontenery. Lumley przymknął powieki. Ból zniknął, wygnany z jego ciała lekami i falą serotoniny.

Jeśli bożony zareagują instynktownie i odpalą rakiety, moje życie się skończy, zanim zdążę policzyć do dziesięciu...

Ufał jednak, że zaskoczony widokiem dowódca najpierw skontaktuje się z przełożonym, który w ciągu ostatnich paru minut już kilkakrotnie zmieniał rozkazy.

Przecucie chyba mnie nie myli, uznał Stephen, wpatrzony w wyświetlacz zamontowany w pokrywie automedu.

Bliższy kwazar leciał nadal równoległym kursem mniej więcej w jednej dziesiątej odległości dzielącej niszczyciel od *Azymuta*.

Siedem sekund minęło, potem upłynęła ósma. Wolej rozciągał się już na takiej przestrzeni, że i tuzin głowic nie zdoła go unicestwić, a z każdą

chwila moglo byc tylko lepiej – albo gorzej, zalezy, z ktorej strony patrzec. Ładunki zostały odpalone w idealnie wyliczonym czasie, z najodpowiedniejszej pozycji.

Te dwie rakiety, nawet jeśli posła je w sam środek chmury, niczego już nie zmienią...

Komunikator ożył, wyrывая Stephen z zamyślenia.

– Co tam się dzieje, kapitanie? – usłyszał podniesiony głos Effingera.

– Nic takiego, pułkowniku – odparł ze stoickim spokojem. – Obaj zapiliśmy się właśnie na kartach historii. Różnica polega na tym, że ja mogę się z tego cieszyć, a pan chyba nie bardzo.

Jedno muśnięcie wirtualnego klawisza zamieniło *Azymuta* w chmurę szczątków rozprzestrzeniającą się błyskawicznie we wszystkich kierunkach. Tak nieżyjący już kapitan Lumley zadbał o dalsze opóźnienie kontrataku. Załoga *Miecza 724* straci kolejne cenne sekundy na przeprogramowanie kursu rakiet pędzących w stronę rdzeniowca. Jeśli dobrze to sobie wyliczył, korekta dotrze do komputerów w kwazarach po mniej więcej czterech sekundach od eksplozji, tymczasem rozpędzone do niemal jednej dziesiątej prędkości światła szczątki statku pokonają odległość dzielącą rdzeniowiec od rakiet o sekundę szybciej. Przy odrobinie szczęścia przeciwnik utraci jedyną realną szansę na reakcję. Rakiety z krążownika i dwóch pozostałych niszczycieli doleczą do strefy skoku, gdy chmura będzie już rozproszona na przestrzeni kilku milionów kilometrów sześciennych.

Tak to sobie kapitan Stephen Lumley zaplanował i tak się stało, choć on nie mógł już tego zobaczyć, chyba że stamtąd, dokąd trafił, był w stanie nadal obserwować bieg historii, w której jego nazwisko zapisało się właśnie złotymi zgłoskami.

Rozdział 14

*Terytoria Wewnętrzne,
stacja w atmosferze Delty,
System Gravenhurst 4, Sektor Whisky,
12.05.2234, godz. 11:38*

Bukowski wracał do kajuty z bardzo markotną miną. Susan szła pół kroku za nim. Oboje wyglądali tak ponuro, że nadchodzący z przeciwka pracownicy stacji najpierw mylili krok, a potem omijali ich szerokim łukiem. Robert miał największe powody do rozgoryczenia, on jedyny do samego końca wierzył w Lumleya. Czuł podskórnie, jak za dawnych czasów, że misja na Erytrei nie zakończy się porażką, ale rzeczywistość najwyraźniej miała inne zdanie na ten temat. Zaczynał nawet podejrzewać, że z wiekiem stracił resztki instynktu, tego samego, dzięki któremu zwykle wychodził cało z opresji.

Jego problemy były jednak niczym w porównaniu z obecną sytuacją Wergiliusza. Fiasko tej operacji oznaczało konieczność stawienia czoła nieuniknionym atakom floty. Kłamstwo, czy też może przemilczenie, które po udanym zamachu na konwój rozeszłoby się po kościach, teraz wypali mu prosto w twarz, i to z podwójną mocą. Bukowski nie zazdrościł przywódcy separatystów. Przy całej sympatii, jaką go darzył, dotąd nie rozumiał, dlaczego kłopoty w stoczni musiały pozostać tajemnicą nawet w gronie najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników. Z doświadczenia wiedział, że problemy zaczynają się w chwili, gdy ludzie, na których polegasz i którym wierzysz, zaczynają mieć przed tobą sekrety.

Im większe kłamstwo, wypowiedziane nawet w najlepszych intencjach, tym gorsze skutki jego późniejszego ujawnienia. A prawda prędzej czy później wychodzi na jaw, zwłaszcza jeśli nie jesteś zawodowym oszustem, który umie wybrnąć z najcięższej sytuacji.

Robert uśmiechnął się w duchu.

Można by z tego stwierdzenia ukuć całkiem zręczną maksymę albo nawet prawo, pomyślał, skręcając za kolejny narożnik głównego korytarza. Dwa kroki później usłyszał brzęczenie komunikatora. Zerknął na wyświetlacz i zdębiał.

Wracajcie natychmiast. Mamy nowy meldunek z Erytrei.

Obejrzał się za siebie, by zerknąć na Susan, ale zobaczył tylko jej plecy. Jak zwykle zareagowała szybciej od niego. Ruszył więc za nią, przyspieszając kroku i zastanawiając się, co takiego jest w przekazie, że Wergiliusz każe im wracać do sali, w której spędzili ostatnie osiem godzin. To musiało być coś niezwykle ważnego.

Na pewno nie chodzi o przyłot konwoju, bo ten pojawi się na miejscu dopiero za dwadzieścia dwie minuty. Ani o Lumleya, gdyż musiałby odlecieć z Daimoniona 4 osiem minut po pojawieniu się tam czarnych, którzy wystaliby sygnał alarmowy bezzwłocznie po zauważeniu szykującego się do skoku rdzeniowca, a tak się przecież nie stało. Zatem w czym rzecz? – dywagował Robert, próbując dogonić przyjaciółkę maszerującą znacznie krótszym, lecz o wiele energiczniejszym krokiem.

Próg sali odpraw minęli równocześnie, ale ona usiadła szybciej, ponieważ jej fotel stał dokładnie naprzeciw drzwi. Hologram Kuttnera zalśnił sekundę później, po nim pojawił się Leinster. Na del Reya i Huxley musieli jeszcze chwilę poczekać – kiedy nadeszła wiadomość, oboje jechali turbowindą i nie mogli tak od razu zawrócić.

Wergiliusz wprowadził obecnych w szczegóły, ledwie drzwi sali zamknęły się za ostatnimi zarządcami.

– Komatsu przesłał właśnie meldunek, że w punkcie skoku z Daimoniona wykryto przed ponad dwiema minutami anomalie grawitacyjną – powiedział, aktywując holopad.

– Czarni wracają? – zdziwiła się Daphnelly.

– Niemożliwe – zaprzeczył zdecydowanym tonem del Rey. – Żaden śmigacz nie zdoła wyhamować z takiej prędkości do zera i ponownie przyspieszyć w ile... sześć minut?

– Czyżby Lumley?

– To także wykluczone – zawyrokował zarządca stoczni. – *Azymuta* nie było na Daimonionie, gdy pojawili się tam czarni, w przeciwnym razie mielibyśmy od kilku godzin czerwony alarm.

– Zatem kto? – zapytała wprost.

– Nie mam pojęcia, ale zaraz się przekonamy.

Przekaz z *Erytrei* składał się z serii pingów wysyłanych kolejno przez wszystkie sojusznicze jednostki – sygnały przychodziły w nierównych odstępach, by trackery czarnych nie wyłuskały ich z masy innych i nie wykryły powtarzającego się wzorca. Siema obrabiała je i przekształcała w animowaną symulację, dzięki czemu obraz był jak żywy. Separatyści mogli się tylko przyglądać w narastającym napięciu temu, co działo się wokół strefy skoku. Biernie obserwowali ruchy floty i synchronizowali z nimi komunikaty nadawane na otwartych częstotliwościach.

Dowódca *Niepokonanego* zareagował na anomalię ogłoszeniem alarmu i wysłaniem w kierunku punktu skoku niszczyciela, który znajdował się nieco dalej niż jego bliźniacza jednostka, ale kończył akurat wykonywać zwrot i mógł polecieć prosto do celu, od którego dzieliły go nieco ponad cztery minuty lotu.

– Kurwirtual! – wymknęło się Mitchrisowi, gdy od wektora kursu *Miecza* oddzieliła się znacznie cieńsza czerwona linia oznaczająca wystrzeloną rakietę. – Jaki rodzaj pocisku odpalono? – zapytał Siemę.

– Analiza widma wskazuje, że to kwazar.

– Odpalili drugi! – jęknął moment później Leinster.

Kuttner wpatrywał się uważnie w symulację.

– Czyżby to jednak był Lumley? – mruknął.

– Skoro tak, dlaczego czarni nie zgłosili jego obecności na Daimonionie? – zdumiała się Huxley.

– Może zgłosili – zasugerował Leinster – tylko nie podnieśli przedwcześnie alarmu, żeby zmylić zamachowców czekających po tej stronie.

Bukowski pokiwał głową.

– Niewykluczone... Dzięki temu mogliby kontynuować nasłuch i namierzyć naszych.

– Mają ich? – zaniepokoiła się Daphnelly.

Załogi skierowane na *Erytreę* do niedawna jej podlegały. Nie miała z nimi wprawdzie bezpośredniego kontaktu, ale z pewnością wiedziała o nich więcej niż wszyscy pozostali zarządcy razem wzięci. Nieraz zlecała im zadania, korzystając ze skrzynek kontaktowych.

– Nie sądzę – odpowiedział Robert po dłuższym zastanowieniu. – Cykl jest wystarczająco nieregularny, poza tym mieli zareagować z kilkusekundowym opóźnieniem, aby nikt nie powiązał jednego z drugim. Do tego stu innych kapitanów wysłało wiadomość o wykryciu sygnału, zanim zrobił to Komatsu, aż w eterze zapanował taki szum, że żadna sztuczna inteligencja nie zdoła nad tym zapanować.

– Oby. – Huxley oparła się lewym ramieniem o podłokietnik fotela.

– Mnie bardziej martwią te kwazary – stwierdził Kuttner.

– I słusznie. Dolecą do celu minutę przed niszczycielem, który je wystrzelił. Dowodzący ochroną konwoju zareagował w najgorszy z możliwych sposobów, oczywiście z naszego punktu widzenia.

– Trzydzieści sekund do wyjścia! – zameldował podniesionym głosem Lylevis, który właśnie dołączył do zespołu. – To znaczy już po uwzględnieniu opóźnienia przekazu – dodał zaraz.

Problem z obserwacją zdarzeń rozgrywających się w przestrzeni miliardy kilometrów od obserwatora polegał na tym, że światło przynosiło ich obrazy długo po tym, jak miały miejsce. W tym przypadku było to średnio trzydzieści jeden i pół sekundy, ponieważ nadające komunikaty jednostki znajdowały się od dwudziestu dziewięciu do nawet trzydziestu czterech sekund świetlnych od punktu skoku. Jedno więc nie ulegało kwestii: ludzie, których śmierć zobaczą za chwilę, byli martwi od pół minuty.

– Do momentu wyjścia: trzy, dwa, jeden... – odliczał drugi asystent.

– To *Azymut!* – zawołała Daphnelly, gdy przed ich oczami pojawił się znajomy kształt.

– Pierwszy kwazar dotrze do celu za dwie minuty i dwadzieścia sekund – poinformowała zebranych Siena.

– Za prawie dwie i pół minuty? – zdziwił się del Rey. – Spowolnili go czy co?

– Rdzeniowiec wyszedł z punktu skoku przy samej krawędzi studni grawitacyjnej, około trzystu tysięcy kilometrów od pierwotnie wyznaczonego miejsca. – Odpowiedź sztucznej inteligencji była sucha i precyzyjna jak zawsze.

– Na co ten bozon czeka? – obruszył się Leinster. – Dlaczego nie odpala ładunków?

Cisza po tych słowach nie trwała długo. Następny komunikat zawierał bowiem nie tylko wizję, ale i fonię.

– SO... SOS! – wychrypiał siedzący w zdemolowanej sterówce mocno poparzony mężczyzna. – Mówi kapitan Stephen Lumley z pokładu *Azymuta 347-2*. Wiem, że transponder został podmieniony przez tych skurwyklonów, ale to jest prawdziwy numer kodowy mojego statku! Komandor Cadigan, oficer dowodzący siłami floty na Fukushima, może potwierdzić moją tożsamość! Skontaktujcie się z nim, zanim mnie zabijecie, błagam! *Azymut 347-2* nie stanowi już zagrożenia!

– Pieprzony zdrajca! – wydarł się Kuttner, zagłuszając kolejne słowa. – Sprzedał nas!

– No to już wiemy, dlaczego czarni nie ogłosili alarmu! – zawtórowała mu Huxley.

– Trzeba powiadomić Komatsu i pozostałych! – Leinster pochylił się nad komunikatorem.

– Zamknijcie się – Bukowski walnął pięścią w stół, aż echo poszło – i słuchajcie!

– ...ale zdołaliśmy się uwolnić tuż przed skokiem na Erytreę. Walczyliśmy ostro, straciłem troje członków załogi, zanim sytuacja została opanowana – mamrotał dowódca *Azymuta*, z trudem łapiąc oddech. – Już po wejściu w nadprzestrzeń udało mi się wyeliminować ostatniego z napastników i odzyskać częściową kontrolę nad statkiem. Powtarzam: rozbroiłem ładunki i odzyskałem w dużym stopniu kontrolę nad statkiem! Dajcie mi szansę, a wyprowadzę go bezpiecznie poza strefę zagrożenia! Patrzcie na wektor mojego kursu!

– Co on wyprawia?

Zebrani spoglądali po sobie, nie rozumiejąc zachowania ani słów Lumleya. Z kim walczył, kiedy, gdzie? Pytania mnożyły się z każdym wypowiedzianym przez kapitana zdaniem, ale odpowiedzi nie przybywało.

Del Rey, jak to on, już coś przeliczał. Parę sekund później wyprostował się i zobaczyli błady uśmiech na jego twarzy.

– Chyba wiem, o co mu chodzi – oznajmił, wrzucając nową symulację na holopad.

Znów zobaczyli okolice strefy skoku, lecz wektor kursu *Azymuta* był tym razem znacznie dłuższy. Przecinał łagodnym łukiem skraj strefy skoku, po czym wychodził za nią, ale ikonka oznaczająca pozycję rdzeniowca zatrzymała się mniej więcej w połowie tej trasy, po czym zobaczyli rozlewający się wolej szczątków powstały po zdetonowaniu bomb

w ładowniach. Chmura odłamków rozprzestrzeniła się szybko, mknąc prosto na punkt skoku z Demeter 12.

- Lumley wyszedł z nadprzestrzeni dwadzieścia cztery minuty przed ustalonym terminem - wyjaśnił Mitchris - dlatego musi pokonać znacznie dłuższą trasę, zanim będzie mógł odpalić ładunki. W przeciwnym razie większość szczątków minęłaby cel przed pojawieniem się pierwszych formacji konwoju.

- Jakie ma na to szanse? - zapytał milcząco do tej pory Wergiliusz.

- Trudno powiedzieć - odparł zarządca stoczni. - Wszystko zależy od reakcji floty.

- Wystrzelone rakiety zdają się przesądzać o wyniku - zauważył Kuttner.

- Kwazary można rozbroić zdalnie nawet w ostatniej chwili - przypomniał Bukowski, studiując specyfikację uzbrojenia przenoszonego na pokładach niszczycieli. - Jeśli dowódca *Niepokonanego* da się wciągnąć w rozmowę, Lumley może uzyskać odroczenie wyroku.

- Czy wy widzicie, jak on wygląda? - wtrąciła Huxley, wskazując nieruchomy hologram towarzyszący ostatniemu komunikatowi. - Skóra złazi mu z twarzy całymi płatami.

- Sądząc po symptomach, kapitan Lumley cierpi na terminalne stadium choroby popromiennej - wyjaśniła beznamiętnym tonem Siena.

- Chyba nie polazł do reaktora, żeby uwiarygodnić swoją wersję zdarzeń - wyszeptał Leinster.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było. - Del Rey westchnął. - Przecież od samego początku wiedział, że nie pożyje dłużej niż te siedem minut.

- Czekajcie, znowu coś mówi! - uciszyła ich Daphnelly.

- ...zaśmiecie całą strefę skoku! Zastanówcie się dobrze! Zrobicie dokładnie to, o co chodziło tym skurwyklonom! Nie po to ginęli moi podwładni, żebyście wy odwalili za wroga brudną robotę! Mam w ładowniach ponad milion ton drobin metali ciężkich z Fukushimy. Zapytajcie Cadi-gana, jeśli mi nie wierzycie!

- Ten człowiek jest pieprzonym geniuszem. - Robert pokiwał z uznaniem głową, po czym miażdżąc wzrokiem Kuttnera, rzucił: - A wy mieliście go za zdrajcę!

Rozdział 15

*Systemy Centralne,
strefa skoku,
System Erytrea 9, Sektor Whisky,
12.05.2234, godz. 11:59*

Effingera zamurowało. Potrzebował tylko dwu sekund, by zrozumieć, że leżący w automedzie Lumley nie majaczy, po czym zareagował jak na zawodowego oficera przystało.

– Przesłać kody aktywujące kwazar numer jeden, czas zero zero – rozkazał natychmiast po ogłoszeniu alarmu. – Cel: czoło chmury zanieczyszczeń na wektorze punktu wyjścia konwoju! Aktywizacja kwazara numer dwa, cel: czoło chmury zanieczyszczeń na wektorze punktu wyjścia konwoju, czas zero zero. *Miecz 724*, kurs na przejęcie *Azymuta*. Zniszczyć pulsarem napęd, ale zostawić reaktor w spokoju. Powtarzam: nie ruszać reaktora. – Podniósł na moment głos. – Poza napędem rdzeniowiec ma być nietknięty! Zmapować zanieczyszczony obszar i wysłać resztę pulsarów przed wolej, niech usuną największe zagęszczenia szczątków na wektorze punktu wyjścia konwoju.

Wachtowi przekazywali jego polecenia, nie odpowiadając regulaminowo na wykrzykiwane w szybkim tempie komendy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że czas reakcji jest teraz najważniejszy.

– *Miecz 721* i *Miecz 722*, odpalacie wszystkie kwazary i pulsary w kierunku punktu skoku z *Demeter 12*. Czas zero zero. – Ten rozkaz pułkownik wydał, nie sprawdzając nawet, czy takie działanie ma w ogóle sens.

Korekty wprowadzi się wtedy, gdy BaSIleus przeliczy dane. Najważniejsze to postać możliwie jak najszybciej jak najwięcej głowic w strefę skoku, by zredukować zagrożenie, które stwarza rozprzestrzeniająca się chmura, pomyślał Effinger.

Przelknął nerwowo ślinę, wpatrując się z uwagą w plan sytuacyjny.
To chyba wszystko, co mogę zrobić w tym momencie, uznał.

Inne okręty jego zespołu bądź znajdowały się zbyt daleko, aby dało się je wykorzystać do przeprowadzenia skutecznego kontrataku, bądź nie dysponowały odpowiednim uzbrojeniem, jak choćby myśliwce obu skrzydeł szybkiej reakcji, które przebywały obecnie w bezpośrednim sąsiedztwie wylotów studni grawitacyjnej prowadzącej z Demeter 12.

– *Żądło 1 i Żądło 2*, wycofać się poza strefę zagrożenia.

Po co narażać je na zniszczenie, skoro i tak są bezużyteczne...

Z zamyślenia wyrwał go meldunek wachtowego.

– Admiralicja na kanale trzecim.

– Łączcie! – Wyprostował się w fotelu, by stawić czoło spodziewanej furii przełożonego.

– Co to ma znaczyć?! – wysyczał rozwścieczony do białości Simmons, pomijając zwyczajowe uprzejmości i ignorując przepisowy salut.

– Skurwyklon nas oszukał – odparł pułkownik, nadaremno próbując zapanować nad drżeniem głosu.

– Nas?! – Wiceadmirala zatchnęło.

A nas, nas, pomyślał rozgoryczony Effinger. *Zatwierdziłeś, bozonie, mój plan, na co mam dowody, których nie zawaham się użyć, jeśli tylko spróbujesz robić ze mnie kozła ofiarnego.*

Sądząc po niewyraźnej minie i błyskawicach miotanych z oczu, jego rozmówca w lot zrozumiał niewypowiedzianą groźbę.

– Nakazałem *Mieczowi 724* zniszczenie napędu *Azymuta* – zameldował pułkownik zadowolony z efektu, jaki wywołały jego poprzednie słowa. – Oba kwazary i resztę pulsarów wysłałem w pościg za chmurą uwolnionego granulatu. Rozkazałem też, by pozostałe okręty zespołu odpaliły wszystkie rakiety w kierunku strefy skoku. Cele wskażę po otrzymaniu wstępnych wyników mapowania.

– Informujcie mnie o postępach – wycharczał Simmons, po czym się rozłączył, nic więcej nie mówiąc.

Zaraz trafi na dywanik, ale może mnie przynajmniej nie wystawi od razu na odstrzał, pomyślał z nadzieją Effinger. *Zrobiłby to bez wahania, gdyby nie istniało holo, na którym aprobeje moje wcześniejsze działania i co więcej, nakazuje ich kontynuowanie...*

– Kwazar numer jeden przestał właśnie pingować! – zameldował spanikowany wachtowy.

– Co znaczy: prze... – Pułkownik zamilkł w pół słowa, gdy ten sam podoficer poinformował go, że na kanale piątym ma dowódcę *Miecza 724*. –

Dawajcie go natychmiast!

- *Azymut* eksplodował! – wydukał przerażony jak diabli kapitan Disch, zapominając o regulaminowym powitaniu.

- Mówiłem chyba wyraźnie, że macie...

- To nie my! – wpadł mu w słowo kapitan. – Rdzeniowiec został wysadzony w momencie odpalenia pulsara.

- Co z kwazarem numer jeden? – Effinger przypomniał sobie poprzedni meldunek wachtowego.

- Przed chwilą straciliśmy z nim kontakt.

- A numer dwa?

- Nadal znajduje się na wyznaczo... – Disch zamilkł nagle i pobladł jeszcze bardziej.

- Co jest?

- On... on także... przestał odpowiadać.

- Jakim cudem doszło do utraty tej rakiety? – wysyczał pułkownik przez mocno zaciśnięte zęby, czerwieniąc przy tym na twarzy.

Skok ciśnienia był tak duży, że System kombinezonu w pełni automatycznie wstrzyknął pod skórę solidną dawkę środków uspokajających. Oczywiście zanim ten koktajl zacznie działać, musiało upłynąć co najmniej pięć sekund.

- N... nie wiem – zająknął się Disch.

- Co znaczy: nie wiem, ty niekompetentny bozonie! – wydarł się Effinger, tracąc do reszty panowanie nad sobą.

- W pańskich ostatnich rozkazach nie było ani słowa na temat kwazarów – bronił się dowódca *Miecza* 724.

Szlag!

Roztrzęsiony pułkownik błyskawicznie spuścił z tonu.

- Macie nagrania z momentu jego zniszczenia? – zapytał już ciszej, ponieważ dotarło do niego, że osobiście nakazał wysłanie koordynat do obu rakiet. Nadal jednak nie rozumiał, co mogło być przyczyną utraty kontaktu z drugim kwazarem. Tak czy owak wina na pewno nie leżała po stronie dowódcy *Miecza*.

- Tak jest.

- Dajcie je na główny! – polecił. – I zaczniecie odtwarzanie od eksplozji *Azymuta!*

- Tak jest!

Zobaczył wiszący pośrodku ekranu rdzeniowiec, który po niespełna sekundzie zniknął mu z oczu w szeregu doskonale zsynchronizowanych wybuchów, które unicestwiły cały kadłub – od sekcji maszynowni, przez kryzę, rdzeń z ładowniami, aż po kulisty przedział załogowy i chroniący go parasol. Ocalał tylko reaktor.

Dziwne...

Effinger zmniejszył zoom, by mieć w polu widzenia pozycje i wektory kursu obu kwazarów. Zgodnie z jego podejrzeniami, jedynka znajdowała się zbyt blisko punktu zero. Szczątki wysadzonego *Azymuta* dotarły do niej, zanim silnik jonowy zdążył ożyć. Zabrakło sekundy, nie więcej.

Ciekawe, czy ten skurwyklon i to zaplanował? – pomyślał ze złością o martwym Lumleyu.

Drugi kwazar znajdował się znacznie dalej, wszystkie symulacje pokazywały dobitnie, że powinien mieć wystarczająco dużo czasu na zmianę kursu i ominięcie rozprzestrzeniającego się szybko skupiska szczątków wraku, ale sekundy mijały, a jego napęd pozostawał martwy.

Co jest?

Pułkownik się skrzywił, gdy w końcu doszło do kolizji, która unicestwiła potężną rakietę.

– Ty! – Tknięty kolejną myślą wskazał palcem zaskoczonego wachтового z działu łączności. – Pokaż mi logi wysłanych rozkazów!

– Tak jest...

Na wyświetlaczu stanowiska dowodzenia pojawił się krótki dokument. Wystarczył rzut oka, by ciśnienie Effingera znów wystrzeliło w górę.

– Wiesz, skurwyklonie, co zrobisz?! – rozległ się ryk pułkownika. – Wiesz?!

Jedyną odpowiedzią było anemiczne zaprzeczenie ruchem głowy. Effinger nabrał tchu, by zmiażdżyć podwładnego, który zamiast ansiblem wysłał rozkazy przez zwykły nadajnik, czym doprowadził do powstania niewybaczalnego opóźnienia, lecz nagle cały mostek zalała fala dziwnie jasnego światła. Zdumiony tym faktem, z ustami na wpół otwartymi do reprimendy, odwrócił się w kierunku panoramiconu, na którym oślepiająca plama bieli z wolna ciemniała, formując kremową postrzępioną na brzegach kulę stygnącej plazmy. Szybujący w przestrzeni reaktor *Azymuta* właśnie się w nią zamienił.

– *Miecz 724!* – wrzasnął.

Wywołana jednostka milczała, choć połączenie kwantowe nadal było otwarte. Nie pomogły nawet gromy ciskane z oczu Effingera. Roztrzęsiony wcześniejszym atakiem wachtowy rozłożył szeroko ręce.

- Przestał pingować w momencie wybuchu - zameldował płaczkliwie, jakby i to była jego wina.

Niszczyciel znajdował się za daleko, by ta eksplozja mogła go uszkodzić, nie mówiąc już o zniszczeniu, oburzył się w myślach pułkownik, lecz BaSilleus szybko wyprowadził go z błędu.

Zasięg impulsu elektromagnetycznego sięgał daleko poza aktualną pozycję jednostki Discha.

Tknięty przecuciem pułkownik sprawdził status wystrzelonych z *Miecza 724* pulsarów. Żaden nie odpowiedział na pingi przesłane z *Niepokonanego*.

- Kurwirtual... - Effinger opadł ciężko na fotel stanowiska dowodzenia.

Stracił właśnie jedną trzecią arsenału, który mógł i powinien posłużyć do przerzedzenia chmury zagrażającego konwojowi granulatu, a w dodatku załoga *Miecza* nie zdążyła zmapować woleja, co znacznie pogogo...

Nie, na szczęście nie pogorszy sprawy jeszcze bardziej, odetchnął z ulgą po przeanalizowaniu danych.

Za niecałe dziesięć sekund jego własne skanery dalekiego zasięgu będą w stanie oszacować skutki ostatnich poczynań dowódcy *Azymuta*. To wystarczy do wskazania celów pozostałym rakietom, które niczym niezagrożone mknęły od pewnego czasu w kierunku strefy skoku.

Odwrócił się raz jeszcze do wachtowego z pionu łączności.

- Wyprowadzić tego człowieka i osadzić w brygu! - rozkazał, przywołując najbliższego ze strzegących mostka żandarmów. - I dawać mi tu natychmiast zastępstwo!

Główny komunikator ożył ponownie, zanim opancerzony żołnierz zdążył wejść za konsolę otaczającą stanowisko łączności. Obaj - aresztowany i ten, któremu zlecono zatrzymanie - spojrzeli wyczekująco w kierunku dowódcy. Effinger zaklął pod nosem, po czym zezwolił na chwilowe odroczenie wyroku.

- To *Miecz 724*!

Meldunek zaskoczył go kompletnie. Spojrzał na wyświetlacz, spodziewając się hologramu Discha, ale to nie była zwykła rozmowa. Dowódca niszczyciela jakimś cudem zdołał uruchomić ansibl i przesłać plik

z danymi mapowania. Albo impuls elektromagnetyczny nie załatwił *Miecza* na amen, albo jego załodze udało się odzyskać kontrolę nad niektórymi systemami okrętu.

Zastużyli sobie na pochwałę, pomyślał pułkownik, uśmiechając się pod nosem.

BaSIleus przeanalizował otrzymane dane w ułamku sekundy i przedstawił pełną symulację. Już pierwszy rzut oka na wyniki sprawił, że uśmiech zniknął z twarzy Effingera. Salwa oddana z *Miecza 722* nie miała szans dotrzeć do celu przed przybyciem konwoju, a detonacja kwazarów tak blisko transportowców zakończyłaby się równie źle jak pozostawienie ich na pastwę granulatu. W grze pozostało zatem tylko sześć rakiet z *Miecza 721*.

Czy to wystarczy?

Kolejna symulacja była nie mniej druzgocząca niż poprzednia. Lumley wiedział, co robi, uwalniając ładunek stopniowo w trakcie lotu. Dzięki temu powstał niezwykle szeroki elipsoidalny wolej, którego półoś wielka miała ponad milion osiemset tysięcy kilometrów. Mała była dziesięciokrotnie krótsza, ale... Effinger nie musiał niczego przeliczać, by zrozumieć, że nawet sto kwazarów nie sprostałoby zadaniu – z tymi kilkoma rakietami miał mniejsze szanse na przerzedzenie chmury granulatu niż dryfujący w przestrzeni astronauta, który próbuje zatrzymać gołymi rękami przelatujący obok rdzeniowiec.

Odchylił się na oparcie, by zebrać myśli. Dowódca *Azymuta* rozegrał to po mistrzowsku. Najpierw załatwił sobie alibi, pomagając Cadiganowi na Fukushima, by ten w razie czego mógł udzielić mu poręczenia. Potem odstawił całkiem przekonujący teatrzyk, by uznano go za bohatera, który z narażeniem życia pokonał zamachowców.

Bozon wlażł nawet do reaktora, by uwiarygodnić swoją bajeczkę! Jak walczyć z ludźmi, którzy przez swą determinację świadomie wybierają śmierć?

Ta myśl zmroziła go bardziej niż perspektywa niemal pewnego stanięcia przed sądem polowym.

Załatwił nas na cacy, skwitował, przygryzając wargę. *Tylko cud uratuje nadlatujące z Demeter 12 okręty...*

Oglądając dalszy ciąg symulacji, zauważył ze zdziwieniem, że wraz z upływem czasu i rosnącym dystansem wolej przestaje się rozszerzać.

To nie może być błąd – komputer kwantowy nie popełnia błędów, zwłaszcza takich.

Pułkownik sprawdził dane wyjściowe i szybko znalazł przyczynę tego stanu rzeczy. Wektor kursu *Azymuta* miał odchylenie liczone w setnych częściach stopnia. Zbyt małe, by ktoś zwrócił na nie uwagę, lecz w połączeniu z polem grawitacyjnym pobliskich gwiazd wystarczająco duże, by osiągnąć zakładany efekt.

Czy to nam coś da?... – zastanawiał się, zlecając Systemowi przeprowadzenie dalszych kalkulacji.

Niestety.

W okolicach punktu skoku będącego celem zamachowców obie półosie ulegną skróceniu o trzy czwarte, ale obszar i tak pozostanie sto razy za duży, by Effinger mógł choćby marzyć o zneutralizowaniu zagrożenia jedną jedyną salwą. BaSIleus przewidywał, że wolej pokryje dziewięćdziesiąt procent powierzchni punktu skoku.

Nie zważając na ten wynik, pułkownik wklepał koordynaty. Jeśli ktoś dobierze mu się do tyłka, a tak z pewnością będzie, gdyż nawet ktoś tak wysoko postawiony jak Simmons nie zdoła się wyłgać od odpowiedzialności, kiedy milion ton drobin metalu rozniesie w pył transportowce i towarzyszącą im eskortę, to...

– Admiralicja na pierwszym!

Pułkownik się wzdrygnął, słysząc meldunek młodego chorążego, który przed chwilą zastąpił aresztowanego wachtowego.

– Łączcie na moje stanowisko! – rozkazał, aktywując równocześnie pole tłumiące.

Wolał, by podwładni nie byli świadkami reprimendy w niego wymierzonej. Wyprostował się służbiście i głęboko zaczerpnął tchu, zanim przyjął połączenie. Naprzeciwko pojawiła się znajoma sylwetka, ale nie był to Simmons. Effinger spoglądał w oczy admirała Sary Dozois dowodzącej siłami pierwszego metasektora. Wstrząśnięty tym faktem zapomniał na śmierć o regulaminie, co zostało oczywiście zauważone i odnotowane.

– Od tej pory na Erytrei 9 dowodzi major Kandel! – powiadomiła go przełożona, po czym natychmiast przerwała połączenie.

Pułkownik przełknął nerwowo ślinę.

Tak zatem wygląda upadek...

Zatrzymał palec nad klawiszem dezaktywującym pole siłowe. Bał się widoku, jaki zastanie, gdy bariera dzieląca go od świata zniknie – jak długo jednak mógł odwlekać tę chwilę? Przymknął powieki, by wziąć się w garść, i wtedy go olśniło.

Cofnął dłoń, obrócił hologram symulacji o dziewięćdziesiąt stopni i uśmiechnął się triumfalnie. Lumley zabezpieczył się na każdym froncie, ale w tym przypadku chyba przedobrzył. Wektor elipsoidalnej chmury granulatu biegł prostopadle do wylotu studni grawitacyjnej, co oznaczało, że te dziewięćdziesiąt procent pokrycia nastąpi dopiero w odległości sekundy świetlnej od miejsca, w którym miały się pojawić okręty konwoju.

Nie kryjąc podniecenia, zlecił BaSilleusowi przeprowadzenie ostatniej symulacji. Tak! Znalazł rozwiązanie, które może nie uratuje mu kariery, ale pozwoli chociaż zachować głowę na karku.

Rozdział 16

*Systemy Centralne,
strefa skoku,
System Erytreja 9, Sektor Whisky,
12.05.2234, godz. 11:59*

– Minuta do wyjścia z nadprzestrzeni! – darła się sierżant Burroughs, popychając stojącego na jej drodze kanoniera w stronę kokonu antyprzeciążeniowego. – Ruchy na sprzęcie, w dupę kopane bozony! Za trzydzieści sekund widzę komplet potwierżeń! Tradycyjnie, kto się spóźni, ten ma w grafiku trzy dodatkowe wachty i absolutne pierwszeństwo w dostępie do mycia kibli na pokładzie drugim! Raz, raz! – ponagliła następnego z kanonierów.

Moment później sama wskoczyła na mięsiste siedzisko, ale przed uszczelnieniem stanowiska omiotła raz jeszcze wzrokiem ciasne pomieszczenie sterowni baterii rufowej krążownika *Termopile*, okrętu flagowego drugiego zespołu zadaniowego, który stanowił straż przednią konwoju. Uśmiechnęła się pod nosem, widząc, że wszystkie pokrywy albo opadały, albo były już zamknięte.

– Cudnie – mruknęła zadowolona, sprawdzając czas na timerze.

Nie spodziewała się problemów, nikt przy zdrowych zmysłach nie atakowałby okrętów wojennych, zwłaszcza lecących w takiej sile, lecz po Delcie Centuriona i Kalidonie wszyscy dmuchali na zimne, nie wyłączając jej obecnych podwładnych, których śmiało mogła zaliczyć do jednej z bardziej nieposkładanych obsad baterii, jaką kiedykolwiek dowodziła.

– Trzydzieści sekund do ponownego przyjscia na świat! – kontynuowała odliczanie już po uszczelnieniu własnej kapsuły i podłączeniu się do systemu kierowania ogniem. Okienka stanowisk trzech kanonierów i bombardiera lśniły soczystą zielenią. Groźba szorowania kibli na pokładzie regularnej załogi nieodmiennie działała. Donna żałowała tylko, że nie może jej częściej używać.

- Piętnaście sekund – podała kolejny odczyt. – Włączamy kompensatory!

Otoczające ją sztuczne mięśnie spęczniały, odtąd nie mogła już poruszać swobodnie rękami ani nogami.

- Dziesięć sekund. Stopień naładowania kondensatorów?

- Jest sto procent – odpowiedziała najmłodsza z czwórki artylerzystów, Eileen Matheson.

- Emitery?

- Sprawdzone i gotowe.

- System namierzania celów?

- Sprawdzony i gotowy – tym razem meldunek złożyła bombardierka Kate Farmer.

- Pięć sekund, cztery, trzy, dwie – odliczała Burroughs. – Wyście!

Ekrany przed jej oczami zapłonęły krwistą czerwienią. Okna z listami zgłaszanych celów wypełniły się momentalnie. Przelewały się przez nie już nie strumienie, a wodospady danych. Komputer kwantowy nie nadążał z ich zliczaniem i oznaczaniem. Pół sekundy później migające ikonki awarii zaczęły się mnożyć. Nie miała czasu się zastanawiać, jak to możliwe, że komputer o niewyobrażalnej mocy obliczeniowej nie podołał prostemu – jak by się wydawało – zadaniu, ale poczuła zimny pot na czole i plecach, gdy tylko sprawdziła logi.

Sześćdziesiąt jeden milionów wykrytych celów? W sekundę?! To jakaś bzdura, pomyślała, a potem dotarło do niej, że tak właśnie musiały wyglądać odczyty na Kalidonie.

Kolejny zamach!

System został automatycznie zresetowany, lecz później działał tylko przez dwie, może trzy dziesiąte sekundy.

- Zamknąć pyski i czekać na dalsze rozkazy! – wydarła się do mikrofonu, słysząc w tle coraz głośniejsze szemrania podwładnych.

Minęły cztery sekundy od wyjścia z nadprzestrzeni, ale na razie nie doszło do kolizji.

To dobry znak, pomyślała i zaraz splunęła na sucho, aby nie zapeszyć.

Krażownik wykonywał ciasny zwrot, widziała to wyraźnie po odczytach, choć dzięki sprzętowi, w który się zapakowała, nie czuła negatywnych skutków przeciążenia. Wskaźnik szedł jednak nieprzerwanie w górę, już wkraczał na pomarańczowe pole, jeszcze moment i dojdzie do czerwonego.

Dlaczego nie zwalnia, do skurwyklonej maci?

– Przygotujcie się, bo to może zabołec! – poleciła podwładnym, aplikując sobie podwójną dawkę środków przeciwbólowych.

Granica czerwieni została przekroczona.

Eileen pociemniało przed oczami. Zaciśnęła szczęki i powieki, żeby przeczekać najgorsze. Robiła wszystko, by nie stracić przytomności. Wprawdzie główne baterie turbolaserów, zwłaszcza rufowe, niewiele mogły zdziałać w takim przypadku jak ten, ale skoro miała zginać w tym systemie, wolała zginać podczas walki. Nie chciała być ubezwłasnowolnionym połciem mięcha uwięzionym w helonowej skorupie. Nie chciała zostać zmiażdżona jak nie przymierzając, rozdeptany małż. Nacisk nie słabł jednak, kompensatory pracowały z pełną mocą, ale i one nie wytrzymały przy tak ogromnym przeciążeniu. Donna syknęła, uświadomiwszy sobie, że traci czucie w dłoniach. Słyszała jęki spanikowanych podwładnych, lecz nie była w stanie ich uciszyć ciętym komentarzem. Sama z najwyższym trudem łapała oddech. Umilkli zresztą szybko, jedno po drugim, nie mając za sobą rozszerzonego treningu przystosowawczego.

Nie chcę tak umierać. Nie chcę, pomyślała gorzko, zanim i ją pochłonęła bezkresna czerni, w której nie było nic – ani światła, ani dźwięku, ani strachu, ani bólu.

* * *

Effinger zaklął, gdy kolejny myśliwiec zamienił się w kulę szybko stygnącej plazmy. To już piąty z ośmiu, które wyszły do tej pory z nadprze-strzeni. Trzy inne, na szczęście, wydostały się ze strefy największego zagrożenia, ale niebezpieczeństwo, jak widać, jeszcze nie minęło.

Keyes, cokolwiek o nim mówiono, nie był głupcem. Wdrożył bez gadania przesłany mu przez poprzednika plan, lecz niestety to, co wyglądało tak pięknie w teorii, nie sprawdzało się w praktyce.

Nawet tak genialne oprogramowanie jak sztuczna inteligencja najnowszej generacji nie było w stanie przewidzieć trajektorii każdej z miliardów grudek litego metalu mknących szeroką elipsoidalną ławą w kierunku strefy skoku. Granice umownego woleja obejmowały obszar największego ich zagęszczenia, ale poza tę przestrzeń wylatywały co rusz drobiny wyrzucane na skutek nieuniknionych kolizji, których liczba podwajała się z każdym przebytym gigametrem i szła teraz w dziesiątki, a może nawet setki tysięcy.

Pułkownik nie miał złudzeń: ludzkość nie stworzyła dotąd maszyny, która zdołałaby opracować dokładny model takiego chaosu, i choć BaSileus założył na jego polecenie spory margines błędu, ów okazał się niestety zbyt wąski. Oczywiście poprawki nanoszono w czasie rzeczywistym, dzięki czemu następna formacja okrętów – przy tej okazji był to krążownik i trzy niszczyciele – otrzymała na wyjściu ze studni grawitacyjnej skorygowane po raz trzeci rozkazy.

Problem w tym, że zadane korekty kursu okazały się za duże. Effinger patrzył ze zgrozą na szacunki podawane przez System *Niepokonanego*.

Żaden człowiek, nawet z pomocą najpotężniejszych kompensatorów, nie wytrzyma tak ogromnych przeciążeń, myślał. Ktoś jednak – zapewne Dozois albo jeden z jej przełożonych – zdecydował, że należy przekroczyć tę granicę...

Dla admiralicji straty osobowe nie były tym samym co dla oficera z pierwszej linii. Strategom siedzącym za biurkiem łatwo szafować ludzkim życiem, które na najwyższym poziomie łańcucha dowodzenia sprowadza się do pozycji zapisanej w arkuszu kalkulacyjnym, pułkownik jednak zaliczał się do tych, którzy brali udział w misjach, i odczuwał każdą taką stratę bardzo boleśnie.

Ze szczególną uwagą obserwował ikonkę, którą oznaczono krążownik. W załodze *Termopil* znał osobiście kilkoro członków załogi oraz oboje współdowódców, Tada Webera i Sarę White. Niestety już w chwili wyjścia wiedział, że to nie może skończyć się dobrze. Cztery okręty wyszły dużo bliżej środka punktu skoku niż poprzedzające je myśliwce, co oznaczało, że chcąc uniknąć kontaktu z wolejem, będą musiały wykonać jeszcze ostrzejszy zwrot. Załoga nie miała tu nic do gadania. Rozkaz był wykonywany przez System, któremu udzielono zdalnie koniecznych prerogatyw, gdyż ludzki umysł reagował zbyt wolno, a każda setna sekundy opóźnienia mogła poskutkować utratą okrętu.

Wskaźniki widoczne w sąsiednim oknie nie pozostawiały złudzeń. Najpierw zginęli ci, którzy nie przebywali na stanowiskach bojowych i nie byli chronieni kokonami kompensacyjnymi, potem ich śladem poszła cała reszta. Siedemdziesięcioro dwoje dobrych żołnierzy i oficerów.

– Cześć waszej pamięci! – mruknął Effinger i zsalutował, kiedy główny wskaźnik przeciążenia wyszedł poza skalę.

W punkcie skoku pojawiły się już następne dwie formacje. W piątej sekundzie po wyjściu *Miecz 504* wyparował w widowiskowej eksplozji po zderzeniu ze szczątkami któregoś z wcześniej zniszczonych myśliwców. To

było kolejne zagrożenie, którego nie dało się przewidzieć z wyprzedzeniem. Każdy wybuch pozostawiał po sobie wrakowisko, które rozprzestrzeniając się, szybko obejmowało coraz większy obszar. Rozmiary unicestwionej jednostki nie miały znaczenia – przy tych prędkościach nawet maleńka maszyna mogła przesądzić o losie krążownika.

Termopile leciały jednak dalej. W dziesiątej sekundzie lotu ikonka rozbłysła, sygnalizując trafienie, lecz było to tylko muśnięcie, z którym poradziły sobie potężne tarcze energetyczne. Lista uszkodzeń była wprawdzie bardzo długa, ale żadne z nich nie miało statusu krytycznego.

Pułkownik znów przeniósł wzrok na dwa klucze myśliwców, które opuściły studnię po większych okrętach. Z ósemki zostało ich już tylko pięć, ale znajdowały się na tyle daleko od woleja, że powinny przetrwać, jeśli nie trafią pechowo na szczątki zniszczonych wcześniej okrętów. Prawdopodobieństwo takich kolizji było wprawdzie minimalne, ale przykład *Miecza 504* pokazywał dobitnie, że jednak nie zerowe.

Effinger wstrzymał oddech, gdy z tunelu czasoprzestrzennego wyszły pierwsze cztery Atlasy. Nie były to zwykłe rdzeniowce, tylko produkowane na potrzeby floty transportowce, które już na pierwszy rzut oka różniły się od cywilnych wersji, choćby za sprawą kuli drugiego reaktora i znacznie masywniejszej kryzy dziobowej. One także, jak każdy okręt wojenny, były chronione potężnymi tarczami energetycznymi, zasilanymi przez dodatkowe tokamak.

Jako w pełni autonomiczne jednostki, zbudowane specjalnie na potrzeby takich właśnie transportów, te dziesięciokrotnie dłuższe od krążowników olbrzymy nie miały na swoich pokładach załóg. W otwartej przestrzeni ich rozmiary były bez znaczenia, lecz strefy skoku należały do wyjątków. Ze względu na bliskość gwiazd oddziaływała na nie potężna grawitacja, ta sama, która przed momentem stała się przyczyną zgonu załóg *Termopil* i wszystkich *Miecz*.

Choć w tym przypadku nikt nie mógł zginąć, przeciążenie nadal stanowiło poważny problem. Centralny rdzeń, mimo że wzmocniony dodatkową warstwą helonu, mógł nie wytrzymać, ponieważ w kluczowym momencie wykonywanego manewru będą na niego oddziaływać siły znacznie przekraczające nominalną wytrzymałość materiałową. BaSilleus szacował, że będzie to dwadzieścia sześć procent. O trzy więcej, niż wynosiły maksima testowe.

Effinger pozwolił sobie na szybki rzut oka w inną część ekranu. *Termopile* przekroczyły granicę strefy żółtej, za którą krążownik powinien być już bezpieczny.

Oby tak dalej, a będziemy mieli komu wyprawić pogrzeb, pomyślał, wracając do obserwacji rdzeniowców.

Na Erytrei pojawiło się już osiem Atlasów, a kolejne cztery wychodziły właśnie ze studni grawitacyjnej. Czołowy zespół dotrze za moment do punktu, w którym przeciążenie sięgnie wartości krytycznej. Krzywa wektorów kursu tych jednostek była w tym przypadku minimalnie mniejsza, ale i tak ocierała się o granicę woleja. Najpierw BaSilleus, a po nim Systemy *Miecza 721* i admiralicji obliczyły trajektorię lotu idealnie wypośredkującą ryzyko trafienia i złamania rdzenia.

Pułkownik zacisnął do bólu oba kciuki. Najbliższe sekundy zadecydują o dalszych losach zarówno konwoju, jak i jego samego.

Jeśli wielkie transportowce ocaleją, choćby nie wszystkie, Dozois może mi dać szansę na odkupienie win. Jeśli ulegną zniszczeniu, ja także srogo ucierpię, bo góra nigdy mi nie wybaczy, że dopuściłem do tego chaosu.

Na razie nie wydarzyło się nic, co stawiałoby go na przegranej pozycji, lecz najgorsze dopiero nadchodziło. Wskaźnik przeciążenia na głównym wyświetlaczu dobijał do stu piętnastu procent. Effinger wpatrywał się w odczyty, bojąc się nawet mrugnąć. Czas spowolnił bieg, i to jeszcze bardziej niż poprzednio, gdy obserwował zagładę załogi *Termopil*. Nic dziwnego – tym razem stawką była jego kariera, a być może również życie.

Sto siedemnaście.

Dane przesyłane z pokładów Atlasów nie wykazywały na razie zbyt dużych odchyżeń od normy. Połowa okienek miała jednak lekko żółtawy kolor, który ciemniał z każdym uderzeniem walącego jak oszalałe serca.

Sto osiemnaście.

Tu i ówdzie pułkownik dostrzegał róż.

Szlag!

Podskoczył w fotelu, gdy jakaś zabłąkana drobinka trafiła w tarczę na wysokości drugiego pasa ładowni, ale to też było tylko muśnięcie, które przy tej mocy osłon nie doprowadziło do żadnych uszkodzeń prócz chwilowego osłabienia ekranów ochronnych.

Sto dziewiętnaście.

Czerwień, z początku bardzo blada, rozpełzała się na kolejne okienka.

Sto dwadzieścia.

Nadal nie było błyskających ostrzegawczo alarmów. Wskaźnik przestał rosnać albo czas zwolnił aż do tego stopnia... Effinger przełknął nerwowo ślinę.

Dawajcie, dranie, wiem, że możecie to wytrzymać!

Do strefy żółtej pozostała już tylko sekunda lotu.

Nagle wszystkie ikonki zniknęły. Nie doszło do alarmu ani do migotania, po prostu wektory zgasły, jakby nigdy ich tam nie było. Zaskoczony pułkownik obrzucił wzrokiem ostatnie wpisy. Nigdzie nie zauważył informacji o trafieniu i choć mijały kolejne sekundy, wyświetlacz nadal był kompletnie pusty. Effinger nie był jedynym człowiekiem, który nie rozumiał, co się stało. Ansibl wypluwał komunikaty z *Miecz* jego zespołu i jednostek czarnych. Trwało to chwilę, po czym wszystkich zmroził głośny krzyk.

- Kurwirtual!

Przekaz z patrolującego strefę za punktem skoku ścigacza wydziału, który znajdował się siedem sekund świetlnych od okrętów konwoju, był krótki, ale treściwy. Atlas z czwartego zespołu zaliczył krytyczne trafienie niedługo po wyjściu z nadprzestrzeni. Effinger przeoczył ten fakt, ponieważ skupiał uwagę na pierwszej czwórce poprzedzającej zniszczony frachtowiec o niemal pięć sekund lotu.

Teraz przyglądał się eksplozji, której moc BaSilleus obliczył na co najmniej trzy gigatony. Tysiące ogniwi paliwowych, z których każde było czymś na kształt bomby atomowej, doprowadziły do zniszczenia nie tylko trafionego rdzeniowca, ale także innych jednostek konwoju. Trzy transportowce znajdujące się najbliżej wyparowały w tym samym momencie, zwielokrotniając moc pierwotnej eksplozji, ale nie to było najgorsze. Impulsy elektromagnetyczne towarzyszące tym wybuchom zgasiły reaktory i zdjęły tarcze wszystkich pozostałych okrętów, nawet tych, które znajdowały się milion kilometrów od punktów zero.

- Kurwirtual... - mruknął zeszywniały pułkownik, oglądając odtwarzany w znacznym spowolnieniu przekaz, na którym widać było, jak kolejne zespoły rdzeniowców znikają, zamieniając się w sfery plazmy wielkości średniego księżycy.

Podobny los spotkał także zespół zadaniowy tworzący ariergardę konwoju. Wychodzące z nadprzestrzeni prosto w to piekło klucze myśliwców oraz krążownik i niszczyciele nie miały najmniejszych szans, mimo że znajdowały się odpowiednio daleko od granicy woleja.

Rozdział 17

*Systemy Centralne,
strefa skoku,
System Centurion, Sektor Tango,
12.05.2234, godz. 12:02*

Niepodległość, największy i zarazem najnowocześniejszy okręt wojenny Federacji, wyszedł z nadprzestrzeni półtorej sekundy po ostatniej formacji straży przedniej. Niedługo po nim na Centurionie pojawiły się cztery pękate pasażerskie jumpery, przewożące resztę delegacji parlamentarnej oraz towarzyszących jej przedstawicieli mediów. Zamykający kawalkadę zespół zadaniowy floty był identyczny jak ten, który leciał na jej czele, i składał się z ośmiu krążowników, szesnastu niszczycieli oraz trzydziestu dwóch myśliwców.

Wizyta Strossa na Centurionie miała być nie tylko wyrazem troski władzy o obywateli, ale także pokazem siły. Mieszkańcy najdalszych systemów musieli zobaczyć i zrozumieć, że destrukcja bazy na Kalidonie, którą chełpił się Bukowski, jest tak naprawdę niczym. Strata kilkunastu okrętów wojennych i garstki myśliwców nie zaboli potęgi dysponującej tysiącami podobnych jednostek.

Aby wbić ludziom do głowy ten prosty fakt, kanclerza i garstkę jego pomocników eskortowało dzisiaj ponad sto nowoczesnych okrętów wojennych, których zgromadzenie na tę okazję w najmniejszym stopniu nie osłabiło poziomu obrony Systemów Centralnych – co miało zostać podkreślone w trakcie wystąpienia zaplanowanego na godzinę trzynastą czasu standardowego.

Czterysta innych jednostek floty, głównie transportowców i okrętów desantowych, pojawiło się na Centurionie dobow wcześniej, by nieść pomoc tym, którzy jakimś cudem zdołali przetrwać kontakt z falą uderzeniową. Rzecz jasna na każdym etapie heroicznych wysiłków towarzyszyły ratownikom holokamery.

Stross zmrużył oczy z lubością, gdy panoramicon mostka *Niepodległości*, pierwszego pancernika, jaki powstał w stocznicach orbitalnych Federacji, wypełnił się mrowiem gwiazd i naniesioną nań gęstą siecią wektorów. Centurion był dzisiaj najbardziej obleganym systemem w części Galaktyki podbitej przez człowieka.

Akcja ratunkowa trwała nieprzerwanie od ponad czterdziestu ośmiu godzin. Na wysokiej orbicie Deltę roilo się od jednostek cywilnych i okrętów wojennych, jeszcze gęściej było poniżej, w atmosferze, gdzie dziesiątki tysięcy wahadłowców i innych jednostek bliskiego zasięgu krążyły nieprzerwanie pomiędzy miastami, których pola siłowe nie padły w pierwszym starciu z żywiołem, i statkami mogącymi podjąć ewakuowanych kolonistów.

Przekaz był jasny i dobitny: Rada nikogo nie porzuci na pastwę losu. Akcja będzie prowadzona do samego końca. Każdy, kto zdołał przetrwać piekło rozpętanego na powierzchni Deltę przez separatystów, zostanie prędzej czy później uratowany i znajdzie nowy dom.

Taki obraz malowała od pierwszych chwil federacyjna propaganda, lecz prawda była niestety o wiele bardziej mroczna i przygnębiająca. Pomimo nadludzkich wysiłków i niekwestionowanego poświęcenia niezliczonych bezimiennych bohaterów finalny bilans kataklizmu nie miał ulec większej zmianie. Na orbitę trafi niespełna półtora procent mieszkańców Deltę, którzy pechowo dla siebie nie wyparowali podczas zderzenia z asteroidą ani też nie zostali zmieceni potężną falą uderzeniową.

Kilkanaście milionów obywateli ginącej planety, którzy w tym właśnie momencie spoglądali z nadzieją w niebo, wypatrując na nim statków zwiastujących ocalenie, nie przetrwa kolejnego przejścia fali uderzeniowej i serii następujących po nim trzęsień ziemi, wybuchów wulkanów, fal tsunami i wielu innych równie niszczycielskich kataklizmów. Męczeńskiej śmierci tych ludzi nie zarejestrują kamery holo- ani sensowizji. Wszyscy co do jednego zostaną pominięci, wyrzuceni poza nawias, jakby nigdy nie istnieli, ponieważ nic nie mogło zepsuć triumfalnego wydzwisku propagandowych transmisji.

Strossowi to nie przeszkadzało. Osobiście zaakceptował plan, który przewidywał, że akcja ewakuacyjna obejmie wyselekcjonowane starannie obszary z tylko niewielką liczbą ocalańców, tak by odpowiednie służby miały szansę uratować każdego człowieka, widzowie zaś zobaczą to i doświadczyć tego dzięki przekazom medialnym. Kanclerz przybył na

Centuriona w określonym celu: by pławić się w blasku chwały – i nieważne, czy tłem dla niego będą tarcze życiodajnych gwiazd czy żywiol spopielający całe kontynenty. Musiał wypaść jak najlepiej, a brak świadków porażki będzie najlepszym sposobem na jej ukrycie przed masami obywateli z innych systemów.

Co z tego, że kierując dostępne siły na bardziej zaludnione regiony, można by uratować kolejne pół miliona ludzi, skoro wszyscy oni mogliby kiedyś zadać kłam słowom, które padną za niespełna godzinę.

Rada nie porzuci nikogo na pastwę losu. Koniec kropka.

To był pomysł Wollheim, ale kanclerz podpisywał się pod nim obiema rękami. Potrzebował znaczącego sukcesu, potrzebował go tutaj i teraz!

Zaczerpnął głębiej tchu, po czym wstał z fotela obserwatora i wszedł wolnym, acz stanowczym krokiem pomiędzy kolistę obudowy stanowisk operacyjnych mostka. Otaczające go miniaturowe holokamery śledziły każdy jego ruch, a gdy stanął w końcu na wprost wielkiego panoramicznego ekranu, na który skanery dalekiego zasięgu rzucały zbliżenia gorejącej wciąż Deltę, one także zamarły. Najpotężniejszy człowiek w Federacji przyglądał się ogromowi zniszczeń z nieprzeniknioną miną, kiwając w zamyśleniu głową, jak przystało na bolejącego męża stanu.

Przychodziło mu to z coraz większym trudem, gdyż kątem oka dostrzegł właśnie, że kontradmirał dowodzący *Niepodległością* podchodzi do jednego ze stanowisk, jakby został tam przywołany przez pełniącego służbę podoficera, po czym rozgląda się – jak na gust Strossa zbyt nerwowo – i przywołuje dyskretnym skinieniem głowy Gernsbacka. Najwyższy admirał wysłuchał go, a następnie ruszył w kierunku dumającego nad tragedią Deltę kanclerza, lecz po zrobieniu pierwszych kroków został powstrzymany przez Connie, która zwyczajnie zastąpiła mu drogę. Rozmawiali zaledwie chwilę, oczywiście półgłosem, a może nawet szeptem, ale z samych gestów i postawy dało się wywnioskować, że nie jest to przyjacielska pogawędka.

Coś się wydarzyło. Coś poważnego, sądząc po reakcji naczelnego dowódcy sił Federacji. Cokolwiek to jednak było, musiało poczekać, ponieważ transmisja szła na żywo do wszystkich najważniejszych niusowników. Zepsucie tak doniosłego momentu nie wchodziło w grę, co Wollheim wyłożyła rozmówcy w paru krótkich żołnierskich słowach. Gernsback wysłuchał jej, krzywiąc się pogardliwie, ale zrezygnował z próby dotarcia do zaintrygowanego jego zachowaniem, a przy tym lekko zanie-

pokojonego Strossa. Uśmiech na twarzy doradczynie niewiele pomógł, gdyż i w jej oczach czał się cień strachu.

Kanclerz stracił oboje z oczu, kiedy widok przesłonił mu oficer składający raport. Zamiast słuchać monotonnego gładzenia, tylko mechanicznie potakiwał, zdążył bowiem dojść do mistrzostwa w udawaniu zainteresowania – a to dzięki dekadom uczestnictwa w bezproduktywnych debatach i rautach.

Myślami krążył niepodzielnie wokół wiadomości, która tak bardzo poruszyła najwyższego admirała.

Co takiego się stało? Czy chodzi o Deltę? Jakiś dureń zlekceważył rozkazy, poleciał do strefy zakazanej i co gorsza, przywłókł stamtąd masę ludzi? Nie, taką wpadkę dałoby się sprawnie zatuszować bez angażowania najwyższych szarż. Wollheim wiedziała, co robi, wybierając trzy orbitalne lokacje, w których mogli nakręcić przemówienie skierowane do tłumy bezgranicznie wdzięcznych ocalonych...

Gdy przysłała pora, podziękował generałowi, nie tylko salutując, ale też ściskając mu dłoń – z obowiązkowym ujęciem pod łokieć – po czym raz jeszcze posłał chmurne spojrzenie w stronę widocznej na panoramiconie Deltę.

Cięcie!

Holokamery wycofały się błyskawicznie, ale otoczyły go ponownie, dostrzegłszy, że staje twarzą w twarz z najwyższym admirałem. Na szczęście jedno słowo Connie wystarczyło, by technicy zabrali je sprzed nosów oficjeli – te parę chwil prywatności Stross i Gernsback zawdzięczali przeniesieniu transmisji na pokład jumpera. Bova i Norton od dłuższego już czasu przebierali nogami, aby także zabłysnąć.

– Separatyści zastawili na Erytrei pułapkę. – Gernsback przełknął nerwowo ślinę.

– Na kogo? – zdziwił się kanclerz.

– Na nasz konwój.

– Ten konwój? – Stross z trudem zapanował nad głosem i miną.

– Tak – odparł zwięźle najwyższy admirał.

– Ponieśliśmy duże straty?

Dowódca floty milczał. Wbicie wzroku w pokład było jednak wystarczającą odpowiedzią.

– Jak to możliwe? – wtrąciła stojąca tuż obok Wollheim. – Podobno zabezpieczyliście się na wszystkie sposoby.

- Cała strefa skoku została opróżniona - zapewnił ją Gernsback. - Wstrzymaliśmy ruch i odesłaliśmy na tymczasowe kotwiczowiska wszystkie jednostki cywilne. Sprawdziliśmy nawet przyległe systemy...

- Mam gdzieś, co robiliście, skoro nic to nie dało! - przerwał mu rozwiścieczony Stross.

- Ale...

- Mamy nagrania?

- Oczywiście.

- Chcę je zobaczyć!

- Tak jest! - Jeden ruch dłonią i Delta zniknęła z głównego ekranu.

* * *

- Pięć minut do powrotu na wizję - przypomniała Wollheim.

Stross sapnął gniewnie. Szlag go trafił po obejrzeniu fragmentów nagrań z Erytrei i wysłuchaniu szczegółowych wyjaśnień Dozois. Najchętniej pieprzyłby wszystkim i kazał Gernsbackowi wracać na Ziemię, ale był zmuszony odrzucić ten niezwykle kuszący pomysł, ponieważ rejterując z Centuriona, straciłby nie tylko twarz, ale też niepowtarzalną okazję do przejścia inicjatywy. Trudno, nadal będzie robił dobrą minę do złej gry. Zwłaszcza że podróżowanie w nadprzestrzeni nie było już tak bezpieczne, jak mu się do tej pory wydawało.

Dlaczego te skurwyklony musiały uderzyć właśnie teraz? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Bukowski nie mógł przecież wiedzieć, co planujemy, skoro sam tego nie wiedziałem wczoraj wieczorem, nie mówiąc już o tym, że przygotowanie takiego ataku musiałyby potrwać. Zatem to zwykły przypadek, zbieg okoliczności... - uznał, biorąc się w garść.

Zrobił trzy głębokie wdechy. Podane przez prywatny System farmaceutyki zaczynały powoli działać. Złość rozpuściła się w nich bez śladu, podobnie jak strach. Tylko uczucie rozgoryczenia wciąż tliło się w najdalszych zakamarkach mózgu.

- Co proponujesz? - zapytał doradczynię.

- Jedźmy według rozkładu, z jedną tylko drobną modyfikacją - odparła bez namysłu. W sytuacjach podbramkowych była nieoceniona.

Za to ją cenił i za to jej płacił.

- O jakiej modyfikacji mówisz?

- Nie ma sensu udawać, że nie wiemy o ataku na Erytrei. Wyszlibyśmy na głupców, twierdząc, że nic się nie stało.

- To prawda - przyznał.

- Ale możemy zbagatelizować rangę tego wydarzenia. Przedstawić to tak, jakby Bukowski zniszczył mało znaczący cel.

- Ten skurwyklon upubliczni nagrania z ataku - uzmysłowił jej kanc-
lerz.

- I co z tego? Po pierwsze: jego wiadomość dotrze do większości syste-
mów dopiero za pewien czas. Po drugie: to tylko kilka rdzeniowców
z zaopatrzeniem i osłaniająca je niewielka eskorta. Gdyby to naprawdę był
ważny dla floty transport, dalibyśmy mu znacznie silniejszą ochronę,
a nie parę wysłużonych niszczycieli. Może pan to powiedzieć, stojąc na tle
formacji okrętów, które towarzyszą nam w tej podróży. Nie musimy zmie-
niać tonu wystąpienia, wystarczy, że dodamy krótką wzmiankę. Zupełnie
jakby ten atak nas nie obchodził.

- A co z wcześniejszą telekonferencją?

- Wzbogacimy ją o odebranie specjalnie spreparowanego meldunku
z Erytrei. Przerwiecie na chwilę rozmowę, by go wysłuchać, po czym
jakby nigdy nic wróćcie do omawiania kwestii związanych z prowadze-
niem akcji ratunkowej. To da ludziom do myślenia.

- I nie muszę komentować tego faktu w żaden sposób? - zapytał Stross.

- Jeśli już, wyłącznie jednym zdaniem - odparła Wollheim. - Prześlę je
panu za moment na komunikator.

- Świetnie. Zorgani... - Kanclerz urwał, zauważając wiadomość od sto-
jącego przy stanowisku łączności Gernsbacka. - Tak, admirałe?

- Mamy kolejne oświadczenie separatystów.

- Dawać je na główny!

Bukowski stał na tym samym tle co poprzednio. Tym razem był jednak
spokojniejszy, można nawet powiedzieć, że zrelaksowany i pewny swego.

- Nasze postulaty są proste i łatwe do spełnienia - mówił, spoglądając
wprost w obiektywy. - Chcemy równouprawnienia, ponieważ jesteśmy
takimi samymi obywatelami Federacji jak wy. Chcemy godziwej płacy,
ponieważ to my pracujemy na dobrobyt, w którym się pławicie. Ten jeden
jedyny kredyt podwyżki dziennie, o który się upominamy, to wprawdzie
grube miliardy, ale jeśli przyjrzyście się dokładniej wyliczeniom, to zauwa-
życie, że chodzi o zaledwie półtora procent dochodów garstki oligarchów.
Ci ludzie są tak obrzydliwie bogaci, że żaden nie zauważy nawet tej straty.
Ostrzegam: kontynuując ataki, nie odbudujecie swoich wpływów na Tery-
toriach i Rubieżach. Każda kolejna próba zastraszenia ruchu oporu i straj-

kujących obywateli zakończy się podobnie. Straciliście na Kalidonie całe zapasy ogniwi paliwowych dla naszego metasektora. Próbowaliście je odbudować, przerzucając wszystko ze strategicznych magazynów Systemów Centralnych, ale konwój nie dotarł daleko. Zniszczyliśmy go głęboko na waszym terytorium, nie zabijając przy tym nikogo postronnego, tak samo jak na Kalidonie. – Bukowski milczał przez moment. – Rodzi się pytanie, dlaczego chcecie otwartej wojny, zamiast podjąć rozmowy i wygasić protesty drogą pokojową. Odpowiedź jest prosta: boicie się ujawnienia prawdy o ataku na Deltę Centuriona. Ale prawda ujrzy światło dzienne już wkrótce. Zdobyliśmy na Fukushima dowody waszej winy i nie zawahamy się ich przedstawić światu. Macie ostatnią szansę na to, by ukarać winnych tego odrażającego czynu i zaprowadzić pokój. Tylko od was zależy, czy z niej skorzystacie. Zaprzestańcie prób odbudowy potencjału militarnego na Terytoriach, a my powstrzymamy się od dalszych ataków na infrastrukturę floty.

Po tych słowach na holopadzie pojawiło się umiejętnie zmontowane nagranie z Erytrei 9.

– A to skurwyklon – mruknął kanclerz obojętnym tonem.

Zaaplikowane wcześniej środki uspokajające stłumiły w nim wszystkie uczucia, nawet złość, którą powinien kipieć w tym momencie.

– Trzydzieści sekund do wejścia na wizję – rzuciła Wollheim będąca wzorem opanowania. – Spodziewałam się tego typu oświadczenia. Gotową odpowiedź na nie znajdzie pan na swoim komunikatorze.

Część trzecia

ZAMACH

Rozdział 18

*Terytoria Wewnętrzne,
Zeiram, powierzchnia Gammy,
System Hyperion 32, Sektor Whisky,
12.05.2234, godz. 20:24*

Trzeciego dnia Kaliopie nie wytrzymała. Zaszycie się w ustronnym kubiku, daleko od centrum jednego z najmniejszych miast Gammy, w pierwszej chwili uznała za naprawdę świetny pomysł, ale jej początkowy zapał słabł z każdą godziną, którą musiała spędzić w bardzo ciasnej i na domiar złego cuchnącej klitce. W normalnej sytuacji mogłaby zabijać czas ucieczką w senso, teraz jednak na wszystkich kanałach nadawano to samo: niekończące się relacje na żywo z Deltą Centuriona.

W połowie trzeciej doby rzygała już na widok spanikowanych ludzi, którzy na kilka sekund przed przejściem fali uderzeniowej nagrywali masowo krótkie, chwytające za serce pożegnania, przeplatane teraz przez nadawców ujęciami szerszego planu, pokazującymi niszczycielski żywioł z dalszej perspektywy, a czasami nawet z orbity. Wszystkie stacje międzysystemowe transmitowały ten przytłaczający syf na okrągło, w jej przypadku całe pięćdziesiąt sześć godzin na lokalną dobę. W dodatku komercyjne kanały po prostu wyłączono, żeby nic nie odwracało uwagi odbiorców od treści wbijanych im do głowy medialnym młotem.

Zaszywając się w tej śmierdzącej norze, Willhelm liczyła na pełen ogląd sytuacji nie tylko w Zeiramie, ale na całej Gammie. Tymczasem wszystkie niusowniki skupiały się wyłącznie na tragedii Deltą, jakby reszta obywateli Federacji struchlała w chwili zderzenia i od tamtej pory siedziała nieruchomo, gapiąc się bezmyślnie w ekrany.

Kaliopie nie była głupia, zdawała sobie sprawę, że propaganda będzie bagatelizować protesty, które rozlewały się od trzech dni po całych Terytoriach i Rubieżach, lecz nawet w snach nie sądziła, że temat ten zostanie całkowicie przemilczany.

Wokół niewątpliwie wrzało. Tajemnica ujawniona przez Bukowskiego była przysłowiową kroplą przepełniającą czarę goryczy. Iskrą, która powinna doprowadzić do niekontrolowanego wybuchu gromadzących się od lat toksycznych oparów absurdu, w jakich przyszło żyć i pracować prawie trzem czwartym ludzkości. Próba wprowadzenia programu masowej reedukacji, podobnie jak instalacja „korporacyjnych zabezpieczeń”, nie mogła przejść bez echa, jak chcieliby tego rządzący, tymczasem próżno było szukać w holo i senso choćby jednej wzmianki o skali bieżących problemów. Nic, tylko Delta, Delta i jeszcze raz Delta, odmieniana chyba przez wszystkie przypadki.

Bez dokładnej wiedzy na temat aktualnych wydarzeń Kaliope nie była w stanie zaplanować kolejnych posunięć, co oznaczało, że prędzej czy później przyjdzie jej opuścić kryjówkę i poszukać odpowiedzi na własną rękę. Informacje musiały krążyć wśród ludzi – w formie podawanych z ust do ust plotek czy rozsyłanych dyskretnie, z konta na konto, wiadomości. Wystarczyło więc pójść w pierwsze lepsze bardziej zatłoczone miejsce i nadstawić ucha.

Nie bój się wpadki ani dekonspiracji, powtarzała sobie raz po raz. Po pierwsze: nikt cię nie szuka, ponieważ zostałaś uznana za zmarłą. Po drugie: masz nową, stuprocentowo czystą tożsamość. Gdyby było inaczej, czarni zgarnęliby cię już w hotelu.

Mimo logiki tych argumentów nie zdołała przezwyciężyć irracjonalnego lęku. Nie pomagał nawet fakt, że była przygotowana na tę ewentualność. Odpowiednio wcześniej ustaliła rozmieszczenie najbliższych checkpointów – w leżącej na uboczu dzielnicy zostały tylko trzy takie miejsca, i to nieczynne od lat. Kaliope zmapowała je podczas pierwszego rekonesansu. Zrobiła to dla... świętego spokoju, chcąc stłumić obawy. Tak brzmiało łagodniejsze określenie dręczącej ją od paru dni manii prześladowczej, którego trzymała się równie mocno jak elektron jądra atomu.

Mogła bez trudu ominąć te punkty. Siedmiopoziomowy labirynt uliczek i korytarzy pozwalał na wybranie dowolnej trasy, a wszystkie drogi prowadziły i tak do jednego celu – przystanku hyperloopa, którym w godzinie szczytu zdołałaby dotrzeć niepostrzeżenie do najniższych poziomów Tendaru, gdzie z kolei roilo się od podrzędnych spelunek, w których wydają na drinki nie więcej niż pół kredyta, można było dowiedzieć się wszystkiego bądź – jeśli ktoś uświadomi sobie, że nadstawiasz ucha – dostać po ryju.

To drugie Kaliopie raczej nie groziło, gdyż Frank nauczył ją, jak wtapiać się w tłum i nie ściągać na siebie uwagi, co z tego jednak, skoro jej opory przed opuszczeniem kryjówki nadal były silniejsze. Wiele razy podejmowała stanowczą decyzję, z której wycofywała się, zanim zdążyła otworzyć drzwi, mimo że holokamery, przewidująco rozmieszczone przy najbliższym skrzyżowaniu, nie wychwyciły żadnej podejrzanej aktywności.

Na tym zadupiu ruch nigdy nie był wielki, prócz tych nielicznych chwil, gdy mający zatrudnienie szczęśliwcy udawali się do centrum albo nawet do sąsiednich miast. Przez to niestety nie miała szans wmieszać się w tłum. Okoliczne korytarze świeciły pustkami nawet w godzinach szczytu: pomiędzy piątą i siódmą, od dziewiętnastej do dwudziestej pierwszej i jeszcze dwukrotnie w ciągu cholernie długiej tutejszej doby.

To pokazuje, że coś jest nie tak, pomyślała. Ludzie mieszkający w tej okolicy daliby się przecież pokroić za dziesiąte części kredytu, a skoro siedzą po domach czy zakładach pracy...

Konkluzja wydawała się oczywista. Jeśli nawet tutaj ruch zamarł prawie do zera, stanąć musiała cała planeta. Chyba że...

Nie, muszę mieć absolutną pewność co do sytuacji, żeby nie utknąć przypadkiem w pułapce bez wyjścia, w jaką może się zamienić to przysłowiowe zadupie zadupia, uznała Kaliopie, stając po raz enty przed wyświetlaczem pokazującym kilka ujęć pobliskiego skrzyżowania.

W zasięgu wzroku miała co najwyżej kilkanaście osób zajmujących się tym, co mieszkańcy peryferii zazwyczaj robią po wyjściu z kubików. Nie małą część z nich kojarzyła. Pamięć miała doskonałą, ojciec twierdził nawet, że fotograficzną, a przed tymi ekranami spędziła długie godziny, zanim nakarmiła do syta goszczącą w jej głowie paranoję.

A może by tak...

Broniła się przed tą myślą od samego początku. Nie chciała mieć nic wspólnego ani z przemytnikami, ani z ruchem oporu, ale... Jedna krótka rozmowa z Angelarą mogła dać jej więcej odpowiedzi niż dziesięć wypadów do centrum. Gra wydawała się więc warta świeczki. Musiała tylko umiejętnie zagadać, zamarkować niepokój przeciętnej kolonistki. Czarni z pewnością rejestrowali tysiące takich połączeń w ciągu godziny. Weaver będzie się pilnować, nie palnie w trakcie rozmowy niczego głupiego, żeby się nie zdekonspirować.

Czy aby na pewno?

Kaliope cofnęła się w głąb kubika, usiadła przed terminalem i zacisnęła mocno powieki.

Albo to, albo ryzykowna wyprawa na miasto.

Wbiła zapamiętany na wszelki wypadek numer Angelary, potem raz i drugi cofnęła dłoń znad klawisza aktywującego połączenie, ale przemo-gła się w końcu i musnęła opalizujący w półmroku prostokąt opuszką palca wskazującego. Weaver odebrała już po drugim sygnale.

– No co tam? – zapytała przemytniczka, ziewnąwszy szeroko. – Przemysłałaś propozycję? Oferta jest jak najbardziej aktualna.

– Dzięki, ale chyba znalazłam lepszą robotę – odparła. – Tylko...

– Tylko co? – Rozmówczyni uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Wiesz może, jak wygląda sytuacja na Gammie i w ogóle w systemie? W niusownikach nic, tylko Delta i Delta. O nas ani słowa, a widzę, że ruch w mojej okolicy kompletnie zamarł.

– Uuu, kochana! – Angelara rozsiadła się wygodniej. – Dzieje się, tyle ci powiem. Całe Terytoria i Rubieże stanęły po wystąpieniu Bukowskiego. My też, znaczy Hyperion. Strajkują kopalnie, przetwórnice, port orbitalny. Prześlę ci parę folderów z wiadomościami, które dostałam...

– Nie trzeba!

– Prześlę ci je – powtórzyła bardziej zdecydowanym tonem Weaver. – Sama zobaczysz, jak wygląda sytuacja, bo naprawdę sporo się teraz dzieje, a ja nie mam czasu, by gadać o tym do wieczora. Ale wiesz, jakby co, oferta szefa nadal jest aktualna.

– Wiem i dziękuję, ale raczej nie skorzystam.

– No to trzymaj się ciepło i poręczy.

– Ty też się nie puszczaj – odpowiedziała znacznie weselszym tonem, zadowolona z przebiegu rozmowy.

Trackery wubecji nie powinny wychwycić niczego podejrzanego, ot, dwie przyjaciółki z dawnej pracy rozmawiały o niepokojącej wszystkich sytuacji. Moment później komunikator Wilhelm oznajmił serią cichych piknięć, że otrzymała sześć nowych wiadomości. Angelara nie żartowała. Pobieżne przejrzanie jednej trzeciej plików i nagrań zajęło jej bite trzy godziny.

* * *

Około dwudziestej trzeciej trzydziestej zrobiła sobie krótką przerwę, by coś zjeść i rozprostować kości. Czekaając na zsyntetyzowanie posiłku, wyko-

nała kilka skłonów i wymachów.

Bezczynność bywa czasem równie męcząca jak najgorsza harówka, pomyślała i parsknęła, szczerze rozbawiona tą konstatacją.

Tani i mocno przechodzony dispenser wypluł z siebie trzy kupki glutowej biomasy, odmienne wyłącznie pod względem barwy. Za dwie dziesiąte kredyta nie można było oczekiwać porcji dobrze przyprawionego mięsa prosto z namnażalni, ale naprawdę, konsystencja kotleta powinna się choć trochę różnić od pasty warzywnej.

Dobrze, że to gówno chociaż pachnie jak trzeba, pomyślała Kaliope, odsuwając tackę spod nosa.

Nabrała po odrobinie papki z każdej kupki, ale nie zdążyła podnieść łyżki do ust. Od strony terminala dobiegło głośne i szybkie pikanie.

Alarm?!

Zerwała się od stołu i doskoczyła dwoma susami do znajdującego się pod przeciwległą ścianą stanowiska. Kamery umieszczone na zewnątrz uchwyciły coś, co zaniepokoiło zarządzający tym blokiem System, do którego podpięła się zaraz po wprowadzeniu.

Wyświetlacz ożył, na jego centralnym panelu pojawiły się trzy okna. Powiększyła je kolejno, przerzucając na sąsiednie ekrany.

Hm.

Ruch był teraz nieco większy niż wcześniej, ale nie to zwróciło uwagę Systemu. Przed około godziną w okolicy skrzyżowania pojawiły się trzy nowe, niewidziane tu dotąd osoby, których zachowanie zaalarmowało wgrany przez Kaliope prosty tracker. Przybysze dobrze się maskowali, lecz komputera nie da się tak łatwo zmylić jak oczu przeciętnego człowieka.

Pierwszy z przybyszów stanął w kolejce do publicznego dyspensera, wybrał skromny posiłek, potem usiadł przy najbliższym ze stolików i zjadł wszystko ze smakiem, nie rozglądając się specjalnie ani nie przeciągając konsumpcji. Willhelm nie zauważyłaby w jego postępowaniu niczego dziwnego, gdyby opierała się wyłącznie na własnych zmysłach. Facet był ubrany podobnie jak większość mieszkańców tej dzielnicy, nie wyróżniał się też wyglądem – przeciętny wzrost, nijaka twarz, żadnych znaków szczególnych, tatuaży ani blizn.

Po wyrzuceniu tacki do atomizera przemierzył spokojnym krokiem skrzyżowanie i ustawił się w długiej kolejce do publicznych drukarek znajdujących się na przeciwległym rogu. Spędził na oczekiwaniu dwadzieścia

minut, także nie robiąc niczego podejrzanego, po czym odebrał zamówiony kombinezon i przebrał się na miejscu w jednej z kabin. Czysty i schludny przystanął pod publicznym wyświetlaczem, na którym leciały – jakżeby inaczej – przekazy z ginącej nadal Deltę. Sterczał tam dość długo, na pewno dłużej niż inni przechodnie. Kiedy wreszcie ruszył dalej, zrobiło się naprawdę ciekawie.

Nie zniknął z pola widzenia kamer, jak można było się spodziewać. Przeszedł z powrotem na drugą i stanął na końcu kolejki do tego samego publicznego dyspensera, z którego już raz skorzystał. Tracker natychmiast to wychwycił, a szybka analiza nagrań wykazała, że w identyczny sposób zachowują się jeszcze dwie osoby: młoda dziewczyna i otyły facet w średnim wieku.

Każde z nich krążyło po obrzeżach skrzyżowania – robili to w różnym tempie, nie wchodząc sobie ani razu w drogę, ale łączyło ich jedno: nawet na moment nie tracili z oczu zaułka, w którego głębi znajdowały się drzwi między innymi jej kubika.

Sprawdziła to trzy razy, zanim dała sobie spokój i opadła ciężko na oparcie fotela. Nikt normalny nie zachowuje się w ten sposób, chyba że ma jakiś powód, na przykład siedzi komuś na ogonie. Kaliope zrozumiała w okamgnieniu, że ma do czynienia z tajniakami. Pozostawało jednak pytanie: kto jest ich celem? Ona czy któryś z pozostałych mieszkańców tego zadupia?

Z wiadomości Angelary wynikało niezbicie, że przez Gammę przetacza się fala strajków i zdecydowanych wystąpień przeciw lokalnym władzom. Wczoraj było ich tyle, że czarni musieli ewakuować wszystkich przedstawicieli władz do swojej twierdzy, wielkiego bunkra, w którym mieściła się kwatera główna wydziału całego sektora. Zamknęli się na głucho w ukrytym pod niemal dwustumetrową warstwą skał kompleksie, który wbudowano w masyw wygasłego przed eonami wulkanu strzelającego w niebo pomiędzy trzema największymi miastami tej planety.

Skurwyklony miały tam wszystko: na zboczach góry rozmieściły stanowiska obrony przeciwlotniczej, w przepastnych jaskiniach urządziły sobie hangary. Poniżej, w głębi ziemi, znajdowały się poziomy mieszkalne, magazynowe i administracyjne, szpitale i centra rozrywki, a nawet więzienie, z którego – jak głosiła plotka – nikt nigdy nie wrócił.

Miejscowi nie cieszyli się jednak z tej rejterady, ponieważ czarni nadal pojawiali się, gdzie i kiedy tylko chcieli. Umożliwiła im to osobna sieć

tuneli hyperloopa dostępna wyłącznie dla funkcjonariuszy wubecji. Dzięki niej agenci mogli się błyskawicznie przemieszczać do najbardziej oddalonych miast, atakować tam z zaskoczenia, a potem znikać bez śladu. O tym, gdzie znajdują się doskonale zamaskowane wejścia na stacje tajnej linii, wiedzieli tylko wtajemniczeni. A prowadzące do nich szyby i korytarze mogły być wszędzie, na przykład w którymś z pomieszczeń technicznych tego osiedla.

Jedyna różnica polegała więc na tym, że skurwyklony nie łążyły teraz po ulicach w tych swoich czarnych powłóczyстых płaszczykach i nie gapiły się z pogardą na każdego mijanego człowieka.

Tajniaków, jak widać, zostawili, pomyślała Kaliopie, przyglądając się trójce obserwatorów i ich przewidywalnym ruchom.

Następnie zaczęła się zastanawiać, jak by tu sprawdzić, o kogo im chodzi. Co zrobiłby Frank, gdyby był na jej miejscu?

Mysł, głupia, mysl...

Kwadrans później znalazła sposób. Przewycięzając obawy, wyszła na moment z kubika, ale po trzech krokach zerknęła na komunikator i obróciła się na pięcie. Eskapada trwała nie dłużej niż pięć sekund, podczas których tamta trójka niewiele mogła zrobić. Dzięki wcześniejszej obserwacji Wilhelm wiedziała, że tajniacy nie mają przy sobie broni. Ich kombinezony nie były może obcisłe, ale System przyjrzał się im z każdej strony i nie dostrzegł charakterystycznych wybrzuszeń. Co więcej, najbliższy z tej trójki znajdował się czterdzieści metrów od niej, co oznaczało, że dopadnięcie jej w parę sekund nie wchodzi w grę.

Po powrocie usiadła od razu przed terminalem i sprawdziła nagrania z poprzedniej minuty. Wszyscy troje zareagowali na jej widok. Starszy facet, który zasiadł przed chwilą w publicznej jadłodajni, przechylił się mocno w lewo, by mieć ją w polu widzenia – System sprawdził dane, nie mogło chodzić o nic innego. Dziewczyna stała do niej tyłem, w kolejce do drukarek, lecz przesłaniający jej oczy wizor musiał być podłączony do sensorów umieszczonych w kołnierzu kombinezonu, ponieważ okręciła się błyskawicznie, udając, że chce zapytać o coś czekającą za nią kobietę. Ona także popatrzyła w głąb zaułka. W tej samej chwili młodszy z mężczyzn, który znowu oglądał wiadomości, zerknął przez ramię, a gdy Kaliopie zniknęła za drzwiami swojego kubika, poruszył ustami w charakterystyczny sposób, jakby składał meldunek. Moment później zniknął z pola widzenia kamer.

Szlag!

Namierzyli ją, ale jakim cudem? Nie wytknęła nosa z kryjówki od trzech dni, a dotarła tutaj, zanim zrobiło się naprawdę gorąco, i to omijając wszystkie checkpointy...

Nie miała czasu na dalsze roztrząsanie tej sprawy. Kimkolwiek byli ci ludzie, uzyskali właśnie namacalny dowód jej obecności, co oznaczało, że lada moment przystąpią do działania.

Czas wdrożyć plan B.

Sięgnęła po klucz uniwersalny leżący pod obudową dyspensera. Wszystkie śruby zostały poluzowane już wcześniej, by wykręcenie ich zajęło tylko kilka sekund. Włożyła na ich miejsce specjalnie przygotowane magnetyczne atrapy, potem wysunęła ramię, na którym zawieszono blok urządzenia, i odsłoniła umieszczoną w głębi wnęki pokrywę, dzięki której autonomiczne transportery mogły uzupełniać zużytą biomasę. Kod serwisowy złamała pierwszego dnia, choć zajęło jej to ponad godzinę.

Obejrzała się na wyświetlacz. Widoczna nadal dwójka obserwatorów robiła swoje. Dziewczyna siedziała w jadalni, miała na sobie nowy kombinezon, w przebieralni zmieniła też kolor krótko przystrzyżonych włosów. Starszy facet gapił się z udawanym zainteresowaniem na wielki ekran.

A to się zdziwicie, pomyślała z satysfakcją Kaliope, wciskając głowę i ramiona w ciasny otwór.

Zamarła w całkowitych ciemnościach, uważnie nasłuchując. W tunelu biegnącym za ścianami wszystkich kubików tego poziomu panowała idealna cisza. Willhelm miała szczęście, że nie zaplanowano żadnych dostaw na ten akurat moment. Transportery były wprawdzie wyposażone w bardzo czułe detektory kolizji, tak więc z ich strony nie groziło jej większe niebezpieczeństwo, ale każde zakłócenie ich pracy zostałoby zgłoszone do centrali, skąd trafiłoby natychmiast tam, gdzie nie powinno.

Przecisnęła się przez otwór najszybciej, jak umiała, następnie zaś – umocowanym specjalnie na tę okazję kablem – przysunęła blok dyspensera i dociągnęła go mocno do obudowy. Na koniec zatrzasnęła metalową pokrywę. Tylko tyle mogła zrobić z tej strony, była jednak pewna, że czarni nie odkryją za szybko jej drogi ucieczki. Jeśli będzie miała szczęście, stracą kilka cennych minut na dokładne przeskanowanie kubika i sprawdzenie trzech wyraźniejszych i oczywiście fałszywych tropów, które im zostawiła.

Zapaliła latarkę i trzymając ją w zębach, potruchtała przed siebie tak mocno pochylona, że musiała podpierać się rękami. Dobrze, że nie miała żadnego bagażu. Żarcie z hotelu i tak już się skończyło, a te kilka ciuchów wydrukowanych na wyższych poziomach odkupi bez problemu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Dopóki miała omnikartę w kieszeni, dopóty nie musiała się niczym martwić. Minęła pierwszy narożnik i rozejrzała się wokół. Gdzieś tutaj, jeśli wierzyć planom, znajdował się szyb konserwacyjny używany przez roboty i techników dbających o pełną drożność okolicznych tuneli. W nim powinna natknąć się na drabinę, która kończyła się cztery poziomy wyżej.

Tam, po prawej!

Wąski promień światła wyłuskał z mroku wykutą w skale płytką wnękę, w której coś błyszczało metalicznie. Willhelm ruszyła w tamtym kierunku, zwiększając tempo, ponieważ z za jej pleców dobiegał coraz głośniejszy szum. Znała ten dźwięk. Do jej dawnego bloku zbliżał się transporter, ale na szczęście zwolnił i zatrzymał się przy którymś kubiku. Gdyby pojechał dalej, detektory wykryłyby obecność poruszającej się z trudem dziewczyny.

Wspinała się pośpiesznie, czując ogromną ulgę nie tylko z powodu uniknięcia wpadki. W końcu udało jej się rozprostować palące żywym ogniem plecy. Na dwóch najwyższych poziomach dzielnicy tunele techniczne miały znacznie większą średnicę. Mieszkali tu bogatsi obywatele kolonii, którym dostarczano więcej zaopatrzenia niż masom wyrobników z dołu. Kubiki jedyńki i dwójki nie tylko miały bardziej wypasione dyspensery, ale też wyposażano je w prywatne drukarki, które zużywały od cholery składników.

Kaliope odsapnęła u szczytu drabinki. Przyjrzała się uważnie mapie ściągniętej na komunikator. Trasę wykuła na pamięć, lecz nieustająca paranoja wymagała od niej ponownego sprawdzenia każdego szczegółu. Od studzienki, będącej celem tej wyprawy, dzieliło Willhelm niespełna pięćdziesiąt metrów, ale tu, na górze, musiała się liczyć z intensywniejszym ruchem niż na swoim poziomie. W ciągu dwu minut, które spędziła na powtarzaniu w myślach planu, obok wnęki przemknęły niemal bezgłośnie cztery kanciaste transportery. Trzy pojechały w prawo, ostatni w lewo, tam, dokąd powinna się teraz udać.

Nie będzie łatwo, pomyślała, szykując się do biegu, nie zdążyła jednak opuścić wnęki. Pisnęła przeraźliwie, gdy skały pod jej stopami zakołysały

się z taką mocą, że musiała przykucnąć, by nie upaść. Chwilę później wrzasnęła ze strachu, ponieważ z szybu za nią buchnął silny podmuch śmierdzącego czymś kwaśnym powietrza, czemu towarzyszył przytłumiony łoskot.

Dym? Tutaj?!

Wysunęła się ostrożnie na zewnątrz, gdzie natychmiast zrozumiała, jak niewiele brakowało, by doszło do tragedii. Gdyby nie moment zawahania, wybiegłaby prosto przed transporter, który wyluskał właśnie z ciemności snop światła latarki. O dziwo, metalowy kontener poruszał się dużo wolniej niż poprzednie. Wzrok jej nie mylił. Kanciasta maszyna wytracała prędkość z każdym pokonanym metrem i w końcu się zatrzymała. Zaciekawiona tym faktem Kaliope włączyła maksymalną moc żarnika i oświetliła wnętrze tunelu. W oddali dostrzegła jeszcze jeden unieruchomiony transporter.

System musiał wyłączyć cały ruch w tym rejonie, uznała, mijając niedługo później kolejną zamarłą w bezruchu maszynę. Gdzieś tam, poniżej, doszło do wypadku, chyba poważnego, sądząc po sile wstrząsu i docierającym nawet tutaj gryzącym odorze dymu.

Nie zastanawiała się nad tym dłużej. Najważniejsze dla niej w tym momencie było dostać się do wyjścia i opuścić tunele, zanim System przeprowadzi pełną diagnostykę i ruch zostanie wznowiony.

* * *

Wybrana przez Kaliope studzienka wiodła do ustronnego zaułka, bardzo podobnego do miejsca, w które została zagoniona przez ludzi z ruchu oporu. To tam dopadł ją pierwszy strach – strach towarzyszący jej aż do teraz. Znajomy widok obudził go ponownie. Musiała wziąć kilka naprawdę głębokich wdechów, by się uspokoić.

Będzie dobrze.

Tym razem oprawcy nie siedzieli jej na karku, zostawiła ich kilka poziomów niżej bezradnych i błędzących jak dzieci we mgle.

Aktywowała komunikator, by sprawdzić, jak się sprawy mają pod jej blokiem.

Ciekawe, jak czarni chcą to rozse...

Nie uwierzyła własnym oczom. Na skrzyżowaniu panował totalny chaos. Pod sklepieniem snuły się kłęby niemal czarnego gęstego dymu,

wszędzie wokół wałały się bryły gruzu, pośród którego dostrzegła w pewnym momencie... oderwaną nogę.

Tylko jedna z zamontowanych przez nią kamer była nadal w pełni sprawna. Willhelm obracała zdalnie obiektyw z duszą na ramieniu, przeczuwając, co mogło być źródłem tego pandemonium. Instynkt jej nie zawiódł. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowały się drzwi wiodące do jej schronienia, ziała wielka dymiąca wciąż wyrwa. Przeżażeni ludzie biegali we wszystkich kierunkach. Po kryjówce nie pozostał nawet ślad. Boczne ściany kubika ustąpiły pod wpływem eksplozji, miażdżąc przy tym sąsiednie klitki, a pozbawiony nagle oparcia strop runął, grzebiąc pod rumowiskiem wszelkie ślady istnienia Kaliope.

System bez trudu stwierdził, gdzie nastąpił wybuch. Dowodów było aż nadto. Większość mebli, łącznie z wybebeszonym doszczętnie dyspenserem, pofrunęła w głąb zaułka, co oznaczało, że bombę podłożono w tunelu... Willhelm zadrżała na wspomnienie szumu usłyszanego podczas ucieczki. Gdyby zawahała się raz jeszcze, gdyby została w kryjówce dwie albo trzy minuty dłużej, ta oderwana noga mogłaby należeć do niej.

Cofnęła nagranie do momentu poprzedzającego eksplozję. Chciała sprawdzić, jak zachowują się czarni. Wszyscy troje stali na skrzyżowaniu, trzymając się jednak w bezpiecznej odległości. Wkroczyli na scenę dopiero wtedy, gdy opadł kurz, a odpowietrzniki zaczęły usuwać wypełniający korytarze dym. W przeciwieństwie do przypadkowych przechodniów, żadne nie pobiegło ku zawałonemu blokowi; zajęli się metodycznym przeszukiwaniem zaułka, jakby chcieli się upewnić, czy jej ciało znajduje się wśród dających się zidentyfikować ofiar.

Zależało im na mojej omnikarcie i komunikatorze? Po kiego w takim razie wysadzali pół osiedla?

Chwilę później zrobiło się jeszcze ciekawiej. Cała trójka wycofała się pośpiesznie, zanim na miejsce przybyły służby porządkowe, zupełnie jakby zamachowcy woleli uniknąć styczności z kolegami w mundurach.

W tym momencie tknęło ją przecucie.

Coś tutaj cuchnie, i to bardzo.

Przede wszystkim czarni nie powinni jej zabijać, przynajmniej nie tak od razu. Posiadane przez nią informacje na temat Bukowskiego i jego organizacji miały dla nich cenę trunitu, a może i wyższą, zważywszy, że służby specjalne Federacji błędziły od trzech dni po omacku, a ruch oporu uderzał co rusz celnie i boleśnie, czego najlepszym dowodem ostatnie

wydarzenia na Erytrei. Gdyby więc ktoś ją jakimś cudem namierzył, zostałaby najpierw aresztowana w możliwie dyskretny sposób, a potem przesłuchana przez najlepszych śledczych, których z pewnością nie brakowało w szeregach tutejszych pracowników wydziału bezpieczeństwa. Tymczasem trójka obserwatorów przybyła na peryferia Zeiramu, aby sprawdzić, czy Kaliope przebywa w namierzonej wcześniej kryjówce, i natychmiast po uzyskaniu potwierdzenia przeprowadziła atak przy użyciu bomby tak wielkiej mocy, jakby zleceńodawcom zamachu zależało na absolutnej pewności, że Willhelm zniknie na zawsze z powierzchni tej zasranej planety.

Skoro to nie czarni zasadzili się na nią w Zeiramie, to kto? Kim byli ludzie, którym tak bardzo zależało na jej... uciszeniu? Znała tylko jedną odpowiedź na tak postawione pytania. Odpowiedź, która wyjaśniała wiele, a może nawet wszystko.

Trójka obcych nieprzypadkowo pojawiła się przed jej kubikiem zaledwie dwie godziny po rozmowie z Angelarą. Jakkolwiek patrząc, Bukowski był jedynym człowiekiem, któremu wiedza Kaliope mogła obecnie bardzo zaszkodzić. Na jego miejscu podjęłaby zapewne taką samą decyzję. Albo ona, albo on i ruch oporu – tutaj nie było miejsca na wahanie. Odmawiając współpracy, podpisała na siebie wyrok śmierci, który wykonano bezwzględnie po jej namierzeniu. Wykazałaby się naiwnością, sądząc, że ludzie, którzy zrzucają asteroidy na zamieszkane planety i niszczą całe bazy wojskowe, będą się wzdragać przed zgładzeniem zagrażającej im osoby, nawet jeśli pociągnie to za sobą kilkanaście czy kilkadziesiąt ofiar ubocznych.

Ostatni fragment niespecjalnie pasował do reszty układanki, lecz Kaliope po krótkim namyśle uznała, że zbyt idealistycznie podchodziła do przywódców ruchu oporu i za bardzo wierzyła w wypowiedane przez nich slogany.

Może to całe pieprzenie, że nie chcieli zniszczyć Delty, jest jednym wielkim kłamstwem? Może zrobili to z pełną premedytacją, by obwinić drugą stronę i tym samym zmusić ją do wypowiedzenia otwartej wojny?

Federacja miała swoje za uszami, sama była tego najlepszym dowodem, ale nie każdy, kto ją zwalczał, musiał od razu być szlachetnym rycerzem na białym koniu.

Jedni są warci drugich...

Pomasowała nasadą dłoni prawą skroń, czując, że kielkuje w niej znajomy ból.

Co dalej?

Było to w tej chwili najistotniejsze pytanie.

Nareszcie mogę zniknąć na dobre. Skoro zginęłam, nikt nie będzie mnie szukał...

Choć ta myśl przyniosła jej ogromną ulgę, paranoja nie odpuszczała.

Nie znaleźli niezbitego dowodu twojej śmierci, przypomniawszy okrutną prawdę, wypełzającą powoli z najmroczniejszych zakamarków umysłu. Wiedzą, że jesteś specjalistką od znikania, a twoje nowe nazwisko nie trafi na listę ofiar, choć służby przekopią gruzowisko wzdłuż i wszerz, by ustalić profil genetyczny każdego fragmentu zwłok, na jaki trafią.

Przygryzła dolną wargę, rozważając wszystkie scenariusze.

Może nie będzie tak źle... Może ludzie im przeszkodzą...

Sama nie wierzysz w to, co mówisz, wykpiła ją podświadomość. Ludzie się burzą i strajkują, ale nie będą przeszkadzać w ustaleniu sprawców kolejnej masakry, zwłaszcza że propagandziści Federacji robią, co do nich należy. Po otrzymaniu wyników badań znów siądą ci na tyłek. Dzisiaj jesteś dla nich groźniejsza od wszystkich czarnych i całej Rady.

To co mam robić?!

Mało brakowało, a wykrzyczałaby te słowa w pustą przestrzeń zaułka.

Załatw ich pierwsza.

Tak, to jest myśl, przyznała, lecz wystarczyła chwila zastanowienia, by naszyły ją wątpliwości. Wydając Bukowskiego władzom, wyświadczyłaby przysługę tym, którzy zabili jej ojca i zamierzali na niej eksperymentować. Nie po to się mściła, by teraz im pomagać.

Musi być inne rozwiązanie.

Nie ma.

Jest!

Rozciągnęła wargi w triumfalnym uśmiechu.

Rozdział 19

*Terytoria Wewnętrzne,
Tendar, powierzchnia Gammy,
System Hyperion 32, Sektor Whisky,
13.05.2234, godz. 05:39*

Namierzenie Angelary okazało się dziecinnie proste. Kaliope zapamiętała opowieści o „zajebistym” Klubie (taką nieskomplikowaną nosił nazwę), w którym pomocniczka Hickmana lubiła spędzać wolny czas. Lokal ten, znajdujący się w samym sercu dzielnicy portowej Tendaru, nigdy nie świecił pustkami, wystarczyło więc wydrukować odpowiednie szmaty, przefarbować włosy na modną tęczę i nałożyć na twarz ostry makijaż imitujący lokalne tatuaże, a człowiek zniknął jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki w gęstym tłumie jemu podobnych klonów.

Willhelm obesza najpierw wszystkie trzy sale, potem usiadła na chwilę przy barze. Ignorując umizgi kolejnych amantów, sączyła powoli drinka i czekała na zwolnienie odpowiedniego stolika, zza którego będzie mogła dyskretnie obserwować jedyne wejście – niestety czas mijał, a chętnych do zakończenia zabawy jak nie było, tak nie było. Zdecydowała więc, że rozegra to inaczej. Dopiła słodziutki do mdłości koktajl i ruszyła dziarskim krokiem w kierunku głównego parkietu, którego następnie nie opuściła przez półtorej godziny. Dawała upust przepełniającej ją energii, czekając cierpliwie na pojawienie się celu.

W rękawach ognistoczerwonej kurtki ukryła dwa długie noże, klasyczne, stalowe, żadne tam laserowe klingi, które da się wyłączyć byle jammerem. Podejrzewała, że w branży, którą reprezentuje Weaver, takie zabezpieczenia są na porządku dziennym. Dlatego wybrała najprostszą swoim zdaniem i najsukuteczniejszą broń, jak uczył ją ojciec. No i właściwe miejsce, takie, gdzie Angelara nie będzie się spodziewać ataku. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chlasta ludzi w zatłoczonym klubie, na oczach setek świadków. Podobne numery odeszły do lamusa ze dwa wieki temu.

Kaliope zdawała sobie sprawę z licznych przewag, jakie miała nad nią doskonale wyszkolona i o wiele silniejsza przemytniczka. Dlatego postawiła na atak z zaskoczenia, wbicie w plecy przysłowiowego noża – w tym przypadku nawet dwóch – i błyskawiczne rozpląnięcie się w tłumie. W tym ostatnim pomoże jej flara, którą zwinęła z zestawów pierwszej pomocy łazika powierzchniowego i której odpalenie nie tylko oślepi kamery, ale też dodatkowo dezorientuje potencjalnych świadków. Gdy ludzie rzucają się do wyjścia, pobiegnie z nimi, pozbywając się charakterystycznej kurtki, pod którą miała inne równie krzykliwe ciuchy.

Zrobię to, powtarzała sobie w myślach. Jeśli nie dzisiaj, to jutro albo pojutrze.

Czasu akurat nie powinno jej brakować.

Przećwiczyła sobie wszystko na sucho, wykorzystując do tego wyrzuconego na śmietnik manekina. Zatargała go na placyk za magazynami i tam powtarzała układ, dopóki nie osiągnęła perfekcji, przynajmniej własnym zdaniem.

Jak to zrobić? Zajdzie zdradliwą szmatę od tyłu, jedną kosę sprzeda jej pod zebro, a drugą przejedzie szybko po gardle. Żadnego kozakowania i bzdurnych popisów. Pełna ergonomia i wydajność. Dziab, ciach i błyskawiczny przewrót w tył z równoczesnym wyciągnięciem flary z wysokich do kolan butów. Błask oślepi wszystkich wokół, ale nie ją, ponieważ miała ochronny wszczep. Aktywuje go tuż przed atakiem, żeby nie dać się głupio namierzyć, po czym szybko wyłączy, ledwie wmięsza się w tłum. Nieco później, kiedy będzie już bezpieczna, wyśle Hickmanowi wiadomość, w której wyjaśni, że za nic nie zniżyłaby się do kablowania, lecz zabije każdego, kto śmie podnieść na nią rękę, tak jak zrobiła to z ludźmi odpowiadającymi za śmierć Franka.

Tak wyglądał plan, który zamierzała zrealizować, nie zważając na wrzask podnoszony przez spanikowaną podświadomość. Oczywiście coś mogło pójść nie tak, ale mając prosty wybór: ucieczkę i życie po kres dni w nieustannym strachu lub zemstę, opowiedziała się za tym drugim rozwiązaniem – identycznie jak ostatnio, gdy dołączyła do załogi, by odplacić po stokroć skurwyklonom, które zabiły jej ojca.

Około dwudziestej siódmej czasu lokalnego naszło ją zwątpienie, nie poddała mu się jednak i nie pozwoliła lękom przejąć kontroli. Wypiła do tej pory tylko dwa drinki, żeby nie posiłkować się chemią, kiedy przyjdzie co do czego, wiedziała bowiem, że mieszanie środków uspokajających,

popudzających i zaprawianego cholera wie czym alkoholu może dać bardzo niepożądane skutki. Chcąc zrobić swoje, musiała mieć umysł jak żyłeta.

Drugiej szansy nie będzie, to przecież życie, nie senso.

Wijąc się na parkiecie w takt przeszywających jej ciało impulsów i emocji, ani na moment nie spuszczała wzroku z wejścia, ale przemytniczka nie pojawiła się w klubie. To mogło oznaczać, że Angelara odpuściła dzisiaj zabawę. Według logów portu orbitalnego, do których Kaliope włamała się przed ruszeniem na akcję, *Tendar* przybił do pirsu numer ileś tam parę minut przed dwudziestą piątą. Dotarcie na powierzchnię planety, wzięcie prysznic, zjedzenie szybkiego posiłku, potem godzinka na ogarnięcie spraw – tak wyglądało codzienne życie Weaver, jeśli wierzyć jej własnym słowom. Na koniec ruszała do ulubionego klubu, by oderwać się od smutków szarej rzeczywistości. Innymi słowy, powinna tu być już od godziny albo i dłużej.

Jeśli nie pojawi się do trzydziestej, czyli szóstej czasu standardowego, będę musiała odwołać akcję i odczekać do kolejnego powrotu Tendara na Gammę.

Kaliope zmeła przekleństwo w ustach. Obawiała się okresów beczynności, zwłaszcza liczonych w niekończących się tutejszych dobach. Im więcej będzie się nad tym wszystkim zastanawiała, tym donośniej będzie rozbrzmiewał w jej głowie głos, ten, który nawet obecnie darł się w jej zwoje nerwowe, i to przez włączony na całą moc megafon: „Co ty wyprawiasz! Spieprzaj stąd, póki możesz!”.

Jeszcze dwadzieścia minut, pomyślała, gdy zaczynał się kolejny kawałek.

Uwielbiała sensozykę, dziedzinę rozrywki atakującą wszystkie zmysły naraz. Gdyby nie konieczność wypatrywania Angelary, mogłaby się na dobre zatracić w potokach dźwięków, barw, zapachów i całej reszty doznań, których dostarczali jej niekwestionowani mistrzowie sceny. Wyczyniając wygibasy w naprzemiennym rytmie podawanym przez artystów, trzymała się powierzchni, aby nie przegapić swojej jedynej szansy.

Jest! To ona!

Zgubiła na moment rytm, gdy przemytniczka wyłoniła się z jasno oświetlonej turbowindy. Uśmiechnięta, zadowolona z siebie, szła prosto do baru, nie rozglądając się zbytnio na boki. Nie było przy niej chłopaków z *Tendara*, może przyjdą później, może nie pojawią się wcale.

Ich strata, pomyślała mściwie Kaliope, ruszając kursem na przejście. Nie przestała tańczyć, omijała zwinnie kolejne osoby, przystawała tu

i tam, by nie zwracać na siebie uwagi. Była pewna, że zdąży. Angelara miała do pokonania dwa razy dłuższy dystans, a stojący na jej drodze zbity tłum nie rozstępował się tak chętnie, jak wirujący ludzie.

Dotarła na krawędź parkietu, gdy oddalona o trzy kroki przemytniczka pochyliła się nad kontuarem, próbując zamówić drinka.

Teraz!

Kaliope wsunęła dłonie pod szerokie mankiety, zacisnęła je na chłodnych rękojeściach i wyszarpnęła oba ostrza płynnym ruchem. Już tylko jeden krok dzielił ją od...

* * *

Co jest?

Bolała ją głowa, widziała jak przez mgłę, czuła mdłości, a na domiar złego nie mogła się ruszyć, jakby ktoś trzymał ją z całych sił za ręce i nogi. Wiedziała, że to zły znak. Podświadomość jej podszeptowała, że to najlepszy moment, by zacząć panikować, ale ku własnemu zdumieniu przyjmowała te spostrzeżenia na zimno, ze spokojem godnym wytrawnego stoika.

– O, śpiąca królowna raczy się budzić – usłyszała w tle znajomy głos.

Angelara?

– Gdzie ja jestem? – wychrypiała wciąż skołowana, próbując zogniskować wzrok na ciemniejszej plamie, która przesłoniła nagle połowę pola widzenia.

– Teraz ja zadaję pytania, a ty odpowiadasz!

– Dobrze – zgodziła się, nie bardzo rozumiejąc, czemu to robi.

– Zacznijmy od najbardziej interesującej sprawy: dlaczego mnie zaatakowałaś?

Zatłoczony klub nocny, puls senso, brnąca przez tłum błogo uśmiechnięta przemytniczka, bar, jej odsłonięte plecy... Obrazy przepływały gdzieś głęboko za załzawionymi oczami – co ciekawe, nie wywołując żadnych emocji.

– Chciałam się zemścić – wyjaśniła zwięźle.

– Za co?

– Za zamach na mnie.

– A co ja miałam z tym wspólnego? – W głosie przesłuchującej wyczuła zdziwienie.

– Wystawiłaś mnie.

– Co?

- Zdradziłaś im, gdzie się ukrywam – rozwinęła myśl.
- Komu?
- Bukowskiemu i reszcie, jak sądzę.
- Dlaczego miałabym to robić?
- Żeby mogli mnie uciszyć.
- Dlaczego mieliby chcieć to zrobić?
- Bo byłam w ich systemie, bo widziałam bazę, a odmawiając dalszej współpracy, stałam się zagrożeniem – recytowała, nie umiejąc się powstrzymać.

- Tak to sobie tłumaczysz?

- Tak.

- Jak mnie znalazłaś?

- Mówiłaś mi o tym miejscu.

- Ja?

- Tak.

- Kiedy?

- Podczas lotu z Invictusa.

- Serio? – Zdziwienie rozmówczyni było jeszcze większe.

- Tak.

- Dobra, wracamy do tematu. Na jakiej podstawie uznałaś, że cię zdradziłam?

- Zamachowcy pojawili się przed moją kryjówką dwie godziny po naszej rozmowie. Jeśli dowiedzieli się o niej, to tylko od ciebie.

Kaliope usłyszała głośny śmiech.

- Głupia jesteś, wiesz?

Chwilę trwało, zanim – nie będąc w stanie zaprzeczyć – odpowiedziała twierdząco:

- Tak.

Spieprzyła wszystko, fakt, ale... jak, dlaczego? Chciała o to wszystko zapytać, nie umiała się jednak przemóc, jakby coś decydowało za nią, które słowa mogą przebyć długą i krętą drogę od synaps do strun głosowych.

Angelara zauważyła jej bezowocną walkę z własnymi myślami.

- Zaaplikowałam ci tak zwane serum prawdy – wyjaśniła, odsuwając się na moment sprzed jej twarzy. – Nie do końca wierzyłam w jego skuteczność, ale z tego, co widzę, czarni katują przesłuchiwanym tylko dlatego, że lubią się znęcać nad ludźmi.

– Uważam tak samo – potaknęła Kaliope bez zastanowienia.

– Musimy porozmawiać. – Ton głosu Angelary się zmienił, był teraz śmiertelnie poważny.

– Musimy – powtórzyła posłusznie, zanim poczuła lekkie uklucie w ramię.

– To zdejmie z ciebie czar – usłyszała.

– Świetnie.

Otoczająca jej umysł, tłumiąca uczucia ściana mgły zaczynała rzednąć bardzo powoli, jakby coś wysysało ją z tyłu głowy przez małą dziurkę. Było to całkiem przyjemne, dopóki nie powrócił strach.

– Spokojnie! – Angelara znów pochyliła się nad nią, dociskając dłońmi jej barki. – Nie szarp się. Z mojej strony nic ci nie grozi, idiotko!

– Wystawiłaś mnie! – Kaliope zatchnęła się po wykrzyczeniu tych dwóch słów.

Odpowiedź była równie stanowcza.

– Nie!

– Kłamiesz!

– Nie kłamię i zaraz ci to udowodnię.

– Jak?!

Willhelm syknęła, gdy zapiekło ją po siarczystym policzku wymierzonym przez Angelarę, którego ubocznym i zapewne niezamierzonym skutkiem było ostateczne uwolnienie się od mgły.

– Poczułaś?

– Tak! – odwarknęła gniewnie, już tylko po części zobligowana farmakologicznie.

– Wiesz, co to znaczy?

– Nie...

– Żyjesz. – Weaver cofnęła się o krok. – Gdybym to ja stała za zamachem, nie rozmawiałybyśmy teraz. Dokończyłabym robotę, którą tamci spieprzyli. Rozumiemy się?

Trudno było dyskutować z logiką tej wypowiedzi.

– Tak, ale... – Zagubiona Kaliope dukąła z trudem. – Jeśli nie ty, to kto... jak...?

– Mnie też to ciekawi – przyznała Angelara, siadając naprzeciw niej. – Zacznijmy od początku. Mów, jak było.

Willhelm streściła przebieg wydarzeń ostatnich godzin. Trójki sprawców nie musiała opisywać, w komunikatorze miała ich nagrania, którymi

posiłkowała się również przy innych okazjach, na przykład ilustrując zagadkowe jej zdaniem zniknięcie zamachowców tuż przed pojawieniem się służb i zespołów ratunkowych.

– To nikt z naszych, tyle ci powiem – stwierdziła Weaver, przyjrzawszy się uważnie twarzom na stop-klatkach.

– Nie możesz znać wszystkich – upierała się Kaliopie.

– Nie jest nas tak wielu, jak ci się wydaje – zgasiła ją przemytniczka. – Poza tym wbij to sobie do głowy raz na zawsze: Gravenhurst nie wydał na ciebie wyroku.

– Skąd ta pewność?

– To ja byłabym wykonawczynią.

– D... dla... dlaczego?

– Tylko ja cię znałam i tylko ja miałam szansę cię znaleźć, a potem namówić na spotkanie w jakimś ustronnym miejscu. Poza tym – wskazała rumowisko widoczne na stop-klatce – ruch oporu nie ułatwia spraw w taki sposób. Wiesz, ile osób zginęło w tym zamachu?

Kaliopie pokręciła głową.

– Nie.

– Dwadzieścia jeden. Dalszych pięćdziesiąt sześć jest rannych.

– Skąd masz te dane?

– Z niusowników. – Weaver się zaśmiała. – Tak, kochana, zamach na ciebie trafił do głównych serwisów wszystkich stacji w tym systemie. To chyba jedyna łamiąca wiadomość, jaką podano w naszych mediach od ataku na Deltę. Naprawdę nic nie widziałaś?

– Miałam ważniejsze sprawy na głowie.

– No tak... – Angelara obróciła w dłoni jeden z noży, które miały posłużyć do jej zabicia.

– Jak... – zająknęła się Willhelm. – Jak ty...

– Pytasz o to, jak udaremniono twój atak? – Przemytniczka nadal wyglądała na bardziej rozbawioną niż zagniewaną.

– Tak.

– Cóż, System Klubu ma specjalne procedury na podobne okazje. Serio się spodziewałaś, że pojawisz się niezauważenie, mając przy sobie kupę żelastwa i tę tam, flarę? Skąd ty ją w ogóle wytrzasnęłaś? Nie... – Uniosła rękę w ostrzegawczym geście. – Nie chcę i nie muszę tego wiedzieć. W każdym razie skanery wyłowiły cię już w windzie, zostałaś też odpowiednio otagowana, ale System zostawił cię w spokoju, bo mogłaś być

jedną z tych dzianych paranoiczek, które wszystkiego się boją i nigdzie nie ruszają się bez broni. Krótko mówiąc, cały czas miał na ciebie oko, ale zareagował dopiero wtedy, gdy sięgnęłaś po noże. Myślę, że po takim wstrząsie głowa nie przestanie cię boleć jeszcze przez kilka dni – zakończyła ze szczerą troską w głosie.

– Nie jesteś na mnie wściekła, że...

– Nie. Z początku byłam wkurwiona na maksa, sprzedałam ci nawet solidnego kopa w nery, gdy leżałaś tam na górze nieprzytomna, tak że wybacz, ale sama rozumiesz...

Willhelm wykonała ostrożny ruch. Pod czaszką ją łupało, lecz w dolnej części pleców nie czuła żadnego bólu. Może była to zasługa środków, które jej zaaplikowano?

– Miałaś wszelkie prawo – przyznała z pokorą.

– Dzięki za wyrozumiałość. Ponieważ nie miałam pojęcia, o co chodzi, kazałam cię znieść tutaj, do piwnicy... – Rozłożyła szeroko ręce, obejmując zagracone, ciasne i cholernie brudne pomieszczenie, pełne wybebeszonych dyspenserów i kanistrów. – Po tym, co od ciebie usłyszałam, przeszło mi do reszty. Na twoim miejscu zachowałabym się tak samo, tylko rozsądniej bym do tego podeszła. – Wybuchnęła śmiechem i zamiliła na chwilę.

Pierwsza przerwała ciszę Kaliope.

– Zrobiłabyś to?

– Co?

– No wiesz, wykonałabyś wyrok?

Angelara się zawahała, zmierzyła ją uważnym spojrzeniem, po czym powiedziała:

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Bukowski pytał mnie o ciebie. Chciał wiedzieć, czy moim zdaniem nie będziesz stanowić zagrożenia, jeśli pozwoli ci odejść. Odparłam, że czarni raczej nie wpadną na twój trop, bo masz doskonałą przykrywkę i wystarczająco dużo oleju w głowie, aby nie pchać się na afisz. Dodałam też, że po tym, co zrobili z tobą i twoim starym, nie musi się obawiać, że sypniesz nas dla kasy. Poręczyłam za ciebie, idiotko, a ty mi tak odplaciłaś! – Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Przepraszam – mruknęła zawstydzona Willhelm.

– Hej, jaja sobie z ciebie robię, nie mogłaś przecież o tym wiedzieć.

Ostatnie słowa zapaliły w głowie Kaliope czerwoną lampkę.

- A jeśli cię pominęli? - zapytała nagle. - Dlatego że mnie znałaś i mogłabyś, no wiesz, nie wykonać rozkazu.

- Bardzo wątpię, żeby byli aż tak przewidujący, ale możemy to sprawdzić, jeśli chcesz.

- Jak?

- Siedź cicho i słuchaj - poleciła jej Weaver.

Następnie włączyła komunikator, ustawiając się tak, by jej rozmówca nie mógł widzieć przywiązanej do krzesła dziewczyny. Odczekały wspólnie chwilę, wsłuchując się w ciche sygnały, po czym wirtualny ekran nad ręką przemytniczki rozjaśnił się i obie zobaczyły twarz młodego mężczyzny o mocno wytatuowanej twarzy.

- Czego? - zapytał oschle.

Weaver przesłała mu wizerunki trojga zamachowców.

- To ktoś z naszych? - rzuciła.

Przyjrzał się im kolejno, po czym zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nikogo takiego nie przerzucaliśmy ostatnio. Dlaczego pytasz?

- Koleżanka chciała wiedzieć.

- Bardzo zabawne - prychnął i natychmiast się rozłączył.

- Kto to był? - zainteresowała się Kaliope.

- Taki Hickman, tylko robiący dla ruchu oporu - wyjaśniła Angelara. - Bez jego wiedzy nikt z naszych nie przyleci na Hyperiona ani nie odleci z niego. Gdyby Bukowski ściągnął tu kogoś od mokrej roboty, on by to wiedział.

- Nie jesteś trochę zbyt naiwna, sądząc, że ot tak podzieliliby się z tobą tą informacją?

- Zaufaj mi.

- Mogli mu kazać milczeć.

- Mogli - przyznała. - Ale on i tak by mi powiedział.

- Serio?

- Tak. To mój starszy brat. - Uniosła palec wskazujący. - Czyli temat zamknięty. Nie wiem, czyja to robota, ale na pewno nie nasza.

- Kto jeszcze mógłby chcieć mojej śmierci?... - Willhelm zastanowiła się na głos.

- I to jest dobre pytanie - pochwaliła ją przemytniczka. - Choć raczej nie do mnie.

Milczały przez dłuższą chwilę, wpatrując się tylko w siebie, aż Kaliope poruszyła skrępowanymi rękami.

– Rozwiążesz mnie w końcu?

– Jasne.

Posyłając jej znaczące spojrzenie, Angelara najpierw zamknęła noże w szafce stojącej pod najbliższą ścianą, a dopiero potem zajęła się rozsuwaniem węzłów. Uwolniona dziewczyna natychmiast roztarła dłońmi zdrętwiałe nadgarstki.

– Co teraz? – zapytała z obawą w głosie.

– Spróbujemy namierzyć zamachowców. To nie powinno być trudne. Mamy ich holo, mamy ludzi z odpowiednim dostępem...

Willhelm wpadła jej w słowo.

– Pytam, co zrobisz ze mną.

– Musimy znaleźć ci nową kryjówkę, ale pewniejszą, skoro ktoś na ciebie poluje.

– Znasz taką?

Weaver z uśmiechem opadła na krzesło.

– Mam pewien pomysł. Powinien ci się spodobać.

Rozdział 20

*Terytoria Wewnętrzne,
orbita Gammy,
System Hyperion 32, Sektor Whisky,
13.05.2234, godz. 11:17*

- Co to jest?! - Kaliope zaliczyła klasyczny opad szczęki.

- Ślicznusia, nie? - nie kryła zadowolenia Angelara, rozpierając się w fotelu pilota.

Wahadłowiec *Tendara* wyhamowywał właśnie, podchodząc do jednostki wiszącej na najbliższym z licznych kotwicowisk orbitalnych Eosa, najmniejszego z trzech księżyców Gammy. Wyłaniający się z cienia satelity olbrzym, na którego obie teraz patrzyły, był ze wszech miar niezwykły. Półtorakilometrowy, przypominający skierowany w dół grot antycznej włóczni, z dolną, stożkową częścią długości około kilometra i ponad dwustumetrowej średnicy u podstawy, z której sterczał wycentrowany trzykrotnie węższy czterystumetrowy trzon właściwego kadłuba, zwieńczony potężną jednostką napędową, robił niesamowite wrażenie.

- Poważnie pytam: co to jest? - powtórzyła Wilhelm, nie odrywając wzroku od tego giganta. Wiedziała, że patrzy na instalację przemysłową, ale jej przeznaczenia mogła się tylko domyślać.

Im bliżej podlatywały, tym więcej szczegółów dało się dostrzec. Stożek nie miał gładkiego poszycia, jak można by się spodziewać. Pokrywały go przylegające do siebie, lekko wypukłe kręgi przypominające z grubsza głowice wiertni, z tym że największe z nich musiały mieć po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt metrów średnicy. W wolnych przestrzeniach pomiędzy nimi widać było mniejsze, również okrągłe elementy, które dopełniały całości tego nietypowego pancerza.

- Oto Auriga, kompleks wydobywczo-przetwórczy klasy Moloch - wyjaśniła Weaver. - Jeden z trzech, jakie do tej pory powstały. Tak zwany Wyłuskiewicz Jąder - dodała, wyraźnie rozbawiona dwuznacznością tego okre-

ślenia. – Maszyna, której zadaniem jest prowadzenie samodzielnych operacji górniczych na największych planetoidach oraz małych planetach. Ustawiasz ją nad kamykiem, włączasz sto dwadzieścia plazmowych zespołów ewaporacyjnych – wskazała rzędy głowic na stożku – zasilanych przez dziesięć tokamaków szóstej generacji i wgryzasz się z maksymalną prędkością stu osiemdziesięciu metrów na minutę, a po dotarciu do rzeczono-ego jądra cofasz się paręset metrów na grawitronach, robisz przepusty za pomocą rozsuwanego kołnierza – teraz jej palec celował w podstawę stożka – następnie kotwiczysz to bydlę do otaczających cię skał i czekasz spokojnie, aż temperatura wokół wróci do normy, aby wypuścić do wypalnego szybu chmury autonomicznych wiertni. – Zaprezentowała pokryty rzędami wypukłości trzon. – Wybacz, nie zapamiętałam dokładnej ich liczby, ale szła w grube tysiące. Moloch może w kilka dni wyeksploatować nieprzystępne wcześniej dziewicze złoża. Takim hasłem się reklamują! – zakończyła z rechem.

– Robiłam w tej branży przez kilka lat, ale nigdy nie słyszałam o czymś podobnym... – Kaliopie kręciła głową z niedowierzaniem.

– To całkowita nowość. Korporacyjna – dodała Angelara tytułem wyjaśnienia. – Ścisłe tajne przez poufne. Nasza koleżanka wyruszyła dwa tygodnie temu w swój pierwszy rejs na Rubieże, gdzie miała rozpocząć pracę.

– Jakim cudem ludzie przeżywają w tych warunkach? – zdziwiła się Wilhelm. – Przecież głowice plazmowe są ekstremalnie rozpalone, otaczające je skały po prostu wyparowują. Na pokładzie musi być tak gorąco jak w samym środku wulkanu!

– Cztery dodatkowe reaktory zasilają kilkuwarstwowy system segmentowych pól siłowych, które chronią trzon na początkowych etapach pracy. W razie konieczności można też przekierować część mocy z układu napędowego lub drażącego. Tak to przynajmniej wygląda według instrukcji obsługi.

– To coś jak kolapsar, tylko dużo większe i znacznie piękniejsze – podsumowała Kaliopie, nie kryjąc zachwyty.

– Mówiłam, że ci się spodoba. – Przemysłniczka wyłączyła automatycznego pilota, aby przejąć stery. – Załoga liczy trzydzieści dwie osoby...

– Ile? – Zaskoczona Wilhelm oderwała na moment wzrok od gigantycznego kompleksu.

– Trzydzieści dwie – powtórzyła Angelara. – Kochana, to absolutna rewolucja na rynku wydobywczym. Oczko w głowie Mine-Crafta. Wszyst-

kie procesy zostały w pełni zautomatyzowane. Maksymalizacja zysków level hard.

- Skurwyklony...

- Owszem, skurwyklony, ale jakie uczynne. - Weaver się zaśmiała. - Oto najdroższa i chyba najbezpieczniejsza kryjówka świata. Ekipę skompletowano w pasach wewnętrznych trzy miesiące temu, na długo przed rozpoczęciem strajków, co znaczy, że ludzie są swoi i pewni.

- Wierzysz, że oligarchowie oddali taki cenny sprzęt w ręce niezwiązane z korporacją?

- Wybacz... - Angelara rozłożyła ręce w przepaszającym geście. - Zapomniałam dodać, że całe kierownictwo tego burdelu zniknęło wczoraj, zostawiając załogę na pastwę losu.

- Co znaczy: zniknęło?

- Po akcji na Delcie i przemówieniu Bukowskiego zrobiło się nieciekawie. Nadzór najpierw starał się przekonać wszystkich, że na pokładzie Aurigi nie ma żadnych „korporacyjnych zabezpieczeń”, a potem zapakował się na dwa wahadłowce i spieszył, zanim załoga zdążyła powiedzieć: sprawdzam. Sama wiesz najlepiej, może to i prości ludzie, ale z dużym doświadczeniem życiowym i zawodowym, którzy w dodatku nieraz zostali oszukani przez macierzystą firmę. Nie uwierzyli przełożonym, a kiedy zaczęli szukać na własną rękę, znaleźli trzy emiterzy wbudowane w system napowietrzania. - Urwała na moment i dokończyła: - Hickman, który swoim zwyczajem trzyma rękę na pulsie, namierzył jakoś uciekinierów, później skontaktował się z resztą członków załogi i zaoferował pomoc w wyczyszczeniu Systemu, tak żeby nie dało się go przejąć z zewnątrz jak u was na Invictusie.

- Niezła jazda - skwitowała Willhelm, gapiąc się z podziwem na monstrualny korpus instalacji.

- Owszem, ale dzięki temu, że razem z nadzorem prysnęło trzech operatorów, którzy robili chyba za wtyczki, zyskałiśmy całkowitą pewność, że nie ma tam teraz nikogo, kto mógłby albo chciałby cię sypnąć, gdybyś nieopatrznie się wygadała.

- Nie zamierzam się chwalić ostatnimi dokonaniai - oświadczyła Kaliope.

Angelara tylko wzruszyła ramionami.

- Załatwiłam z nowym kapitanem, że weźmie cię na zastępstwo za jednego z uciekinierów.

– Na zastępstwo? – zdumiała się Willhelm. – Przecież ja nic nie wiem o technologii wykorzystywanej na tym potworze! Ile oni się uczyli, żeby móc na tym pracować? Trzy miesiące? Dobrze mówię?

– Opanuj się – poprosiła ją Weaver. – Nikt ci nie każe obsługiwać tego złomu. Dołączysz do załogi na czas transferu, który potrwa kilka tygodni. Po pierwsze: zyskamy czas na wyjaśnienie sytuacji. Po drugie: trafisz na Rubieże, gdzie znacznie trudniej będzie cię namierzyć. Jakkolwiek patrzeć, jesteś wygrana.

– No, chyba że tak. Powinam coś odpalić temu kapitanowi za podwózkę? – zainteresowała się, wiedząc, że w przemytniczej profesji nie ma nic za darmo.

– Przyjmując cię do załogi, kapitan Swanwick spłaci dług, który miał u nas, wiesz, za to czyszczenie kompów.

– I Hickman pójdzie na taki układ? – Kaliope nie mogła w to uwierzyć.

– Powiedzmy, że ten deal uspokoi jego sumienie z powodu przejęcia sporej części depozytu twojego starego. Potraktuj to jako gest dobrej woli z naszej strony.

– Z tego, co słyszałam i widziałam, twój szef nie wygląda na faceta, który przejmuje się takimi pierdołami jak głos sumienia – zauważyła kąśliwie Willhelm.

– Powiedzmy, że odpowiednio naświetlę mu tę sprawę, gdy w końcu wyniucha, co zrobiłam – zbyła rozmówczynię Angelara. – Nie będzie się rzucał, bo i tak nie wycisnąłby z tego dealu wiele więcej. Jego głównym zyskiem jest kompletny system Molocha. Kawał tajnego kodu, za który inne korporacje mogą sporo zapłacić na czarnym rynku.

– Jak dużo mu powiedziałaś? – zapytała Kaliope, zmieniając temat.

– Komu?

– Temu nowemu kapitanowi.

– Nic ponad to, co musi wiedzieć. Na szczęście nie zadawał zbędnych pytań. Zobaczysz, polubisz gościa od pierwszego wejrzenia.

* * *

Przelot w pobliżu Molocha mógł onieśmielić każdego, nawet człowieka, który uważał się za obytego z widokiem najpotężniejszych jednostek służących do pokonywania przestrzeni międzygwiazdnej. Widziane z odległości niespełna pięćdziesięciu metrów rzędy głowic plazmowych ciągnęły się w nieskończoność, tworząc skomplikowane wzory. Kaliope

odnosiła momentami wrażenie, że patrzy na wzniesiony przez obcą rasę dziwaczny monument, poświęcony zapomnianemu, na poły mechanicznemu bóstwu.

Wahadłowiec wzniósł się nad górną krawędź stożka, po czym zmienił kurs, kierując się do jednego z sześciu doków rozmieszczonych u nasady rdzenia. Ta część bazy wydobywczo-przetwórczej wyglądała nie mniej imponująco. Kojarzyła się z futurystycznie technokratycznymi fortecami z gier senso, które Willhelm zaliczała namiętnie jako nastolatka. Aż ją ciarki przeszły na to wspomnienie.

Oby pobyt w tym miejscu nie skończył się dla mnie taką rzeźnią, jaką oferowały mi kolejne poziomy strzelanek, pomyślała, krzywiąc się w duchu.

Hangar, w którym wylądowały, nie odstawał wyglądem od reszty tej instalacji. W jego przepastnym, kompletnie teraz pustym wnętrzu można by pomieścić całą flotyllę wahadłowców bądź kilka nie największych wewnątrzsystemowych frachtowców. Nic dziwnego, że ludzie, którzy czekali za linią wyznaczającą granicę lądowiska, musieli skorzystać z grawiolotu, by tu dotrzeć, nie wspominając o tym, że przypominali mrówki stojące pośrodku płyty astroportu.

Gdy umilkły grawitrony, Angelara obróciła się w fotelu, nie odpinając pasów.

- Tu się pożegnamy – rzuciła w kierunku towarzyszki podróży.
- Nie idziesz ze mną? – zdziwiła się Kaliope.
- A co ja, twoja niania jestem?
- Niby nie, ale...
- Dopiero co chciałaś mnie zadźgać, a teraz mam cię za rączkę trzymać? – Przemytniczka się zaśmiała.
- Wiesz przecież...
- Tak, wiem. – Weaver machnęła lekceważąco ręką. – Spadaj już, bo czeka mnie lot powrotny na Gammę.
- Ty mi tak naprawdę nie wybaczyłaś. – Willhelm zawisła na moment we włazie kabiny.

Angelara spoważniała w mgnieniu oka.

- Trudno tak od razu wybaczyć chęć wbicia dwóch wielkich noży w plecy, ale jeśli cię to martwi, powiem tyle: rozumiem, dlaczego chciałaś mnie zabić, i nie mam ci tego za złe. Niemniej jakaś zadra w sercu pozostała. Taka tyci, tyci, która zagoi się z czasem, lecz na pewno nie dzisiaj i nie jutro. Jasne?

Kaliope westchnęła ciężko.

– Dobra, niech będzie szczerść za szczerść – powiedziała, uśmiechając się pod nosem. – Nie wspominałam o tym wcześniej, ale tym drugim nożem miałam ci poderżnąć gardło.

– Spieprzaj stąd, bozoniaro, zanim do reszty się rozmyślę i grzecznie poproszę kapitana Swanwicka, żeby cię zostawił na pierwszej planecie, którą to cudo spenetruje – prychnęła przemytniczka, udając irytację.

– I ja żegnam cię czule! – zawołała przez ramię Wilhelm, szybując przez ładownię wahadłowca.

Rozdział 21

*Terytoria Wewnętrzne,
pokład Aurigi, orbita Eosa,
System Hyperion 32, Sektor Whisky,
13.05.2234, godz. 16:32*

Kaliope leżała wygodnie wyciągnięta na koi w przydzielonej kajucie, prezentującej się o wiele lepiej nie tylko od ostatniej kryjówki – co było skądinąd zrozumiałe – ale też od większości lokali, w których zdarzyło jej się wcześniej pomieszkiwać.

Już w drugiej godzinie zwiedzania stwierdziła, że Moloch jest niesamowity pod każdym względem. Wszystko na jego pokładzie pachniało nowością, lecz znacznie ważniejszy był poziom wykonania, niespotykany dotąd w instalacjach orbitalnych tego typu. Co rusz natykała się na dowody, że Mine-Craft włożył w ten projekt całe serce i kupę kasy.

Przedział mieszkalny międzygwiazdznego kolosa zajmował tylko dwa poziomy rdzenia – na wyższym znajdowały się kwatery liczącego osiem osób nadzoru oraz tylko do pewnego stopnia wspólna część rekreacyjna; na niższym mieszkała reszta skromnej załogi. W kopalni na Invictusie, która miała podobne rozmiary, takich poziomów było pięć, ponieważ pracowało tam i mieszkało dwa razy więcej ludzi.

Tutaj redukcja etatów pozwoliła korporacji oszczędzić sporo cennej kubatury, dzięki czemu zwiększono liczbę dronów wydobywczych o pięć procent, czyli o dwieście osiem sztuk. Zatrudnieni także zyskali, gdyż zaoferowano im znacznie wyższy komfort pracy i życia niż na którejkolwiek instalacji orbitalnej znanej Kaliope.

Kajuty Aurigi były trzykrotnie większe niż te, które zajmowała w przeszłości. Ich wyposażenie także było pod wieloma względami lepsze. Wszystko lśniło, i to nie tylko nowością – nanolaminatem pokrywano tu nawet grodzie, dzięki czemu przypominały dekoracje z wysokobudżetowego holo. Jasne, gładkie i błyszczące bardziej pasowały do apartamen-

tów mieszkalnych z górnych poziomów kolonii niż jakiegś tam błakającej się po obrzeżach kosmosu bazy wydobywczo-przetwórczej. Wygląd, choć oszałamiający, był jednak niczym w porównaniu z innymi bonusami. Na menu osobistych drukarek składało się ponad trzydzieści opcji, a osobistych dyspenserów – tak, każdy pracownik miał w kabinie własny dyspenser! – pięć. Niby niewiele, lecz nie należy zapominać o podajnikach żywności zainstalowanych w centralnej mesie – te serwowały ogółem osiemnaście trzysmakowych dań i (co już zakrawało na ekstrawagancję) umożliwiały podmianę niektórych składników, dzięki czemu możliwych kompozycji dań było parokrotnie więcej.

Życ nie umierać, pomyślała Willhelm, wpatrując się w kremowy sufit. Może warto przyłożyć się do nauki i powalczyć o pozostanie w załodze? Diabli wiedzą, jak długo potrwa ta cała awantura, a Moloch jeszcze przez wiele lat będzie zarabiał na sobie, eksploatując najbardziej wydajne złoża na Rubie żach – czy to dla korporacji, która go zbudowała, czy dla nowych właścicieli, jeśli ruch Bukowskiego dopnie swego...

Istniała przecież możliwość, choć jej zdaniem raczej niewielka, że Federacja przegra to starcie tytanów. W takim przypadku załoga tego potwora wygra główną nagrodę na Loterii Słonecznej.

Tak czy inaczej, wkręcenie się do załogi na stałe mogło zagwarantować Kaliope życiową stabilność, której od dawna pragnęła. Nie, nie potrzebowała pracy – zachomikowane kredyty pozwoliłyby jej na kilka lat rozkosznego lenistwa. Kusilo ją co innego: luksusy, które oferował Moloch, były bezcenne i nie mógł się z nimi równać nawet zasobny stan konta.

Muszę porozmawiać na ten temat ze Swanwickiem, zdecydowała.

Przemytniczka miała rację, mówiąc, że Willhelm polubi kapitana od pierwszego wejrzenia. Gość przypominał Franka: był jak on wysoki, barczysty i przystojny, a co ważniejsze, dostrzegła w jego oku ten sam charakterystyczny błysk, dzięki któremu od razu wiadomo, że ma się do czynienia z kimś, kto wie, co robi, i w każdych okolicznościach potrafi zadbać nie tylko o siebie, ale też o innych. Współpraca z kimś takim to czysta przyjemność, wiedziała o tym z autopsji.

Dołączenie do załogi nie powinno być trudne. Oprócz kierownictwa z pokładu uciekło także trzech pracowników, najprawdopodobniej korporacyjnych szpicli. Byli to dwaj operatorzy nadzorujący pracę dronów i jeden z pracowników drażni. Załapanie się na to drugie stanowisko mogło stanowić problem – Kaliope widziała z bliska konsole, przy których

siedzieli specjaliści obsługujący zespoły głowic plazmowych, i musiały przyznać bez bicia, że większość zaszytego w nich kodu przypominała najprawdziwszą czarną magię. W takim zawodzie trzeba przeharować wiele miesięcy, a nawet lat, by osiągnąć wymaganą biegłość. Ucząc się, technicy pracowali na wcześniejszych wersjach Systemu, tymczasem ona musiałaby zaczynać od absolutnych podstaw. Te trzy krótkie tygodnie, które dzieliły Aurigę od rozpoczęcia prac wydobywczych, nie wystarczyłyby na choćby liźnięcie tematu.

Za to perspektywa pracy z dronami wyglądała bardzo obiecująco. Kaliope sterowała już samodzielnie kombajnami, może nie tak nowoczesnymi i zaawansowanymi technologicznie jak drażnie Mine-Crafta, ale uniwersalne podstawy miała w małym palcu. W dwadzieścia jeden dni zaliczyłaby bez problemów intensywny kurs doszkalający. Jej wszczep – kolejna inwestycja, którą zawdzięczała przewidującemu ojcu – pozwalał na korzystanie z bionicznych łącz, co znacznie ułatwiłoby zadanie.

Najtrudniejsze będzie oczywiście przekonanie Swanwicka i reszty, ponieważ była dla nich obcym elementem. Kimś, kogo mieli tylko przetrząść do innego systemu w ramach rewanżu za świadczoną przysługę. Kimś, kto podpadł lokalnym władzom do tego stopnia, że musiał zniknąć cichcem z Hyperiona. Kimś, z kim lepiej się nie zadawać w tych niepewnych czasach... Na szczęście żadne szczegóły nie były znane załodze Molocha. Ludzie ci nie wiedzieli, kim naprawdę jest ani co naprawdę zrobiła. Jeśli sprzeda im dobrze spreparowaną bajeczkę...

Myśl, głupia, myśl, bo to okazja twojego życia. Być może już ostatnia.

Nie zdążyła nic wykombinować, gdyż zaledwie kilka minut później usłyszała komunikat nadawany na otwartym kanale.

– Uwaga, uwaga, zebranie całej załogi w mesie o godzinie szesnastej czterdzieści czasu standardowego. Przyszła odpowiedź z Mine-Crafta – oznajmił grobowym tonem Swanwick, co nie wróżyło najlepiej.

Już wcześniej obilo się jej o uszy, że natychmiast po ucieczce nadzorców kapitan wysłał ansiblem wiadomość do macierzystej korporacji, opisując sytuację z własnego punktu widzenia i prosząc o instrukcje. Kaliope nie dziwiło, że załoga dystansuje się chwilowo od wydarzeń na Terytoriach i Rubieżach. Jej członkowie pochodzili z pasów wewnętrznych, leżących tuż przy granicy z Systemami Centralnymi i jako takie włączonych ostatnio do właściwej Federacji. Bukowski wywalczył już dla nich wszystko to, o czym reszta strajkujących kolonistów mogła tylko poma-

rzyć. Na zarobki z pewnością też nie narzekali, biorąc pod uwagę warunki pracy i wartość sprzętu, który dano im pod opiekę.

Willhelm wstała z koi, zastanawiając się, czy powinna dołączyć do pozostałych. Swanwick nadał komunikat na otwartym kanale, aby dotarł on do każdego bez względu na miejsce pobytu. Po krótkim wahaniu zdecydowała, że stawi się w mesie i – jeśli tylko ją wpuszczą – weźmie udział w zebraniu. W końcu zamierzała przystąpić do załogi Molocho, co oznaczało, że powinna wiedzieć, jak się sprawy mają.

Wyszła na jasno oświetlony korytarz o owalnym przekroju. Tutaj także nie sposób było dostrzec nagich metalowych powierzchni. Gdziekolwiek spojrziała, widziała błyszczący nanolaminat. Elementy nośne pokryto granatowym tworzywem, ściany lśniły delikatnym błękitem. Kaliope mijają kolejne sektory, nie gapiąc się jak poprzednio na mijane displeje, w których prezentowano wirtualne wersje znanych dzieł sztuki bądź egzotycznych roślin, nie tylko tych ziemskich, co było jeszcze jedną rzeczą, jaką na zwykłej instalacji orbitalnej uznano by za fanaberię.

Przed mesą natknęła się na trzy osoby, których dotąd nie spotkała. Co ciekawe, żadna z nich nie skomentowała jej obecności, jakby nie przeszkadzało im, że zareagowała na wezwanie kapitana. Uznała to za dobry znak, lecz na wszelki wypadek zajęła miejsce w najodleglejszym zakątku pomieszczenia, żeby nie rzucać się w oczy i w razie czego mieć możliwość ulotnienia się bez zwracania na siebie uwagi.

Swanwick pojawił się ostatni, przemaszerował środkiem sali aż pod rząd dyspenserów. Stał tam i nic nie mówiąc, przerzucił jakiś plik na umieszczone pod sufitem wyświetlacze, na których wcześniej leciały reklamy poszczególnych smaków biomasy. Kaliope zobaczyła pomarszczoną twarz wiekowego mężczyzny o głęboko osadzonych wodnistych oczach – patrzył on w obiektyw z wyższością charakteryzującą górne warstwy zarządców korporacji.

– Nie wiecie nawet, jaką cenę przyjdzie wam zapłacić za wasz bunt! – zaczął ostro bez zbędnych wstępów. – Mine-Craft stanowczo żąda natychmiastowego zwrotu zagarniętego przez was mienia. Jeśli w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nie przekażecie Aurigi w ręce nadzorczyńni Tuttle, zostaniecie usunięci z pokładu siłą. To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie, więcej prób kontaktu z mojej strony nie będzie.

Ekran y ściemniały na ułamek sekundy, po czym wykrzywioną nienawistnie twarz starca zastąpiły nabrzmiałe seksowne kobiece usta, delektu-

jące się kawałkiem biomasy o intensywnie brunatnej powierzchni i delikatnym różowym wnętrzu.

„Tego pragniesz, to dostaniesz!”, głosił napis reklamujący namnażaną wołowinę.

– I co wy na to? – Stojący plecami do reklamy Swanwick przerwał niezręczną ciszę.

– Coś ty wysłał Novikowi? – zapytał Eric Żelazny, chudy jak patyk główny mechanik Molocha, którego Kaliope poznała podczas obchodu i zapamiętała z powodu nadnaturalnego wzrostu.

– Tylko to, co wspólnie ustaliliśmy – zapewnił kapitan. – Nie dodałem ani słowa od siebie.

– Skąd zatem to ultimatum?

– Tuttle musiała nawcisnąć im kitu, żeby usprawiedliwić tchórzliwą rejeradę. Sądząc po reakcji Novika, nieźle nas obsmarowała.

Większość siedziała ze zwieszonymi głowami, parę osób prowadziło półgłosem ożywioną rozmowę. Kaliope doskonale rozumiała tych biedaków. Sama przeżyła podobne chwile, gdy kontrakt marzeń okazał się niespodziewanie koszmarem, który mógł kosztować ją życie. Milczała jednak, nie chcąc budzić w załodze złych skojarzeń.

Lepiej nie być powstańcem, który przynosi złe wieści. Wiadomo przecież, jak tacy kończą...

– Nie mogą nam tego zrobić – wymamrotała kobieta siedząca najbliżej niej.

– Wszystko mogą – odburknął gniewnie mężczyzna zajmujący sąsiednie krzesło.

– I co teraz? – zapytał ktoś z głębi mesy.

– Nie wiem – odparł Swanwick. – Naprawdę nie wiem.

– Właściwie to nie mamy wielkiego wyboru – podsumował Żelazny, kręcąc głową ze złością. – Postawili nas pod ścianą.

– Czyli co, wysyłamy wiadomość, że przystajemy na żądania Novika? – rzucił inny z załogantów.

– On chce, żebyśmy przekazali Molocha w ręce Tuttle – poprawił go Żelazny. – Z zarządem mamy się już nie kontaktować.

– Ale gdzie jej szukać? – zapytała kobieta siedząca najbliżej Kaliope.

– Sama się do nas zgłosi – wysunął przypuszczenie kapitan. – I to raczej prędzej niż później.

– Może teraz da się z nią rozsądniej porozmawiać – zgadywał ten, który wcześniej twierdził, że przedstawiciele zarządu mogą wszystko.

– Akurat – prychnęła jego sąsiadka.

– Nakłamała, żeby usprawiedliwić ucieczkę – bronił się mężczyzna. – To jest zapisane w logach.

– Chodzi ci o System, który pozwoliliśmy miejscowym zhakować, żeby uniemożliwić zdalne przejęcie kontroli nad Aurigą? – zakpiła techniczka.

Zgasiła go tą mało celną ripostą, gdyż również nie wiedział, że zapisów rdzenia nie da się nadpisać bez pozostawienia śladów, w związku z czym nadal stanowiły dowód na niewinność załogi. Kaliope uśmiechnęła się pod nosem.

Chyba znalazłam idealny sposób na wkupienie się w łaski załogi, pomyślała. Jej radość nie trwała jednak długo, ponieważ zaraz sobie uświadomiła, że po oddaniu Molocha w ręce tej tam, Tuttle, czeka ją zupełnie inny los. Zostanie usunięta z pokładu, a nawet aresztowana, ledwie nadzór odkryje jej obecność. Do tego nie mogła dopuścić za żadną cenę.

– Czy mogę coś wtrącić? – zapytała, podnosząc rękę.

Swanwick rozłożył szeroko ramiona, by uciszyć dyskutujących pomiędzy sobą członków załogi.

– Mów.

– Obawiam się, że wasz problem jest znacznie poważniejszy – powiedziała, nie wstając z krzesła. – Z tego, co słyszałam, pozwoliliście ludziom Hickmana grzebać w Systemie. Fakt, że dopuściliście obcego do zastrzeżonego oprogramowania będącego własnością intelektualną Mine-Crafta, oznacza złamanie całej masy paragrafów kodeksu korporacyjnego.

– Serio? – przestraszył się jeszcze inny, milczący dotąd członek załogi.

– Niestety tak. – Zasepiony Swanwick uprzedził dziewczynę.

– Samo to wystarczy do dyscyplinarnego zwolnienia was wszystkich – kontynuowała Willhelm – a nawet postawienia niektórych w stan oskarżenia, jeśli nadzór się zorientuje, że hakerzy skopiowali przy okazji każdy kawałek kodu, jaki da się sprzedać na czarnym rynku.

– Kurwirtual – mruknął pan Wszystko-Moga, zanim mesę wypełnił gwar podniesionych głosów.

Kapitan potrzebował dłuższej chwili, by uspokoić panikujących podwładnych. Zwracając się do Kaliope, zapytał:

– Masz pewność, że twoi przyjaciele wykradli te dane?

– To nie są moi przyjaciele...

- Nie o to pytałem!

Willhelm zaczerpnęła głęboko tchu.

- Mówimy o ludziach z półświatka, dla których nie ma żadnych świętości, zwłaszcza gdy zwęszą zarobek.

- Twierdzili, że są z ruchu oporu! – oburzyła się techniczka.

- Trzeba było ich pogonić! – krzyknął jakiś mężczyzna, mierząc oskarżycielsko palcem w Swanwicka.

- Decyzję podjęliśmy wspólnie – przypomniał wszystkim obecnym kapitan.

- Tylko dlatego że baliśmy się zagazowania!

- Nieważne. Klamka zapadła i już tego nie zmienimy. Zamiast skakać sobie wzajemnie do gardeł, lepiej się zastanówmy, co teraz – zaproponował.

- Eric ma rację. – Kaliope znów zabrała głos. – Stoicie pod ścianą. Wywałam was wszystkich z roboty, i to z wilczymi biletami, bez względu na to, czy oddacie im Aurigę czy polecicie dalej. Choć ta druga opcja pozwoli wam przynajmniej uniknąć więzienia.

Po tych słowach w mesie zapanowała grobowa cisza, którą przerwał dopiero kapitan.

- Tylko chwilowo – zauważył.

- Niekoniecznie – zaprzeczyła Willhelm. – Nie wiecie o wielu ważnych wydarzeniach, jakie miały ostatnio miejsce. Cokolwiek mówią oficjalne komunikaty, szykuje się konfrontacja. Zagłada Deltę najlepszym tego dowodem. Ten, kto za nią stoi, nie odpuści, dopóki nie zapłoną całe Terytoria, a gdy tak się stanie, będzie musiało upłynąć wiele czasu, zanim na Rubieże wrócą prawo i porządek.

- No pięknie... – Techniczka westchnęła przesadnie głośno.

- Nie możemy wywinąć korporacji takiego numeru – odezwał się jeden z operatorów dronów. – Na Bellagio została cała moja rodzina. Jak znam życie, Mine-Craft weźmie ich za dupy, jeśli uzna nas za zdrajców albo buntowników!

Tym razem uciszenie wstrząśniętych ludzi wymagało wejścia na stół i gromkiego ryku, ponieważ argumenty słowne już nie wystarczały.

- Tak do niczego nie dojdziemy! – powiedział Swanwick, gdy ostatni krzykacze zamilkli, łapczywie nabierając powietrza do płuc.

- Czy mogę? – Czekająca cierpliwie Kaliope wykorzystwała natychmiast okazję. – Widzę jedno rozwiązanie, które może ocalić głowy i wam,

i waszym bliskim.

Gapili się na nią z otwartymi ustami, jakby nagle zerwała z siebie kombinezon i stanęła przed nimi całkiem naga.

Rozdział 22

*Terytoria Wewnętrzne,
pokład Aurigi, orbita Eosa,
System Hyperion 32, Sektor Whisky,
13.05.2234, godz. 19:07*

– Panie wiceprezesie! – Swanwick dyszał ciężko w mikrofon. – Oszukano nas! To nie była Tuttle!...

Przerwał, by otrzeć krew ściekającą mu na lewą powiekę. Po chwili zaczerpnął tchu i podjął:

– Jacyś zamaskowani ludzie zaatakowali Aurigę! Nie wiemy, co robić, a miejscowy wydział bezpieczeństwa nie odpowiada na nasze wezwania! Proszę nam pomóc! Będziemy się bronić do u... – Zamilkł i przykucnął instynktownie, gdy za jego plecami rozległ się ogłuszający huk, jakby coś eksplodowało. Zerknął bojaźliwie przez ramię, po czym posłał błagalne spojrzenie prosto w kamerę. – Zróbcie coś, bo długo nie wytrzymamy – wydyszał.

W tym momencie zza kadru dobiegł przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety. Budzące gęsią skórkę wrzaski dolatywały z tego samego kierunku, z którego napływały snujące się pod sufitem kłęby coraz gęstszeo sinego dymu. Swanwick pobiegł tam natychmiast, zapominając o wyłączeniu nadajnika. Tymczasem daleko w tle, aż pod grodzia, pojawiło się kilkoro członków załogi. Dwóch mężczyzn podpierało utykającego kolegę, a idąca krok za nimi kobieta oglądała się bez przerwy, ściskając w dłoniach coś, co wyglądało jak lekko zagięty metalowy pręt. Rannego ułożono ostrożnie za konsolą jednego ze stanowisk, po czym cała trójka, nie spoglądając ani razu w stronę obiektywu, pognęła ku wyjściu z mostka. Ranny jęczał głośno, zaciskając obie dłonie na zakrwawionym podudziu.

Po kilkunastu sekundach wrócił Swanwick, zgięty w pół i jeszcze bardziej zakrwawiony. Nie był jednak sam. W kadrze za nim pojawiła się rozjarzona błękitną poświatą końcówka porażacza. Wolno zbliżyła się do ple-

ców kapitana i dotknęła ich. Nawet ranny w nogę zapomniał o dojmującym bólu, widząc, co napastnicy robią z jego dowódcą. Gapił się w niemym przerażeniu, jak ciało zaatakowanego kapitana wygina się w łuk i dostaje konwulsji. Spazmy ustały po dłuższej chwili, moment później nieprzytomny mężczyzna zwałił się na pokład jak kłoda. Jego miejsce zajęła niższa o głowę Kaliope ubrana w ciężki kombinezon roboczy, ale bez hełmu. Z tej strony nie dało się tego zobaczyć, lecz widz z drugiej strony łącza miał przed oczami jedynie rozmazane zarysy postaci. Scramblery dostarczone przez Angelarę skutecznie ukryły tożsamość osoby, która była wyłączną scenarzystką i reżyserką tej brutalnej inscenizacji.

– Puk, puk – zagaiła, pochylając się w stronę holokamer. – Jest tam kto?

Dzięki wskaźnikom pobliskiej konsoli wiedziała, że przekaz jest odbierany na żywo. Ktoś obserwował wydarzenia na mostku od mniej więcej pół minuty. Zaraz się okaże, czy intuicja jej nie zawiodła.

Holopad rozświetlił półmrok panujący na stanowisku dowodzenia. Zobaczyła wirtualne odzwierciedlenie twarzy tego samego starca, który rugał załogę na nagraniu puszczonego w mesie.

– Witam, kierowniku, witam i o zdrowie pytam...

Novik się wzdrygnął, gdy padły te słowa, jakby przełamała nimi czar osłupienia. Na pewno nie zareagował w ten sposób na widok dwu innych zamaskowanych elektronicznie postaci, które zajęły się rannym członkiem załogi. Facet został rzucony brutalnie na pokład i skrępowany. Napastnicy nie przejmowali się faktem, że ma ranę na nodze. Dopiero „interwencja” Kaliope skłoniła ich do odciągnięcia go dalej, poza kadr. Wrzaski ścichły, lecz nie przestały być słyszalne, a z każdą chwilą dołączały do nich inne, równie nieprzyjemne odgłosy.

– Co to ma znaczyć?!

– Nic. – Wilhelm się zaśmiała. Odwracając się ponownie do holopada, dodała: – Wiem, dziadzia, że spodziewałeś się meldunku od swoich popychadeł, ale będziesz rozmawiał ze mną, bo teraz ja tu rządzę.

Wiceprezes Mine-Crafta się nasrożył, początkowe osłupienie ustąpiło narastającej irytacji. Jakiś brudny śmieć z Rubieży śmiał traktować Davona Seana Ruperta Novika III jak równego sobie! Tego jeszcze w jego długim życiu nie grali.

– Tak ci się tylko wydaje, bandyto – powiedział, odczekawszy moment, by mieć pewność, że panuje nad głosem. – Już powiadomiliśmy lokalną centralę wubecji, która właśnie instruuje placówkę na Gammie Hype-

rona 32, że chcemy waszych głów. Wkrótce zrozumiecie, jak poważny błąd popełniliście, wyciągając ręce po korporacyjną własność. To znaczy o ile któremuś z was uda się przeżyć do przesłuchania...

- Uuu! - Kaliopie udało przerażenie. - Tak pięknie straszysz, kierowniku, że aż ciary mnie przeszły normalnie. Szkoda tylko, że ta krypa to nie średniowieczny zamek, a ty nie jesteś białą babcią czy co im tam się snuło nocami po ścianach.

- Kpij sobie, kpij! - wychrypiał rozwścieczony do białości przemysławiec z dziada pradziada, którego nikt nigdy nie potraktował w tak obcesowy, chamski sposób.

Willhelm wkurzała go celowo. Przygotowując się do tej rozmowy, wypytała dokładnie członków załogi i ściągnęła z Holonetu wszystkie plotki na jego temat. Dzięki zdobytym informacjom wiedziała, gdzie i jak uderzać w przerośnięte ego, by najbardziej bolało.

- Dla twojej informacji, kierowniku, Auriga, tfu, co ja gadam, Dziurkacz, jest od tej chwili własnością Armii Wyzwolenia Rubieży - kpiła dalej.

Wiceprezes robił, co mógł, by nie wyjść z roli twardziela, lecz nerwy brały nad nim górę. Zaczynał pękać, jeszcze jeden, najwyżej dwa ciosy i będzie go miała na deskach. Pora na pierwszy sierpowy.

- Dobra, kierowniku - rzuciła radosnym tonem - z twarzy wyglądasz mi na takiego, co już długo nie pociągnie, więc pozwól, że oszczędzę ci cennego czasu. Czarni nie przylecą. Mają teraz tyle roboty na miejscu, że zlewają zgłoszenia spoza planety. Ty to wiesz, bo poinformowali cię o tym, przyjmując zgłoszenie, i ja to wiem, bo skanery dalekiego zasięgu na naszych obu statkach nie zarejestrowały ostatnio żadnego wyjścia poza wysoką orbitę Gammy.

- Czego chcecie? - burknął przyłapany na kłamstwie Novik, purpurowiejąc na twarzy.

- Kierowniku kochany, weź może złuzuj to ciasne pod szyją, bo jeszcze ludzka krzywda cię zadusi - ironizowała Kaliopie, odwlekając koniec.

Czerpała ogromną satysfakcję z wbijania szpil temu wrednemu bozonowi z Ziemi. Należało mu się jak mało komu, z tego, co wyczytała o jego długim i tak samo nienawistnym życiu.

- Czego chcecie?! - powtórzył wrzaskliwie, tracąc do reszty opanowanie.

– Miło, że pytasz, kierowniku – odparła, poważniejąc. – Chcemy wolności i sprawiedliwości dla wszystkich.

– Przestań się wydurniać, bandyto!

– Dobra. Powiem krótko... Za odzyskanie Dziurkacza zapłacisz trzysta pięćdziesiąt milionów. A teraz skup się, bo nie będę mówić dwa razy: w ogniwach paliwowych. Po oficjalnym przeliczniku z wczoraj. – Przerzuciła plik z żądaniami na holopad.

– I-i... ile?! – Suma nawet na nim zrobiła wrażenie, a nie zdążył jeszcze skojarzyć, jaka pułapka kryje się w przeliczniku.

– Trzysta pięćdziesiąt takich dużych ślicznusich banieczek, kierowniku. Dla ciebie tyle co nic.

– Was tam chyba zdrowo popieprzyło – obruszył się Novik, purpurowiejąc na twarzy jeszcze bardziej.

– Myślisz, że to za mało? Szlag, a mówiłam tym głąbom od Bukowskiego, żeby nie schodzić poniżej pół miliarda – nie przestawała kpić. – Ale wiesz, kierowniku, my racjonalni ludzie jesteśmy, nie zamierzamy cię oskubać do cna, bo szanujemy klasę próżniaczą. Przykro by nam było, gdybyś nie miał na nowego jumpera co roku.

– Naprawdę was popieprzyło... – wymamrotał, czytając przesłane wyliczenie.

– Trzy i pół stówki to nawet nie połowa ceny tego złomu, który nam podarowałaś, nie wspominając o kapitale wpompowanym w bozonów, co tak ostro za ciebie walczyli. – Wskazała palcem jeńców pilnowanych przez kolegów Angelary.

– Wasze żądania są absurdalne!

– W takim razie będziesz w plecy znacznie większą sumę. Twój cud techniki poleci sobie kursem kolizyjnym w kierunku jakiejś fikuśnej gwiazdeczki w odległym niezamieszkanym systemie, a my nieco później ogłosimy aukcję, na której zaoferujemy konkurencji pełen dostęp do tajemnic Dziurkacza. Na przykład do kopii waszego Systemu. – Pochyliła się nad konsolą, jakby coś sprawdzała.

– Żaden szanujący się oligarcha nie będzie gadał z takimi śmieciami – skontrował szybko Novik, choć z jego tonu dało się wywnioskować, że sam nie wierzy w to, co mówi.

Zresztą Willhelm była przygotowana na taką ripostę.

– A to ciekawe, kierowniku. Bo wiesz, nasz kontakt u Harady bardzo się ucieszył, ledwie usłyszał o możliwości przejęcia tych danych. Wyobraź

sobie, byliśmy tak przewidujący i poinformowaliśmy znanych nam przedstawicieli paru najważniejszych korporacji, że w najbliższym czasie staniemy się szczęśliwymi posiadaczami śliczniutkiego stateczku do dziurawienia planetek.

- Dorwiemy was prędzej czy później! - Novikowi puściły hamulce. - Będę patrzył, jak wicie się z bólu i błagacie o litość, ale...

- Taaa, będziesz patrzył - weszła mu w słowo Kaliope. - Pod warunkiem że domowa sztuczna inteligencja zmontuje ci takie zboczone holo. - Parsknęła śmiechem. - Hm, ciekawe, jak mnie na nim zwizualizujesz... Będę facetem w typie Dona Feromona czy jakąś gorącą laską, żebyś mógł się poślinić, oglądając sado-maso z jej udziałem?

- Za jedną setną tej kwoty znajdzie się informator, który was sypnie, a wtedy...

- Zrozum w końcu, kierowniku. - Znów nie pozwoliła mu dokończyć groźby. - Straszyc możesz swojego jedyne synalka narkomana, nie nas. W odróżnieniu od ciebie i twoich obleśnych kumpli od worków z kasą umiemy zabijać i już to robiliśmy. Uwaga: nie raz i nie dwa, i uwaga, uwaga: własnymi rękami. Wiesz, że znamy twój adres i dokładny rozkład dnia? Lubisz kąpiele w kwasie? Albo ciepłe bombki pod dupą? Chyba nie, kto by lubił tego typu rozrywki. Radzę więc panować nad językiem, kierowniku, bo równie dobrze możemy przekazać tę ofertę twojemu ewentualnemu następcy. Myślę, że po obejrzeniu twoich zwłok byłby znacznie bardziej otwarty na nasze propozycje.

- Wy... wy... - Wiceprezes się zatchnął.

- Tak. My. Nie kto inny, tylko my. Ale wracając do tematu... Jeśli mi nie wierzysz, poproś kogoś bardziej rozcarniętego, może jednego z lokajów, którymi z taką lubością pomiatasz, żeby ci pokazał, co tak naprawdę dzieje się dzisiaj na Terytoriach. A zresztą... - Przesłała mu pakiety danych od Angelary, te same, z którymi zapoznała ją przemytniczka. - Oglądając te nagrania, zrozumiesz, że już po was, chyba że raczycie ewoluować. Sprawa jest prosta, kierowniku: jeśli nie zapłacisz tych trzystu pięćdziesięciu banieczech, nigdy nie odzyskasz Dziurka...

- Ten statek nosi nazwę Auri...

- To Dziurkacz, kierowniku, nie żadne Ał-rzygnę, i pogódź się w końcu z faktem, że nic na to nie poradzisz. Kto wam w ogóle takie durne nazwy wymyśla? - Musiała przerwać, by zaczerpnąć tchu. - Dobra, koniec

z dygresjami, bo czas leci, a to połączenie kwantowe nielecho mnie kosztuje.

– Ciebie...?

– Morda w kubel! – Wymierzyła w niego gniewnie palec. Novik był tak zaskoczony tym atakiem, że zamilkł posłusznie. – Przekaż radzie nadzorczej, że nowym właścicielem tego ślicznusiego stateczku jest od dzisiaj Armia Wyzwolenia Rubieży i pozostanie nim do dnia, w którym wypłacicie okup. Nie będzie żadnych negocjacji, targów i całej reszty bzdur z kryminałów w holowizji. Macie dwa tygodnie na podjęcie decyzji... – Urwała, gdy zobaczyła, jak mocno się wzdrygnął. – Dobra, macie miesiąc, ale ani dnia dłużej. Zrozumiano? – Wiceprezes milczał, lecz wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. – W takim razie z góry ślicznie dziękuję, kierowniku. A, i nie zapomnij przekazać serdecznych pozdrowień tej twojej bozonce, której nazwiska, wybaczone, niestety nie pamiętam, a która była tak uprzejma, że jeszcze przed dotarciem na Gammę rozpowiadała na prawo i lewo, skąd musiała spieszyć w obawie przed rzekomym buntem załogi. Gdyby nie ona, stracilibyśmy naprawdę niesamowitą okazję oskubania z paru kredycików takiego miłego kierownika. Uściskaj ją od nas, bardzo proszę. Dobra, to już chyba wszystko.

– Czekaj! Jak... – spanikował, tak jak się spodziewała.

– Widzisz? Przez to twoje ciągle przerywanie, zapomnielibyśmy o najważniejszym... – Zapanowała cisza, którą po chwili zakłócił narastający tumult w tle. – O czym to ja...

Zamarła z taką miną, jakby słuchała komunikatu albo meldunku. Novik pieklił się po swojej stronie, ale ona nie reagowała. Mniej więcej pół minuty później zaczęła nerwowo obmacywać kieszenie kombinezonu.

– No proszę, jakieś skurwyklony przesterowały rdzeń! – Aż sapnęła ze złości. – Nie wiem, ile im płacicie, ale chyba są warci każdego kredytu – dodała, wyjmując niewielkie płaskie urządzenie, które po aktywacji spoczęło na konsoli stanowiska dowodzenia widzianej przez Novika tylko częściowo. – Wygląda na to, że na razie uda ci się zaoszczędzić parę kredytów, mogę cię jednak zapewnić, że to nie koniec... – Wyrwała się szarpiącemu ją za ramię współnikowi, by dokończyć ostatnią pogroźkę. – Dziurkacz nigdzie się stąd nie ruszy i prędzej czy później będzie nasz!

Moment później zniknęli oboje i na mostku zapanowała względna cisza. Przez kolejną minutę w tle było słychać tylko jęki i krzyki. Potem przy grodzi w głębi pomieszczenia pojawiła się grupka mężczyzn i kobiet

w charakterystycznych ciemnozielonych kombinezonach działu wydobywczego. Prowadzący ją dwumetrowy drąg wskazywał podwładnym stanowiska, a gdy skończył, ruszył w kierunku holopada.

– Panie wiceprezesie... – wysapał, próbując złapać oddech. – Chyba... chyba się ich pozbyliśmy...

– I dobrze – warknął rozwścieczony wciąż Novik. – Oczekuję... – Zdębiał, gdy przekaz zadrgał dziwnie raz i drugi. – Ona coś podłączyła do konsoli!

– Gdzie?

– Tam, po prawej! Po mojej prawej! Takie płaskie urządzenie mniej więcej tej wielkości... – Wiceprezes w panice instruował skołowanego głównego mechanika.

Obraz drgał coraz częściej i mocniej, pojawiły się też pierwsze przeskoki.

– Mam! – wrzasnął triumfalnie Żelazny, po czym przyjrzał się znalezi-sku. – Skurwyklony zainfekowały nam System...

W tym momencie stojąca poza kadrem Kaliopie dała znak, by odłączyć ansibla. Novik zniknął, holopad błyskawicznie pociemniał.

Willhelm była pod wrażeniem. Dwie godziny intensywnych prób wystarczyły, by przygotowana przez nią inscenizacja wypadła autentycznie – nie mogło być inaczej, skoro rozcięcie na czole głównego bohatera było jak najbardziej prawdziwe, tak samo jak jego cierpienie na wizji. Kaliopie nie chciała pozwolić, by Novik nabrał podejrzeń. Przy realizacji tego scenariusza nie wchodziły w grę ani efekty specjalne, ani postprodukcja. Nie było nawet mowy o choćby jednym dublu.

Zadanie nie należało do najprostszych, ale wybrani przez nią „aktorzy” dali z siebie wszystko, wiedząc, ile zależy od przekonania centrali, że nie są buntownikami. Wisząca nad głowami załogantów i ich rodzin groźba uwięzienia zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jeśli tylko Novik uwierzy, że na pokład Molocha wdarli się członkowie ruchu oporu – czy też zwykli bandyci – którzy postanowili wykorzystać panujące wokół zamieszanie.

To był ostatni akt przedstawienia wymyślonego przez Kaliopie. Najpierw Swanwick wysłał wiadomość, że załoga bardzo chętnie przekaze Aurigę w ręce nadzoru, tylko nie bardzo wie, jak to zrobić, ponieważ Jeanne Tuttle i jej zastępcy zniknęli bez śladu. Podkreślił też po raz kolejny, że nie rozumie zarzutu o przejęciu statku – przecież ani on, ani

tym bardziej nikt inny z załogi nie zrobił nic, by zagrozić misji, a co więcej, wszyscy chcą ją kontynuować według wcześniej ustalonego harmonogramu oraz skrycie liczą na powrót przełożonych. Na sam koniec zasugerował, że szefowa źle zinterpretowała sytuację, choć ta faktycznie zrobiła się bardzo nerwowa, kiedy Bukowski wskazał, gdzie należy szukać tak zwanych „korporacyjnych zabezpieczeń” (które znajdowały się w systemie napowietrzania). To ostatnie wtrącenie padło tonem czytelnego wyrzutu.

Kwadrans później kapitan zgłosił się jeszcze raz, wylewnie dziękując wiceprezesowi za szybką reakcję, ponieważ do Molocha podchodziły właśnie dwie niewielkie jednostki wewnętrzny, na których pokładach przebywali wszyscy uciekinierzy, jak również towarzyszący im przedstawiciele lokalnych władz mający zadbać, by przekazanie kontroli nad statkiem przebiegło bez zakłóceń – tak przynajmniej wynikało z komunikatu tekstowego otrzymanego przed momentem.

Trzecie, najtrudniejsze i najbardziej ryzykowne „ujęcie” rozegrało się zaledwie osiem minut później. Przedstawiało ono dramatyczny rozwój wydarzeń na mostku zaraz po niespodziewanym ataku. Choć wiele mogło pójść nie po myśli Kaliope, strach nękający załogę okazał się atutem. Aż tryskał z holoeckranu, na którym obserwowała występ Swanwicka.

Zdaniem dziewczyny wszyscy wypadli niezwykle naturalnie, a kapitan odtworzył rolę nie gorzej od zawodowego aktora. Intuicja raz jeszcze jej nie zawiodła.

– I co teraz? – zapytał Żelazny, oddając jej pożyczony od Angelary cracker.

– Nic – odparła. – Czekamy. Na postawienie nowego Systemu trzeba co najmniej sześciu godzin. Po restarcie zgłosicie się do Novika i poinformujecie go, że jesteście zwarci i gotowi do dalszej pracy. To powinno załatwić sprawę. Może nawet dostaniecie od firmy pochwałę albo jakiś bonus.

Rozdział 23

*Terytoria Wewnętrzne,
pokład Aurigi, orbita Eosa,
System Hyperion 32, Sektor Whisky,
13.05.2234, godz. 20:11*

Ich sukces był jej porażką. Wszyscy wokół cieszyli się, gratulowali sobie wzajemnie, a ona, główna sprawczyni ich radości, siedziała w kącie mesy cicha, smutna, przybita.

Tak niewiele brakowało, by zagwarantowała sobie miejsce na pokładzie Molocha – tylko na kilka miesięcy wprawdzie, ale i to by ją usatysfakcjonowało. Wydobycie prowadzone bez uiszczania opłat licencyjnych, odprowadzania podatków i ponoszenia całej masy innych kosztów mogło przynieść każdemu z nich grube miliony, nawet w razie sprzedaży urobku za pół albo i ćwierć ceny.

Swanwick szacował, że standardowy dzień eksploatacji bogatego złoża daje właścicielom instalacji około dwudziestu milionów kredytów czystego dochodu. W ich przypadku oznaczało to osiemset tysięcy na głowę dziennie. Pewnie przesadzał, ale nawet setna, ba, tysięczna część tego przekraczała wyobraźnię ludzi, którzy do tej pory harowali za ułamek promila dochodu osiąganego przez korporację. Kaliopie dostałaby jedną dwudziestą piątą tego słodziutkiego tortu, a do tego otrzymałaby działkę także od Hickmana, któremu dałaby cynk. Przemysłnik dzięki swoim kontaktom naraiłby klientów, którzy odbieraliby urobek, płacąc za niego mniej, niż kosztowałoby ich własne wydobycie, i robiliby to bez zadawania zbędnych pytań.

Czy można sobie wymarzyć szczęśliwszy finał?

Willhelm pokręciła głową ze smutkiem. Gdyby ta bajka stała się faktem, jej i tak nie byłoby do śmiechu. Cena sukcesu okazała się zbyt wysoka. Bez zastanowienia oddałaby wszystkie przyszłe zarobki za możliwość ponownego spotkania z ojcem. Uczyniłaby to, ponieważ był najbliż-

szą jej osobą. Tak bardzo czekała na jego powrót, odliczała dni i miesiące, które pozostały mu do odsiedzenia, planowała, co będą robić razem... a potem przyleciał jakiś skurwyklon w białym kitlu, wskazał go palcem i odesłał w niebyt, żeby stworzyć bożońskie oprogramowanie, które wymusi na ludziach całkowite posłuszeństwo. Nie chciała nawet myśleć, jakie katusze musiał przeżywać Frank, zanim postradał zmysły i został zabity.

Do jeszcze większego szału doprowadzała ją myśl, że powinna była podzielić jego los. Gdyby nie przypadek, skończyłaby w laboratorium, przeżywając w ciągu paru dni całe dekady nieludzkich cierpień. Pięć i pół roku w dwadzieścia cztery godziny... Tak wyglądał przelicznik Śnij-Żyj. W trzy tygodnie można zgrzybieć ze starości, nawet na moment nie opuszczając piekła kolonii karnej.

Wzdrygnęła się, jakby nagle owiał ją lodowaty wiatr. Było, minęło...

Nie do końca, uświadomiła sobie zaraz, wspominając niedawny zamach. Wszystko jednak było na dobrej drodze. Za kilka godzin zejdzie z pokładu Molocha. Angelara zabunkruje ją na *Tendarze*. Lepsze to niż poniewierka wśród największych zadupi Gammy.

A mogło być tak wspaniale. Załatwiłaby sobie trzy nowe tożsamości u trzech różnych pośredników, aby móc zniknąć, kiedy przyjdzie jej tylko ochota. Wyprałaby zarobione kredyty (Frank nauczył ją, jak to robić) i założyłaby firmę – albo i nie. Mając kilkanaście milionów, nareszcie odechnęłaby pełną piersią. Zamieszkałaby w Systemach Centralnych, może nawet blisko Ziemi, wierzyła bowiem w prawdziwość starej maksymy głoszącej, że najciemniej jest pod latarnią.

Skrzywiła się, czując lekkie drżenie na przedramieniu. Komunikator. Zerknęła na wyświetlacz, numer wskazywał, że dobija się do niej ktoś z zewnątrz. O tym, gdzie obecnie przebywa, wiedzieli tylko Hickman i ludzie z *Tendara*, ale z tymi drugimi przecież dopiero co się pożegnała.

Odebrała po trzecim sygnale, mocno zaniepokojona. Na wyświetlaczu pojawiła się twarz Angelary. Obawy wzrosły jeszcze bardziej, gdy zobaczyła jej minę.

– Co jest? – zapytała.

– Mam dla ciebie niezbyt ciekawą wiadomość – odparła przemytniczka z nietypową jak na nią rezerwą. – A nawet dwie.

Od strachu gorsza była tylko niepewność.

– Wal śmiało.

- Słyszałaś na pewno, że *Protector* zdążył odpalić kilka kapsułek ratunkowych – zaczęła ostrożnie Weaver.

- Owszem.

- Bo widzisz, okazało się, że w jednej z nich był komandor Dreade coś tam, coś tam. Jeden z głównych skurwyklonów pracujących nad formułą. Wprowadzie zaraz po odpaleniu doszło do kolizji z jakimś odłamkiem, ale podobno cudem zdołano go odratować.

Kaliope poczuła, jak włoski jeżą się jej na karku.

Nieszczęścia chodzą parami, a złego licha nie bierze, powtórzyła w myślach dwie inne prawdziwe maksymy zasłyszane od ojca.

Przebywając w bazie ruchu oporu, dowiedziała się, że niejaki Dreade-Ravenore był nie tylko nadzorcą Diakowa, ale także jedną z osób odpowiedzialnych za program wdrażania formuły. Kto wie, czy nie należał do wąskiego grona pomysłodawców nowatorskiego wykorzystania procedur Śnij-Żyj. Może trochę na wyrost, ale upatrzyła go sobie na główny cel planowanej zemsty.

- Tak... – odparła nieobecny tonem.

- Z tego, co zdołaliśmy ustalić, przewieziono go z resztą rozbitków do centrali wubecji na Gammie – kontynuowała Angelara. – Tam niestety ślad się urywa. Bozon musiał być jednak niezłe pokiereszowany, więc pewnie czarni trzymają go nadal w swoim szpitalu.

- Co zamierzacie z tym zrobić?

- Możemy tylko czekać. To pieprzona forteca, do której nie mamy dostępu. Zwłaszcza teraz, gdy ogłosili czerwony alarm i nie wyłażą ani na moment.

- Rozumiem...

- Nie rozumiesz! – zachnęła się Weaver. – Mówię ci o tym skurwyklonie, mimo że Hickman radził mi, bym dała sobie spokój. Ale ja wiem, jak bardzo chcesz pomścić ojca, i dlatego wolę, żebyś dowiedziała się o cudownym ocaleniu tego drania.

- Dzięki.

- Zrozum jedno. Dopóki stamtąd nie wylezie, gównie możemy zrobić. Ciebie to również dotyczy. Musimy się uzbroić w cierpliwość. Kiedyś go stamtąd wypuszczą. Wtedy go dopadniemy albo w drodze na orbitę, albo w strefie skoku.

- No...

Willhelm odpowiadała zwięźle, czasem monosylabami, gdyż perspektywa kolejnej porażki przybiła ją doszczętnie. Przedtem desperacko czepiała się myśli o dopełnionej zemście, tylko dzięki niej mogła w miarę normalnie funkcjonować, a tu nagle się dowiedziała, że jeden ze skurwyklonów, przez których Frank stał się obiektem nieludzkich eksperymentów, może nie ma się za dobrze, ale wciąż oddycha.

– Nic nie kombinuj, czekaj – poradziła jej Angelara. – Będę trzymała rękę na pulsie, obiecuję. Dam ci znać, jak tylko czegoś się dowiem. I jeszcze jedna sprawa... – zawiesiła na moment głos. – Hickman wrzucił nam w ostatniej chwili nową robotę. Odbierzemy cię jutro o siódmej czasu standardowego.

– Mhm – mruknęła, czym zdołała wytrącić przemytniczkę z równowagi.

– Daj mi słowo, że nie zrobisz niczego głupiego!

– Trzymaj się – zakończyła beznamiętnie rozmowę Kaliope.

Zablokowała komunikator, zanim Angelara ponownie wybrała jej numer. Wcześniejsza małomówność miała także drugi powód, chyba nawet ważniejszy. Kaliope znalazła sposób, jak definitywnie rozwiązać sprawę tego bozona. Sposób być może głupi, ale za to prosty i skuteczny. Nie wiedziała tylko, jak przekonać do jego realizacji pozostałych członków załogi Aurigi.

Połączyła się z mostkiem.

– O, witaj Avanesso... – Uśmiech Swanwicka zbladł nieco, gdy kapitan zauważył jej minę. – Coś się stało?

– Mógłbyś zwołać kolejne zebranie? – poprosiła.

Tym razem stanęła obok Swanwicka przy barierce odgradzającej rząd dyspenserów. Dziwnie się czuła, spoglądając na zajmujących miejsca członków załogi. Przed tym, co zamierzała zrobić za chwilę, przestrzegała ją nie tylko Angelara, ale też własna podświadomość, ta panikara, która wszędzie widziała czające się zło. Pewnie wzięłaby górę, lecz Kaliope zdążyła nałożyć jej chemiczny kaganiec. Tuż przed wejściem do mesy zaaplikowała sobie koktajl środków uspokajających. Umiarkowanie silny – nie chciała ani odpłynąć w środku rozmowy, ani poczuć się tak, jakby nagle wsadziła głowę do wypełnionego wodą akwarium.

Czekała cierpliwie na przybycie obsługi siłowni. Operatorzy reaktora zazwyczaj pojawiali się ostatni, ponieważ musieli pokonać najdłuższą drogę. Jeden z nich pozostał na stanowisku, bo tego wymagały przepisy, ale i on mógł obserwować przebieg zebrania dzięki komunikatorom kolegów.

Swanwick przeliczył szybko obecnych, po czym przekazał głos Wilhelm. Nie wyjaśniła mu wcześniej, na czym polega jej nowy pomysł, bała się, że kapitan zabroni jej mówić. Nie zdziwiłaby się, gdyby to zrobił. Sama postąpiłaby podobnie, gdyby ktoś chciał nakłonić jej własnych podwładnych do równie szalonego działania. Mimo to musiała spróbować.

– Pewnie się zastanawiacie, kim jestem i dlaczego musiałam zniknąć z Hyperiona – zagaiła, gdy kapitan usiadł przy najbliższym stoliku. – Powiem wam prawdę, bez owijania w bawełnę. Nazywam się Kaliope Wilhelm i jestem, a raczej miałam być jedną z ofiar niejakiego profesora Diakowa, o którego istnieniu dowiedzieliście się z wystąpienia Bukowskiego...

Umilkła na moment, by przerzucić na wyświetlacze reklamowe pierwszy z przygotowanych dokumentów.

Był to raport z niusowników, w którym relacjonowano rzekomy tragiczny wypadek w kopalni sąsiedniego systemu. Wśród wizerunków poległych bez trudu dało się znaleźć jej twarz. Powiększyła obraz, następnie kazała SILni przeprowadzić analizę porównawczą. System wykonał to zadanie w ułamkach sekundy, potwierdzając stuprocentową zgodność.

– Cieszyłam się jak głupia – podjęła, gdy szmery komentarzy ucichły. – Myślałam, że trafiła mi się robota marzeń, okazało się jednak, że wytypowano mnie do załogi kopalni na Invictusie wyłącznie dlatego, że wzorzec

moich fal mózgowych, czy czegoś tam, pasował do profilu badań. A był z nim zgodny z jednego tylko powodu: ponieważ te skurwyklony eksperymentowały wcześniej na moim ojcu! – podniosła bezwiednie głos, ale zaraz się zreflektowała i zapanowała nad gniewem. – On niestety nie miał tyle szczęścia co ja...

Tym razem przerwa była dłuższa. Kaliope walczyła przez chwilę z gulą w gardle, dopóki jej nie przełknęła.

– Jesteście ciekawi, w jaki sposób ocalałam? – Niemal wszyscy odruchowo potaknęli, wyjaśniła więc pokrótce, na czym polegała sztuczka ze znikaniem, której nauczył ją Frank. – Po dotarciu na Hyperiona zwróciłam się do pewnego człowieka, który pracował kiedyś z moim ojcem, on załatwił mi nową tożsamość i wypłacił zdeponowane kredyty. Teoretycznie mogłam żyć dalej jakby nigdy nic. Pech chciał... – Urwała, by rozważyć swoje następne słowa. – Tak się złożyło, że człowiek ten współpracował również z ruchem oporu, o którego istnieniu podobnie jak wy nie miałam bladego pojęcia. Ludzie Bukowskiego powiązali informacje o porwaniu załogi Invictusa z obecnością w tym systemie *Neurona* i tak, dodając dwa do dwóch, rozgryźli plan Diakowa.

Nie zamierzała się wdawać w dokładniejsze wyjaśnienia, tym bardziej że sama nie знаła wszystkich szczegółów. Pozwoliła członkom załogi na wymianę zdań między sobą, po czym gdy znów się uspokoiłi, przeszła do następnego punktu.

– Z czasem się okazało, że takich „szczęśliwców” jak załoga mojej kopalni było więcej. Skurwyklony porwały ekipę pracującą tam przed nami, a potem tych, którzy przylecieli po nas, i jeszcze jeden zaciąg, zgarnięty w przestrzeni, bo tak im się śpieszyło. Ale to nie wszystko. Przed Invictusem zabili w identyczny sposób setki innych ludzi, prowadząc eksperymenty najpierw na więźniach kolonii karnych, a później na kimkolwiek się dało. Łapanki były na porządku dziennym. Możecie mi nie wierzyć, ale program masowej reedukacji z wykorzystaniem przerobionych procedur Śnij-Żyj to nie bajka ani wymysł propagandy separatystów. Jestem tego jedynym żywym dowodem.

Zamilkła, by napić się wody, gdyż od tak długiej tyrady zaschło jej w gardle.

– Wszystko pięknie – Żelazny skorzystał z okazji, by zadać pytanie, które nasuwało się pewnie nie tylko jemu – ale czemu musiałaś uciekać, skoro załatwiono ci nową tożsamość?

- Zbyt wiele osób o niej wiedziało. Współpracując z ruchem oporu, spa-
liłam swoją przykrywkę. Ktoś gdzieś musiał coś chlapanąć niechcący albo
zwyczajnie mnie podkablował. Nieważne, czy zrobił to dla idei czy dla
kasy, efekt był ten sam. Może obilo się wam o oczy i uszy, że wczoraj
doszło do zamachu bombowego w Zeiramie...

Kilkoro członków załogi kiwnęło głową.

To dobry moment na pokazanie im drugiego pliku, uznała Wilhelm.

W puszczonej materiale lokalnej stacji wymieniono ofiary zamachu,
w tym niejaką Avanesę Presscott. Ponowna analiza dokonana przez
sztuczną inteligencję wykazała stuprocentową zgodność. Tym razem zga-
dzało się nawet nazwisko.

- Czarni nie mieli najmniejszych oporów. - Postanowiła, że będzie się
trzymać najwygodniejszej w tej sytuacji wersji zdarzeń. - Zamordowali
kilkadziesiąt osób, byle usunąć mnie z powierzchni Gammy. Na ich nie-
szczęście zabezpieczyłam się na wszystkie możliwe sposoby. Zamontowa-
łam kamery, które monitorowały ruch na korytarzach w pobliżu mojego
kubika, i przygotowałam sobie zawnaz drogę ucieczki. Gdybym została
w tamtej norze pięć minut dłużej, moje szczątki dałoby się zidentyfikować
wyłącznie dzięki badaniom profilu genetycznego.

Powiodła spojrzeniem po obecnych. Wszyscy przysłuchiwali się jej
z niesłabnącym zainteresowaniem.

- Kiedy służby ratunkowe zakończą pracę, brak mojego ciała zaalar-
muje kogo trzeba i polowanie zacznie się od nowa. Dlatego ludzie Hick-
mana zapakowali mnie na pokład Aurigi. Powinam zniknąć z radarów
na dłuższy czas, ale... - Zawahała się, dochodząc do kluczowego momentu
przemówienia. Obawy, że coś spieprzy, znów wzięły górę nad jej determi-
nacją. - Przed chwilą poinformowano mnie, że jeden z oprawców odpo-
wiedzialnych za śmierć zarówno mojego ojca, jak i setek górników z Invic-
tusa, przeżył atak w strefie skoku tego systemu. Mówię o spektakularnym
wysadzeniu jakiejś instalacji, co mogliście oglądać na własne oczy kilka
dni temu. To niejaki komandor Dreade-Ravenore, który przebywa obec-
nie w odciętej od świata centrali czarnych mieszczącej się na Gammie. To
prawdziwa podziemna forteca, której nie da się zdobyć ani zniszczyć
w żaden sposób. Chyba że...

Przerzuciła na wyświetlacze plany podziemnego kompleksu, oczywi-
ście wątpliwego pochodzenia i jeszcze podlejszej jakości, ale tego słucha-
jący jej ludzie nie musieli wiedzieć.

- ...chyba że ma się do dyspozycji broń tak potężną i genialną jak wasz Moloch - zakończyła, szykując się na odparcie frontalnego ataku.

Rozdział 24

*Terytoria Wewnętrzne,
pokład Aurigi, orbita Eosa,
System Hyperion 32, Sektor Whisky,
13.05.2234, godz. 23:04qq*

Dostała taki opieprz, że do oczu napłynęły jej łzy. Naskoczyli na nią wszyscy, bez wyjątku, nie bez racji zresztą. Dopiero co pomogła im się wykaraskać z opałów, a teraz zaproponowała, by wleźli za nią w jeszcze większe bagno. Tłumaczyła cierpliwie, że są jej ostatnią szansą na pomszczenie śmierci ojca, ale nie chcieli słuchać. Część wyszła nawet z mesy na długo przed zakończeniem tej pyskówki.

Zelazny powiedział jej wprost, że nie zamierza ryzykować życia jedynej córki tylko dlatego, że ona nie umie odpuścić. Większość z nich miała na Bellagio rodziny, a za udział w akcie terroru, za jaki by wzięto atak na regionalne centrum dowodzenia wydziału bezpieczeństwa, beknęliby przecież wszyscy. Nieznana jej z nazwiska operatorka dronów zapytała w pewnym momencie, czy Kaliope poświęciłaby swojego ojca w imię zemsty za kogoś, kogo nigdy nie poznała.

Odpowiedź była prosta i bolesna zarazem.

Swanwick odprowadził ją po spotkaniu i poprosił, by do przylotu Angelary nie opuszczała kajuty. Tak będzie lepiej dla obu stron, argumentował, a ona chcąc nie chcąc, musiała przyznać mu rację.

Na osobności raz jeszcze przemyślała wnikliwie swoją propozycję, ale im dłużej się nad nią zastanawiała, tym mniej miała sobie do zarzucenia. Ryzyko było wpisane w jej życie i tym razem także bez wahania poszła na całość, doskonale zdając sobie sprawę z możliwych konsekwencji. Nie darowałaby sobie jednak, gdyby nie zrobiła wszystkiego co w jej mocy, by dopaść tego wrednego skurwyklona.

Skoro tutaj się nie udało, spróbuję na Gammie. Znajdę sposób, żeby się dostać do fortecy czarnych. W całej Galaktyce nie ma takiego miejsca, do którego bym nie przeniknęła gnana żądzą zemsty.

Głos w jej głowie z uporem maniaka wrzeszczał: „Skończ z tym fantazjowaniem! Jesteś zwykłym szarakiem, nie masz ani armii zbirów na swoich usługach, ani miliardów kredytów na koncie! Jedyne, co możesz i powinnaś zrobić, to siedzieć na dupie i czekać, jak radzi Angelara. Gnida wylezie z nory, prędzej czy później będzie chciał wrócić do Systemów Centralnych, a jeśli nawet uda mu się opuścić Hyperiona, zawsze możesz polecieć za nim i dopaść go tam, gdzie nie będzie się ciebie spodziewał. Tylko zaplanuj to sobie lepiej niż próbę zamachu na twoją kumpelę przemytniczkę”.

Dlaczego ja muszę wszystko...

Nie zdążyła dokończyć myśli; z otępienia wyrwało ją natarczywe brzęczenie komunikatora. Zerknęła na wyświetlacz.

Swanwick? O tej porze?

Na Auridze czas odmierzano wyłącznie według standardowej miary – doba na Bellagio była bowiem tylko o siedemdziesiąt trzy minuty dłuższa od ziemskiej.

– Tak? – zapytała ostrożnie.

– Zjrzyj do mnie. – Dostrzegła na jego twarzy wyraz konsternacji, który momentalnie ją zaniepokoił.

Koktajl uspokajający chyba przestaje działać, uznała.

– Teraz?

– Tak, teraz.

Rozłączył się, zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze.

Nie pierwszy raz ktoś potraktował ją obcesowo. Zdążyła do tego przywyknąć w pracy, gdzie była co najwyżej popychadłem, ale po kapitanie Molocha nie spodziewała się takiej pogardy... bo to chyba była pogarda.

Czyżbym narobiła aż takiego gnoju? – zastanawiała się, wychodząc na korytarz.

Na zewnątrz nie było nikogo. Dyżurni ślęczeli przy konsolach stanowisk operacyjnych, a reszta załogi smacznie spała albo oddawała się niewiadomym rozrywkom w zaciszu własnych kajut. Szykowny wystrój, który podziwiała wcześniej, teraz wydawał się jej przygnębiający. Spuściła wzrok, by nie patrzeć na wirtualne dzieła sztuki i równie nierzeczywiste rośliny mające swą żywością, tak że chciałyby się do nich podejść i odechnąć produkowanym przez nie tlenem.

Z tym że roślinność, przynajmniej ta ziemska, nocą akurat pochłania tlen z atmosfery, zamiast go wytwarzać, zakpiła podświadomość Willhelm,

jakby dogryzanie sprawiało jej chorobliwą przyjemność.

Kwaterna obecnego kapitana mieściła się w części przeznaczony dla operatorów dronów, ponieważ tam właśnie pracował przed wymuszonym awansem. Kaliope dotarła na miejsce w dwie minuty, ale drugie tyle minęło, zanim zdołała przezwyciężyć wewnętrzne opory. Muśnięcie kciukiem wirtualnego klawisza wymagało od niej zebrania w sobie wszystkich sił.

– Wejdz, proszę. – Swanwick wpuścił ją do środka, po czym rozejrzał się bojaźliwie po korytarzu, jakby sprawdzał, czy ktoś ich nie widzi.

Willhelm omiotła wzrokiem znajome wnętrza. Jego kajuta nie różniła się niczym od tej, w której ją umieszczono, oczywiście jeśli nie liczyć typowego dla facetów nieładu oraz garści osobistych hologramów i dyplomów, które zdobyły ściany.

Czując, że coś jest na rzeczy, przeszła od razu do sedna.

– O co chodzi?

– Mam prośbę... – bąknął, po czym się zaciął.

Kaliope czekała cierpliwie, ale on jedynie westchnął, jakby zgubił wątek.

– Bez obaw, nie obraziłam się śmiertelnie, jeśli o tym chcesz pomówić – rzuciła, mylnie zakładając próbę przeprosin za nałożony na nią areszt domowy.

– Jest problem – wydusił z siebie w końcu. I zaraz dodał: – To znaczy tak myślę...

– Rozumiem. Na czym polega?

– Pół godziny temu uruchomiliśmy ponownie ansibl. Od razu przesłałem wiadomość do Novika, ale do tej pory nie odpowiedział.

– Jest środek nocy – przypomniała.

– Jak długo zwlekałabyś z odebraniem połączenia przychodzącego z wartę prawie miliard kredytów flagowej jednostki twojej korporacji, z którą straciłaś kontakt po ataku separatystów?

– Pewnie ani chwili, ale wiesz, nie jestem wiceprezesem...

– To jeszcze nie wszystko.

– Nie? – Spojrzała na niego uważnie.

– Chwilę później skontaktowałem się z przyjacielem, który pracuje w zarządzie kosmoportu, tam u nas, na Delcie. Jedną z jego podwładnych jest moja żona. Powiedział mi... Powiedział mi, że...

– Tak?

– Dzisiaj rano czarni wpadli do biura i zgarnęli Daisy. Wyprowadzili ją siłą, w kajdankach, na oczach wszystkich, jakby popełniła jakieś przestępstwo – w końcu udało mu się wykrztusić jakieś konkrety, ale w dalszym ciągu mówienie przychodziło mu z trudem. – Co więcej, podobno aresztowano też członków rodzin pozostałych załogantów.

– Podobno?

– W niusownikach nie ma na ten temat słowa, ale ludzie plotkują, bo u nas, w pasach wewnętrznych, podobne akcje wciąż należą do rzadkości.

– Dlaczego mnie o tym informujesz? – zapytała, tknięta nagłym przezcuciem.

– Dlatego że... – znów się zająknął. – Dlatego że chciałem cię prosić, abyś skontaktowała się z ludźmi Hickmana i...

– I co?

Kaliope zaczynała podejrzewać, o co może mu chodzić.

– ...i sprawdziła, czy nie mogliby wykorzystać swoich związków z ruchem oporu na Bellagio i ustalić, co dzieje się z naszymi rodzinami.

– Sam możesz to zrobić.

Skrzywił się tak bardzo, jakby poczęstowała go celnym sierpowym w żołądek.

– Wolałbym nie.

– Z jakiego powodu?

– Oni nie robią nic za darmo, a my nie chcemy... – nie dokończył zdania, ale i te kilka słów wystarczyło.

Hickman zażyczyłby sobie czegoś w zamian, jak za każdą przysługę, a oni mieli wystarczająco dużo problemów, by nie zaciągać kolejnego długu, którego w dodatku nie spłaciliby tak łatwo.

– Dobrze – zgodziła się bez gadania. – Spełnię twoją prośbę, a w każdym razie spróbuję.

– Dzięki.

Aktywowała komunikator, odczekała dłuższą chwilę, wsłuchując się w rytmiczne buczenie. Wreszcie Angelara odebrała. W tle widać było zastawioną jakimiś gratami gródź ciasnego mostka. Nie kłamała wcześniej, tę noc spędzała na pokładzie *Tendara*.

– A ty co? – burknęła przemytniczka, przecierając lekko opuchnięte zaczerwienione oczy. – Powiedziałam, że będziemy po ciebie o siódmej, wcześniej nie dam rady.

– Prośbę mam – rzuciła Kaliope, nie próbując się usprawiedliwiać.

- Wal.
- Mogłabyś się skontaktować z kimś od Bukowskiego i poprosić, żeby sprawdzili sytuację na Bellagio?
- Weaver usiadła prościej.
- Chcesz wiedzieć, jaka jest tam teraz pogoda? – spytała kąśliwie.
- Novik nie odpowiada na wezwania z Aurigi od... od mniej więcej pół godziny. – Musiała sobie przypomnieć, co mówił wcześniej kapitan. – A informator Swanwicka z Bellagio twierdzi, że wczoraj rano aresztowano rodziny członków załogi.
- To sprawdzona informacja?
- Ponoć był naocznym świadkiem zgarnięcia żony kapitana.
- Zobaczę, co da się zrobić. – Angelara pochyliła się, by wyłączyć komunikator.
- Poczekaj!
- Coś jeszcze?
- Przepraszam. – Willhelm spuściła głowę. – Powinnam była cię posłuchać.
- Co znowu zrobiłaś? Chyba nie próbowałaś namówić tych ludzi, żeby ci pomogli?
- Ja...
- Ty naprawdę jesteś porypana. Ciesz się, że nie zafundowali ci kolejnego numeru na tę tam, no wiesz... – Nie zapamiętała nazwiska, od którego wzięła się nazwa numeru z wyjściem w przestrzeń.
- Doherty – podpowiedziała Kaliope.
- Właśnie. – Przemytniczka pokręciła z niedowierzaniem głową. – Jesteś niemożliwa, wiesz?
- Wiem. Pośpiesz się, jeśli mogę prosić. Może w ten sposób uda mi się ich udobruchać – dodała szczerze, bez kalkulacji.
- Dobra, zaraz się do tego wezmę – obiecała Weaver i natychmiast zastrzegła: – Ale na twoim miejscu nie liczyłabym na wiele.
- Dlaczego?
- Nasza siatka nigdy nie była tam rozbudowana, a Wergiliusz w dodatku wycofał stamtąd wszystkich zaufanych ludzi. Kojarzysz, akcja i tak dalej.
- Jasne, rozumiem. Zrób, co się da, tylko o to cię proszę.

Około drugiej Willhelm zdołała w końcu zasnąć, choć nie obeszło się bez wsparcia środkami farmakologicznymi. Leżenie i patrzenie w sufit okazało się niezbyt ciekawą opcją, a tylko to jej pozostało po powrocie do przydzielonej tymczasowo kajuty. Włączyła na moment senso, ale leciały wyłącznie relacje z ginącej od trzech dni Delty, na których oglądanie, a tym bardziej odczuwanie nie miała najmniejszej ochoty. W takiej sytuacji sen wydawał się jedyną rozsądną ucieczką od rzeczywistości. Ustawiła więc timer na kwadrans po szóstej, by mieć czas na przygotowanie się do odlotu, i przymknęła powieki, czekając, aż leki nasenne zaczną działać.

Coś ją obudziło, ale nie było to charakterystyczne pikanie sygnalizatora. Gdy otworzyła oczy, nadal otumaniona działaniem dormitu, usłyszała rytmiczne popiskiwanie komunikatora. Najpierw zerknęła na timer. Za pięć szósta.

Hm.

Uniosła przedramię i skupiła wzrok na wyświetlaczu.

Angelara?

Senność zniknęła błyskawicznie jak dym po inscenizacji ataku, zassany przez wentylatory mostka.

– Co jest?

– Słuchaj... No więc tak... – Przemysłniczka jękała się równie mocno jak wcześniej Swanwick, co zmroziło Kaliope. Nagle straciła całą chęć poznania prawdy, a tym bardziej przekazania jej kapitanowi. – Daphnelly skontaktowała się z paroma informatorami i... Powiem tak: sprawa wygląda bardzo nieciekawie.

– Jak bardzo? – zapytała Willhelm, zebrawszy się w sobie.

– Na maksa. Wubecja zwinęła rodziny twoich kumpli na polecenie władz Mine-Crafta, a konkretnie samego Novika. Czarnych poinformowano, że na pokładzie doszło do otwartego buntu i przejęcia kontroli nad Molochem, w czym jakoby maczali paluchy agencji ruchu oporu. Tak przedstawili sprawę członkowie nadzoru, którzy „cudem” zdołali zbiec przed uprowadzeniem jednostki. Jak się domyślasz, wubecja ostro przemaglowała wszystkich zatrzymanych, by wydusić z nich cokolwiek na nasz temat, no i... wiesz... – Znów się zawahała. – W paru przypadkach przeholowali, jak to często bywa, kiedy chemia nie przynosi rezultatów...

– Co znaczy: przeholowali?

– Trzy osoby nie wytrzymały tortur, kilka innych jest w stanie krytycznym, a reszta też nie chciałabyś widzieć.

– Szlag! Wiesz, kogo zabili?

– Nie – odparła Weaver. – Zresztą to i tak nie ma większego znaczenia.

– O czym ty mówisz? – obruszyła się Kaliope.

– Pozwól mi dokończyć – rzuciła przemytniczka takim tonem, że jej rozmówczyni natychmiast zamilkła. – Kilka godzin temu spanikowany Novik poinformował władze, że „najprawdopodobniej” doszło do pomyłki. Pewnie po waszej inscenizacji przycisnął tę Tutkę, czy jak jej tam, i w końcu usłyszał prawdę. Problem w tym, że mleko już się rozlało. Ktoś w Wydziale albo sam wiceprezes wpadł na pomysł, że lepiej będzie wszystko zatuszować, bo jak załoga się dowie o losie bliskich, wybuchnie prawdziwy bunt i dojdzie do zawłaszczenia Aurigi.

– Nie... – jęknęła Wilhelm.

– Niestety tak. Skurwyklony upozorowały zamach. – Angelara przeknęła głośno ślinę. – Nafaszerowanych chemią ludzi, razem z ciałami zabitych, zapakowano do wagonu kolejki, po czym wysadzono skład przed pierwszą stacją i ogłoszono, że to my stoimy za tym bestialskim czynem. Według niusowników chodziło o zasianie fermentu i zniweczenie wysiłków Rady na rzecz wcielania nowych pasów, ale pech chciał, że w pociągu znajdowali się sami cywile wracający do domów po złożeniu zeznań w sprawie przejęcia Aurigi.

– Czy Huxley udało się zdobyć jakieś dowody, dzięki którym można by obalić oficjalną wersję?

– Nie.

– A są chociaż szanse, że je zdobędzie?

– Nie.

– Szlag...

– Daphnelly się zarzeka, że jej informatorzy są wiarygodni, ponoć to ludzie na eksponowanych stanowiskach, którzy siedzą u niej w kieszeni od bardzo dawna i jeszcze nigdy nie nawciskali jej kitu. Druga sprawa, że wiedziałaby o akcji przeprowadzonej przez jej dawnych podwładnych.

– Uważasz... – Teraz Kaliope miała problemy z wyrażeniem myśli. – Uważasz, że mogę... że powinnam im powiedzieć?

– Tak. Właśnie dlatego dzwonię. Lepiej, żeby dowiedzieli się o śmierci bliskich od ciebie niż z mediów. Oficjalna wersja krąży w niusownikach od mniej więcej kwadransa. Na Delcie Bellagio na szczęście jest wciąż błady świt, więc mało kto widział najnowsze pakiety wiadomości, ale dobra rada: nie czekaj do pobudki, bo ktoś może cię uprzedzić, a wtedy...

Mieszkańcy tamtego systemu nie są naszymi sympatykami. Do tej pory starali się dystansować od wydarzeń na Terytoriach. Sparzyli się też podczas pierwszego kontaktu z ruchem oporu, choć tak naprawdę obrobiliśmy ich na własną rękę, bez wiedzy centrali. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie zdziwiłabym się, gdyby uwierzyli w oficjalną wersję, jeśli uszłeliby ją jako pierwszą – wyjaśniła ze spokojem Angelara.

– Masz rację, mogą uznać, że ten zamach to robota separatystów. Po tym, jak zrobiliście ich w konia z kopiowaniem Systemu, mają was za bandę złoli.

– Sama widzisz, że powodów do pośpiechu nie brakuje – podsumowała przemycniczka.

* * *

Kaliope obudziła Swanwicka, by przedstawić mu sytuację. Mówiła bez ogródek i nie milkła ani na moment, choć stał przed nią drżący i załamany. Powtarzała wszystkie szczegóły po trzy razy, lecz robiła to bez złych intencji. Chciała, by zapamiętał każdy detal, ponieważ to na nim spocznie obowiązek poinformowania reszty załogi. Jej nikt by nie słuchał, nie po tym, jak wyszła w ich oczach na idiotkę.

Na koniec poradziła kapitanowi, żeby wsparł się koktajlem farmaceutyków podobnym do tego, jaki sama wcześniej zażyła. Postanowiła tylko zmniejszyć mu dawkę środków uspokajających, by nie wyłączyć uczuć do reszty. Głupio by wyglądało, gdyby jego podwładni nie zauważyli u niego emocji, które ich samych przyprawia o łzy.

Posiedziała z nim jeszcze chwilę, obserwując uważnie odczyty jego sysmedu, a gdy wszystkie wykresy się zazieleniły, poklepała go przyjaźnie po ramieniu.

– Już czas – powiedziała.

Wychodząc na korytarz, usłyszała pierwsze słowa komunikatu, którym zwywał członków załogi do mesy. Mówił spokojnie, ważąc każde słowo.

Poradzi sobie, uznała, gdy właz zamykał się za nią.

Szła ze spuszczoną głową, by mijający ją ludzie nie mogli dostrzec jej ponurej miny. Byli tak pełni nadziei, gnali przed siebie, licząc na pierwsze od dawna dobre wiadomości. Ulżyło jej na myśl, że to nie ona będzie musiała zetrzeć im uśmiechy z ust. Przed wejściem do własnej kajuty przystanęła na moment, po czym ruszyła dalej, kierując się w stronę najbliższych turbowind.

Angelara miała przylecieć po nią za niecałe dwadzieścia minut, nie było więc sensu wracać do siebie. Lepiej poczekać na dole, jak najdalej od piekła, które rozpęta się niebawem w mesie. Przyznała rację głosowi w głowie w dużej mierze dzięki farmaceutykom wciąż krążącym w jej krwi. Zemsta musiała poczekać nie tylko dlatego, że najlepiej smakuje na zimno. Nic na chybicka.

Trzeba zdać się na mądrzejszych i lepiej ustawionych. Skoro udało im się rozwalić na atomy te dwa pieprzone statki, dadzą sobie też radę z jakimś tam niedobitkiem.

Żałowała tylko, że przyjdzie jej zamienić luksusy na brudną wnękę w przedziale załogowym *Tendara*, ale co zrobić, tylko tam będzie teraz w miarę bezpieczna. Trudno, ścierpi wszystko, każdą niewygodę i każdy ból, jeśli przybliży ją to choć odrobinę do wzięcia odwetu za śmierć Franka.

Zjechała turbowindą pod poziomy techniczne i tam raz jeszcze przystanąła. Właśnie dotarło do niej, że nie ma bladego pojęcia, na które lądowisko powinna się udać. Nie zapytała o to Swanwicka, kiedy miała okazję, a lecąca po nią przemytniczka dowie się wszystkiego na miejscu, gdy zada pytanie dyżurnemu. Lepiej poczekać tutaj, przy turbowindach, niż biegać później od śluzy do śluzy.

Osunęła się po gładkiej błyszczącej ścianie, podciągnęła kolana do piersi i objęła je mocno rękami.

To tylko dziesięć minut, nie wieczność, pomyślała, spoglądając z goryczą w głąb jednego z ciemnych korytarzy, które prowadziły do sąsiadujących ze sobą doków. Otaczające ją cisza i bezruch były nieomal hipnotyczne. Przymknęła powieki, próbując zestroić się z tym chłodnym niebytem.

W ciągu ostatnich kilku godzin jej życie zostało wywrócone do góry nogami, i to kilka razy. Znienacka zyskała szansę stania się multimilionerką, po czym równie błyskawicznie spadła znów na samo dno. Czy miała nadzieję na kolejną odmianę biegu zdarzeń? Nie. Rozsądek podpowiadał, że załoga *Aurigi* nie zechce jej pomóc. Zwycięskie losy na loterii życia trafiają się niezwykle rzadko, a ona wyciągnęła jeden z nich, by potem go stracić po części z własnej winy. Powtórki nie będzie, czas zdać sobie z tego sprawę. Nie pójdzie tam przecież i nie powie: „Hej, skoro nie macie już bliskich, to problem zniknął. Zmontujmy odjechaną ekipę i wywiercimy dodatkowe dziury w dupach paru czarnuchów”...

Z zamyślenia wyrwała ją pojedyncza wibracja komunikatora.

Pakuj tłustą dupę do jedyńki.

Stanowisko szesnaste.

Za cztery minuty będę na miejscu.

Kaliope rozprostowała nogi i ruszyła w głąb korytarza po prawej. Nie był to ten, który wcześniej obstawiała w duchu. Takie drobne sygnały od wszechświata bywają czasem wiele mówiącymi znakami. Skoro instykt zawodził ją na poziomie najprostszych wyborów, powinna chyba dać sobie spokój i usiąść na „tłustej dupie”, zamiast wojować z całym światem.

* * *

Znów z podziwem spoglądała na rzędy wielkich głowic drążących, które tym razem malały z każdą upływającą sekundą. Wyczuwając jej podły nastrój, Angelara milczała – ona jedna rozumiała, co gra w duszy Kaliope.

Czy to nie ironia, że moją ostoją została kobieta, której jeszcze dwa dni temu zamierzałam wrazić kosę pod żebro, a następnie poprawić szybkim chlaśnięciem przez gardło?

W tym momencie dotarło do niej, dlaczego powiedzenie „obys żył w ciekawych czasach” ma negatywny wydźwięk. Dla niej „ciekawe czasy” zaczęły się dwa tygodnie temu, a już miała ich serdecznie dość.

Oddała wszystkie kredyty z konta za możliwość powrotu do chwili sprzed lotu na orbitę Deltę Invictusa. Może klepała wtedy biedę, ale nie musiała oglądać się co rusz przez ramię, by sprawdzić, czy nie lezie za nią tajniak albo nasłany zabójca.

Moloch nawet z tej odległości wyglądał majestatycznie. Jego długi na półtora kilometra kadłub zniknął właśnie w cieniu Eosa, jakby był wytworem jej umysłu, który rozpuszcza się w niemającej krańca pustce niepamięci. Tą konstatacją żegnała się z najnowocześniejszym narzędziem górniczym – narzędziem, które w jej rękach mogło się stać zabójczo niszcząco-cielską bronią.

– Tu *Tendar 2-A*, odbiór. – Kaliope się wzdrygnęła, gdy usłyszała spokojny głos Angelary. – Tak, rozumiem. Już ją daję. – Przemycniczka przełą-

czyła komunikator na głośniki zewnętrzne, posyłając pasażerze zdziwione spojrzenie. – Swanwick. Do ciebie. Może pan mówić – rzuciła w eter.

– Avanesso... to znaczy Kaliope. – Kapitan zaklął pod nosem, zanim dodał: – Mam pytanie... Czy mogłabyś... czy mogłabyś wrócić?

Willhelm zatkano. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Z trudem łapała oddech. Wszystkie nadzieje, upychane buciarami depresji w ciasnych lochach najgłębszych zakamarków umysłu, ponownie wyrwały się na wolność.

– Ja...

– Chcemy omówić z tobą pewną kwestię. Tę kwestię.

– Powiedz słowo, a zawrócę – rzuciła półgłosem przysłuchująca się tej wymianie zdań Weaver.

Kaliope próbowała zapanować nad rozsadzającymi ją emocjami.

Może niepotrzebnie się łudzę, może im wcale nie chodzi o tę sprawę, o której myślę...

– Pomożecie mi odplacić za śmierć ojca?

– Nie.

Ta krótka odpowiedź spadła na nią z siłą ciosu zawodowego boksera. Pociemniało jej w oczach. Upadłaby, gdyby nie siedziała.

– Nie?

– Żeby było jasne – wycedził Swanwick. – Ty mścisz się na komandorze za swojego ojca, my mścimy się za nasze rodziny na Tuttle i jej przydupasach.

Rozdział 25

*Terytoria Wewnętrzne,
orbita Gammy,
System Hyperion 32, Sektor Whisky,
14.05.2234, godz. 04:19*

Pierwszym etapem operacji było przeniesienie Molocha z kotwicowiska nad Eosem na niską orbitę Gammy. Swanwick wysłał do kapitanatu portu orbitalnego odpowiedni formularz i uzyskał oficjalne pozwolenie na transfer, mimo że nie przedstawił kompletu wymaganych dokumentów. Wyjaśnienie jego prośby było proste: Auriga wymagała napraw po niedawnym ataku – tym też tłumaczono chwilową utratę możliwości nadawania pingów pozwalających kontrolować aktualną pozycję i prędkość każdej jednostki przestrzennej, co było podstawą utrzymania porządku na bardzo zatłoczonej orbicie.

Kapitanat wyraził warunkową zgodę, nakazując równocześnie, by gigantyczna instalacja wydobywczo-przetwórcza była eskortowana, czy raczej „holowana”, jak oficjalnie nazywano tę procedurę, przez inną jednostkę, taką, która spełniała wszystkie wymogi bezpieczeństwa. Swanwick zaproponował, że jego przyzwoitką będzie *Tendar*, jumper należący do lokalnej firmy remontowej pomagającej załodze Molocha przy usuwaniu skutków napaści.

Dowódca Aurigi nie szczędził gorzkich słów w czasie długich rozmów z kapitanatem, psiocząc przy każdej okazji na czarnych, którzy nie raczyli wychylić nosa ze swojego bunkra, choć byli bardzo potrzebni na orbicie najmniejszego księżycy Gammy. Dyżurni z centrum kontroli lotów, świadomi, że wszystkie przekazy są analizowane w czasie rzeczywistym przez trackery wydziału bezpieczeństwa, uznali, że najlepiej będzie, jak się go pozbędą jak najprędzej, i właśnie dlatego wydali warunkowe pozwolenie mimo braku kilku istotnych kwitów, w tym zatwierdzenia transferu przez armatora z Bellagio. Woleli zapomnieć o petencie, zanim jego bluzgi ścia-

gną im na głowy większe problemy niż użeranie się z niekompletną dokumentacją.

Był to stary jak świat trick, obecnie stosowany często przez przemytników. Mało komu uśmiechało się osobiste stawiennictwo na posterunku, nawet w sytuacji, gdy człowiek miał być tylko świadkiem w jakiejś sprawie. Zwłaszcza że oprawcy w czerni byli bardzo wyczuleni na swoim punkcie. Sam fakt niezareagowania w odpowiedni sposób na ich publiczne lżenie mógł nieść poważne konsekwencje, z których dotkliwie pobicie byłoby najmniej bolesnym doświadczeniem.

W normalnych okolicznościach Swanwick nie posunąłby się nigdy do takiej impertynencji, nawet gdyby faktycznie został pozostawiony samemu sobie, w tym jednak przypadku nie musiał się hamować, ponieważ ryzyko odwetu ze strony wubecji było minimalne.

Po pierwsze, czarni zachowywali ostatnio bierność w obliczu znacznie gorszych incydentów – i płonąca jak pochodnia Gamma nie była tu wyjątkiem. Przyczajeni w podziemnym kompleksie agencji czekali na dyrektywy z Ziemi, w tym czasie obserwując sytuację, gromadząc materiał dowodowy i szykując się do krwawej rozprawy z prowodyrami strajków oraz zamieszek. Angelara była więc pewna, że złośczenia jakiegoś korpuludka, w dodatku uzasadnione, zyskają niski priorytet, choć niewątpliwie zostaną zauważone i odnotowane.

Po drugie, Moloch leciał na Gamme, by rozpętać na niej pandemium, przy którym wszystkie dotychczasowe rozruchy będą wyglądały na dziecinne igraszki. Jeśli atak się powiedzie, ogniste piekło pochłonie ukrywającą się pod ziemią Tuttle, komandora Dreade-Ravenore'a i każdego zbira w czerni, który nie miał dość oleju w głowie, by się stamtąd ewakuować. Za nieco więcej niż godzinę na Hyperionie 32 nie będzie nikogo, kto mógłby pociągnąć zamachowców do odpowiedzialności, a ci, gdy tylko dokonają zemsty, natychmiast opuszczą ten przeklęty system gwiazdny. Znikną z oczu macierzystej korporacji i zaczną pracować na własny rachunek – przynajmniej do czasu, aż Federacja zwycięży, co wcale nie było takie pewne.

* * *

Naruszenie zamkniętej strefy, otaczającej nieczynny od milionów lat wulkan, pod którym ukryto jeden z największych kompleksów dowodzenia wydziału bezpieczeństwa na całych Terytoriach, groziło każdemu intru-

zowi natychmiastowym zestrzeleniem. Północnego zbocza niebotycznej góry, w której wykuto liczne hangary i lądowiska, strzegło osiem baterii turbolaserów i drugie tyle wieloprowadnicowych wyrzutni raketowych. System obrony przeciwlotniczej mógł namierzyć i zaatakować do trzydziestu dwóch celów naraz, co jak dotąd wydawało się grubą przesadą w stosunku do potrzeb. Ktoś jednak uznał, że pokój nie będzie trwał wiecznie, i trwale wzmocnił ostatnią linię obrony największej bazy sił wubecji poza Systemami Centralnymi.

Nawet Moloch dysponujący tarczami energetycznymi o mocy większej niż najnowocześniejsze okręty wojenne nie przetrwałby tak intensywnej kanonady, zwłaszcza że musiałby przebywać w polu rażenia przez kilka długich minut potrzebnych na zejście z orbity. Kaliope się spodziewała, że prerażeni czarni odpalą przeciw niemu cały arsenał i nie przestaną strzelać dopóty, dopóki Auriga nie zamieni się w kulę plazmy. Upadek wraku, nawet gdyby ważyła setki tysięcy ton instalacja zważyła się prosto na fortecę, nie spowodowałby poważniejszych szkód. Ponad dwieście metrów litego bazaltu zamortyzowałoby znacznie potężniejsze uderzenia, nie wyłączając detonacji megatonowych głowic nuklearnych.

Zadanie wyglądało z pozoru na niemożliwe do wykonania, lecz niedawny atak separatystów na konwój podsunął Angelarze pomysł, jak można osłabić obronę kompleksu. Hickman znał paru informatorów wubecji, którzy od pewnego czasu robili za podwójnych agentów. Jeden z nich przesłał prowadzącemu go oficerowi wiadomość, że namierzył spory magazyn z ogniwami paliwowymi, dzień wcześniej wykupionymi z rynku przez ruch oporu. Dla czarnych była to prawdziwa gratka – po zasadzce na Erytrei siłom Federacji groził co najmniej kilkutygodniowy paraliż, którego dałoby się częściowo uniknąć, gdyby zdobyć trudno dostępne paliwo do okrętowych reaktorów.

Okazja była tym lepsza, że przejście i wywiezienie tego dobra nie wymagało szturmowania zbuntowanych kolonii. Ogniwa czekały grzecznie na transportowcu zadokowanym przy jednym z bocznych pirsów portu orbitalnego. Wystarczyło więc wysłać parę ścigaczy, opanować rzeczony transportowiec i sprowadzić go do bazy, zanim ktokolwiek się zorientuje. Dostarczone przez informatora nagrania utwierdziły wubeków w przekonaniu, że trafili na prawdziwą żyłę złota. Akcja została błyskawicznie zatwierdzona przez spragnioną jakiegokolwiek sukcesu górę.

Wyłączna trudność polegała na skoordynowaniu ruchów Aurigi z działaniami jednostek wydziału. Moloch musiał się znaleźć na pozycji wyjściowej w chwili, gdy transportowiec z ogniwami wyruszy w ostatnią podróż, tymczasem czarni byli znani z tego, że nie dzielą się swoimi planami z nikim. Rozwiązanie okazało się zdumiewająco łatwe. Dotarłszy w pobliże orbity parkingowej, Swanwick kilkakrotnie informował kapitanat o potrzebie krótkich przestojów spowodowanych wystąpieniem nieprzewidzianych problemów z zainfekowanym przez napastników oprogramowaniem maszynowni. Równolegle załoga *Tendara* monitorowała ruch w zamkniętej przestrzeni, wyczekując pojawienia się grupy uderzeniowej. Czas potrzebny tym jednostkom na osiągnięcie portu orbitalnego można było wyliczyć z dokładnością do pół minuty, co stanowiło wystarczający margines błędu.

* * *

– Mam odczyt! – zameldował podnieconym głosem Melvis. – Z siódemki wystartowały dwa ścigacze i jumper. Wektor kursu prawidłowy. Idą kursem na przejęcie.

– Powiadom mostek Dziurkacza, żeby szykowali się do działania – rozkazała siedząca za sterami Angelara. – Dokładny czas rozdzielenia podamy im za mniej więcej dwadzieścia pięć minut.

– Się robi – potwierdziła Anitamara.

– Doug! – Przemytniczka wywołała szefa. – Za jakiś kwadrans będziecie mieli gości. Dwa śmigi i hopek.

– Przyjąłem.

– Ładunki gotowe?

– Jeszcze jedno durne pytanie, bozonko, i możesz szukać sobie nowego zajęcia – ostrzegł.

Weaver nie przejęła się tym zbyt.

– Ja tylko stosuję się do ustalonych procedur.

– Gotowe – burknął.

– Przyjęłam. – Rozłączyła się i natychmiast wywołała braci Gernsback.

– Status? – zapytała.

– Co?

– Gównno. Mów, czy jesteście na wyznaczonej pozycji.

– A gdzie mamy być?

- Sądząc po tym, jak bardzo jesteście rozgarnięci, moglibyście być teraz wszędzie, nawet we własnych dupach.

- Cha, cha.

- To musi wyglądać naturalnie, rozumiecie? - wróciła do tematu. - Zero cudowania. Oni nie mogą się obciąć, że na pokładzie nie ma żywej duszy.

- Spox, młoda. Żałuj, że nie zobaczysz tego na żywo.

- Nie spieprzcie tego, błagam. Bez odbioru - dodała i rozłączyła się szybko, nie dając im więcej dojść do głosu.

- Auriga potwierdza - zameldowała Anitamara. - Czekają na twój sygnał.

* * *

- Mamy sygnał z *Tendara!*

Kaliope czekała na ten komunikat w takim napięciu, że podskoczyłaby w fotelu, gdyby nie ciasna uprząż.

- Wyślij im wirusa! - rozkazał Swanwick, odwracając się do niej na moment, po czym natychmiast wydał kolejne polecenie: - Brendanny, wyczepiamy się za trzy, dwa, jeden, teraz!

Auriga nie była połączona z *Tendarem* żadnym kablem. Holowanie w tym przypadku polegało na utrzymywaniu równo sześćsetmetrowej odległości pomiędzy obiema jednostkami. Odstępstwo przekraczające dziesięć procent było uznawane prawnie za tak zwane zerwanie holu, z tym że Angelara nie zamelduje o tym kapitanatowi, ponieważ system jej jumpera został właśnie zainfekowany wirusem, który sama stworzyła i przesłała wcześniej Kaliope. Tylko w ten sposób przemytnicy zdołają się wykręcić ze współudziału w ataku.

Hickman zgłosił utratę kontaktu ze swoimi ludźmi za kilkanaście minut, po wielokrotnych bezowocnych próbach porozumienia się zarówno z *Tendarem*, jak i z milczącym jak grób Molochem. Każdy z tych przekazów zostanie oczywiście nadany na kanale otwartym. Podobnie jak późniejsze wezwania o pomoc kierowane do czarnych i kapitanatu.

* * *

Podporucznik Stover wpatrywała się z uwagą w odczyty sensorów. Oba ścigacze jej zespołu znajdowały się zaledwie trzy minuty lotu od celu, któ-

rego reaktor nadal pracował na jałowym biegu.

Świetnie, ucieszyła się Sarah. Skurwykłońskie pomioty nie spodziewają się nicze...

– Nie widzicie tego jeszcze, ale ktoś zwolnił właśnie zaczepy mocujące wahadłowiec numer dwa – zameldował niespodziewanie informator znajdujący się na końcu ramienia pirsu, skąd widział przeciwległą burtę transportowca będącego celem tej operacji.

– Przejmijcie go, siedem-jedenaście! – Stover zareagowała instynktownie.

To musieli być separatyści. Na szczęście zorientowali się zbyt późno, by mieć szansę na ucieczkę. Ścigacze wydziału były wielokrotnie szybsze od złomu, na którego pokład wsiedli, a trzy minuty przewagi stopnieją momentalnie, gdy potężny napęd tachionowy rozgrzeje się do białości.

Jednostka 7-11 oderwała się od ciasnej formacji, ruszając kursem na przejęcie. System szacował, że dogoni cel za trzy minuty i dziesięć sekund.

Już was mamy, pomyślała Stover z mściwą satysfakcją, sprawdzając, dokąd mogą dotrzeć uciekinierzy w tak krótkim czasie. Stożek możliwych ścieżek był szeroki, ale kończył się mniej więcej tam, gdzie znajdowały się obecnie najbliższe zacumowane jednostki. Szumowiny zaszyły się na samym krańcu najmniej uczęszczanego pirsu i odosobnienie, które miało być ich głównym atutem, stało się teraz największym przekleństwem.

Sarah przeniosła wzrok na odczyty sensorów. Reaktor transportowca pozostał zimny i martwy.

– Przejąć jego System – rozkazała technikowi obsługującemu stanowisko łączności.

– System przejęty – zameldował kilkanaście sekund później.

– Pełen skan!

– Wykonuję.

Stover zerknęła na wektory obu jednostek biorących udział w pościgu. Przewaga wahadłowca malała w oczach, choć szedł na dopalaczach, nadal nie zmieniając kursu.

– Siedem-jedenaście, zwolnijcie odrobinę, bezpieczniej będzie przejąć go za tym rdzeniowcem, obok którego spróbują za moment przejść. Tam będziecie mieli wystarczająco dużo wolnej przestrzeni, by rozwalić im napęd i nie doprowadzić do niefortunnej kolizji.

- Przyjąłem - odpowiedział krótko jej najlepszy kolega, prymus roku z akademii, Herman Okorafor.

- Skan nie wykazał żadnych ingerencji w System transportowca.

- Uruchomcie zdalnie napęd - zdecydowała po krótkim zastanowieniu. Miała na pokładzie oddział abordażowy, ale wolała wybrać najbezpieczniejszy sposób przejścia tej jednostki i przewożonego przez nią ładunku. - Mamy podgląd na ładownię?

- Rzucam na panoramicon.

Uśmiech na jej twarzy robił się coraz szerszy, gdy kolejne ujęcia pokazywały równiutkie rzędy smukłych cylindrów, których panele czołowe lśniły uspokajającą zielenią.

Strzał w dziesiątkę, ucieszyła się. Durnie z ruchu oporu ukryli tutaj połowę skupionych na Gammie ogniw. To wprawdzie cywilny szajs, ale na tej ilości paliwa wszystkie jednostki z Hyperiona będą mogły operować bez problemów przez co najmniej dwa tygodnie. Ktoś tu otrzyma pochwałę, a może nawet awansik się trafi. Tak, gwiazdka porucznika będzie pewna, jeśli Herman dopadnie tych skurwyklonów.

- Włączyć zakłócacze - rozkazała.

- Jest, włączyć zakłócacze.

Zabezpieczyła ładunek przed możliwością zdalnego wysadzenia. Od tej pory ognia były bezpieczne.

Jeśli ktoś planował niespodziankę, srodze się zawiedzie.

Sarah przeniosła wzrok na sąsiedni ekran. Do przejścia wahadłowca pozostało trzydzieści sześć sekund. Okorafor dokonał już korekty prędkości i zmienił kurs, by przejść nad rdzeniowcem, robiąc sobie czyste pole do oddania strzału.

Nie uciekniecie, choćbyście się zesrali, pomyślała z zadowoleniem, ogniskując obraz na uciekającej maszynie.

Załoga wahadłowca, choć nadal walczyła, nie miała najmniejszych szans. Nawet ten ryzykowny manewr przejścia tuż obok burty zacumowanej jednostki nie na wiele się zda, co najwyżej opóźni nieuniknione o...

- Kurwi... - Stover zamarła z rozdziawionymi ustami, gdy panoramicon zapłonął oślepiającą bielą. - Cofnąć nagranie i spowolnić stukrotnie - poleciała, sprawdzisz w pierwszej kolejności, że eksplozja nie była wielka i nie zagroziła ścigaczowi Hermana.

System pokazał ostatnie chwile wahadłowca. Separatyści zbliżali się do rdzeniowca, robiąc kolejną korektę kursu, której powodów nie rozumiała,

dopóki nie zobaczyła, jak zza bloku ładowni wyłania się korpus drona przeładunkowego. Patrzyła na tę sytuację w stukrotnym spowolnieniu, ale i tak miała problem z zarejestrowaniem wszystkich szczegółów. Dopiero analiza Systemu pozwoliła jej poznać przebieg trwającej tysięczne części sekundy katastrofy.

Te biedne bozony nawet nie wiedziały, co ich zabiło...

– Siedem-jedenaste, przerwij akcję i wracaj do szyku – rzuciła.

– Przyjąłem – odpowiedział zawiedzionym głosem Okorafor.

Szkoda... – Stover pożegnała się w duchu z lśniącą złotem wymarzoną gwiazdką, która zaczęła niknąć z jej krwistoczerwonego pagonu.

* * *

Porucznik Jean-Luc Avoledo coraz częściej zerkał na timer. Swoją zmianę w centrum kontroli lotów kończył równo o piątej czasu standardowego, a jak wiadomo, ostatnie minuty dyżuru potrafią się ciągnąć bardziej niż korona gwiazdy, którą czarna dziura wsysa za granicę horyzontu zdarzeń. Zwłaszcza gdy człowiek nie ma nic do roboty, a minione dwie doby były pod tym względem rekordowe. Przelewająca się przez Terytoria fala strajków i buntów uziemiła niemal cały ruch międzysystemowy, a i ten wewnętrzny zmalał do zaledwie kilku startów dziennie.

Dwanaście godzin gapienia się w puste ekrany mogło wykończyć każdego, dlatego porucznik z ogromnym entuzjazmem powitał informację o wysłaniu zespołu operacyjnego na wysoką orbitę. Cel misji wprawdzie utajniono, jak zwykle w przypadku takich niespodziewanych wypadów, lecz to akurat było teraz najmniej ważne. Liczyło się jedno – czas minie szybciej, jeśli Jean-Luc będzie miał na czym skupić uwagę i myśli. Wiadomość z centrum dowodzenia, którą przed chwilą odebrał, gwarantowała mu zajęcie na kilka długich minut.

– Siedem-dwa, zgłoś się, odbiór – wywołał jednostkę dowódcy zespołu.

– Tu siedem-dwa, odbiór! – Wachtowy z pionu łączności jumpera zgłosił się niemal natychmiast.

– Sprowadźcie przejętą jednostkę na lądowisko numer dwadzieścia sześć, odbiór.

– Dwadzieścia sześć, potwierdzam, bez odbioru.

– Wieża kontroli lotów! – do rozmowy włączył się ktoś trzeci, mówiący podniesionym głosem. – Tu podporucznik Stover. Kto autoryzował zmianę miejsca lądowania? Odbiór.

Avoledo spodziewał się takiej reakcji. Wcześniej wydane instrukcje zakładały, że konwój wróci do hangaru, z którego odleciał, ale ktoś na górze uznał, że lepiej będzie, jeśli przejęty ładunek jednak nie trafi do magazynów głównego centrum logistycznego wydziału bezpieczeństwa. Obecnie jego celem miała być baza floty znajdująca się pośrodku strefy zamkniętej, kilkanaście kilometrów od zbocza wulkanu, co oznaczało, że zdobycz pani podporucznik wpadnie w łapy wojska.

– Rozkazy przyszły z centrum dowodzenia, odbiór – wyjaśnił ze stoickim spokojem.

– Kto je podpisał, odbiór.

– Kontradmirał Goimard, odbiór.

– Kurwirtual! – rzuciła w bardzo nieregularny sposób.

– Moment... – Jean-Luc także zapomniał o ustalonych formułkach.

– Ale... co... jak... – mamrotała niezrozumiale.

Napływające szerokim strumieniem powiadomienia rozkojarzyły ich oboje. Coś wydarzyło się na orbicie. Coś na tyle poważnego, że kapitanat wydał rozkaz ewakuacji trzech sektorów portu. Avoledo dokopał się do informacji o źródle tego zamieszania.

Bomba.

Pracownik obsługi technicznej przekazał do kapitanatu wiadomość, że na jednym z zacumowanych rdzeniowców zauważono ładunki wybuchowe.

W porcie natychmiast wybuchła panika. Trudno się dziwić cywilom. Po Delcie, Kalidonie, Erytrei i zamachu w jednej z dzielnic mieszkalnych Zeiramu każdy był kłębkim nerwów. Dziesiątki frachtowców ruszyły naraz ze stanowisk nie w trzech, a w sześciu przyległych sektorach portu, potęgując i tak już niemały chaos. Komunikatów nadawanych przez spanikowane załogi było tyle, że Avoledo musiał je wyciszyć, by zapanować nad swoją działką burdelu.

Część uciekających jednostek kierowała się w stronę strefy zamkniętej, a on miał obowiązek dopilnować, by żadna z nich nie przekroczyła granicy, za którą czekała śmierć. Na szczęście Stover nie zawracała mu już głowy. Ostrzeżenia rozsyłane przez kapitanat szły na wszystkich pasmach, dzięki czemu nie musiał jej niczego wyjaśniać.

Swanwick przyglądał się plątaninie wektorów, krzyżujących się i przecinających pod każdym możliwym kątem. Akcja dywersyjna zakończyła się pełnym sukcesem. Bombardowani przez dwie doby na okrągło obrazami nieludzkich zniszczeń, dowódcy frachtowców wpadli w panikę, gdy kapitanat ogłosił, że na jednym z zacumowanych statków znaleziono ładunki wybuchowe. Dzięki temu wszyscy operatorzy, zarówno wojskowi, jak i cywilni, skupią się chwilowo na powstałym problemie, a to oznaczało, że załoga Dziurkacza dostała wystarczająco dużo czasu na swoje działania.

– Panowie, rozpalamy pod grillem! – wydał rozkaz sekcji drażącej.

Sto dwadzieścia zespołów głowic rozjarzyło się momentalnie. Tylko cztery z nich, i to te mniejsze, nie osiągnęły pełnej gotowości w zakładanym czasie, co było całkiem niezłym wynikiem jak na pierwsze odpalenie po tak długim czasie, zwłaszcza że maruderzy dociągnęli do reszty peletonu z niewielkim tylko poślizgiem.

– Trzydzieści pięć sekund do granicy strefy zamkniętej – zameldowała jedna z wachtowych.

Kaliope wyszukała wzrokiem pomarańczowy wektor, którym oznaczono kurs przejętego przez czarnych transportowca. Umieszczona na nim ikonka znajdowała się pośrodku sfery obrazującej pole rażenia impulsu EMP. Druga sfera identycznej wielkości znajdowała się nieco dalej i... niżej.

– Oni nie wracają do siebie – rzuciła w kierunku stanowiska dowodzenia.

– Widzę – odparł poirytowany tym faktem Swanwick.

Transportowiec oddalał się właśnie od miejsca, w którym detonacja ogniw dałaby najlepsze rezultaty, a od wybuchu dzieliło ich jeszcze pięć długich sekund. SIlnia przeliczała dane w czasie rzeczywistym, wiedzieli więc, że nie osłepią całego systemu obrony, na razie jednak nie widzieli powodów do zmartwień. Opóźnienie reakcji spowodowane zamieszczeniem i wyłączenie sześciu z ośmiu baterii turbolaserów oraz jedenastu wyrzutni rakiet dawało im prawie siedemdziesiąt procent szans na zakończenie akcji pełnym powodzeniem.

– Trzy, dwa, jeden, zero – odliczył System.

W dole rozpętało się piekło. W ładowniach przejętej jednostki podłożono w sumie osiem bomb, ale wystarczyła detonacja pierwszej, by prawie sto sześćdziesiąt ogniw paliwowych zmieniło się w falę niszczycielskiej energii, która usmażyła całą elektronikę w polu rażenia, a w niektó-

rych przypadkach doprowadziła także do fizycznego uszkodzenia sprzętu. Dlaczego zakłóczacze Stover nie zadziałały? Odpowiedź była prosta. Zelazny zmaistrował prymitywne zapalniki czasowe. Zero elektroniki, czysta fizyka. Kwas i grawitacja. Po wejściu w pole ciężenia Gammy żrąca ciecz zetknęła się z metalem, który oddzielał ją od materiału wybuchowego w zapalniku. Wystarczyło dobrze wyliczyć czas potrzebny na przeżarcie cienkiej płytki ze stali i... bum!

- Aktywować tarcze!

Auriga w tym samym momencie przekroczyła granicę strefy zamkniętej, ale czas mijał, a pociski nie nadlatywały. Syreny alarmowe zawyły dopiero po minucie, gdy Moloch zdążył opaść na wysokość dwudziestu pięciu kilometrów.

- Dwanaście rakiet na kursie zbieżnym! - zameldowała piskliwym głosem wachtowa. - Trzy sekundy do uderzenia, jedna, kontakt...

Kaliope wtuliła głowę w ramiona, jak pozostali, lecz nie poczuła najłżejszego drżenia. Tarcze otaczające trzon pozostały nietknięte. System kierujący ogniem czarnych postanowił uderzyć w sekcję drążącą, okazało się jednak, że gruba warstwa plazmy otaczającej pracujące głowice ma tak wysoką temperaturę, że lecące pociski po prostu wyparowują, zanim zdążą eksplodować.

- Dwie baterie laserowe otworzyły ogień! - Kolejny meldunek został złożony w mniej alarmistycznym tonie.

Tym razem czarni obrali za cel trzon i mieszczące się nad nim grawitrony, ale tarcze mające wytrzymać nieustanny kontakt z rozpaloną do białości skałą dały radę mikrosekundowym impulsom.

- Wydajność dziewięćdziesiąt osiem procent i rośnie!

Willhelm dosłyszała radość w głosie wachtowej. Ten wynik pokazywał dobitnie, że osłony energetyczne wytrzymają. Lasery zdążą wystrzelić jeszcze sześciokrotnie, zanim Auriga wgryzie się w grunt. Rakiet nadleci w sumie sześćdziesiąt, ale ich głowice mogą zdjąć maksymalnie czterdzieści procent tarcz, o ile ktoś tam pójdzie po rozum do głowy i przekieruje ogień wyżej.

Na razie nic tego nie zapowiadało. Druga salwa wyparowała bez śladu podobnie jak pierwsza, a wektory trzeciej wskazywały, że i ona podzieli los poprzedniczek.

- Dziewięćdziesiąt siedem koma dwa i rośnie! - Raport potwierdził nieskuteczność ognia laserowego.

Reaktory uzupełniały ponad siedemdziesiąt procent ubytków pomiędzy salwami.

– Minuta do przyziemienia!

– To poczujemy... – Swanwick wyszczerzył zęby do Kaliope, poprawiając na sobie uprząż.

Czarni nie przerywali ostrzału, ładując wyrzutnie i emiterzy najszybciej jak się dało, ale nie zdołali zdjąć trójwarstwowego pola siłowego, które chroniło trzon instalacji. Minuta, choć nieskończenie długa, minęła w końcu.

– Trzy, dwa, jeden, kontakt!

Opadający teraz bardzo wolno ostry szczyt stożka plazmy wgryzł się w litą skałę, odparowując ją błyskawicznie niczym wodę. Obrońcy nie byli w ciemności; widząc, jak niewiele brakuje do katastrofy, skupili ogień na trzonie, koncentrując się na jednej tylko sekcji ekranów energetycznych.

– Sześćdziesiąt siedem procent i nie rośnie! – zameldowała wachtowa już bez takiego entuzjazmu.

Moloch był teraz niemal nieruchomym celem, a przeciwnik nie zamierzał poddawać się bez walki. Jego determinacja zaczynała w końcu przynosić efekty. Pole siłowe słabło w coraz szybszym tempie, a proces drażnienia musiał potrwać jeszcze półtorej minuty. Swanwick nie mógł przekierować w ostrzeliwane miejsce energii z innych sekcji, ponieważ te okręty czarnych, które przetrwały impuls EMP, włączyły się właśnie do akcji. Na szczęście ich arsenał nie był tak potężny jak baterii naziemnych, chociaż zmuszał załogę Aurigi do utrzymywania osłon na wszystkich poziomach trzonu, a zwłaszcza w jego górnej części, ponieważ ścigacze uwzięły się na gigantyczne grawitrony. Utrata albo zakłócenie pracy choćby jednego z nich zakończyłoby się totalną katastrofą.

– Weszliśmy na sto siedem metrów! – oznajmił w pewnym momencie Swanwick.

Półowa drogi za nami, ucieszyła się Kaliope, po czym patrząc na pomarańczowy kolor emanujący z wyświetlacza monitorującego stan osłon, skwaszona dodała w myślach: *Dopiero półowa*.

– Dwadzieścia dziewięć procent i spada! – W głosie wachtowej nie pozostał już nawet cień niedawnej radości.

Kolejna salwa zredukowała tę wartość do jedenastu procent, zanim Moloch wrył się na sto dwadzieścia metrów w skały. Przy stu czterdziestu jeden metrach okno wyświetlacza zapłonęło krwistą czerwieńią.

Cztery procent. Szlag...

Przeżażona Willhelm wbiła wzrok w plecy kapitana, który ze spokojem przeglądał napływające strumieniem komunikaty.

Sto pięćdziesiąt dwa metry. Silnia wykryła kolejną salwę. Kaliope chwyciła kurczowo podłokietniki fotela, szykując się na nieuchronny wstrząs, ale jedyne, co poczuła, to zawód. Czerwień zniknęła z okienka wyświetlacza, gdy ekran padł, ale zaraz rozświetlił się znów, tym razem soczystą zielenią.

No tak, to była przecież pierwsza z trzech warstw osłony!

Dopiero teraz dotarło do niej, że odczyty nie są summaryczne. Zagadka stoickiego spokoju Swanwicka znalazła szczęśliwe rozwiązanie. Kaliope odważyła się w końcu zaczerpnąć głębiej tchu i przestała śledzić z taką uwagą ostrzeżenia o nadlatujących raketach i odpalanych turbolaserach.

Sto osiemdziesiąty metr.

– Tam, na dole, już się gotują – rzucił dyżurny obsługujący stanowisko obok niej.

„Jeśli dobrze trafiliśmy” – chciała powiedzieć, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Plany kompleksu pozostały do końca tajemnicą. Angelara wskazała to miejsce jako najbardziej prawdopodobną lokalizację centrali, ale stuprocentowej pewności mieć nie mogła. Kaliope targają poważne wątpliwości, a pocieszał ją tylko fakt, że czarni tak zacięcie próbują zniszczyć Aurigę. Gdyby ryła w złym miejscu, nie wypruwaliby sobie żył.

Nagle poczuła wstrząs, po tym, jak moduł drążący przyspieszył na sekundę czy dwie.

– Weszliśmy w nich jak w masło! – Swanwick uniósł rękę w triumfalnym geście. – Silnia to potwierdza. Prędkość schodzenia wzrosła skokowo o trzydzieści osiem procent, co oznacza, że nie drążymy już litej skały.

Dyżurni wiwatowali, nie mogąc zrobić nic innego bez wypinania upręży. Ostrzał nie milkł jednak, choć wyraźnie słabł. Raket nadlatywało coraz mniej, w końcu czynne pozostały już tylko turbolaser.

– Skończyły im się zapasy amunicji – stwierdził kapitan.

– Sześćdziesiąt dwa procent i rośnie! – Wachtowa odzyskała rezon.

– Na jakiej głębokości skończymy? – zapytała Willhelm.

– To, co już wywierciliśmy, powinno wystarczyć, ale dla pewności zjedźmy na pięćset metrów – zaproponował Swanwick. – Dwie minuty pracy nas nie wykończą, zwłaszcza że przestali tak nawalać.

Śmigacze i jumpery zniknęły nieco wcześniej, zapal ich załóg wyczerpał się szybciej niż posiadana amunicja. Czarni chyba zrozumieli, że nie zdołają ukąsić tego olbrzyma, który rozwala ich gniazdo. Dotarło do nich również, że bez centrali staną się łatwym łupem.

– Przekierować ciąg grawitronów – rozkazał kapitan, gdy wskaźnik odwiertu minął granicę pięciuset metrów. – Nie gasimy głowic, panowie! – dodał, podnosząc głos. – Lepiej, żeby pozostały rozgrzane.

Miał rację. Wubecy mogli się przegrupować i uderzyć ponownie, gdy tylko Moloch opuści gardę.

– Teraz twoja kolej... – Odwrócił się twarzą do czekającej w napięciu dziewczyny. – Dajesz.

Zaczerpnęła tchu raz i drugi, bardzo głęboko, po czym aktywowała holopad.

– Nazywam się Kaliopie Wilhelm – powiedziała hardo, z dumnie uniesionym czołem. – Jestem jedyną ocalałą z Invictusa. Federacja chciała zrobić ze mnie królika doświadczalnego, by stworzyć nieludzką broń, która was wszystkich zniewoli, ale przeżyłam, uciekłam i sprawiłam, że Diakow i jego pomiot podzielili los moich towarzyszy. Ostatni z nich szczeł dzisiaj tam, na dole...

Umilkła na moment, by te słowa wryły się w pamięć oglądających ją kolonistów.

– A wy... – zwróciła się do władz Federacji. – Zapamiętajcie dobrze moją twarz, bo tak wygląda prawdziwe oblicze zemsty. Hyperion jest wolny, ale to dopiero początek! Idziemy po was. Ja i nieprzeliczone rzesze tych, którym zabiliście krewnych, bliskich i przyjaciół. Wiedźcie jedno: nie ma dla was litości. Będziemy walczyć z wami do ostatniej kropli krwi!

KONIEC TOMU TRZECIEGO

W przygotowaniu tom czwarty

Wet za wet

Robert J. Szmidt

CYKL

„POLA DAWNO ZAPOMNIANYCH BITEW”

Pierwsza polska space opera wydana w USA dwukrotnie z rekomendacjami Davida Webera, Nancy Kress, Mike’a Resnicka, Jacka Campbella, Kevina J. Andersona

Toy Land

Seria „Bukowski”:

Tom 1. *Per aspera ad astra*

Tom 2. *Uderzenie wyprzedzające*

Tom 3. *Do ostatniej kropli krwi*

Tom 4. *Wet za wet* (w przygotowaniu)

Tom 1. *Łatwo być Bogiem*

Tom 2. *Ucieczka z raj*

Tom 3. *Na krawędzi zagłady*

Tom 4. *Zwycięstwo albo śmierć*

Tom 5. *Ostatnia misja Asgarda*

Inne teksty z uniwersum

„Pól dawno zapomnianych bitew”:

Mrok nad Tokyoramą

Śmierć to nie koniec

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[O serii](#)

[PROLOG](#)

[Część pierwsza BUNTOWNICY](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Część druga KONWÓJ](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Część trzecia ZAMACH](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Z cyklu](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Robert J. Szmidt 2023

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2023

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Urszula Gardner

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Robert Rajszczyk

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Do ostatniej kropli krwi*, wyd. I, Poznań 2023)

ISBN 978-83-8338-767-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**